

**J. G. Ballard**

**Królestwo Nadchodzi**

*Przekład Piotr Grzegorzewski*

# CZEŚĆ PIERWSZA

## 1. Krzyż św. Jerzego

Mieszkańcy przedmieść śnią o przemocy. W swoich sennych rezydencjach, pod opiekuńczymi skrzydłami usługowych centrów handlowych, czekają cierpliwie na koszmary, które przeniosą ich w bardziej gwałtowny świat...

Pobożne życzenia, pomyślałem, widząc w lusterku wstecznym oddalające się lotnisko Heathrow. Głupie i charakterystyczne dla ludzi reklamy, dla których ważniejsze jest opakowanie od zawartości. Nie mogłem jednak pozbyć się tej myśli. Zjechałem jensenem na lewy pas autostrady M4 i zacząłem czytać tablice drogowe, zapraszające mnie na dalekie peryferia Londynu. Ashford, Staines, Hillingdon – nieprawdopodobne cele podróży, które istniały jedynie w wyobraźni zdesperowanych speców od marketingu. Za Heathrow rozpościerały się królestwa konsumpcjonizmu i czekało na mnie rozwiązanie zagadki, która była moją obsesją w czasie, gdy pracowałem w agencji reklamowej: Jak obudzić pogrążonych w letargu ludzi, którzy mają już wszystko, bo kupili wszelkie marzenia, jakie tylko można było kupić, a w dodatku wiedzą, że nabyli je po okazyjnej cenie?

Kierunkowskaz tykał na desce rozdzielczej, dokuczliwa strzałka, której, dałbym głowę, nie włączałem. Sto jardów przede mną był zjazd. Instynktownie wyczuwałem, że czeka właśnie na mnie. Zwolniłem i zjechałem z autostrady, mijając tablicę zachęcającą mnie do odwiedzenia kompleksu biurowego z centrum konferencyjnym. Zahamowałem gwałtownie, pomyślałem o zawróceniu, ale w końcu poddałem się. Pozwoliłem się prowadzić drodze...

Tak jak wielu londyńczyków, czułem się nieco niepewnie, ilekroć zapuszczałem się na przedmieścia. Odizolowane od rozdygotanej, atakującej wszystkie zmysły metropolii, leżące na jej obrzeżach, drzemiące pod opiekuńczym ramieniem autostrady M25, wydają się wytworem przemysłu reklamowego. W każdym razie ja, i podobni mi pracownicy agencji reklamowych, lubimy tak myśleć. Do ostatka będziemy wierzyć, że mieszkańcy przedmieść są definiowani przez produkt, który im sprzedajemy, jego markę, znak towarowy i logo. To one determinują ich życie.

Mimo to opierali się nam, coraz lepiej wyglądający i coraz pewniejsi

siebie, prawdziwe serce narodu, które zawsze trzyma nas na dystans. Kiedy spoglądałem teraz na spokojne morza murowanych budynków, zadbane parki i boiska szkolne, ogarnął mnie żal, taki sam jak ten, który poczułem, gdy moja żona pocałowała mnie czule, po czym pomachała nieśmiało, stojąc w drzwiach naszego mieszkania w Chelsea, i odeszła ode mnie na dobre. Tkliwość może towarzyszyć najgorszym chwilom naszego życia.

Miałem jednak powód, by czuć się nieswojo – zaledwie kilka tygodni wcześniej ci mili mieszkańcy przedmieść podnieśli się, obnażyli kły, a potem rzucili się, by zabić mojego ojca.

Dwa tygodnie po jego pogrzebie, o dziewiątej rano wyjechałem z Londynu w kierunku Brooklands, położonego między Weybridge a Woking miasta, które powstało wokół toru wyścigowego z lat trzydziestych. To właśnie tu wychowywał się mój ojciec. Będąc pilotem linii lotniczych, większą część życia spędził w powietrzu. Dopiero po przejściu na emeryturę powrócił w rodzinne strony. Zamierzałem porozmawiać z prawnikami, doglądać spraw spadkowych, a następnie wystawić mieszkanie na sprzedaż, kończąc formalnie życie, którego nigdy z nim nie dzieliłem. Adwokat ojca, Geoffrey Fairfax utrzymywał, że z okien mieszkania rozciąga się widok na opuszczony tor wyścigowy. Ten wyraz snów o prędkości musiał staruszkowi przywodzić na pamięć pas startowy. Kiedy spakuję jego mundury i zamknę za sobą drzwi, raz na zawsze wyzwolę się spod wpływu byłego pilota British Airways, nieobecnego ojca, którego kiedyś tak bardzo podziwiałem, ale tak rzadko spotykałem.

Porzucił moją upartą, znerwicowaną matkę, kiedy miałem pięć lat, przebył miliony mil, latając do najniebezpieczniejszych miejsc świata, przeżył dwie próby porwania, a potem zginął w dziwnej strzelaninie w centrum handlowym na przedmieściach. Pacjent szpitala psychiatrycznego na przepustce przemycił broń do Metro-Centre w Brooklands i nagle, w porze lunchu, na oślep zaczął strzelać do tłumu. Mój ojciec zginął od pojedynczej kuli. Ta śmierć pasowałaby do Manili albo Bogoty, czy nawet wschodniego Los Angeles, ale nie do zielonych angielskich przedmieść. Ponieważ staruszek przeżył swoich krewnych i większość przyjaciół, to na mnie spoczął obowiązek zajęcia się pogrzebem i towarzyszenia mu w ostatniej drodze.

Kiedy zostawiłem za sobą autostradę, perspektywa przekręcenia klucza w zamku drzwi mieszkania ojca ukazała się przed moimi oczami na

przedniej szybie samochodu niczym obraz na wyświetlaczu HUD. Wciąż musiało tam być wiele z niego – zapach ciała na ręcznikach i ubraniach, zawartość kosza na brudną bieliznę, dziwna woń starych bestsellerów na półkach z książkami. Jego obecność korespondować będzie z moją nieobecnością, pustką przypominającą niewypełnione komórki w plastrze miodu, próżnią, której nie byłem w stanie wypełnić, odkąd porzucił rodzinę dla bezmiaru przestworzy.

Tę pustkę nosiłem w sobie cały czas. Zamiast włóczyć się z matką po domu towarowym Harvey Nichols albo przesiadywać przez wieczność przy herbacie w Fortnum and Mason, powinienem był spędzać czas z ojcem, budując z nim swój pierwszy latawiec, grając w ogrodzie we francuskiego krykieta, ucząc się rozpalać ognisko i pływać łódką. Przynajmniej zrobiłem karierę w branży reklamowej, udaną do chwili, gdy popełniłem błąd, żeniąc się z koleżanką z pracy i wychowując rywala, z którym nie byłem w stanie wygrać.

Dotarłem do zjazdu, podążając za ogromną ciężarówką z lawetą wypełnioną nowymi samochodami. Każdy z nich był tak lśniący, że niemal nabierało się ochoty, by go schrupać lub przynajmniej polizać – słodki cukierek zapakowany w sreberko. Ciężarówka zatrzymała się na światłach, niczym żelazny byk gotujący się do szarży na korridzie drogi, po czym skierowała się w stronę nieodległej dzielnicy przemysłowej.

Do tego czasu zdążyłem się zgubić. Byłem w miejscu, w którym, jak wynikało z mapy, powinny znajdować się prastare miasta Doliny Tamizy – Chertsey, Weybridge, Walton – tyle że wokół widziałem jedynie nieliczne ślady ludzkiej obecności. Przemierzałem tereny wypełnione bezładną zabudową, obszar deprivacji sensorycznej, strefę podwójnych nitek autostrady i stacji benzynowych, kompleksów biurowych i drogowskazów pokazujących drogę na Heathrow, leżących odłogiem pól pełnych zbiorników z gazem i magazynów ubranych w egzotyczne metalowe blachy. Mijałem tereny przeznaczone pod ponowną zabudowę, które, jak dumnie głosił napis na ogromnej tablicy, stanowiły przedłużenie Heathrow South z jego nieograniczonymi powierzchniami magazynowymi, chociaż w rzeczywistości było to pustkowie, z którego wszystko już zostało wysłane dalej. Nic poza transportem samolotowym nie miało tu racji bytu. Znaki drogowe ostrzegały się wzajemnie, a cała okolica wydawała się mieć zakodowaną wewnętrzną potrzebę ochrony; kamery telewizji przemysłowej przycupnęły przed bramą każdego magazynu, a zielone strzałki skrzyżowania w lewo mrugały niestrudzenie, wskazując świątynie starannie strzeżonych parków naukowo-

technologicznych.

Potem ujrzałem małe szeregowce, ukryte w cieniu wału przeciwpowodziowego, które łączyło jedynie to, że otaczały je komisje samochodowe. Jadąc na południe, minąłem chińską restaurację z jedzeniem na wynos, hurtownię mebli, kilka zagród dla psów obronnych i ponure osiedle mieszkaniowe, przypominające nie do końca odnowiony obóz jeniecki. Nie było kin, kościołów ani śródmieścia, a jedyny przejaw życia kulturalnego stanowiły stojące w niekończącym się szpalerze billboardy z lśniącoymi reklamami.

Po lewej stronie ujrzałem sznur samochodów wjeżdżających w boczną ulicę, rodzinne sedany poszukujące miejsca do parkowania. Trzysta jardów dalej rząd wystaw sklepowych mienił się w promieniach słońca. Zza sieci dróg wjazdowych i podwójnych nitek autostrady wyłoniło się niespodziewanie miasto. Na zagubionego podróżnego czekała tu pomoc w postaci neonów sklepu ze sprzętem ogrodniczym i biura podróży proponującego „luksusowy wypoczynek”.

Czekałem na zmianę świateł – wieczność skondensowana do kilku sekund. Sygnalizatory wznosiły się nad opustoszałymi skrzyżowaniami niczym kapryśne bóstwa. Położyłem stopę na pedale gazu, gotów ruszyć na czerwonym świetle, gdy w ostatniej chwili zauważyłem za sobą policyjny radiowóz. Podobnie jak miasto, pojawił się znikąd, wywołany przez niesforną wyobraźnię niecierpliwego kierowcy w samochodzie sportowym potężnej mocy. Cała okolica zdawała się czekać na przestępstwo.

Dziesięć minut później rozgościłem się w pustej hinduskiej restauracji w centrum miasta, które miało mi przyjść z pomocą. Rozpostarłszy mapę nad sfatygowanym menu, od lat niezmienną książeczką z laminowanymi kartkami, usiłowałem ustalić, gdzie jestem. Doszedłem do wniosku, że nieco na południowy zachód od Heathrow, w jednym z miast przy autostradzie, które w latach sześćdziesiątych wyrastały jak grzyby po deszczu, przyciągając ludzi, czujących się w pełni swobodnie jedynie w bezpośrednim sąsiedztwie międzynarodowego lotniska.

Stacja benzynowa położona obok podwójnej nitki autostrady zapewniała tu większe poczucie duchowej wspólnoty niż jakikolwiek kościół czy kaplica i większe poczucie wspólnoty kulturowej niż biblioteka czy galeria. Wjechałem jensenem na górujący nad miastem parking wielopoziomowy, masywny betonowy gmach o dziesięciu kondygnacjach, bardziej tajemniczy niż labirynt w Knossos (moja żona

niecو perwersyjnie sugerowała, że powinniśmy w tym ostatnim spędzić miodowy miesiąc). Obecność tej ogromnej konstrukcji odzwierciedlała banalną prawdę, że znalezienie miejsca do parkowania stanie się już wkrótce największą potrzebą duchową mieszkańców Wielkiej Brytanii.

Zapytałem właściciela restauracji, gdzie jesteśmy, pokazując mu mapę, ale był zbyt zdenerwowany, by odpowiedzieć. Pięćdziesięciokilkuletni Bengalczyk przypatrywał się ruchowi na głównej ulicy. Ktoś rzucił cegłą w okno i olbrzymia rysa biegła od podłogi do sufitu. Próbował skierować mnie na tyły pustej restauracji, utrzymując, że stolik przy oknie jest zarezerwowany, ale zignorowałem go i usiadłem przy pękniętej szybie, chcąc obserwować miasto i jego codzienne życie.

Przechodnie byli zbyt pochłonięci robieniem zakupów, by zwracać na mnie uwagę. Sprawiali wrażenie zamożnych i zadowolonych, śmiało idąc przez miasto w całości oddane we władanie sklepom i niewielkim domom towarowym. Nawet w ośrodku zdrowia sprzedawano ciśnieniomierze i płyty DVD z ćwiczeniami fitness. Ulice były rzęsiście oświetlone, wesole i wysprzątane, w odróżnieniu od znanych mi ulic w Londynie. Jakkolwiek to miasto się nazywało, nigdzie nie widać było walających się gazet, gumy do żucia przyklejanej do chodników ani bezdomnych śpiących w kartonach. Nie miał tu natomiast czego szukać ten, kto chciałby wypożyczyć książkę, pójść na koncert, pomodlić się, sprawdzić księgi parafialne czy wpłacić pieniądze na cele charytatywne. Krótko mówiąc, miasto stanowiło końcowe stadium konsumpcjonizmu. Spodobało mi się to i poczułem coś w rodzaju dumy, że się do tego przyczyniłem. Historia i tradycja, trucizna o powolnym działaniu sącząca się w organizm starej Brytanii, nie odgrywały żadnej roli w życiu mieszkających tu ludzi. Bytowali w wiecznej terażniejszości sprzedaży detalicznej, w której największe dylematy moralne dotyczyły tego, czy kupić lodówkę, czy zmywarę do naczyń. Przynajmniej jednak mieszkańcy Doliny Tamizy ze swoją kulturą lotniska nigdy nie wywołają wojny.

Sympatyczna para w średnim wieku stanęła przed oknem, pochylając się do siebie, by dać wyraz uczuciom. Uradowany zastukałem w rozbitą szybę i uniosłem dwa kciuki. Mężczyzna, wystraszony uśmiechniętą zjawą, która wychyłała z nicości zaledwie kilka cali od niego, zasłonił kobietę i dotknął wetkniętego w klapę marynarki metalowego znaczka z krzyżem św. Jerzego.

Widziałem ten symbol, kiedy wjeżdżałem do miasta. Był wszechobecny. Flagi z czerwonymi krzyżami na białym polu powiewały nad osiedlami mieszkaniowymi, centrami biurowo-przemysłowymi i na

masztach w ogrodach przed domami, nadając anonimowemu miastu odświętny wygląd. Cokolwiek by nie mówić, jego mieszkańcy byli dumni ze swojej angielskości, przepełnieni fundamentalną wiarą, której nawet całe sztaby copywriterów nie zdołają im nigdy odebrać.

Sącząc bezsmakowego lagera – jeszcze jeden triumf agencji reklamowej – wpatrywałem się w mapę, gdy właściciel zaczął krążyć przy moim stoliku. Ale mnie wcale się nie spieszyło do składania zamówienia, i to nie tylko dlatego, że wiedziałem, co mi tu mogą zaproponować. W tej chwili jedyny punkt odniesienia stanowiło dla mnie mieszkanie ojca w Brooklands, położone ledwie kilka mil na południe od miejsca, w którym się znajdowałem. Omal nie uwierzyłem, że siedzi za biurkiem, gotów do przeprowadzenia ze mną rozmowy kwalifikacyjnej na stanowisko swojego syna.

Co zobaczyłby w decydujących o wszystkim pierwszych trzydziestu sekundach? Kandydat: Richard Pearson, czterdzieści dwa lata, były pracownik branży reklamowej. Sympatyczny, acz niekoniecznie budzący zaufanie. W zamierzchłej przeszłości potajemny palacz i tenisista w klasie juniorów, którego karierę zakończyła kontuzja prawego łokcia. Niewydarzony mąż, puszczonego w skarpetkach przez żonę. Wesoły i optymistycznie nastawiony do życia, choć w głębi duszy zrozpaczony. Myśli o sobie jako o kimś w rodzaju terrorysty, ale tak naprawdę jest dobry jedynie w ogrzewaniu pantofli późnego kapitalizmu. Stara się o stanowisko syna i spadkobiercy, mimo że charakteryzuje się bardzo mglistym pojęciem o prawach i obowiązkach, jakie się z tym wiążą...

W ogóle miałem bardzo mgliste pojęcie – nie tylko zresztą o swoim ojcu.

Tydzień przed jego śmiercią odwoziłem przyjaciółkę na lotnisko Gatwick. Właśnie dobiegał końca jeden z najszcześniejszych okresów mojego życia. Moja towarzyszka, kanadyjska nauczycielka akademicka, po rocznym urlopie naukowym wracała do pracy na wydziale historii nowożytnej Vancouver University. Podobały mi się jej pewność siebie i poczucie humoru, jak również szczerzy niepokój o mnie.

– Daj spokój, Dick! Skacz! Zaryzykuj! – Chciała, bym z nią poleciał, może nawet znalazł pracę na jej wydziale. – To akademicki kosz na śmieci, ale przynajmniej poruszysz jego pokrywę. – Wiedziała, że zostałem wyrzucony z agencji moja ostatnia kampania okazała się kosztownym fiaskiem i namawiała do krytycznego spojrzenia na siebie, co nigdy nie jest miłe. Zacząłem tęsknić za nią już miesiąc przed jej

wyjazdem, i strasznie mnie korciło, by pociągnąć linkę i do niej dołączyć.

Ale potem, tuż przed odprawą, znalazła w torebce mój paszport. Leżał w bocznej kieszonce od naszego powrotu z weekendu w Rzymie. Zaskoczona, wpatrywała się przez dłuższą chwilę w fotografię, na której wyglądałem jak zbrodniarz wojenny.

– Richard... ? – odczytała zdumiona. – Kto? O mój Boże, Dick! To ty! – krzyknęła na tyle głośno, by zaalarmować ochronę. Odebrałem to jako znak. Vancouver i ucieczka w świat akademicki muszą poczekać. Jeśli nawet osoba, która naprawdę mnie lubi i dzieli ze mną łożę, przy pierwszym spojrzeniu na halę odlotów zapomina, jak się nazywam, to zdecydowanie coś jest ze mną nie tak. Może ojciec mógłby mi pomóc.

Dopiłem piwo, pilnowany przez właściciela, który podszedł do okna i patrzył niespokojnie w niebo ponad parkingiem wielopoziomowym. Byłem już bliski zapytania go o znaczki z krzyżem św. Jerzego noszone przez przechodniów, gdy odwrócił wiszącą na drzwiach tabliczkę z napisem „Zamknięte” i wycofał się szybko na tyły restauracji.

Zawyły syreny i grupki kupujących spojrzały na kłęby dymu, unoszące się nad pasażem handlowym. Ulicą przejechały dwa radiowozy na sygnale.

Coś zakłóciło błogi konsumpcyjny spokój tego miasta. Właściciel zniknął w kuchni. Po chwili dobiegł z niej kobiecy krzyk. Zostawiwszy na stole pieniądze, złożyłem mapę i wyszedłem z restauracji. Przez tłum przedierał się wóz strażacki, przenikliwe wycie syreny przyprawiało o ból głowy. Poszedłem dalej, przepychając się przez grupki przechodniów, którzy wpatrywali się w pociemniałe niebo.

Kilkaset jardów od centrum miasta, blisko drogi, którą przyjechałem z autostrady, na obrzeżach niewielkiego osiedla stał płonący samochód. Mieszkańcy wylegli przed domy, patrząc ze skrzyżowanymi ramionami na płomień unoszące się ze zniszczonego volva. Policjant gasi! ogień pianą, podczas gdy jego kolega odsuwał gapiów, którzy wpatrywali się w nędzne domostwo jednego z sąsiadów. Przed drzwiami stała policjantka, wodząc zrezygnowanym wzrokiem po zaniedbanym ogrodzie. Na murze budynku wymalowano białą farbą krzykliwe hasło. Domyśliłem się, że atmosferę w mieście zakłócił czyjś przyjazd – może wypuszczonego z więzienia mordercy albo pedofila zdemaskowanego przez miejscowych członków samozwańczej straży obywatelskiej, którzy podpalili jego auto.

Torowałem sobie drogę poprzez tłum gapiów. Wielu z nich trzymało torby z zakupami, przypatrując się płonącemu samochodowi jak prezentacji handlowej w markecie. Miny mieli gniewne, ale zarazem

ostrożne. Ignorowali wóz strażacki, który zatrzymał się za nimi. Ich przywódcami wydawali się trzej mężczyźni w koszulkach z krzyżami św. Jerzego, którzy stali obok bramy. Z emblematów na kieszonkach wynikało, że są pracownikami miejscowego sklepu żelaznego. Muskularni, o nieco paranoicznym wyglądzie, przypominali porządkowych na meczu piłkarskim. W pobliżu jednak nie było stadionu i wszystko wskazywało na to, że jedyna impreza sportowa rozgrywa się przed tym zaniedbanym domem.

– Co tu się dzieje? Czy ktoś tam się ukrywa? – zapytałem krępą kobietę, mamroczącą coś pod nosem. Jej córka spojrzała szeroko otwartymi oczami. Mój głos został zagłuszony przez ryk tłumu. Drzwi otworzyły się i stanął w nich brodaty mężczyzna w turbanie i czarnej szacie, przywołując skinieniem stojących w holu ludzi z zaleknionymi minami. Nad drzwiami wisiała ceramiczna tabliczka pokryta arabskimi inskrypcjami. Nagle uświadomiłem sobie, że ten skromny podmiejski dom w istocie jest meczetem. Stałem się świadkiem czystek religijnych.

Poinstruowany przez policjantkę imam powiodł do ogrodu resztę wyznawców: trzech młodych Azjatów w dżinsach i białych koszulkach, starego Pakistańczyka i taszczącą walizkę kobietę w dżellabie. Z opuszczonymi głowami ruszyli przez cichy teraz tłum, ochraniani przez strażaków i policjantów. Mijając mnie, kobieta potknęła się o krawężnik. Poczulem kwaśny odór jej prze poczonej szaty, zapach strachu.

Uniosłem rękę, by jej pomóc, ale ktoś mnie odepchnął, pozbawiając równowagi. Dwaj pracownicy sklepu żelaznego w koszulkach z krzyżami Św. Jerzego zablokowali mi drogę, patrząc zwięzonymi oczami ponad moją głowę. Upadłem obok volva i oparłem się o nadpaloną plastikową tapicerkę. Obok mojej twarzy kołysały się torby z zakupami. Nie mówiąc ani słowa, policjantka podźwignęła mnie na nogi, po czym poprowadziła przez tłum do swojego samochodu. Na tylnym siedzeniu ujrzałem imama. Nieliczni wierni zniknęli w kłębach dymu.

– Pan jest z nim? – Policjantka otworzyła przede mną drzwi od strony pasażera. – Usiądzie pan na przodzie? – Nie, nie. Ja tylko przechodziłem. Jestem turystą.

– Turystą? Nie przyjeżdża do nas za dużo turystów. – Zatrzasnęła drzwi i odwróciła się ode mnie. – Następnym razem proszę pojechać do Metro-Centre w Brooklands. Albo na Heathrow... tam wszyscy są mile widziani.

Wróciłem na parking, nie dziwiąc się już, że policjantka pomyślała o

centrum handlowym i lotnisku jako o atrakcjach turystycznych. Stałem się świadkiem podmiejskiej wersji zamieszek na tle rasowym. Tylko w niewielkim stopniu zakłóciły one pokojowy handel kwitnący w tym mieście. Klienci dalej paśli się z zadowoleniem niczym potulne bydło. Nikt nie unosił głosu, nikt nie rzucił kamieniem. Jeśli nie liczyć podpalenia samochodu i popchnięcia mnie, obyło się bez aktów przemocy.

Wyjechałem z parkingu, kierując się w stronę Shepperton i Weybridge, zadowolony, że opuszczam to dziwne miasto. Zdążyłem już pogodzić się z myślą, że pojawił się nowy rodzaj nienawiści, cichej i zdyscyplinowanej, rasizm złagodzony przez karty stałego klienta i numery PIN. Robienie zakupów było nowym modelem ludzkiego zachowania, wyzutym z emocji i gniewu. Decyzja mieszkańców osiedla o pozbyciu się imama stanowiła po prostu przykład wyboru konsumenta.

## 2. Przyjazd do domu

Podróże rzadko kończą się wtedy, gdy myślę, że się skończyły. Zbyt często zapomniane bagaże wędrują dalej i kiedy najmniej się tego spodziewam, znajduję je na pustym lotniskowym taśmociągu niczym dowody gromadzone przed procesem.

Kiedy godzinę później wjeżdżałem do Brooklands, głowę wypełnioną miałem myślami o lotniskach oraz przylotach i odlotach pewnego starego pilota. Wokół mnie rozciągało się kwitnące miasto Doliny Tamizy, ładne tereny z wygodnymi domami, eleganckimi biurami i galeriami handlowymi, obraz Brytanii dwudziestego pierwszego wieku, który przed oczami ma każdy spec od reklamy. Minąłem nowiutki stadion sportowy, błyszczący niczym klub nocny na świeżym powietrzu. Na górujących nad nim ekranach filmy oświatowe dotyczące bezpieczeństwa na drodze przechodziły niepostrzeżenie w zgrabne reklamy platynowych kart kredytowych. Brooklands płało się w samozadowoleniu. Bogactwo było w oczy. Widać je było na każdym kroku: w gontach dachowych i zwirowych podjazdach, w labradorze i jadącej na koniu nastolatce.

Wciąż myślałem o przestraszonej muzułmance, wyprowadzanej pod eskortą z malutkiego meczetu, kwaśnym odorze jej szaty i zapachu strachu, którego nie mogły stłumić żadne perfumy. Zestawiłem ją ze swoim ojcem, inną ofiarą czegoś o wiele poważniejszego niż robienie zakupów. W Dolinie Tamizy działo się coś naprawdę niedobrego.

Trzy tygodnie wcześniej kapitan Stuart Pearson, ekspilot British Airways i Middle East Airlines, udał się na jeden ze swoich zwykłych sobotnich popołudniowych spacerów do Metro-Centre w Brooklands. Wciąż żywotny, jak na swoje siedemdziesiąt pięć lat, bez trudu pokonał osiemset jardów dzielące jego mieszkanie od centrum handlowego, które stanowiło odpowiedź zachodniego Londynu na Bluewater w pobliżu Dartford. Dołączywszy do innych klientów, doszedł do atrium, kierując się do trafiki, w której zwykł kupować swój ulubiony tytoń dunhill.

Niedługo po czternastej uzbrojony szalencie otworzył ogień do tłumu, zabijając trzy osoby, a piętnaście raniąc. Bandyta uciekł, korzystając z zamieszania, policja jednak szybko wpadła na jego trop. Aresztowanym okazał się pacjent szpitala psychiatrycznego, Duncan Christie, który wchodził już przedtem w konflikt z prawem i niejednokrotnie zakłócał porządek publiczny, prowadząc ekscentryczną kampanię przeciwko centrum handlowemu. Wielu świadków widziało go uciekającego z

miejsca zbrodni.

Pocisk ugodził mojego ojca w głowę. Stracił przytomność, kiedy przygodni klienci usiłowali go reanimować. Razem z pozostałymi rannymi został przewieziony do szpitala w Brooklands, a następnie przetransportowany helikopterem na oddział neurologiczny Royal Free Hospital, gdzie zmarł następnego dnia.

Nie widziałem go od kilkunastu lat i w przyszpitalnej kostnicy ledwo rozpoznałem jego małą, starczą twarz ze skórą przylegającą ściśle do czaszki. Zważywszy na fakt, że piętnaście lat spędził w Dubaju, nie spodziewałem się tłumów na nabożeństwie żałobnym, które miało się odbyć w krematorium w północnym Londynie. I faktycznie, zegnała go ledwie garstka starych pilotów British Airways, siwi, niezłomni staruszkowie z milionami pokonanych mil w oczach. Nie pojawili się znajomi z Brooklands, obecna była jedynie pełnomocniczka jego adwokata, pełna współczucia kobieta po czterdziestce, nazywająca się Susan Dearing. Przyjechała na początku nabożeństwa i podała mi klucze do mieszkania ojca.

Ku mojemu zaskoczeniu przybyła również jednoosobowa delegacja Metro-Centre, w postaci bystrego młodego kierownika działu PR, który sam przedstawił się wszystkim jako Tom Carradine i wydawał się traktować ten makabryczny wypadek jak znakomitą okazję marketingową. Z trudem powstrzymując zawodowy uśmiech, zaprosił mnie do centrum, zupełnie jakby chciał udowodnić, że jeszcze coś dobrego może wyniknąć z tej tragedii. Podejrzywałem, że obecność pracownika na pogrzebach klientów, którzy ponieśli śmierć na terenie Metro-Centre, stanowi coś w rodzaju serwisu posprzedażnego, ale byłem zbyt przybity, żeby posłać go do diabła.

Dwie młode kobiety wślizgnęły się do ławki w tyle, gdy z taśmy odezwały się dźwięki organów, muzyka, która podobać mogła się jedynie zmarłym, przypominająca trzask trumien napinających się jak deski miotanych przez sztorm galeonów. Jedna z kobiet roześmiała się, kiedy duchowny rozpoczął swoją mowę. Nie wiedząc nic o moim ojcu, podawał po prostu trasy jego lotów, zupełnie jakby czytał rozkład jazdy.

– Następnego roku Stuart poleciał do Sydney... – Nawet ja w końcu nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem.

Kobiety wyszły, gdy tylko nabożeństwo dobiegło końca, ale przyłapałem jedną z nich na tym, że patrzy na mnie z parkingu, podczas gdy jej przyjaciółka szukała kluczyków. Ciemnowłosa, o nieco niedbałym typie urody, który intryguje mężczyzn, zbyt młoda jednak, by być jedną z

kochanek mojego ojca, chociaż niewiele wiedziałem o ostatnich latach jego życia. Czekala poirytowana, aż jej towarzyszka upora się z zamkiem, a gdy tej w końcu się to udało, skuliła się na miejscu dla pasażera. Kiedy samochód ruszył, spojrzala w moją stronę i pokiwała głową, jakby zastanawiała się, czy nie jestem zbyt dekadentcki albo zbyt firecykowaty w porównaniu z ojcem. Z jakiegoś niejasnego powodu byłem pewien, że jeszcze się spotkamy.

Samochody jadące do Brooklands zwolniły, wypełniając sześciopasmową autostradę, zbudowaną specjalnie po to, by skierować mieszkańców południowowschodniej Anglii do Metro-Centre. Pod górującą nad krajobrazem ogromną aluminiową kopułą mieściło się największe centrum handlowe w Wielkim Londynie, katedra konsumpcjonizmu, którego wyznawcy znacznie przewyższali liczebnie tych z kościołów chrześcijaństwa. Srebrny dach wznosił się nad biurkami i hotelami niczym kadłub ogromnego sterowca. Metro-Centre, będące wizualnym echem Millenium Dome w Greenwich, w pełni zasługiwało na swoją nazwę, leżąc w centrum otaczającej Londyn nowej metropolii, w mieście na obrzeżach, do którego prowadziły szlaki wielkich autostrad. Konsumpcjonizm zdominował życie mieszkających tu ludzi, którzy zawsze wyglądali, jakby byli na zakupach, niezależnie od tego, co akurat robili.

A jednak wiele wskazywało na to, że w tym handlowym rajku zadomowiło się kilka węży. Na biedniejszych peryferiach tego starego miasta widziałem zdewastowane azjatyckie sklepy i pozamykane na głucho kioski oklejone nalepkami z krzyżami św. Jerzego. Było zbyt dużo haseł i graffiti, bym mógł czuć się tu dobrze, zbyt dużo symboli Brytyjskiej Partii Narodowej i KuKluxKlanu nagryzmołonych na pękniętych szybach, zbyt dużo flag z krzyżami św. Jerzego, powiewających na podmiejskich bungalowach. Niedaleko fortyfikacji autostrad nagromadziła się spora dawka paranoi, zupełnie jakby mieszkańcy tego handlowego miasta czekali na wybuch czegoś gwałtownego.

Nie mogąc oddychać w środku jensena, opuściłem szybę, wybierając przydrożny mikroklimat oparów benzyny i oleju. Ruch zelżał. Za tablicą z napisem „Muzeum automobilizmu w Brooklands” skręciłem w lewo i pojechałem ulicą, wzdłuż której, za wysokimi murami, wznosiły się wolno stojące domy. Mój ojciec osiadł pod koniec życia w jednym z tonących w zieleni trzypiętrowych budynków, położonych przy wąskiej uliczce

odchodzącej od ulicy, którą jechałem. Przemieszczając się pomiędzy ścianami żywopłotu, wciąż usiłowałem wymyślić celne odpowiedzi na pytania zadane w rozmowie kwalifikacyjnej, która zdecyduje o tym, czy zasługuję na posadę jego syna, mimo że moja aplikacja została odrzucona prawie czterdzieści lat temu.

Podświadomie zgłaszałem się ponownie na to stanowisko, ilekroć go spotykałem – zawsze był miły, lecz zachowywał dystans, zupełnie jakby poznawał nowego członka swojej załogi. Matka wysyłała mu informacje o moich ocenach, a kiedy skończyłem wydział nauk ekonomicznych Uniwersytetu Londyńskiego, wyekspediowała mu moje zdjęcie z uroczystości wręczenia dyplomów, chyba jednak tylko po to, żeby go zirytować. Na szczęście jeszcze jako nastolatek całkowicie straciłem zainteresowanie osobą ojca i po raz ostatni widziałem go na pogrzebie macochy, kiedy był zbyt zrozpaczony, żeby rozmawiać.

Zawsze chciałem, by mnie polubił, ale zarazem myślałem o bagażu na pustym taśmociągu. Jak zareagowałbym, znalazłszy na kominku w jego mieszkaniu swoją fotografię w ramce i album pieczołowicie wypełniany wycinkami z „Campaign”, dotyczącymi mojej pełnej sukcesów kariery? Trzymając w dłoni klucze od domu, wysiadłem z auta i poszedłem żwirowym podjazdem do wejścia, niemal spodziewając się sąsiadów wyglądających ze swoich mieszkań i witających mnie. Jednak, ku mojemu zaskoczeniu, ani jedna firanka nie poruszyła się w żadnym oknie. Wszedłem po schodach na ostatnie piętro. Policzyłem do pięciu, po czym przekręciłem klucz w zamku i wkroczyłem do przedpokoju.

Zasłony były częściowo zaciągnięte. Nikłe światło padało na sceniczne dekoracje: mieszkanie starego człowieka, ze skórzanym fotelem i lampką do czytania, stojakiem na fajki i pudełkiem na cygara. Oczekiwałem, że za chwilę na scenie pojawi się mój ojciec. Podejdzie do palisandrowego barku, naleje sobie szkockiej z wodą sodową, po czym weźmie z półki ulubioną książkę i zacznie przewracać jej kartki. Potrzeba było tylko dzwoniącego telefonu, by spektakl mógł się rozpocząć.

Niestety, przedstawienie się skończyło, a telefon nigdy już nie zadzwoni, w każdym razie – nie do mojego ojca. Próbowałem wyrzucić tę scenę z umysłu, rozzłoszczony swoją nonszalancją, zawodowym nawykiem zamieniania życia w komunały rodem z telewizyjnych reklam. Nieotwarte listy leżące na stoliku w przedpokoju poruszyły bardziej złowieszczą nutę. Co ciekawe, kilka kopert miało czarne wstążki. Listy były zaadresowane do ojca, zupełnie jakby mógł je przeczytać.

Wszedłem do salonu i rozsunąłem zasłony. Jasne światło wlało się przez zapach zwietrzałego tytoniu i jeszcze bardziej zetlałych wspomnień. Przed sobą miałem, wyłaniającą się zza domów i biurowców, srebrną kopułę Metro-Centre, która górowała nad krajobrazem aż po zachodnie obrzeża Londynu. Po raz pierwszy jej obecność wydawała się niemal uspokajająca.

Przez następną godzinę chodziłem po mieszkaniu, otwierając szuflady i szafki kuchenne niczym włamywacz, usiłujący poczuć związek z właścicielem, którego dom plądruje. Zapoznawałem się z ojcem, nie bacząc na to, że składałem mu raczej mocno spóźnioną wizytę. Na widok spartańsko urządzonej sypialni z wąskim materacem potrzęsnałem ze smutkiem głową. To tutaj stary człowiek śnił swoje ostatnie sny o lataniu, dumal o skrzydłach, które przelatywały ponad pustyniami i tropikalnymi estuariami. Otworzyłem szafę i naliczyłem sześć mundurów wyglądających niczym załoga samolotu. Na toaletce ujrzałem komplet srebrnych szczotek do włosów, które, jak podejrzewałem, kupił mojej macosze. Każdego ranka musiało witać go wspomnienie tej coraz bardziej mizernej, lecz wciąż efektownej kobiety. Innym przypomnieniem lat małżeństwa była stara buteleczka Chanel, której zawartość dawno już wyparowała. Nacisnąwszy atomizer, wydobyłem leciutki zapach, echo ukochanej skóry.

W łazience otworzyłem apteczkę, spodziewając się ujrzeć mały magazyn witamin i lekarstw, ale półki okazały się puste, jeśli nie liczyć płynu do czyszczenia protez i torebeczki z ziarnami senesu. Staruszek trzymał kondycję dzięki rowerowi i wiosłom treningowym, znajdującym się w pokoju gościnnym. W komórce za kuchnią stała deska do prasowania i stół z elektrycznym czajnikiem oraz puszką na herbatniki dla służącej. Za stertami prasowania i rzędem wykrochmalonych koszul dostrzegłem komputer z drukarką, a obok kilka książek.

Wróciłem do salonu i obejrzałem półki, na których stały rzędy popularnych powieści, almanachów krykieta i przewodników po restauracjach znajdujących się w miejscach, do których ojciec latał: Hongkong, Genewa, Miami. Jeszcze będę miał czas, żeby zająć się biurkiem, przejrzeć świadectwa udziałowe, wyciągi z konta i zeznania podatkowe, by dowiedzieć się, jak duży majątek pozostawił. Teraz, kiedy byłem bezrobotny i prawdopodobnie takim pozostanę, przyda mi się każdy grosz.

Szuflad nie otwierałem. Dowiedziałem się już na tyle dużo, by

zrozumieć, że właściwie w ogóle nie znałem tego starego człowieka i zapewne nigdy go już nie poznam. Szukałem jakichś śladów swojej osoby, ale najwyraźniej nie odgrywałem w jego życiu najmniejszej roli.

Na kominku zobaczyłem fotografię w ramce, przedstawiającą młodego kapitana linii lotniczych, stojącego z załogą przy BOAC Comet, prawdopodobnie pierwszym samolocie, którym dowodził. Przystojny i pewny siebie, wyglądał na dziesięć lat młodszego od członków swojej załogi; z powodzeniem mógłby uchodzić za mojego młodszego brata.

Po obu stronach fotografii znajdowało się kilka mniejszych zdjęć, a na każdym z nich jakaś kobieta. Jedno przedstawiało pogodną blondynkę wysiadającą z samochodu sportowego. Na drugim inna blondynka pozowała w białym stroju tenisowym przed hotelem w Kairze, podczas gdy na trzecim uśmiechała się radośnie przed Tadź Mahal. Inne siedziały przy stolikach w klubach nocnych i wylegiwały się przy basenach. Wszystkie kobiety na tej wystawie trofeów były szczęśliwe i beztroskie; nawet raczej poważna trzydziestolatka w futrze, w której rozpoznałem swoją matkę, przed obiektywem mojego ojca wydawała się radosna. Ogarnęło mnie wzruszenie. Zdażyłem już polubić starego pilota, postanowiłem więc lepiej go poznać.

Zaciągnąłem zasłony w salonie, przygotowując się do wyjścia na spotkanie z sierżant Falconer z komisariatu w Brooklands, która miała zapoznać mnie z postęпами śledztwa w sprawie tragicznych wydarzeń w Metro-Centre. Starając się nie myśleć o obłąkanym młodym człowieku, który strzelał do tłumu, spojrzałem na tor wyścigowy, znajdujący się pół mili od domu ojca. Został częściowo zachowany jako pamiątka z lat trzydziestych, bohaterskiej epoki prędkości, czasów zawodów o puchar Schneidera i bicia rekordów, czasów, w których eleganckie pilotki w białych kombinezonach paliły papierosy Craven A, opierając się o swoje statki powietrzne. Publiczność dała się całkowicie ponieść tym snom o prędkości, z którymi nie mogła konkurować żadna agencja reklamowa.

Pokój wypełnił jakiś zapach, ostra woń drogiej, acz nieprzyjemnej wody kolońskiej. Stojąc w cieniu, obok zaciągniętych zasłon, ujrzałem w drzwiach krępego mężczyznę w czarnym garniturze, sięgającego prawą ręką do włącznika światła. W lewej dłoni trzymał coś, co wyglądało na grubą metalową pałkę. Badał nią ciemność przed sobą.

Oddychałem miarowo, starając się odzyskać spokój. Odsunąłem się od okna, po czym ukryłem przed intruzem za drzwiami salonu. W świetle odbitym od stojącej na kominku fotografii w ramce widziałem dobrze

zbudowanego mężczyznę wciąż niepewnie przestępującego z nogi na nogę w przedpokoju, wahającego się, czy wejść dalej. Potknąłem się o buty golfowe ojca i zrzuciłem klosz z lampki na biurku. Intruz odsunął się, uniósł pałkę nad głową, szukając celu. Rzuciłem się w stronę drzwi, uderzając w nie barkiem jak rugbista. Usłyszałem, jak ręka mężczyzny uderza o ścianę. Rozległ się trzask szkiełka od zegarka. Odwrócił się, roztaczając woń potu i olejku do włosów, ale przyparłem jego rękę do framugi, zmuszając pulchne palce do upuszczenia pałki.

Straciłem równowagę i upadłem na skórzany fotel. Kiedy wstałem i rzuciłem się do drzwi, ciężko dysząc w przesyconym zapachami powietrzu, mężczyzna uciekł. Na schodach rozległ się nierówny odgłos kroków, utykanie osoby z pękniętą rzepką. Trzasnęły drzwi, ale kiedy podszedłem do okna salonu, parking i ogród okazały się puste.

Rozsunąłem zasłony i otworzyłem okna, a potem usiadłem w fotelu i czekałem, aż ulotni się zapach intruza. Najwidoczniej wchodząc do mieszkania ojca, byłem tak przejęty, że zapomniałem zamknąć za sobą drzwi. Mężczyzna z pałką zachowywał się bardziej jak włamywacz albo prywatny detektyw niż sąsiad chcący przekazać wyrazy współczucia.

Kiedy wychodziłem na spotkanie z sierżant Falconer, ujrzałem na podłodze przy drzwiach to, co brałem za pałkę. Przed oczami miałem zwinięte w rulon czasopismo – „Journal of Paediatric Surgery”.

### 3. Zamieszki

– Już wiem – powiedziałem do sierżant Mary Falconer. – To Cyklop...

– Właśnie tak się nazywa? – zapytała wolno, jakby starała się uspokoić jednego z bardziej ociążałych umysłowo aresztantów. – Mężczyzna w mieszkaniu pańskiego ojca?

– Nie. – Pokazałem na dach Metro-Centre, widoczny z okna kantyny. – Chodziło mi o centrum handlowe. To olbrzym – sprawia, że wydajemy się przy nim malutcy.

– O to właśnie chodzi – wyjaśniła, nie odrywając oczu od notatek.

– Naprawdę? Czemu pani tak uważa?

– Kupujemy rzeczy, żeby urosnąć.

– Ciekawe. To prawie jak hasło reklamowe. Powinna pani pracować dla Metro-Centre.

– Mam nadzieję, że nie będę musiała.

– Jak rozumiem, nie robi tam pani zakupów?

– Tylko w ostateczności. – Sierżant Falconer zerknęła w kieszonkowe lusterko, cały czas leżące obok dokumentów, i poprawiła blond kosmyk, który wysunął się z warkocza. – Na pana miejscu trzymałabym się od niego z dala.

– Zamierzam. Żałuję, że mój ojciec nie zastosował się do tej rady.

– Wszyscy żałujemy. Straszna tragedia. Komisarz Leighton prosił mnie o przekazanie...

Czekałem, aż dokończy zdanie, ale nagle zaczęła myśleć czym innym. Odwróciła się do okna, omijając wzrokiem Metro-Centre. Najwidoczniej szybka kariera nie pozwalała jej na zajmowanie się czymś tak przyziemnym, jak pocieszenie rodziny zmarłego. Domyślałem się, że nie jest to wymarzona rola dla tej silnej, choć zarazem dziwnie bezbronnej kobiety. Wydawała się niepewna w moim towarzystwie, ciągle patrzyła na paznokcie sprawdzała makijaż, zupełnie jakby bała się, że jej charakterystyka się zepsuje. Miała w sobie wiele sztuczności – nienaganny wygląd, prosto z salonu piękności, akcent niczym z telewizji śniadaniowej, ale czy był to świadomy wybieg? W sali przesłuchań wyjaśniłem, że ledwo znałem ojca. Słuchała ze współczuciem, chociaż widać było, że z chęcią zmieniłaby temat i nie rozmawiała o jego śmierci. Chcąc zmniejszyć napięcie, otworzyła usta i uśmiechnęła się do mnie szeroko, niemal prowokująco, po czym na powrót schowała się za swoją najbardziej oficjalną maską.

Postukała w notes obgryzionym ołówkiem.

– Mówił pan, że ten mężczyzna pana zaatakował?

– Nie. Nie zaatakował mnie. To ja zaatakowałem jego. W sumie chyba go nawet zraniłem. Może być lekarzem. Proszę sprawdzić w miejscowym szpitalu.

– Co dokładnie się stało?

– Zasłoniłem okno, rozejrzałem się wokół i nagle go zobaczyłem. Stał w drzwiach, trzymając coś w rodzaju pałki. – Zwinąłem pismo lekarskie i uniosłem je nad stołem, jakbym zamierzał uderzyć sierżant Falconer w głowę. Pozwoliłem, by je zabrała. – Chyba trochę przesadziłem z reakcją. To moja wina.

– Dlaczego pan tak zareagował? – Sierżant wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę. – Wie pan?

– Domyślam się. – Coś w tej atrakcyjnej, choć ekscentrycznej policjantce sprawiało, że miałem ochotę mówić. – Moja matka nigdy ponownie nie wyszła za mąż. Zawsze starałem się ją chronić. Gdyby ten lekarz się skarżył, proszę mu wytłumaczyć, że działałem pod wpływem stresu.

– Bo to prawda. Niestety, będzie pan w takim stanie jeszcze przez jakiś czas. Musi być pan na to przygotowany. – Obojętnym tonem, zupełnie jakby czytała na głos rozkład jazdy autobusów, dodała: – Dziś po południu oskarżony zostanie przewieziony z powrotem z komisariatu w Richmond do Brooklands. Spędzi tu noc, a jutro odbędzie się rozprawa wstępna.

– Jestem pod wrażeniem waszej skuteczności. Kto to?

– Duncan Christie. Dwadzieścia pięć lat, biały, mieszkaniec Brooklands. Został oskarżony o zabicie pańskiego ojca i dwóch innych osób. Spodziewamy się, że właściwy proces odbędzie się w sądzie koronnym w Guildford. – Sierżant Falconer wskazała na moje posiniaczone ręce. – Na tej rozprawie nie powinno być ludzi uprzedzonych do oskarżonego, panie Pearson. Przyjdzie pan jutro do sądu?

– Nie jestem pewien. Nie wiem, czy mogę sobie ufać.

– Rozumiem. Rozprawa w sądzie wyższej instancji może się odbyć nawet za pół roku. Do tego czasu...

– Uspokoję się? Sąd koronny w Guildford... Rozumiem, że zostanie uznany za winnego?

– Nie wiadomo. Przesłuchałam trzech świadków, którzy stwierdzili, że widzieli go z bronią.

– Tak czy inaczej, uciekł. Nikt go nie zatrzymał.

– Tam zapanował chaos, ludzie wpadli w popłoch. Sanitariusze musieli

się przedzierać przez tłum. Cztery tysiące ludzi tłoczyło się do wyjścia. Setki odniosło obrażenia. To memento dla nas wszystkich, panie Pearson.

– Szkoda, że mój ojciec musiał za nie zapłacić najwyższą cenę. – Bez zastanowienia chwyciłem ją za rękę. Zaskoczyło mnie gorąco jej ciała. – Dlaczego strzelał do starego człowieka?

– Pański ojciec nie był jego celem. – Spokojnie wysunęła dłoń z mojej i położyła ją na stole. – On strzelał po prostu do tłumu.

– Szaleństwo... Christie jest chory umysłowo. Dlaczego pozwolono mu chodzić spokojnie po ulicach?

– Był na przepustce z Northfield Hospital. Lekarze uważali, że dojrzał do spotkania z żoną i dzieckiem. To chyba była mylna diagnoza.

– Ma pani wątpliwości.

– Nie jesteśmy psychiatrami. Christie jest dobrze znany w Brooklands. Od dawna prowadzi kampanię przeciwko Metro-Centre.

– Niezły cel sobie wybrał.

Sierżant Falconer zamknęła akta. Spodziewałem się, że z żarliwością potępi tego psychopate, ale jej głos był zimny jak lód.

– Jego córka została potracona przez ciężarówkę dostawczą podczas jednej z jego akcji protestacyjnych. Firma zaproponowała mu odszkodowanie, ale odmówił. Ciągłe łamał warunki nadzoru kuratorskiego i w końcu umieszczono go w szpitalu psychiatrycznym.

– Przynajmniej o tyle dobrze.

– To był sposób na uniknięcie więzienia. W tym czasie cieszy! się dużym poparciem.

– Poparciem? – powtórzyłem wolno, starając się patrzeć sierżant Falconer w oczy. Czułem, że mimo neutralnego tonu usiłuje powiedzieć mi coś ważnego. W końcu po to zaprosiła mnie na kawę do kantyny.

– Pani sierżant? Proszę mówić dalej – zachęciłem ją łą godnie.

– Nie wszyscy przepadają za Metro-Centre. Nie mogę pa nu podać konkretnych nazwisk, ale są ludzie, którzy uważają to miejsce za szkodliwe. Wszyscy chcą tylko więcej i więcej, a jeśli tego nie dostaną, gotowi...

– Wszczęć zamieszki? Tutaj, w pełnym zieleni Surrey? W konsumenckim raju? Trudno w to uwierzyć. Chociaż nie sposób nie zauważyć tych wszystkich transparentów, flag i ludzi w koszulkach z krzyżami św. Jerzego.

– To porządkowi. Pomagają nam kontrolować tłum. W każdym razie tak się wydaje komisarzowi Leightonowi. – Pani sierżant popatrzyła podejrzliwie na sufit. – Proszę być ostrożnym, jeśli będzie pan wychodził

w nocy, panie Pearson.

Odchyliła się na krześle, prezentując swój profil. Maską policjantki opadła, ukazując emocjonalną pustkę tej silnej, ale zarazem niepewnej, świeżo upieczonej absolwentki szkoły policyjnej. W zawoalowany sposób dawała mi do zrozumienia, że potrzebuje pomocy. Uświadomiłem sobie, że ani razu nie skrytykowała Duncana Christiego, mimo cierpienia, którego przysporzył.

– No dobrze... – westchnąłem. – Nienawidzi pani Metro Centre, pani sierżant?

– Bo ja wiem... To chyba nie do końca jest nienawiść.

– A Brooklands?

Ramiona jej opadły i odsunęła lusterko, jakby uświadomiła sobie, że uwaga skupiona na sobie nie wystarczy.

– Złożyłam prośbę o przeniesienie.

– Za dużo przemocy?

– Za duże ryzyko przemocy.

Chciałem znów chwycić ją za rękę, ale zaczerwieniła się. Na dworze zaczął zapadać mrok. Czerwona poświata iluminowała od środka kopułę Metro-Centre.

– Wygląda, jakby się budziło – zauważyłem.

– Ono nigdy nie zasypia. Proszę mi wierzyć, w ogóle nie spało. Ma własny całodobowy kanał telewizyjny. Lekcje stylu życia, porady dla gospodyń domowych.

– Propaguje rasizm?

– Nigdy wprost. Są ludzie, którzy myślą, że przygotowuje nas do życia w lepszym świecie.

– Kto za tym stoi?

– Nikt. To jest w tym wszystkim najlepsze...

Wstała, zgarniając dokumenty. Widziałem, że zamyka się w sobie. Początkowo, gdy przemawiała do mnie jak do dziecka, myślałem, że jej rola sprowadza się do złagodzenia mojego gniewu i odesłania mnie z powrotem do Londynu. Wykorzystała jednak nasze spotkanie do przekazania ważnej dla siebie wiadomości. W pewnym sensie sama była tą wiadomością, plikiem niepokoju w eleganckim blond opakowaniu. Kilka kartek wyslizgnęło się z tego pliku, ale szybko zapakowała je z powrotem.

– Znaleźliście broń, z której strzelał Christie? – zapytałem, gdy wychodziła zza stołu. – Co to było? Jakiś kałasznikow kupiony w systemie sprzedaży wysyłkowej?

– Nie. Półautomatyczny heckler & koch.

– Heckler & Koch? To broń używana przez policję. Mo gła zostać skradziona z komisariatu.

– Została. – Sierżant Falconer rozglądała się po pustej kantynie, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu. – Śledztwo trwa. Będzie pan informowany na bieżąco, panie Pearson.

– Cieszę się. Proszę mi powiedzieć, z którego komisariatu została skradziona?

– Z Brooklands Central. – Wypowiedziała te słowa z wy studiowaną obojętnością. – Stąd.

– Właśnie z tego komisariatu? Nie wierzę...

Ale sierżant Falconer już mnie nie słuchała. Podeszła do okna i spojrzała na ulicę przy wjeździe na parking. Formowało się na niej zbiegowisko mieszkańców Brooklands w eleganckich trenczach, wielu trzymało torby z zakupami z Metro-Centre. Tłoczyli się na chodniku przed komisariatem, powstrzymywani przez sześciu posterunkowych.

Kilku krzepkich mężczyzn w koszulkach z krzyżami św. Jerzego odciągało zebranych od młodej czarnej kobiety, która stała na środku ulicy, trzymając za rękę małe dziecko. Była wyraźnie wyczerpana, starając się osłonić spuchniętą górną wargę i policzek. Ignorowała wrogi tłum i spoglądała ponad wściekłymi twarzami w okna komisariatu.

– Pani Christie i jej dziecko. Czy naprawdę musiała je tutaj przyprowadzać? – Sierżant Falconer popatrzyła na zegarek. – Przepraszam, panie Pearson. Nie chciałam mieszać pana w to wszystko...

– Nie szkodzi. – Stałem obok niej przy oknie, wciągając jej zapach, podniecającą mieszankę Caleche i estrogenu. Popatrzyłem na młodą czarną kobietę, która pozostawała sama ze swoim gniewem. – Odważna jest.

– Niech pan jej nie współczuje. Wyprowadzę pana bocz nym wyjściem.

Lampy błyskowe migwały przy wejściu na parking. Ludzie rzucali w panią Christie bukietami rozdartych kwiatów. Kiedy strącała je ze swojego krwistoczerwonego żakietu, reflektory ekip telewizyjnych oświetliły jej zmęczoną twarz.

– Ten tłum robi się agresywny – zauważyłem. – Mogą wybuchnąć zamieszki.

– Zamieszki? – Sierżant Falconer skinęła, bym wyszedł z nią z kantyny. – Panie Pearson, w Surrey nie dochodzi do zamieszek. Ludzie tutaj są na to zbyt kulturalni i zbyt niebez pieczni...

Mijaliśmy puste sale wydziału kryminalnego, w których monitory komputerów mrugały do siebie porozumiewawczo znad zawalonych

papierami biurek. Okna klatki schodowej wychodziły na parking, na którym tłum naciskał na kordon policjantów. Funkcjonariusze w cywilu wypełniali korytarz pod nami, gotując się do przejęcia aresztanta.

Gapie zaczęli biec po parkingu. Radiowóz na sygnale przedzierał się przez tłum, za nim jechała biała furgonetka z odratowaną przednią szybą niczym opuszczoną przyłbicą. Uderzyła o nią butelka wody mineralnej. Perrier rozlał się po szkłe.

Tłum ryknął, był już na dziedzińcu komisariatu, osaczając zwierzynę. Zanosilo się na lincz. Policjanci wyszli z budynku, formując kordon wokół furgonetki, kiedy jej tylne drzwi się otworzyły.

Młoda czarna kobieta z córeczką na rękach znalazła się w samym środku zamieszania. Liczyłem na to, że ktoś pospieszy jej na ratunek. Jednak całą uwagę przeniosłem na mężczyznę, który wysiadł z samochodu. Posterunkowy narzucił na niego szary koc, ale przez kilka chwil widziałem jego ziemistą, nieogoloną twarz, brodę z bliznami po trądziku, czoło zaczerwienione od niedawnych razów. Nie zdając sobie sprawy z obecności tłumy i popychających go policjantów, wpatrzył się w anteny radiowe na dachu komisariatu, jakby spodziewał się wiadomości z odległej gwiazdy, przekazanej specjalnie dla niego. Jego głowa kołysała się, jakby był pijany, bezmyślność łączyła się z głębokim, wewnętrznym, niemalże mesjanistycznym żarem. Znać było po nim lata złego odżywiania się i zaniedbywania. Ale również arogancję. Miał wygląd zabójców sprzed wieków, pozbawionych korzeni mieszkańców metropolii z poprzedniej epoki, którzy cudem przeżyli do dwudziestego pierwszego wieku, będąc tak nie na miejscu pośród samochodów z napędem na cztery koła dowożących dzieci do szkół na zamożnych przedmieściach, jak neandertalczyk na leżaku przy basenie na Costa Blanca. Jakimś cudem ten psychopata uniknął sądu dla nieletnich i dozoru pracowników opieki społecznej, a potem zapalał tak ogromną nienawiścią do centrum handlowego, że ukradł broń i otworzył ogień do tłumy, zabijając emerytowanego pilota linii lotniczych, który chciał kupić swój ulubiony tytoń.

Otoczył go kordon policjantów połączonych ramionami. Zaczęli popychać aresztanta w kierunku komisariatu. Nagle pojawiła się przy nich sierżant Falconer. Wyciągnęła przed siebie ręce, by uspokoić krzyczących gapiów. Popatrzyła w okno, przy którym stałem. Byłem pewien, że specjalnie wyprowadziła mnie na klatkę schodową, bym zobaczył człowieka, który zabił mojego ojca.

Recepcja była teraz pusta, jeśli nie liczyć dwóch maszynistek, które

wyszły zza biurek. Przeszedłem obok nich i stanąłem przy otwartych drzwiach. Policjanci zebrali się tutaj, by wprowadzić Christiego do środka. Przeszukałem kieszenie i wyciągnąłem kluczyki do samochodu. Zacisnąłem na nich pięść, największy kluczyk miałem pomiędzy palcem wskazującym i środkowym. Jeden cios w skroń i świat stanie się wolny od tego chorego psychicznie degenerata.

Christie wynurzył posiniaczoną głowę spod koca. Widząc, że jest poza zasięgiem, tłum ruszył naprzód, bębniąc pięściami o boki furgonetki. W ścisku, wśród policjantów z odkrytymi głowami, którzy usiłowali uniknąć ciosów zadawanych torbami pełnymi zakupów, ujrzałem żonę bandziora rzucającą wyzwiska w kierunku policjantki.

Uniosłem pięść, żeby zadać cios Christiemu, który zatoczył się w moją stronę. Jednak silna dłoń złapała mnie za rękę i wykręciła ją do tyłu. Palce z wprawą pozbawiły mnie kluczyków. Odwróciłem się i ujrzałem olbrzymiego, wyglądającego na wojskowego mężczyznę z sumiastymi rudymi wąsiskami. Jego szeroka pierś i ramiona zostały wciśnięte w za małą marynarkę.

– Pan Pearson? – zapytał. Potrząsnął kluczykami przed moją twarzą i przytrzymał mnie, kiedy obok przechodziła policjantka z aresztowanym demonstrantem. – Geoffrey Fairfax, prawnik, adwokat pańskiego ojca. Rozmawialiśmy przez telefon. O ile się nie mylę, jesteśmy umówieni na spotkanie za dziesięć minut. Muszę powiedzieć, że sprawia pan wrażenie człowieka, który ma wielką ochotę stąd pójść...

## 4. Ruch oporu

– Jak pan widzi, panie Pearson, większość majątku pań skiego ojca zasili fundusz dobroczynny pracowników linii lot niczych. – Geoffrey Fairfax pozwolił pokrywce zabytkowego drewnianego segregatora opaść niczym wieku trumny. – Pie niądze zostaną przeznaczone na szlachetny cel – wsparcie dla wdów po pilotach, którzy zginęli w katastrofach samoloto wych – przez czterdzieści lat musiał poznać ich wiele. Być może to dla pana jakieś pocieszenie.

– Zdecydowanie tak. Słusznie postąpił. – Dopilem whisky i ostrożnie postawiłem szklankę na podkładce. Pomyślałem o geście ojca jak o odrzuceniu, ostrzeżeniu z za grobu. – Nie zamierzam podważać testamentu.

– To dobrze. Byłem tego pewien, gdy tylko pana zobaczy łem. Oczywiście mieszkanie należy do pana. – Fairfax uśmiechnął się przebiegle. – Ludzie potrafią być zaskakująco wspaniałomyślni, kiedy przychodzi do spisywania testamentów. Lekarze przekazują swoje ciała akademiom medycznym, cho cież doskonale wiedzą, że zostaną pokrojeni na drobne kawa łeczki. Zony wybaczą uganiającym się za spódniczkami mę żom. Cieszę się, że pański ojciec nie zmienił testamentu.

– A nosił się z taką myślą?

– Nie. Nie działał pochopnie. Może z wyjątkiem ostatnie go okresu życia... Naprawdę trudno mi powiedzieć.

Czekałem, aż Fairfax zacznie kontynuować, wiedząc doskonale, że jestem widzem dobrze przygotowanego przedstawienia jednego z ostatnich reżyserów aktorów w Brooklands. Pogrążeni w rozpacz, ale zarazem pazerni krewni byli jego główną publicznością i wyraźnie upajał się każdą chwilą. Rozglądając się po jego wyłożonym dębową boazerią gabinecie, zastanawiałem się, jak jego wielkopańskie maniery sprawdzały się w rzeczywistości nowego Brooklands. Pudełkowate kancelarie adwokackie w fastfoodowym świecie automatycznych kas sklepowych i centrów handlowych to nie był świat Geoffreya Fairfaksa. Adwokat należał do epoki sprzed nadejścia M25.

Fotografie w ramach na stoliku ukazywały go jako podpułkownika ochotniczej armii rezerwowej i na koniu podczas polowania na lisy, które opuściły swoje tereny i pognały ku lepszemu światu parkingów przy stacjach benzynowych i tarasów luksusowych rezydencji. Jak wielu dyrektorów firm w starym stylu, których znałem, Fairfax był arogancki, srogi i safandulowaty. Jedna z kartek z segregatora spadła na podłogę przy

jego stopach, ale nie zadał sobie trudu podniesienia jej, licząc na to, że sprzątaczką położy ją z powrotem na biurku. A jeśli nawet wyrzuci do kosza na śmieci, kto się o tym dowie albo kto się tym przejmie? Inteligencja malująca się na jego różowej twarzy miała złośliwy odcień. Siedział w fotelu klubowym za biurkiem, znad którego jego głowa była ledwo widoczna, tak że klienci musieli wychylać się, by w ogóle go widzieć.

Jak na mężczyznę w wieku pięćdziesięciu kilku lat wykazał się naprawdę niezłym refleksem, kiedy uratował mnie przed awanturą w komisariacie, popychając pewną ręką do tylnego wyjścia. Po przejściu zadaszonego pasażu wyszliśmy na boczną uliczkę, na której stał jego rangę rover. Popatrzył w lusterko boczne na rozpraszający się tłum i ruszył z piskiem opon. Jechał jak wariat, omal nie potracił dwóch staruszek, które dreptały zbyt wolno, by zejść mu z drogi. Geoffrey Fairfax był przedstawicielem rzadkiego gatunku: łotra z klasy średniej. Cechowała go brutalność, która miała niewiele wspólnego z bijatykami na meczach rugby, za to całkiem dużo – z dawaniem nauczki dzikusom.

– Mój ojciec... – przypomniałem mu. – Co pan chciał po wiedzieć?

– Niezwykły człowiek. Od kilku miesięcy nie widywaliśmy go w klubie. Niestety, wyraźnie się zmienił. Zdobył kilku no wych przyjaciół, raczej niezwykle towarzystwo...

– Kogo, dokładnie?

– Trudno powiedzieć. W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że byli w jego typie, ale tak to już jest. Był zapalonym brydżystą, uwielbiał zabawiać panie, grał w squash. – Fair fax przycisnął dłońmi wieko segregatora, jakby bał się, że może z niego wylecieć duch mojego ojca. – Straszna historia. Mam nadzieję, że znajdą sprawcę.

– Myślałem, że już znaleźli. – Wyprostowałem się, słysząc dziwną nutkę w głosie prawnika. – Tego gościa, którego za trzymała policja, miejscowego dziwaka czy też raczej chorego psychicznie?

– Mówi pan o Duncanie Christiem? Dziwak, tak. Chory psychicznie, nie. Po dwóch godzinach spędzonych w furgu netce policyjnej każdy by tak wyglądał. Jutro czeka go roz prawa wstępna w sądzie magistrackim.

– Jak dla mnie – wygląda na szaleńca. Zakładam, że jest winny?

– Wszystko na to wskazuje. Ale poczekamy, zobaczymy. Proszę się uspokoić, panie Pearson. Christie prawie na pewno zostanie uznany za winnego. Co ciekawe, kiedyś go repre zentowaliśmy.

– Czy to nie trochę dziwne? Taka kancelaria jak pańska zajmuje się sprawami chorych umysłowo?

– To wcale nie jest dziwne. Nie przetrwalibyśmy bez po dobnych spraw. Christie od lat jest naszym klientem. Sprawy o niszczenie mienia społecznego, zachowania antyspołeczne, które najrozmaitsi intryganci próbowali wykorzystać jako pretekst do odizolowania go od reszty społeczeństwa. Jeden z moich prawników reprezentował go, kiedy pozwał Metro-Centre.

– Christie nienawidzi tego centrum.

– A kto je kocha? To monstrum. – Głos Fairfaksa stał się donośniejszy, zupełnie jakby gromił na placu apelowym nie dbających żołnierzy. – Tego dnia, kiedy rozpoczęto budowę, niektórzy z nas wystraszyli się, co będzie dalej. I mieli rację. To był uroczy zakątek Surrey. Wszystko się zmieniło, równie dobrze moglibyśmy mieszkać w środku tego ohydztwa. Cza sami myślę, że tak naprawdę już mieszkamy, nie uświadamiając sobie tego.

– Ale przecież – szukałem jakiegoś sposobu, by go uspo koić – to tylko centrum handlowe.

– Tylko? Na miłość boską, człowieku! Nie ma nic gorsze go na tym świecie!

Zagotował się z wściekłości. Zerwał się z fotela, udami uderzając o biurko. Jego silne ręce rozsunęły wzorzyste zasłony. Za zielonym skwerem i nowoczesnym budynkiem ratusza widać było podświetloną skorupę Metro-Centre. Zdziwiłem się, że podmiejski prawnik do tego stopnia nie panuje nad emocjami. Zrozumiałem nagle, dlaczego zasłony były zaciągnięte, kiedy przyjechaliśmy, i domyśliłem się, że pozostawały takie przez całutki boży dzień. Wnętrze kopuły lśniło jak rdzeń reaktora, odwrócona misa światła, które przedostawało się przez szklane panele dachu. Między centrum a przysadzistą postacią Fairfaksa znajdował się dziesięciopiętrowy biurowiec, ale światło Metro-Centre wydawało się przeświecać przez jego bryłę, zupełnie jakby mogło przenikać ciała stałe, poszukując wrogo do siebie nastawionego prawnika.

Fairfax odwrócił się do mnie, unosząc ostrzegawczo palec wskazujący. Patrząc przenikliwym wzrokiem, wskazał na moje zdarte buty.

– Pewnie pan nie wie, że centrum otwarte jest dwadzie ścia cztery godziny na dobę. Cóż za nadzwyczajny pomysł. Pewien inżynier budowlany, którego spotkałem w klubie, powiedział mi, że przewidywany okres użytkowania tego budynku wynosi co najmniej sto lat. Wolno zapytać, kim pan jest z zawodu? Pański ojciec mówił mi, ale nie pamiętam.

– Pracuję w reklamie. Myślę o zmianie zajęcia.

– I bardzo dobrze. Pewnie jest pan przychylnie nastawio ny do tych tak

zwanych centrów handlowych. Ale trudno się dziwić. W końcu nie mieszka pan tutaj.

– Mówi pan o tym, jakby to było piekło.

– Bo to jest piekło... – Fairfax pochylił się nad karafką whisky i wyjął korek, co zapewne miało być sygnałem, że na sze spotkanie dobiegło końca. Kiedy wstałem, odwrócił się do mnie gwałtownie, jakby chciał mnie zaatakować. Z trudem dobierał słowa. – Jest pan z Londynu, panie Pearson. To wielki pchli targ, zawsze zresztą nim był. Tanie dobra i jeszcze tańsze sny. Tutaj, w Brooklands, mieliśmy prawdziwą wspólnotę, nie tylko populację płacących przy kasach. To wszystko minęło, odeszło, zniknęło tego wieczoru, gdy otwarto tę fabrykę pieniędzy. Jesteśmy zalewani przez obcych, tysiące obcych, którzy w głowach mają tylko następną wyprzedaż. Dla nich Brooklands to niewiele więcej niż par king. Prawdziwą plagą w tutejszych szkołach stały się waga ry, setki dzieci odwiedzają Metro-Centre każdego dnia. Je dyny w mieście szpital, który powinien leczyć naszych mieszkańców, jest przepełniony z powodu wypadków samo chodowych spowodowanych przez przyjezdnych. Nigdy nie choruj w pobliżu M25. Kiedyś wielkim wzięciem cieszyły się kursy wieczorowe – francuski, miejscowa historia, brydż. To jednak należy do przeszłości. Ludzie wolą spacerować po centrum. Nikt już nie chodzi do kościoła. Po co? Wszyscy znaleźli duchowe spełnienie w centrum New Age, pierwsze drzwi po lewej za burger barem. Mieliśmy z tuzin towarzystw i klubów – muzyczne, archeologiczne, teatr amator ski. Dawno temu zostały zamknięte. Towarzystwa dobro czynne, partie polityczne? Nikt się nie pojawia na ich zebra niach. W święta Metro-Centre zatrudnia zmotoryzowanych Świętych Mikołajów. Jeżdżą ulicami, puszczając disnejowskie kolędy. Przebrane za Blaszanę Dzwoneczki kasjerki błyskają odkrytymi udami. Dywizja pancerna przygotowująca swoje najśłodsze przedstawienie...

– To wszystko brzmi strasznie. – Myślałem już tylko o tym, jak najszybciej wyjechać stąd do Londynu. – Ale tak to wygląda w całej Anglii. To naprawdę ma znaczenie?

– Oczywiście! – Fairfax wyszedł zza biurka, otworzył przeszkloną szafkę i wyjął śrutówkę. Sprawdził, czy jest nała dowana. Jego twarz poczerwieniała nie z powodu wściekło ści, ale głębokiej klasowej nienawiści do ludzi prostych, którzy go otaczali. – Oczywiście, że to ma znaczenie!

– Panie Fairfax... – Było mi go żal, wydał mi się bowiem reliktem przeszłości, niczym protestujący przeciwko pierw szym pojazdom

mechanicznym. Musiałem jednak już iść. – Czy mógłby pan wezwać taksówkę? Chciałbym wrócić do samochodu.

– Pańskiego samochodu? – Fairfax machnął lekceważąco ręką. Zniżył głos, jakby cienie na opustoszałym skwerze mogły go usłyszeć. – Proszę się rozejrzeć. Mamy przed sobą zupełnie nowy rodzaj ludzi – z oczami jak szparki, bier ni, ściskający karty kredytowe. Wierzą we wszystko, co wmawiają im tacy ludzie jak pan. Chcą być oszukiwani, na kłaniani do kupna tandety. Wychowali się na reklamach te lewizyjnych. Wiedzą, że jedynymi rzeczami z jakąkolwiek wartością są te, które mogą włożyć do torby na zakupy. To obszar zarazy, panie Pearson. Zarazy nazywającej się konsumpcjonizm.

Wciąż trzymając broń, przypomniał sobie, że czekam przy drzwiach. Przerwał, w duchu przesuwając ostatni paciorek swojego różańca, po czym wyprowadził mnie na korytarz. Gabinety były puste, jedynie z sali konferencyjnej po drugiej stronie korytarza dobiegały głosy.

– Obszar zarazy – powtórzyłem. – Mogę zapytać, co jest lekarstwem? Zakładam, że planuje pan walkę.

– Oczywiście. Będziemy walczyć. Mogę pana zapewnić, że już zaczęliśmy...

Fairfax obniżył głos, ale kiedy przechodziliśmy obok sali konferencyjnej, drzwi otworzyły się i spojrzała na nas jego zastępczyni Susan Dearing. Ostatni raz rozmawiałem z nią na pogrzebie. Zmieszła się na mój widok. Chciała coś powiedzieć swojemu szefowi, ale odgonił ją strzelbą.

Za otwartymi drzwiami ujrzałem kilku ludzi siedzących wokół dużego stołu. Krzesła mieli nieco odsunięte, jakby sobie nie ufali. Nie znałem żadnego z nich, choć niesforne włosy młodej kobiety odwróconej tyłem do drzwi wydały mi się znajome. Miała na sobie biały kitel i wyglądała jak lekarz nadzorujący spotkanie terapeutyczne. Prawą stopą stukała nerwowo o podłogę.

Przeszliśmy do recepcji. Za kontuarem nie było nikogo. Na ławce siedziała młoda czarna kobieta. Córka spała jej na kolanach. Pani Christie wydawała się niezbyt świadoma obecności dziecka, jej oczy ponad posiniaczonymi policzkami patrzyły na obrazki ze scenami polowań wiszące na ścianach. Jedna kłapa jej czerwonego żakietu została przez kogoś naddarta. Podtrzymywała ją ręką. Była zmalretowana, ale wciąż miała zaciętą minę. Jakaś wewnętrzna siła pozwalała jej trwać. Kiedy tak na nią patrzyłem, dotarło do mnie, że wierzyła w niewinność swojego męża.

Wąski korytarzyk za recepcją prowadził do niewielkiej kuchni. Przy kuchence stała sierżant Mary Falconer. Nalewała ciepłe mleko z rondla do dwóch kubków.

– Panie Pearson... – odezwał się Fairfax spod drzwi frontowych. Wyraźnie chciał, żebym już wyszedł. – Wyjeżdża pan wieczorem do Londynu, prawda?

– Jeśli uda mi się znaleźć drogę. Brooklands nie ma chyba na żadnej mapie... – Obejrzałem się na sierżant Falconer, która ścierała rozlane mleko z palnika gazowego, starając się dopasować ją do większego obrazka, wydarzeń, które przy wiodły mnie do tego dziwnego miasta i jeszcze dziwniejszej kancelarii prawnej. Przywołałem przejeżdżającą taksówkę, a kiedy się zatrzymała, potrząsałem ręką adwokata. Zanim się odwrócił, zapytałem:

– Pani Christie... Czy to ona tam siedzi...?

– Kto?

– Pani Christie. Zona człowieka, który zabił mojego ojca. Nie reprezentuje jej pan?

– Nie, nie. – Fairfax dał znak taksówkarzowi, żeby pocze kał. – Ktoś musi się nią zająć. Ona i dziecko są tak samo ofiarami tego wszystkiego, jak pan.

– To prawda. – Zszedłem po schodach, po czym odwróciłem się do niego. – Ostatnie pytanie. Czy Duncan Christie zastrzelił mojego ojca?

Fairfax ominął mnie wzrokiem i wpatrzył się w kopułę.

– Obawiam się, że tak. Wszystko na to wskazuje...

To były jego pierwsze słowa, którym w pełni dałem wiarę.

Metro-Centre oddalało się, kiedy jechałem przez pogrążone w ciemności ulice, wypatrując drogowskazów mających zaprowadzić mnie z powrotem do Londynu. Jednak tutaj, przy M25, w tym bastionie ludzi autostrady, wszystkie znaki pokazywały przeciwny kierunek, odsyłając podróżnego z powrotem do punktu wyjścia.

– Brama Południowa Metro-Centre... Zachodnia Galeria Handlowa Surrey... Centrum Kongresowe Brooklands... Brama Północna Metro-Centre...

Zabłądziłem, a przewodnik samochodowy, do którego zajrzałem na pustym skrzyżowaniu, przekonał mnie, że się kompletnie zgubiłem. Mijałem średniozamożne domy, całonocne sklepy otoczone całymi hektarami jaskrawo oświetlonych parkingów. Myślałem o przygotowującym o zawrót głowy dniu spędzonym w Brooklands,

wypełnionym błędzeniem na oślepie. Ojciec, którego ledwie znałem, nie żył, a miejsce, w którym spędził swe ostatnie dni, zatarło jego ślady i zamieniło się w labirynt.

Przemierzałem obrzeża starego toru wyścigowego. Gigantyczne kry czarnego betonu wynurzyły się z mroku, geometria cieni i wspomnień, kamienny wieczny sen. Niemal czułem spaliny unoszące się we mgle i słyszałem ryk potężnych silników, potem ta wizja ustąpiła miejsca strzelbie, snach o potędze Geoffreya Fairfaksa i jego szwadronom bezlitosnych myśliwych.

Otworzyłem okno, by usłyszeć dźwięki, dudnienie i krztuszenie się rur wydechowych. Ale wieczorne powietrze wypełniał zgoła inny hałas. Dochodził z oddalonego o pół mili stadionu piłkarskiego. Promienie reflektorów przeczesywały ciemne niebo, rozmazane przez gorąco i oddech tłumu.

Na następnym zakręcie zostawiłem tor wyścigowy za sobą i włączyłem się w ruch obok stadionu. Mecz właśnie się skończył i tłum zapełniał pobliskie ulice. Mężczyźni i kobiety w koszulkach z krzyżami św. Jerzego wynurzali się z bram i szukali swoich samochodów. Wysoko, na dwóch przeciwległych krańcach stadionu elektroniczne ekrany wpatrywały się w siebie. Gigantyczny komentator przemawiał do pustych trybun. Strzępki jego przemowy huczały ponad gwarem tłumu i okrzykami kibiców rywalizujących drużyn. Był to przystojny, zażywny mężczyzna o sposobie bycia akwizytora, typ, który dobrze znałem z setek promocji, trajkoczący, rozdający uśmiechy na prawo i lewo, wplatający obietnicę w każde gładkie zdanie.

Pięść uderzyła w dach nad moją głową. Kibice przechodzący przez jezdnię bębniłi w samochody, wystukując plemienny rytm. Trzej mężczyźni w koszulkach z krzyżami św. Jerzego stanęli przed jensenem i zaczęli uderzać w jego maskę, zmuszając mnie do zatrzymania się. Dołączyły do nich dwie kobiety. Miały na sobie takie same czerwono-białe koszulki, ramiona połączyły w przyjacielskim geście. Wszyscy byli w doskonałych humorach, choć dziwnie groźni, jak gdyby spotkanie piłkarskie stanowiło dla społeczeństwa ostatnią nadzieję na użycie przemocy. Ruszyli wzdłuż sznura zaparkowanych aut, po czym wsiedli do dużego bmw. Błyskając reflektorami w rytm plemiennego bębnienia, z trudem przedzierali się przez mijające ich tłumy. W końcu przyspieszyli i zniknęli mi z oczu.

Komentator na ekranach unosił się ponad nocą, jego tubalny głos odbijał się od pustych trybun. Najciekawsze akcje meczu przedzielano

reklamami artykułów wyposażenia łazienek i kuchenek mikrofalowych. Kiedy wyjeżdżałem na północ, wciąż jeszcze mówił; jego uśmiech bladł w poświacie lamp lukowych, prawdziwy w swojej nieszczerości.

## 5. Metro-Centre

Podobnie jak wszystkie tego typu miejsca, Metro-Centre tłumilo niepokoje społeczne, rozładowywało lęki i oferowało balsam dla duszy. Stałem w słońcu pięćdziesiąt jardów od Bramy Południowej, patrząc na klientów przemierzających plac otaczający centrum, ogromny pierścień, który z powodzeniem mógłby istnieć samodzielnie. Za kilka chwil skąpani będą w świetle bardziej uzdrawiającym niż promienie słońca. Kiedy weszliśmy do tych ogromnych świątyń, odzyskaliśmy młodość, staliśmy się dziećmi odwiedzającymi dom nowego kolegi ze szkoły, dom, który na pierwszy rzut oka wydawał się ponury. Potem pojawiała się obca, ale uśmiechnięta matka i uspokajała nawet najbardziej nerwowe z nas obietnicą smakołyków.

O ile wszystkie centra handlowe nieznacznie nas infantylizowały, o tyle Metro-Centre nakłaniało do tego, byśmy trochę dorośli. Umundurowani porządkowi stali przy wejściu, przeszukując torby i torebki. Te wzmożone środki bezpieczeństwa stanowiły odpowiedź na tragedię, której uczestnikiem był mój ojciec. Gdy w wejściu pojawiło się dwoje starszych Azjatów, natychmiast otoczyli ich wolontariusze w koszulkach z krzyżami św. Jerzego. Spoglądając groźnie i nic nie mówiąc, zaczęli odsuwać ich na bok, dopóki nie zainterweniował jeden z ochroniarzy.

Tom Carradine, kierownik działu PR, który tak niefrasobliwie zachował się na pogrzebie, umówił się na spotkanie ze mną przy punkcie informacyjnym. Jego dział otaczał teraz pomocą rannych i rodziny ofiar. Specjalny posłaniec dostarczył mi folder, który przypominał prospekt emisyjny. Oferowano w nim rabaty i zniżki dostępne w sklepach Metro-Centre, wszystkie w skali ruchomej, z której wynikało, że śmierć członka rodziny w ataku terrorystycznym zapewnia maksymalny zysk jego krewnym.

Po powrocie do Londynu zasnąłem niespokojnym snem w swoim mieszkaniu w Chelsea. Wczesnym rankiem obudził mnie telefon od Carradine'a. Był zmartwiony, skory do pomocy i aż palił się do opowiedzenia mi wszystkiego, co wie, o okolicznościach śmierci mojego ojca. Jak na mój gust, trochę przesadzał, zwłaszcza gdy z lubością zaczął rozwódzić się nad prędkością i trajektorią pocisku. Miałem wrażenie, jakby opisywał grę komputerową, która źle zadziałała. Powiedział mi, że rozprawa wstępna została odłożona do następnego dnia z powodu urazów Christiego i obawy o jego bezpieczeństwo po zamieszkach przy

komisariacie.

Spędziłem cały dzień, szwendając się po mieszkaniu, poirytowany panującą w nim ciszą. W końcu postanowiłem, że pojawię się w sądzie. Tom Carradine zabierze mnie na wycieczkę po Metro-Centre, a potem zobaczę Christiego. Nie byłem już niczego pewien – widoku pani Christie w kancelarii prawnika mojego ojca, sierżant Falconer gotującej mleko dla jej dziecka, agresywnego zachowania Fairfaksa, w sposób oczywisty obarczającego mnie odpowiedzialnością za ogromne centrum handlowe, które powstało tuż za progiem jego kancelarii. Przynajmniej rozprawa Christiego będzie czymś pewnym w całej tej podmiejskiej nierzeczywistości.

Odwróciwszy się plecami do słońca, wszedłem przez Bramę Południową. Przed mną rozciągało się tarasowe miasto, nade mną – kolejne kondygnacje ulic, do których dostęp zapewniały ruchome schody i windy. Strumień bąbelkowej wody biegł dookoła holu wejściowego, bulgocząc pod mostkami, które wiodły do miniaturowych parków. Każdy z nich był rajem obiecującym doświadczenie bardziej znaczące niż samopoznanie i życie wieczne. Teren przemierzali ochroniarze, a personel biura werbował nowych członków sił bezpieczeństwa Metro-Centre.

Kiedy mijalem recepcję, jeden z ochroniarzy zaproponował mi ulotkę, zachęcającą wszystkich klientów, by stali się oczami i uszami centrum. Dwóch mężczyzn w średnim wieku, trzy sekretarki i kilku młodzieńców w czapkach bejsbolowych podpisywało swoje formularze i odbierało znaczki do wpięcia w klapy. Ogłoszenia dla klientów przedzierały się przez muzykę. Wszystko to przypominało środki bezpieczeństwa stosowane na lotniskach.

Co ciekawe, umundurowani strażnicy i członkowie ochotniczych oddziałów pomocniczych nikogo nie niepokoiли. Kiedy rozległa się muzyka marszowa, wyprostowali się i zaczęli chodzić bardziej energicznym krokiem, jak londyńczycy w czasie Blitzu. Przed sobą widziałem parę z dzieckiem w spacerówce i bezwiednie zacząłem iść równym krokiem z nimi.

W końcu przystanąłem przy jednym z mostków. Zauważyłem, że biała farba na balustradzie zaczyna się łuszczyć. Strumień pluskający wśród sztucznych skał zgubił kierunek. Wiry brudnej wody krążyły bez celu, wyczerpane próbami powrotu do głównego nurtu. Nawet posadzka holu wejściowego, wytarta przez setki tysięcy butów, miała kilka pęknięć.

Mimo tych oznak zużycia, Tom Carradine jawi! się niesłabnącym źródłem optymizmu. Ledwie dwudziestokilkuletni, uśmiechnięty,

życzliwy i żarliwy. Był blady i miał rozgorączkowany wzrok nowego członka sekty. Kiedy wynurzył się z tłumu i chwycił mnie za rękę, odgadłem, że jestem pierwszym pogrążonym w smutku krewnym, który przychodzi do Metro-Centre, i moja wizyta po prostu musi okazać się spektakularnym sukcesem.

– Niezmiernie się cieszymy, że zaszczyca! nas pan swoją obecnością, panie Pearson. – Potrząsnął serdecznie moją ręką, jakbym przeszedł pustynię, by dotrzeć do tej klimatyzowanej oazy. – Mamy nadzieję, że nie będzie to pański ostatni pobyt u nas. Tutaj, w Metro-Centre, zawsze spoglądamy w przyszłość.

– Ja również, Tom...

Poprowadził mnie w stronę pobliskiego chodnika ruchomego i skinął głową z aprobatą, kiedy wskoczyłem na niego, nie potykając się. Machał z sympatią do klientów w rytm muzyki. Dokładnie co piętnaście sekund, regularnie niczym światło mrugające w podziemnym garażu, odwracał się do mnie z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Podoba mi się ta muzyka – skomentowałem. – Chociaż może jest trochę za bardzo marszowa. Gdzieś w tym wszystkim pobrzmiewają nuty *Pieśni Horsta Wessela*.

– Dobrze wpływa na morale – wyjaśnił Carradine. – Lubi my wprowadzać ludzi w pogodny nastrój. Wie pan?

– Wiem. Czy interesy pogorszyły się od tej... strzelaniny?

Młodzieniec zasepił się, nie będąc w stanie pogodzić się z myślą o spadku obrotów, nieważne, z jakiego nastąpiły powodu.

– Na początku, a i to tylko trochę. Na znak szacunku, oczywiście. Nasi klienci okazali nam wsparcie.

– Naprawdę was wspierali?

– Oczywiście. Myślę, że to nas do siebie zbliżyło. Wie działałem, że się pan ucieszy, panie Pearson.

Mówił z mocą, nie odrywając ode mnie wzroku. Było dla mnie oczywiste, że mi nie ufa, przede wszystkim dlatego, że mój ojciec pozwolił się zabić. Podobnie zapewne traktuje się rodziny wiernych, którzy umarli obok ołtarza głównego w połowie nabożeństwa wieczornego. Na coś takiego jak śmierć w zacierającym czas i pory roku, przeszłość i przyszłość Metro-Centre po prostu nie było miejsca. Zapewne wiedział, że jestem nieprzyjaźnie nastawiony do centrum – kolejny snob z klasy średniej, nienawidzący blichtru i okazji, które z taką chęcią wykorzystują klasy niższe.

Rozpoczął naszą wycieczkę niemal agresywnie, opisując ogromne

rozmiary Metro-Centre, miliony stóp kwadratowych powierzchni, trzy hotele, sześć multipleksów i czterdzieści restauracji.

– Czy wiedział pan – zakończył – że mamy więcej po wierzchni sprzedażnej od całego Luton?

– Jestem pod wrażeniem. Ale... – pokazałem na sklepy po obu stronach chodnika ruchomego wypełnione biżuterią, aparatami fotograficznymi i sprzętem elektronicznym znanych marek – sprzedajecie to samo, co wszędzie.

– Nasi klienci jednak czują różnicę – oczy Carradine'a za błysły. – To właśnie dlatego odnieśliśmy sukces na polu, na którym przegrało centrum Millenium Dome w Greenwich. To nie są tylko zakupy. To bardziej jak...

– Przeżycie religijne?

– Właśnie! To jak chodzenie do kościoła. A tutaj może pan przychodzić codziennie i jeszcze zabiera pan coś do domu.

Spojrzał do góry, wyłapując echo swoich słów. Mimo młodego wieku zdążył już w sobie rozwinąć dojrzały fanatyzm. Przypuszczałem, że Metro-Centre jest dla niego całym życiem. Wszystkie jego potrzeby emocjonalne byty zaspokajane przez tę ogromną przestrzeń sprzedażną. Był naiwny i entuzjastyczny, odbywał nowicjat, który nigdy się nie skończy. Pomyśleć tylko, że pomogłem stworzyć takich jak on.

Chodnik ruchomy dobiegł końca, doprowadzając nas do samego serca Metro-Centre. Staliśmy teraz w atrium, okrągłej hali, w której kupujący podążali do wind zawożących ich na wyższe piętra, pośrodku ogromnej, przesyconej zapachami przestrzeni. Nagle padł na mnie promień niewidocznego reflektora punktowego i poczułem się, jakbym stał na scenie ogromnej opery, otoczony przez wypełniony widzami amfiteatr. Wszystko wydawało się teatralne, każdy gest i myśl. Zamknięta przestrzeń Metro-Centre wyostrzała samoświadomość wszystkich klientów, zupełnie jakby byli oni statystami w przedstawieniu muzycznym, które stało się światem.

– Tom? Co to jest?

Carradine odwrócił się do mnie i zapatrzył w jedną ze szklanych wind, która wjeżdżała na górę. Na trzeciej kondygnacji, pomiędzy windami a barierkami pasażu, znajdował się otwarty włącz, a obok działko pianowe skierowane prosto na nas. Czując się niepewnie w moim towarzystwie, Carradine zapiął i rozpiął marynarkę. Odgadłem, że to z tamtego miejsca strzelano do mojego ojca i innych ofiar stojących wśród stoisk ze skarpetkami i kosmetykami, win z dobrego rocznika i laptopów.

Ku mojemu zaskoczeniu, mimo że byłem w samym centrum strefy

rażenia, czułem całkowity spokój. Będąc w środku tej jaskini nietrwałych skarbów, prowadzony przez nerwowego pracownika działu PR, odnosiłem wrażenie, że śmierć straciła swoją moc, pomniejszona do rangi czegoś równie przerażającego jak rozmiary biustów czy ilość kilobajtów. Rasa ludzka zmierzała ku zatruciu, troszcząc się jedynie o metkę na swoim całunie.

– Panie Pearson? Przepraszam, nie wiedziałem...

– Nie szkodzi, Tom. Niepotrzebnie się martwisz. – Chcąc uspokoić młodzieńca, położyłem mu rękę na ramieniu. – Wlaz na trzeciej kondygnacji? To stamtąd padły strzały?

– Zgadza się. – Carradine uspokoił się z widocznym wysiłkiem. Napiął szyję i oddychał głęboko. Żaden z kursów, które skończył, nie mógł go przygotować do tej rekonstrukcji zbrodni. Mówił szybko, jakby czytał materiały dla prasy.

– Dwie serie, o drugiej siedemnaście, zanim ktokolwiek zorientował się, co się stało. Świadkowie mówią, że wszyscy się zatrzymali i wsłuchali w echo, myśląc, że to następne strzały.

– A potem?

– Potem? Zapanowała totalna panika. Wszystkie windy momentalnie się wypełniły, ludzie na wyższych piętrach wal czyli, żeby się do nich dostać. Trzy dni zajęło nam ustalenie właścicieli pozostawionych toreb z zakupami. Jest pan w sta nie sobie to wyobrazić, panie Pearson?

– Niestety, tak.

– Dwoje ludzi poniosło śmierć na miejscu – pani Hol den, miejscowa emerytka, i pan Mickiewicz, przybysz z Pol ski. Pański ojciec i piętnaście innych osób zostało rannych. – Carradine zacisnął pięści, ignorując klientów, którzy za trzymali się, by go posłuchać, myśląc, że jest przewodni kiem wycieczki. – Tutaj panował tak wielki tłok, że nie mógł chybić.

– Zapewne o to mu właśnie chodziło. Chciał wykorzystać wzmożony ruch w porze lunchu. – Rozejrzałem się po hali i wyobraziłem sobie bandytę strzelającego na oślep. – Aż dziw bierze, że więcej osób nie zostało postrzelonych.

– Cóż... – zaczął Carradine, ale w tym samym momencie podeszła do niego kobieta w średnim wieku z torbami pełny mi zakupów.

– Dostały też misie – wyszeptała. Młodzieniec pokiwał z żalem głową.

– Misie?

– Trzy misie... Maskotki Metro-Centre. Ludzie byli tym bardzo poruszeni...

Carradine wskazał mi środek hali. Na okrągłym podwyższeniu stały trzy olbrzymie misie. Tatamiś miał co najmniej piętnaście stóp wysokości. Jego pulchny tors i kończyny pokryte były lśniącem brązowym futrem. Obok niego stali mamamiś i dzieckomiś, z łapami uniesionymi w stronę klientów, zupełnie jakby przygotowywali się do podania komunikatu o obniżce cen owsianki.

– Imponujące – stwierdziłem. – Zupełnie jak prawdziwe. Wyglądają, jakby zaraz miały przemówić.

– Nie mówią, ale się ruszają. Tańczą do muzyki. Ich ulu bioną piosenką był „Rudolf czerwono nosy renifer”. – Po smutniały nagle Carradine dodał:

– Wyłączyliśmy je. Ze względu na okoliczności...

– To dobrze o państwu świadczy. I co, misie też zostały po strzelone? Mam nadzieję, że nie odniosły poważnych obrażeń?

– Mało brakowało. – Pokazał na zaokrąglony brzuch ma mymisia i na lewe ucho taty. Na futro zostały naszyte ciem niejsze łatki, nadając obu zwierzakom cokolwiek rozczochra ny wygląd, zupełnie jakby przepychali się przy śniadaniu. – Nasi klienci byli przybici. Przesłali setki listów i kartek z ży czeniami szybkiego powrotu do zdrowia...

Podeszliśmy bliżej. Zauważyłem kartki przystrajające podest, sądząc z charakteru pisma, w większości napisane przez dorosłych. Były kwiaty, rząderek miniaturowych misiów (jeden z nich miał na sobie malutką koszulkę z krzyżem św. Jerzego) i kilkanaście dzbanków miodu i melasy.

– To prawie kapliczka – powiedziałem bez zastanowienia.

– Jak najbardziej.

– Chodźmy dalej. – Odciągnąłem Carradine'a od zwie rząt, chociaż miałem świadomość, że współczucie, które przed chwilą okazałem, trochę nas do siebie zbliżyło. – Bar dzo mi przykro z powodu misiów, ale wygląda na to, że znaj dują się pod właściwą opieką. A teraz powiedz mi, z której windy skorzystał mój ojciec.

– On nie skorzystał z windy, panie Pearson.

– Sierżant Falconer twierdziła, że jeździł na trzecie piętro. Kupował tytoń w sklepie...

– Dunhilla. Ale nie tego dnia. Tego dnia poszedł schoda mi na taras.

Nad parterem wznosiło się półpiętro. Prowadziły na nie schody z białymi poręczami. Był tam taras widokowy, na którym klienci mogli odsapnąć i popatrzeć na tłumy kłębiące się pod nimi. Część półpiętra zajmowała galeria, w której wisały dioramy z nowymi osiedlami i parkami naukowymi.

– Oddaliśmy to miejsce lokalnej przedsiębiorczości – wyja śnił

Carradine. – To część naszego programu edukacyjnego.

– Jesteście bardzo postępowi. – Zaczekałem, aż młodzie niec złapie oddech. – A teraz chcę wiedzieć, gdzie mój ojciec został postrzelony.

Carradine bez słowa pokazał na taras widokowy. Zaczął obficie się pocić i zapiął marynarkę, by ukryć plamy na koszuli. Patrzył na mnie chłodnym wzrokiem, kiedy pokonywałem schody wiodące na taras. Potem odwrócił się i wlepił wzrok w ogromne misie.

Stanałem na półpiętrze, niemal spodziewając się ujrzeć na metalowej podłodze krew swojego ojca. Spędził ostatnie chwile życia, opierając się o poręcz, zmęczony drogą do Metro-Centre. Działko pianowe znajdowało się nieco ponad dwadzieścia stóp nade mną. Usiłowałem wyobrazić sobie pocisk przelatujący przez moją głowę. Podążając za jego prawdopodobną trajektorią, zauważyłem płytkie wyżłobienie w poręczy. Przyłożyłem do niego dłoń, wyczuwając zanikający puls mojego ojca, nawiązując po raz ostatni kontakt z człowiekiem, którego nie znałem.

– Wszystko w porządku, panie Pearson? – Carradine'owi wyraźnie ulżyło, że nasza wycieczka dobiegła końca. Widocznie nie spodziewał się, że okaże się ona aż taką męką. – Mo że pójdziemy do mojego gabinetu...

– Nic mi nie jest. Zasłużyłeś na kielicha. Ale najpierw chciałbym rzucić okiem na miejsce, z którego padły strzały.

– To nie jest dobry pomysł. Może się okazać, że...

Chwyciłem go za łokieć i odwróciłem do misiów. Technik majstrował właśnie przy przełącznikach w skrzynce na podwyższeniu. Mamamiś drgnęła gwałtownie, jakby zarobiła kolejną kulkę.

– Muszę mieć pełen obraz sytuacji – powiedziałem. – Mój ojciec zginął w twoim sklepie, Tom. Jesteś winien to mnie i misiom.

Staliśmy w wąskim pomieszczeniu, obok nas znajdowały się pompa wysokociśnieniowa i butle z gazem. Działko miało za zadanie wypuszczać strumienie piany na tarasy poniżej i gasić płonące szczątki, które mogły spaść z dachu. Wychylając się z otwartego włazu, widziałem taras widokowy, półpiętro i całą halę.

– Dobrze. Powiedz mi, jak Christie tu się dostał?

Carradine wyprostował umęczone ciało. Pot z jego dłoni pozostawił wilgotne plamy na metalowej ścianie.

– Pracownicy ekipy przeciwpożarowej mają karty magne tyczne. Christie musiał ukraść jedną z ich szatni.

– To prawdziwy cud, że tu dotarł. – Przed chwilą prze mierzyliśmy labirynt korytarzy, tuneli i wind towarowych. – W to miejsce nie jest łatwo

trafić. Czy Christie miał jakiegoś wspólnika w Metro-Centre?

– Wykluczone, panie Pearson. – Carradine popatrzył na mnie ze zgrozą, wstrząśnięty tą myślą. – Christie jest bardzo sprytny. Zawsze kręcił się gdzieś w pobliżu.

– Co nie zmienia faktu, że nikt nie widział go strzelającego go. I jak mu się udało przemycić broń?

– Sierżant Falconer powiedziała mi, że ukrył ją za butlami z gazem.

– Sierżant Falconer? Jak na kogoś tak nieśmiałego, pojawia się w zadziwiająco wielu miejscach. Wszędzie jej pełno.

– Dwie kobiety wychodzące z toalety widziały Christiego biegnącego do wyjścia awaryjnego. Kilka innych osób rozpoznało go na parkingu.

– Wszyscy go znali?

– On jest miejscowym wichrzycielem, naprawdę wstręt nym typem.

– I w tym problem. – Poruszyłem działkiem pianowym. – Cały ten krzyk i panika... Każdy uciekający mógł wyglądać jak zabójca. Zwłaszcza miejscowy świr.

– On jest winny, panie Pearson. – Carradine pokiwał energicznie głową, jego pewność siebie powróciła. – Zostanie skazany.

Popatrzyłem w dół na półpiętro, zastanawiając się, co podkusiło mojego ojca, że wybrał się do galerii. I wtedy zobaczyłem, że obok miejsca wystawowego, za chromowaną balustradą i bramką ochroniarską znajduje się małe studio telewizyjne: kilka kamer oraz reflektorów ustawionych wokół biurka prezentera i miejsc dla gości, czarnych sof.

– Program spraw konsumenckich – wyjaśnił Carradine. – Bardzo popularny. Klienci przychodzą i dzielą się swoimi doświadczeniami. Metro-Centre ma swoją telewizję kablową. Wie czorami możemy się pochwalić wyższą oglądalnością niż BBC2.

– Ludzie po powrocie do domu oglądają program o robie niu zakupów?

– Nie tylko o tym, panie Pearson. Zdrowie i styl życia, sport, najnowsze wiadomości, miejscowe bolączki, jak na przykład emigranci...

Monitor w reżyserce zamigotał i pojawiła się na nim uśmiechnięta opalona twarz, którą widziałem już na gigantycznych ekranach przy stadionie piłkarskim.

\* \* \*

Ta twarz towarzyszyła nam na każdym kroku podczas naszej wycieczki po Metro-Centre. Spoglądała teraz z ekranu telewizora stojącego w

gabinecie Carradine'a, pozbawionego okien pomieszczenia w głębi części administracyjnej centrum. Kiedy popijałem podwójne espresso, ciesząc się, że mogę zanurzyć się w jego pokrzepiających oparach, Carradine wertował fotografie, które wyjął z szafki.

On i jego asystenci musieli spędzić wiele godzin, wycinając z nich plamy krwi i pełne paniki twarze. Zdjęcia z kamer monitorujących, które mi podał, przedstawiały odwrót tak spokojny i heroiczny, jak ten spod Dunkierki. Młodszy klienci pomagali starszym, umundurowany personel oddawał dzieci wdzięcznym rodzicom. Poprzewracane torby z zakupami, rozsypane artykuły spożywcze, krzyczący trzylatek z zakrwawioną twarzą, wszystko to zostało wycięte i padło ofiarą zbiorowej amnezji, na którą chorował świat konsumpcjonizmu. Przy ladzie sklepowej, w miejscu największej konfrontacji z życiem ludzkiej rasy, nie było wczoraj, historii, do której można by powracać pamięcią, lecz jedynie intensywna handlowa teraźniejszość.

Rzuciłem fotografie na biurko i odwróciłem się do ekranu telewizora, na którym opalony prezenter rozmawiał z gospodyniami domowymi o ich doświadczeniach z nowym żwirkiem dla kotów.

– Znam go – powiedziałem Carradine'owi. – Sprzed lat. Grał w *EastEnders* i *The Bill*. Zwykle wcielał się w role pedo filów i wdowców, którzy zamordowali swoje żony... To, co robi teraz, zakrawa na lekką perfidię.

– To David Cruise. – Wypowiadając imię i nazwisko prezentera, młody człowiek wyprostował się. – Prezenter kanału telewizyjnego Metro-Centre. Jest bardzo popularny, nasi klienci go uwielbiają.

– Nie wątpię. Prowadził dla nas kilka promocji. Pamiętam reklamę kinową małego samochodu. Cruise był za duży, żeby się do niego zmieścić i musieliśmy go wylać. Ekran telewizyjny to dla niego odpowiedni format.

– Jest dobry. Wszyscy się cieszymy, że dla nas pracuje. Przewodniczący naszego okręgu wyborczego uważa, że byłby z niego świetny członek parlamentu.

– Z pewnością. Dzisiejsza polityka jest szyta akurat na jego miarę. Uśmiechy rozdawane na wszystkie strony, na strojowa muzyka, kampania reklamowa, w której nieważny jest produkt. Nawet fałsz. Ludzie lubią być oszukiwani. Dzięki temu pamiętają, że to wszystko jest grą. Z całym szacunkiem...

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi i do środka wpadła sekretarka Carradine'a. Bliska łez, zaczęła coś mówić, ale przerwała w pół

słowa, kiedy uniósł słuchawkę telefonu.

– Christie? Co chcesz przez to powiedzieć? – Słuchając, przyłożył dłoń do ust. – Kiedy? W sądzie? Jest tutaj pan Pearson. Jak mam mu to wytłumaczyć?

Trzymając słuchawkę w jednej ręce, drugą ostrożnie nacisnął widełki, patrząc na fotografie na swoim biurku.

– Tom? Co się stało? – Podeszedłem do niego. – Coś z ro dziną?

– Z pańską rodziną. – Carradine wskazał na mnie słu chawką. – A raczej z osobą, która pana jej pozbawiła. Z Dun canem Christiem.

– Co z nim? Nie żyje? Nie mów, że powiesił się w celi?

– Żyje. – Odsunął się, chcąc, by dzielił nas jak największy dystans. Popatrzył na mnie z uwagą, niepewny, czy poradzę sobie z tym, co ma mi do powiedzenia. Po raz pierwszy nie wyglądał jak nastolatek. – Cały i zdrowy. Rano stanął przed sądem. Rozprawa właśnie się skończyła. Wypuścili go. Sędzia oddalił powództwo.

– Jak to? Nie wierzę. – Wyrwałem słuchawkę z rąk Car radine'a i przycisnąłem ją mocno do widełek, starając się uci szyc tę absurdalną wyrocznię. – To jakiś kawał. Albo oszu stwo, pomyłka sądowa. Może chodzi o kogoś innego.

– Nie. O Duncana Christiego. Prokuratura uznała, że nie ma żadnych dowodów. Policja wycofała zarzuty. Trzech świadków zeznało, że widziało go w Bramie Południowej, kiedy rozległy się strzały. Rozpoznali go podczas okazania. Christiego nie było w pobliżu miejsca zbrodni. Przykro mi, panie Pearson...

Odwróciłem się i popatrzyłem na prezentera wciąż uśmiechającego się i przekomarzającego z gospodyniami domowymi. Mimo oszołomienia zauważyłem, że David Cruise wolał lewy profil, ukrywając przerzedzone włosy nad prawą skronią. W nieomal uspokajający sposób jego łagodna i wazeliniarska osobowość zapewniała ostatnie resztki realności w absurdalnym świecie, w którym istniały obok siebie Metro-Centre i śmierć mojego ojca.

## 6. Powrót do domu

Spodziewałem się hałaśliwych tłumów zgromadzonych przed budynkiem sądu, ale było więcej policji niż demonstrantów. Przechodnie zatrzymywali się na chodniku naprzeciwko, podczas gdy ostatni fotoreporterzy składali sprzęt.

Jadąc z Metro-Centre, wysłuchałem w lokalnym radiu potwierdzenia wiadomości o uwolnieniu Christiego. Z wściekłości zabębniłem pięściami w kierownicę. Ten bandyta przechodził na tyle blisko, że mogłem go uderzyć. Jego zwieszona głowa oraz rozbiegany wzrok, widome oznaki ucieczki przed samym sobą, stanowiły dla mnie potwierdzenie jego winy. I oto teraz miałem unieważnić to fałszywe i niedorzeczne przekonanie. Wielka próżnia, która powstała w moim życiu po odejściu ojca, została zastąpiona przez inną próżnię.

Wjechałem jensenem na krawężnik i pomachałem do stojącego przed budynkiem policjanta. Nic nie powiedział, gdy go mijałem. Wchodziłem właśnie po schodach wiodących do budynku sądu, kiedy ujrzałem w drzwiach sierżant Falconer. Rozpoznała mnie i odwróciła się, udając, że poprawia włosy. Nie mogąc uciec, zebrała się w sobie i chwyciła mnie mocno za ramię.

– Panie Pearson...? – Wydało mi się, że myślami jest da leko stąd, ale zaciągnęła mnie do holu obok trzech umundurowanych posterunkowych, kołyszących się z nudów na ob casach. – Słyszał pan już? Tutaj jest ciszej. Ludzie...

– Spokojna głowa, wszyscy poszli na zakupy. Chyba nikt nie jest zmartwiony ani zaskoczony.

– Proszę mi wierzyć, nikt się tego nie spodziewał. – Wpa trzymała się w moją twarz i, ku swojej uldze, odkryła, że jestem wściekły. – W szkole policyjnej nauczono ją, jak sobie z tym radzić. Zaprowadziła mnie do ławki. – Usiądźmy tutaj. Spróbuję wtajemniczyć pana we wszystkie szczegóły.

– Nie możemy wejść do środka? Wie pani, dla wzrostu świadomości obywatelskiej. Wszyscy powinni mieć prawo być świadkami pomyłki aparatu sprawiedliwości.

– Sąd jest zamknięty. – Uśmiechnęła się i dotknęła moje go ramienia. – Pan Christie lada chwila może stąd wyjść. Nie będzie to panu przeszkadzać?

– Skądże znowu. Przecież jest niewinny, prawda? – Po patrzyłem na

posterunkowych, którzy przechadzali się obok schodów, niczym akwizytorzy pozbawieni klientów. Bez za stanowienia dodałem: – Policja sprzedaje przemoc.

– Co takiego?

– Ideę przemocy. – Roześmiałem się do siebie. – Przepra szam, pani sierżant.

– Jest pan zdenerwowany. To zrozumiałe.

– No cóż... – Uspokoilem się, wzruszony jej zaintereso waniem. – Pół godziny temu byłem pewien, kto i dlaczego zabił mojego ojca: chory psychicznie osobnik żywiący osobi stą urazę do centrum handlowego. Teraz, niespodziewanie, znów stało się to zagadką. Brooklands, M25, miasta przy autostradzie. To cholernie dziwne miejsca. Nic nie jest takie, jakie się wydaje.

– Dlatego właśnie ludzie tu przyjeżdżają. Przedmieścia są ostatnią wielką tajemnicą.

– Czy dlatego też pani chce stąd wyjechać? – Chwyciłem ją za rękę. Po raz kolejny zaskoczyło mnie ciepło jej ciała. Na palcu serdecznym miała bliznę, pamiątkę po dawnym naderwaniu ścięgną przez jakiegoś chuligana z butelką po piwie. A może za ten znak odpowiadał pierścionek zaręczynowy, który trzeba było usunąć operacyjnie, bo jej ciało podtrzymywało namiętność, którą umysł stłumił? Sierżant Falconer była nieufna i ostrożna, i to nie tylko z powodu zawilego śledztwa dotyczącego śmierci mojego ojca. Wiedziałem, że chce, bym wrócił do Londynu, ale wyczuwałem też, że również sama chce stąd wyjechać, uwolnić się z sieci, w którą została złapana.

– Panie Pearson? Na chwilę się pan wyłączył.

– Tak. Przepraszam. Ci świadkowie – kto to był? Zieloni, przeciwnicy polowań, popalający trawkę hipisi? Zakładam, że to przyjaciele Christiego. Na ile są wiarygodni?

– Całkowicie. Żadnych zielonych ani hipisów. To ludzie o wysokiej pozycji społecznej. Powszechnie szanowani miesz kańcy naszego miasta – lekarka z Brooklands Hospital, dy rektor szkoły, psychiatra, który leczył Christiego.

– Jego psychiatra?

– Wszyscy oni widzieli go w Bramie Południowej, kiedy rozległy się strzały. Był zaledwie kilka stóp od nich.

– Rozpoznali go? A co z wcześniejszymi świadkami?

– Ich zeznania były niespójne. Ktoś tam niby go widział biegnącego przez parking, ale wtedy wszyscy biegli.

– Więc... – Odchyliłem się do tyłu ze znużeniem i popa trzymałem na suficie – jeśli to nie Christie zabił mojego ojca, to...?

– Ktoś inny to zrobił. Wydział kryminalny policji w Brooklands pracuje nad tą sprawą dwadzieścia cztery go dziny na dobę. Znajdziemy go. Niech pan wraca do Londynu, panie Pearson. Nie znał pan naprawdę swojego ojca. Już trochę za późno, żeby zacząć tworzyć sobie jego wyobrażenie.

– To nieco bezduszne z pani strony, pani sierżant. Za wsze mi go brakowało. Przez całe życie czułem pustkę, którą próbowałem wypełnić. Jeszcze jedno. Po zamieszkach przed komisariatem widziałem panią w biurze Geoffreya Fairfaksa. Odczytał mi testament mojego ojca, a potem wyprowadził. Wychodząc, zobaczyłem, jak podgrzewa pani mleko dla córki pani Christie.

– I co z tego? – Sierżant Falconer popatrzyła na mnie lodowato. – Zostałam oficjalnie oddelegowana do opieki nad dzieckiem Christiego.

– W biurze Fairfaksa? – Uniosłem rękę. – Zarzekał się, że już go nie reprezentuje. A jednocześnie udzielał schronienia jego żonie.

– Pan Fairfax pomagał jej już przedtem. Dawał pieniądze na drobne wydatki, na hotel. Opłacał wakacje jej dziecka. To się nazywa działalność charytatywna, panie Pearson. Mieszkańcy Brooklands, którym dobrze się powodzi, próbują po moc tym, którzy mieli mniej szczęścia.

– To miło z ich strony. Chociaż Geoffrey Fairfax jakoś nie wygląda mi na takiego człowieka. Z tego, co zauważyłem, ma w sobie coś z faszyzującego oprycha. Jakim cudem reprezentuje tuje kogoś takiego jak Duncan Christie?

– Adwokaci reprezentują najdziwniejszych ludzi. Nie chodzi tu o konflikt interesów.

– Właśnie! Fairfax wiedział, że Christie nie zostanie oskarżony.

– Co pan sugeruje? – Sierżant zniżyła głos. – Jakaś zmożona wąż, w którą wciągnięto sąd?

– Nie zmożona. Ale Fairfax był pewien, że powództwo zostanie oddalone. W innym wypadku przekazałby prowadzenie spraw majątkowych mojego ojca innej kancelarii.

– A niby skąd miałyby to wiedzieć? – zapytała sierżant Falconer obcesowo, choć spokojnym tonem.

– Nie wiem. Ale jest w tym wszystkim coś dziwnego...

Komórka pani sierżant zadzwoniła. Wstała, żeby odebrać. Po krótkiej rozmowie zamieniła dwa słowa z posterunkowym stojącym przy drzwiach. Wróciwszy do mnie, uśmiechnęła się i skinęła, żebym wstał.

– Niech pan wraca do Londynu. Odwiedzi swoje biuro podróży.

Przykro mi z powodu pańskiego ojca, ale jeśli po grzbie pan tu jeszcze trochę, stworzy pan ze sto teorii spi skowych. Panie Pearson?

Patrzyłem na nią, podczas gdy czekała na moją odpowiedź. Tak bardzo chciała nakłonić mnie do wyjazdu, że aż drżała z podniecenia. Widocznie musiałem naruszyć tę chybotliwą konstrukcję, którą wzniosła wokół siebie. Jej domek z kart kompromisów i półprawd groził zawaleniem. Zdążyłem już wyczuć, że oboje jesteśmy pionkami. Geoffrey Fairfax chciał, żebym zobaczył policjantkę w jego biurze, tak samo jak chciał, bym ujrzał tam panią Christie.

Przed gmachem sądu zatrzymała się nieoznakowana niebieska furgonetka. Sierżant Falconer pstryknęła palcami i odwróciła się ode mnie. Kierowca dał znak posterunkowym na schodach. Na korytarzu trzasnęły drzwi i grupa woźnych sądowych w koszulkach z krótkimi rękawami ruszyła szybko w kierunku wyjścia, osłaniając jakiegoś mężczyznę.

Rozpoznałem w nim Duncana Christiego. [ego twarz wciąż była posiniaczona i nieogolona, białą koszulę miał zapiętą pod szyją, woźni trzymali go za ręce. Mimo to wydawał się odprężony, uśmiechał się z arogancją piłkarzamilionera uniewinnionego od zarzutu drobnej kradzieży sklepowej. Za nim szła jego żona, cały czas w tym samym czerwonym żakiecie, którego naddartą klapę przypięła agrafką. Sierżant zanurkowała w tłum, złapała panią Christie za rękę i pomogła jej schodzić po stopniach.

Ale przynajmniej Christie mnie zauważył. Przed furgonetką wyrwał się woźnym chcącym go wepchnąć do samochodu. Ignorując żonę, chwycił za ramię sierżant Falconer i pokazał na mnie, stojącego samotnie przed gmachem sądu.

Wróciłem do auta, machając ręką na policjanta, który umieścił za wycieraczką mandat i czekał, by zobaczyć, jak na to zareaguję. W tej chwili myślałem o rzeczach o wiele ważniejszych niż kary za parkowanie. Kiedy włączyłem silnik, miałem już ułożony w głowie plan. Zamiast wrócić do Londynu, zostanę tymczasowym mieszkańcem Brooklands. Te podmiejskie ulice obok Metro-Centre i autostrady M25 były planszą do gry, której pola zabójca mojego ojca wciąż przemierzał. Nie ufałem do końca policji, (ak znam życie, niedługo straci zainteresowanie sprawą. Aresztowali niewłaściwego człowieka i z pewnością może im się to zdarzyć ponownie. Sierżant Falconer robiła, co mogła, by zamącić mi w głowie, ale Metro-Centre wydawało się dezorientować wszystkich wokół.

Mimo że stałem samotnie na schodach sądu, miałem jednego ważnego sojusznika: swojego ojca. Jeśli zbliżę się do niego, zacznę patrzeć na

Brooklands jego oczami. Zamieszkać w jego mieszkaniu, będę gotował w jego kuchni, a może nawet spał w jego łóżku. On i ja byliśmy teraz razem. Pomoże mi znaleźć swojego mordercę.

Wracalem do domu.

Zjechałem z krawężnika ze wzrokiem utkwionym w lusterku wstecznym. Trzydzieści jardów za mną, również na krawężniku, ale ignorowany przez policjanta, stał znajomy rangę rover. Jego orurowanie i kołpaki ochlapane były najlepszym błotem w Surrey. Z ciekawości zawróciłem i przejechałem obok.

Za kierownicą samochodu, usiłując zasłonić się egzemplarzem „Country Life”, siedział Geoffrey Fairfax. Trzeba przyznać, że otaczał swojego klienta nadzwyczaj troskliwą opieką.

## 7. Węże i drabiny

Węże na planszy do gry Brooklands tylko udawały, że śpią, a drabiny prowadziły we wszystkich możliwych kierunkach.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do pogrążonego w mroku mieszkania, stawiając walizkę na podłodze. Wokół mnie znajdowało się kilka pomieszczeń, pogrążonych obecnie w ciszy przestrzeni, w których żył mój ojciec, nawet bardziej obcych niż wtedy, gdy byłem tutaj cztery dni temu. Czułem się jak student powracający po roku spędzonym na zagranicznym uniwersytecie, poruszony dziwnym kształtem pokoiów w rodzinnym domu.

Nie było nikogo, kto by mnie witał, odkorkowywał szampana czy wręczał kluczyki do mojego pierwszego samochodu sportowego. Czekąco mnie jednak powitanie innego rodzaju. W powietrzu unosił się zapach mojego ojca, płytki oddech starego człowieka, a także słodka woń tytoniu, którą nasiąkły zasłony i dywany.

Wyczuwałem obecność kogoś, kogo ledwie znałem. Czy powinienem spać w jego łóżku? Zawahałem się, zanim wszedłem do sypialni. Spać na jego materacu, z głową na jego poduszce, kiedy będę o nim śnić, to chyba jednak za dużo jak dla mnie. Pozostawiłem walizkę w przedpokoju i zaciągnąłem zasłony, świadom, że zbyt dużo światła wystraszy duchy.

Jedną z półek regału stojącego przy łóżku zajmowały dzienniki pokładowe z lotów po całym świecie. Były tam też biografie pilotów oblatywaczy z lat sześćdziesiątych, wydane własnym sumptem przez kampanie lotnicze sprzed lat – Fairey, De Havilland, Avro – podpisane i dedykowane mojemu ojcu: „Dla Stuarta, który zawsze zachowywał prędkość lotu...”.

O dziwo, znalazłem tam również egzemplarz *Ziemi, planety ludzi* SaintExupery'ego, z dedykacją mojej matki, wysiany mu dwa lata po rozwodzie – rozpaczliwa próba odnowienia kontaktów. Mieszkała ze mną w naszym dużym, lecz skąpo umeblowanym domu, z używanym mercedesem i potrzebą podtrzymywania za wszelką cenę pozorów. Życie mojego ojca musiało jej się wydawać lekkie, łatwe i przyjemne – niczym niekończąca się seria filmów podróżniczych, pełnych egzotycznych krajobrazów.

Zanim przystąpiłem do przeglądania szuflad, nalałem sobie whisky. Wszyscy mają jakieś życie seksualne i swoje małe nawyczki, niekoniecznie ładne. Jednak w szafce nocnej nie znalazłem nic z

wyjątkiem buteleczki kropli do oczu i saszetki z betablokerami. Z opakowania wynikało, że ostatnią dawkę leku zażył w dniu śmierci. Nie znalazłem tabletek nasennych ani środków uspokajających. Stary pilot nie miał większych problemów z zasypianiem, a poza tym chciał być zawsze czujny.

Zaniosłem walizkę do drugiej sypialni i otworzyłem okna z widokiem na Metro-Centre. Jego obecność miała w sobie coś z zaproszenia, wypełniały go skarby, których pragnąłem przez całe swoje dzieciństwo. Mimo dużego domu i mercedesa moje życie z matką było ponure. Niezmiernie rzadko pojawiało się w nim coś nowego. Męczyliśmy się ze starym telewizorem, zegarem elektrycznym, czasami tylko zgadującym, która godzina, i centralnym ogrzewaniem, które bezustannie jęczało. Sklepy i domy towarowe jawiły mi się jako miejsca magiczne. Ciągłe pokazywałem matce reklamy nowych tosterów i pralek, mając nadzieję, że złagodzą trudy jej egzystencji. Jednak nawet moje prezenty były racjonowane. Pewną część podarków przysyłanych przez jej siostrę i znajomych na moje urodziny starannie odkładała na bok, a następnie zamykała z myślą o przyszłości. W rezultacie zawsze z tych rzeczy wyrastałem.

Jako dorosły człowiek również prowadziłem raczej ascetyczny tryb życia. Mieszkałem w ogromnych apartamentach, które były prawie zupełnie pozbawione umeblowania. Pracowałem od świtu do nocy, wymyślając nowe sposoby sprzedawania ludziom dóbr, ale sam rzadko coś kupowałem, chyba że było mi to niezbędnie potrzebne. Dzieciństwo uodporniło mnie na świat konsumpcjonizmu, o którym marzyłem kiedyś tak gorąco.

Szukając w komórce pościeli, przypomniałem sobie o stojącym w kącie komputerze. Do ojca wciąż przychodziły emaile – biuletyny miejscowych klubów sportowych, które wspierał. Przeglądałem informacje o spotkaniach hokejowych, zawodach łuczniczych i turniejach koszykówki. Mój ojciec kibicował ogromnej liczbie drużyn; musiał być wyczerpany, krążąc ciągle między lodowiskiem a stadionem piłkarskim lub lekkoatletycznym.

Jednak książki, które znalazłem na półce obok, stanowiły o wiele większą niespodziankę. Obok rocznika i almanachu broni ręcznej ujrzałem biografie Perona, Goeringa i Mussoliniego, a także historię Oswalda Mosleya i Brytyjskiej Unii Faszystowskiej. Wyciągnąłem ilustrowany przewodnik po strojach nazistowskich i mundurach galowych III Rzeszy.

Grube, lakierowane kartki były przetarte od częstego dotykania i prawie widziałem swojego ojca, jak siedzi przy tym biurku, przewraca strony i ogląda ilustracje buław marszałków Rzeszy i skórzanych płaszczy SS.

W mieszkaniu zrobiło się jakby mroczniej. Odsunąłem się od biurka i otworzyłem metalową szufladę. W środku było pełno drobiazgów z Metro-Centre – złotych kart stałego klienta i okresowych przepustek, zaproszeń do klubów konsumenta i na imprezy sportowe. Spinacz do papieru łączył kilkanaście biuletynów Metro-Centre, wypełnionych fotografiami przyjęć w klubach sportowych, na których wszyscy goście mieli na sobie koszulki z krzyżami św. Jerzego. Drużyny sprawiały wrażenie tak zdyscyplinowanych jak oddziały paramilitarne.

Na kilku zdjęciach grupowych pojawiał się David Cruise, prezenter telewizji kablowej Metro-Centre, ze swoją po aktorsku przystojną, lecz pustą fizjonomią, opalenizną jak na reklamach i uśmiechem, który nie miał nic wspólnego z radością. Jego pulchna twarz przypominała mi zrobioną w Arizonie fotografię Wernhera von Brauna, na której pozował obok rakiety Redstone, mając za sobą nazistowską przeszłość, a przed sobą zgoła odmienną przyszłość.

Czy mój ojciec był zwolennikiem Frontu Narodowego? Będzie mi się spało w tym mieszkaniu o wiele gorzej, niż początkowo myślałem. Otworzyłem okno, usiłując pozbyć się nieprzyjemnej aury, i zauważyłem flagę wiszącą na ścianie za drzwiami. Znajdował się na niej symbol miejscowego klubu piłkarskiego Brooklands Eagles: wyszyte złotą nicią dwa orły z groteskowo zakrzywionymi szponami na szkarłatnym polu.

Zainteresowania mojego ojca zapędziły go w przerażające rejony. Nowoczesne stanowisko pracy było nieomalże ołtarzem neofaszyzmu. Przystanąłem przy starannie złożonych rzeczach, leżących na desce do prasowania. Podniósłszy jedną z koszulek, ujrzałem znajomy krzyż św. Jerzego i orły wyhaftowane na lewym rękawie. Przyłożyłem koszulkę do piersi i wyobraziłem sobie ojca w tym przerażającym kostiumie – najstarszego pseudokibica w Brooklands.

Przypatrzyłem się w lustrze swojemu odbiciu nad czajnikiem elektrycznym i puszką z herbatnikami. Flaga z frędzlami wisiała za mną, zupełnie jakbym stał na trybunie przed skandującym tłumem. Wyglądałem o wiele bardziej agresywnie, nie tak jak oprychy, które wyprowadziły imama z jego podmiejskiego meczetu, ale w bardziej intelektualnym stylu prawników, lekarzy i architektów, którzy zostali zwerbowani do elitarnego korpusu Hitlera. Dla nich czarne mundury i trupie czaszki reprezentowały przemoc intelektu – agresję i okrucieństwo mieli wpisane w kodeks, który

zaprzeczał istnieniu dobra i zła, akceptował natomiast patologię. Moralność została pokonana przez wolną wolę, ta zaś wiodła do szaleństwa.

Usiłowałem się uśmiechnąć, ale za tą koszulką stałem inny ja. Ostrożne podejście do świata, wpojone mi przez moją neurotyczną matkę, poddało się w obliczu czegoś o wiele mniej introwertycznego. Teraz w mojej twarzy przykuwały uwagę nie oczy i wysokie czoło, ale usta i szczęką. Bardziej widoczne stały się mięśnie, oznaki większej żądz, mocniejszego pragnienia...

Wrzuciłem koszulkę do pustego kosza na brudną bieliznę.

W jakąż to niebezpieczną grę bawił się mój ojciec? Niewykluczone, że po latach odwiedzania źle zarządzanych portów lotniczych Trzeciego Świata w starszych pilotach budził się rasizm. A może było coś faszystowskiego w samym lataniu? Śmierć wcale nie zamknęła jego życia, otworzyła za to dziesiątki drzwi. Już nie miał nic wspólnego z tym mądrym i życzliwym człowiekiem, którego sobie wyobrażałem. Jakim byłby ojcem? Podejrzewałem, że moje dzieciństwo wyglądałoby zupełnie inaczej. Wiecznie nieobecna duchem matka pozostawiała mi dużo swobody. Ojciec z pewnością wprowadziłby wojskowy dryl. Dyscyplina jako sposób okazywania miłości...

W mieszkaniu było duszno. Postanowiłem się przewietrzyć. Zamknąłem za sobą drzwi i wyszedłem z budynku, wsłuchując się w swoje kroki. Ta okolica przypominała równię pochyłą, na której nic nie było przymocowane na stałe.

Usiadłem za kierownicą jensena, czekając aż mój wewnętrzny kompas ponownie się uruchomi. Nagle na parking wjechało szare audi. Wysiadł z niego wysoki Azjata w średnim wieku, w zmiętym garniturze. Gdy jego duże buty zachrząściły na żwirze, zauważyłem, że w prawej ręce trzyma zwiniętą gazetę, wymachując nią niczym dyrygent batutą. Jego zwalista sylwetka przypominała mi intruza, którego zaatakowałem w mieszkaniu ojca.

– Przepraszam! Czy mógłby pan poczekać? – zawołałem.

Dogoniłem go na klatce schodowej. Właśnie wyjmował klucze przed jednym z mieszkań na parterze. Przestraszony upuścił je na podłogę. Wprawdzie żaden z sąsiadów nie zadzwonił do mnie z wyrazami współczucia, ale musiał widzieć, jak wchodzę i wychodzę, z pewnością więc domyślał się, kim jestem.

Usiłując go uspokoić, przedstawiłem się.

– Richard Pearson – jestem synem kapitana Pearsona. Zginął w wyniku strzelaniny w Metro-Centre. Pamięta pan?

– Oczywiście. Najszczęśliwsze wyrazy współczucia. – Przebiegł szybko wzrokiem po moim szarym garniturze i krawacie, a potem spojrzał na drzwi wejściowe, jakby spodziewał się, że czai się za nimi mój współnik.

– Szokujące wydarzenie, nawet jak na Brooklands.

– Nawet jak na Brooklands? – Podniosłem klucze, po czym podałem mu je, uświadamiając sobie, że trzyma zwiniętą gazetę, a prawy nadgarstek ma zabandażowany. – Proszę mi powiedzieć, panie...?

– Kumar. Nihal Kumar. Mieszkam tu od wielu lat.

– Miło mi. To uroczy zakątek. Spotkaliśmy się już przed tym, prawda?

– Niemożliwe. – Kumar nacisnął dzwonek przy drzwiach, zbyt zdenerwowany, by użyć kluczy. – Może wtedy, gdy pański ojciec...

– Kilka dni temu. Zostawiłem otwarte drzwi mieszkania. Pewnie myślał pan, że do środka dostał się włamywacz. Cały czas mam pańskie czasopismo. Jest pan lekarzem?

– Zdecydowanie nie. – Machnął ze znużeniem ręką. – Z wykształcenia jestem inżynierem. Pracuję w laboratorium badawczym Motoroli. Moja żona jest lekarką.

– Pediatria? To miałyby sens. – Byłem zmieszany tym, że wyraźnie się mnie boi. Próbowałem potrząsnąć jego ręką. – Powinienem bardziej uważać. Wie pan, śmierć ojca, byłem na krawędzi załamania nerwowego...

– To w pełni zrozumiałe. – Kumar chyba nieco się uspokoił, przekonał się, że nie chcę wyrządzić mu krzywdy. – Najlepiej zamykać drzwi. Trzymać je zawsze zamknięte.

– Dziękuję za radę. Macie tu dużo przestępstw?

– Oczywiście. A także aktów przemocy.

– Zauważyłem. Te miasta leżące przy M25... Coś unosi się tutaj w powietrzu. Czy w Brooklands działa wiele organizacji prawicowych?

– Bardzo dużo. Sieją postrach. – Kumar raz jeszcze nacisnął dzwonek u drzwi, pragnąc jak najszybciej dostać się do mieszkania. – Społeczność azjatycka jest głęboko zaniepokojona. Dawniej organizowali napady, ale byli przewidywalni. Obecnie to przemoc dla przemocy.

– Ma pan na myśli kluby sportowe?

– Sportowe? Oni uprawiają tylko jeden sport. Bicie ludzi.

– Głównie Azjatów?

– Azjatów, Kosowian, Bośniaków. Jest tych klubów o wiele za dużo. Policja powinna zrobić z nimi porządek.

– Myślę, że mój ojciec należał do jednego z nich. – Ku mar nie

zareagował. – Znał pan mojego ojca? – zapytałem.

– Niezbyt dobrze. Kiedy przyjechaliśmy do Brooklands, był bardzo uprzejmy dla mojej żony. Sprawił, że poczuliśmy się tu jak w domu. Potem...

– Zmienił się?

– Jego nowi znajomi... czasami tu przychodzili. Zona się ich bała.

– Ale mój ojciec nie stosował przemocy?

– Pański ojciec był dżentelmenem. Tyle że atmosfera się zmieniła... wszędzie czerwone krzyże, które zamiast nieść lu dziom pomoc, wyrządzały im krzywdę.

– Przykro mi. Proszę mi powiedzieć, ta cała przemoc... jak pan myśli, skąd ona się bierze?

– Z Metro-Centre? To całkiem możliwe.

– Jak to? Przecież to tylko duży sklep.

– Coś więcej niż sklep, panie Pearson. Inkubator. Ludzie wchodzą do niego i budzą się, dostrzegają, że ich życie jest puste. Więc zaczynają się rozglądać za kolejnym snem...

Wyciągnął rękę do dzwonka, ale w tej samej chwili drzwi się otworzyły. Patrzyła na nas elegancka Azjatka po pięćdziesiątce. Miała srogą minę. Podejrzewałem, że doktor Kumar słyszała każde nasze słowo. Odprowadzała mnie wzrokiem, kiedy wchodziłem po schodach. Dopiero gdy nabrała pewności, że nic jej już z mojej strony nie grozi, odsunęła się, by wpuścić męża.

## 8. Oddział pomocy doraźnej

Poczekalnia izby przyjęć Brooklands Hospital była prawie pusta. Nastolatek z poobijanym policzkiem, bawiący się rozbitą komórką, bliska hysterii kobieta mająca pretensje do potulnego męża, starszy mężczyzna z wilgotną chusteczką przy oczach, czekający na wieści o stanie zdrowia żony, wreszcie ja, jeszcze mniej wiedzący o swoim ojcu niż wtedy, gdy przyjechałem do tego miasta po raz pierwszy. Razem stanowiliśmy kolekcję groteskowych i raczej nieprzyjemnych przypadków – przywiodły nas tutaj bójka na boisku szkolnym, nieudany skręt w prawo na skrzyżowaniu, serce zbyt zmęczone, by podjąć następne uderzenie i kula zabójcy.

Jedna z pielęgniarek zapewniła mnie, że doktor Julia Goodwin, która zajęła się moim ojcem, kiedy przywieziono go z Metro-Centre, zobaczy się ze mną już niebawem. Ale zegar na ścianie drwił z jej słów. Chcąc zabić czas, usiłowałem czytać lokalną gazetę, uśmiechałem się z otuchą do staruszka i oglądałem telewizję.

Była nastawiona na kanał kablowy Metro-Centre. Właśnie leciał popołudniowy program nadawany ze studia na półpiętrze. Opalona twarz Davida Cruise'a dominowała nad wszystkim. Uśmiechał się zyczliwie, ale był nieco zaczepny, niczym zuchwały lokaj. Może ludzie w miastach przy autostradzie lubili, kiedy się na nich krzyczało.

– Panie Pearson? – Pielęgniarka zasłoniła mi telewizor swoimi szerokimi biodrami. – Doktor Goodwin czeka na pana. Może panu poświęcić tylko kilka minut... jest bardzo zajęta.

– Dobrze. Jak ja bym chciał być zajęty...

Doktor Julia Goodwin stała odwrócona do mnie plecami w niewielkim gabinecie, zatraskując metalowe szuflady w szafie na dokumenty, zupełnie jakby zabawiała się przy automacie do gry. Kiedy spojrzała na mnie zza grzywki maskującej, rozpoznałem w niej młodą kobietę, która patrzyła na mnie przed krematorium Golders Green, podczas gdy jej koleżanka szukała kluczyków do samochodu. Teraz obdarzyła mnie takim samym zagadkowym spojrzeniem jak wtedy i wyczułem, że wie o mnie coś, z czego ja jeszcze nie zdaję sobie sprawy. Po tej atrakcyjnej kobiecie widać było, że jest już tym wszystkim zmęczona i coraz trudniej przychodzi jej okazywanie współczucia pacjentom.

Przedstawiwszy się, powiedziałem:

– To miło z pani strony, że zechciała się pani ze mną zo baczyć. Jest pani jedną z ostatnich osób, które widziały moje go ojca. Zbieranie takich wspomnień pozwala mi utrzymywać go żywym w mojej pamięci.

– No tak... cieszę się przynajmniej z tego. – Położyła swo je zniszczone dłonie na biurku, jak krupier wykładający dwie ostatnie karty. – Przykro mi, że nie mogłam zrobić więcej. Czasami próbuje się dokonać cudu, a kończy się kompletną klapą, ale robiłam, co mogłam. Straszna historia. To okropne centrum handlowe...

– Metro-Centre?

– Proszę nie mówić, że pan tego nie zauważył? – Rozpię ła biały kitel, ukazując elegancki kaszmirowy sweterek. – Ogromne atrium, ludzie kupujący bez opamiętania... Jeśli chce pan znać moje zdanie, to ciągle wystawianie na pokusę wszystkich szaleńców, którzy żywią jakąś urazę. Niestety, pański ojciec przypadkiem stanął na drodze jednego z nich.

– Czy w ogóle był przytomny? Wtedy, gdy pani wi działa?

– Nie. Pocisk... – Dotknęła ciemnych włosów nad lewym uchem i odgarnęła kosmyk do tyłu – niemal zmysłowy gest, który ukazał jedwabistą biel skóry na jej głowie. – Niczego nie czuł. Jediną nadzieją było przetransportowanie go do Royal Free. Ale...

– Najważniejsze, że się pani starała. Jestem za to napraw dę wdzięczny. Czy spotykała go pani już przedtem?

Popatrzyła na mnie, po czym odchyliła ręce tak, jakby chciała czytać z dłoni.

– Z tego, co wiem, to nie.

– Przyszła pani na pogrzeb. Pamiętam, że panią tam wi działem.

Oparła się na fotelu, gotowa zakończyć naszą rozmowę. Wzrok utkwiała gdzieś ponad moim ramieniem. Wyraźnie nie czuła się najlepiej w moim towarzystwie, ale chciała zatrzymać mnie jeszcze w gabinecie. Wyczuwałem, że jest niezle poinformowana na mój temat; w każdym razie wie o mnie więcej, niż można by się spodziewać po zapracowanej lekarce z izby przyjęć.

– Tak. Pojechałam do Golders Green z przyjaciółką. Cho lernie długa droga i kiepskie nabożeństwo. Kto, na miłość boską, napisał ten koszmary tekst? Człowiek od razu prze staje się dziwić, że ludzie tak panicznie boją się śmierci. Po winni puścić Cole Portera i przejść się z kanapkami. – Uśmiechnęła się wyzywająco. – Wydał mi się przyzwoitym starszym panem, pomyślałam więc, że pojedę go pożegnać. W końcu to Brooklands go zabiło.

– Czuje się pani winna?

– Do pewnego stopnia. Nie. Co ja wygaduję! Naprawdę w to wierzę? To zadziwiające, jakie bzdury mogą wyjść z ust człowieka w chwili nieuwagi.

– Kiedy go tutaj przywieziono, miał na sobie swoje ubranie?

– Chyba tak. Zadaje pan pytania jak zawodowy detektyw.

– Brooklands tak wpływa na ludzi. Pamięta pani, w co był ubrany?

– Nie mam pojęcia. – Odwróciła się i zamknęła metalową szufladę, która trącała ją w plecy. – Czy to ważne?

– Kto wie. Czy miał na sobie koszulkę z krzyżem św. Je rzego? Wie pani, czerwony krzyż na...

– Oczywiście, że wiem! – Skrzywiła się i odwróciła do kosa na śmieci, jakby chciała spluć. – Nie cierpię tych cholernych koszulek. Na pewno nie miał jej na sobie. Ale co to ma za znaczenie? Śmierć nie zwraca uwagi na strój.

– Łatwo powiedzieć. Te koszulki są oznaką nowego rodzaju...

– Faszyzmu? To słowo z trudem przechodzi przez gardło, prawda? Podejrzewam, że nieczęsto je pan słyszał przy King's Road. Te koszulki nosi większość żołnierzy naszych miejscowych oddziałów szturmowych. – Doktor Goodwin mówiła stanowczo, jakby adresowała swoje słowa do bezmyślnego dziecka, które może się poparzyć o rozgrzaną kuchenkę. – Proszę trzymać się od tego z dala. Pański ojciec zgodziłby się ze mną.

– Też tak myślałem. Ale dziś rano znalazłem w jego mieszkaniu całą stertę takich koszulek. Świeżo wyprasowane przez filipińską służącą. Jego sąsiad powiedział mi, że ci członkowie klubu sportowego czasami go odwiedzali.

– Trudno w to uwierzyć. Miał siedemdziesiąt pięć lat. Trochę za późno na bicie emigrantów.

– To mogłoby tłumaczyć, dlaczego stał się celem zamachu. Gdyby ją miał na sobie...

Czekałem na odpowiedź, ale doktor Goodwin patrzyła przez okno na dwóch dziesięciolatków wałęsających się po parkingu dla personelu. Kiedy jeden z nich oderwał gwiazdę z maski mercedesa, uśmiechnęła się prawie jak dziewczynka, szczęśliwa, że łączy ją z nimi poczucie wolności i nieodpowiedzialność.

– Panie Pearson? – Spojrzała na mnie z dziwną mieszkanką wrogości i frywolności. – Mieszka pan w Londynie?

– W Chelsea Harbour. Miniaturowe miasto milionerów. Właśnie wystawiłem swoje mieszkanie na sprzedaż.

– Może je kupię. Wszystko, byle tylko wyjechać z tego straszego

miejsca.

– Nie lubi go pani? Bogate hrabstwo Surrey, czyste po wietrze, zielone alejki, po których można spacerować z labra dorem?

– Całe to gówno mnie przeraża. – Zniżyła głos. – Dzieją się tutaj takie rzeczy... Był pan w Metro-Centre?

– Jestem pod jego wrażeniem. W powietrzu unosi się tam czysta żądza kupowania.

– To szybkowar. Z przykręconą pokrywką i na dużym ogniu.

– A co się w nim gotuje?

– Coś okropnego, proszę mi wierzyć. Gdzie się pan za trzymał?

– W mieszkaniu ojca.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się bezpretensjonalnie. – To bardzo śmiałe posunięcie z pana strony.

Wstała i zrozumiałem, że nasza rozmowa dobiegła końca. Niespodziewanie przystanęła w drzwiach. Jakiś plan załagał się w tej atrakcyjnej, lecz podenerwowanej kobiecie, pozostającej wyraźnie w konflikcie z samą sobą.

– Kończę pracę o szóstej. – Położyła rękę na klamce. – Chyba muszę poprawić sobie humor. Może mi pan postawić drinka.

– Oczywiście. – Zaskoczony dodałem: – Cała przyjemność po mojej stronie.

– Niech pan nie będzie tego taki pewien. Jestem trochę nie w sosie. Spotkajmy się w Holiday Inn. Mają tam bar obok basenu. Po kilku ginach człowiekowi zaczyna się wydawać, że jest w Acapulco...

\* \* \*

Siedziałem w barze przy szpitalu, zastanawiając się nad spotkaniem z zatroskaną Julią Goodwin. Uważała, że naprowadza mnie na właściwą drogę, a ja pozwalałem jej żywić to przekonanie i byłem gotowy podjąć grę. Miałem pewność, że wie o moim ojcu więcej, niż przyznawała. Zapracowani lekarze nie jeżdżą na drugi koniec Londynu, by uczestniczyć w pogrzebach swoich pacjentów. Przypomniałem sobie, w jaki sposób patrzyła na mnie na parkingu przy krematorium. Była jednak atrakcyjną kobietą i przynajmniej ciągnęło ją do mnie. Wszyscy inni, których spotkałem – sierżant Mary Falconer, Geoffrey Fairfax i mój sąsiad, pan Kumar – chowali się za wymyślnymi maskami.

Otworzyłem lokalną gazetę, którą Julia Goodwin podała mi, kiedy opuszczałem gabinet. Jej strony pełne były reklam. Każdy obywatel

Brooklands, każdy mieszkający w okolicach M25 ciągle zmienia! wyposażenie domu, kupując wciąż te same samochody i aparaty fotograficzne, te same ceramiczne płyty grzejne i artykuły łazienkowe, nic na tym nie zyskując. Za tą szaloną fluktuacją skrywała się nieskończona nuda.

Dzieląc tę nudę, złamałem przyzwyczajenie człowieka reklamy i rozpocząłem lekturę od artykułów. Na stronie trzeciej, w jedynym miejscu w gazecie z prawdziwymi wiadomościami, znalazłem sprawozdanie z rozprawy, po której wypuszczono Duncana Christiego na wolność. „Strzelanina w Metro-Centre... Został uwolniony... Policja wznawia śledztwo”.

Przeczytałem krótką relację i streszczenie zeznań świadków. Podano nazwiska trzech „prominentnych” mieszkańców miasta, którzy zeznali, że w chwili, gdy rozległy się strzały, widzieli Christiego w Bramie Południowej.

Byli to: doktor Tony Maxted, psychiatra z Northfield Hospital i William Sangster, dyrektor szkoły średniej w Brooklands. Trzecim świadkiem okazała się (ulia Goodwin.

## 9. Plaża w Holiday Inn

Holiday Inn był siedmiopiętrową wieżą. Bar na jego tarasie wychodził na okrągły basen i półksiężyc piaszczystej plaży, wypełnionej parasolami oraz leżakami i skapanej w łagodnym, pozbawionym ultrafioletu świetle. A wszystko to w środku Metro-Centre, w tej jego części, która zdominowana została przez hotele, kawiarnie i emporia z artykułami sportowymi. Goście Holiday Inn albo leżących w pobliżu Novotelu i Ramada Inn mogli sobie wyobrazić, że goszczą w kompleksie wypoczynkowym na przedmieściach Tokio albo Szanghaju.

Poprosiłem kelnerkę ubraną jak instruktorka tenisa o kieliszek wina i popatrzyłem na pustą plażę z nieskazitelnie czystym piaskiem i rzędami leżaków. Maszyna do robienia fal była nastawiona na najniższe obroty i powierzchnię sztucznie barwionej wody marszczyło jedynie nikłe, nieco gastryczne falowanie, niczym powstrzymywany odruch wymiotny.

Zastanawiałem się, dlaczego Julia Goodwin wybrała na miejsce naszego spotkania akurat centrum handlowe, w którym postrzelono mojego ojca. Patrzyłem, jak wchodzi na taras, spóźniona pół godziny, i wrzuca gumę do zucia w wolno płynące fale. Do klapy żakietu wciąż przyczepiony miała szpitalny identyfikator, ale rozpuściła włosy – spadały jej na oczy czarną chmurą niby zasłona dymna nerwowego zabójcy. Zwracała się do kelnerki jak do nienormalnego pacjenta. Zamówiła tonik z odrobiną angostury.

– Wszystko gra? – zapytałem, kiedy usiadła przy stoliku. – Dlaczego spotykamy się właśnie tu?

– Nie rozumiem...

– To kicz z popitką ze strychniny. Tutaj zastrzelono mojego ojca.

Zaskoczona ostrym tonem mojego głosu, pochyliła się i odgarnęła włosy z oczu.

– Pomyślałam, że powinniśmy zobaczyć to razem. Metro Centre w jakiś sposób wyjaśnia, dlaczego zginął twój ojciec. Nie chciałam wyprowadzić cię z równowagi. Jak ci się podoba plaża?

– Lepsza niż w Acapulco. Zdążyłem już się opalić.

– Tak dobra jak prawdziwa?

– To nie znaczy jeszcze, że miała być taka jak prawdziwa. – Postanowiłem ją uspokoić i wykrzywiłem usta w imitacji uśmiechu Davida Cruise'a. – To wszystko jest pewnego rodzaju żartem. Wszyscy o tym wiedzą.

– Naprawdę wiedzą? Mam nadzieję, że się nie mylisz. W dzisiejszych czasach nawet rzeczywistość musi wyglądać sztucznie.

– Może i tak. Mój ojciec był prawdziwy i dostał bardzo prawdziwą kulę. Dlaczego powiedziałaś, że Metro-Centre może wyjaśnić jego śmierć?

Wypiła łyk swojego toniku z angosturą. Musujące kropelki osiadły na jej rzęsach. Wciąż była nieufna, nie wiedziała, czego się może po mnie spodziewać.

– Pomyśl o tym przez chwilę. Ludzie przychodzą tutaj, szukając czegoś interesującego. Co mogą znaleźć? Wszystko zostało już wymyślone, wszystkie uczucia, wszystkie powody do istnienia. To zmyślony świat, stworzony przez takich ludzi jak ty. Szalenciec spaceruje tu sobie z bronią i myśli, że jest na strzelnicy. Może i jest, ale tę strzelnicę ma w swojej głowie.

– No i? – Dlaczego nie zacząć strzelać? Jest mnóstwo celów i żaden nie wygląda, jakby miał coś przeciwko temu. – Przerwała niespodziewanie i odchyliła się na krześle. – Jezu... ale brednie wygaduję. Uwierzyłeś choć w jedno słowo z tego, co mówiłam?

– Nie – skłamałem, po czym zamówiłem następną kolej kę. – Jedno jest pewne: ty naprawdę nienawidzisz Metro Centre.

– Tu nie chodzi tylko o nie. Wszystkie galerie handlowe są takie same. Snują się po nich pozbawieni korzeni ludzie. Jedyne ich kontakty z rzeczywistością następują wtedy, gdy chorują i lądują u mnie. Wykształceni, dobrze odżywieni, mi li dla swoich dzieci...

– Ale brutalni?

– Nie wszyscy, nie. – Zanurzyła obie ręce we włosach i zebrała je razem. Przewiązała je gumką, którą zapewne spi nała karty pacjentów, po czym przesunęła mój kieliszek, żeby mnie lepiej widzieć. – Pojawił się nowy rodzaj ludzi. Zachowują się w dziwny sposób i wiedzą więcej.

– Lekarze?

– Lekarze, prawnicy, policjanci, bankowcy... mają dziwne pomysły. Niektórzy z nich zaczynają myśleć logicznie.

– A co w tym złego?

– W logicznym myśleniu? Tutaj jest ono niebezpieczne. Bardzo niebezpieczne. Może doprowadzić inteligentnych ludzi do robienia rzeczy, których nie powinni robić, jak działanie racjonalne i dla dobra publicznego. Uwierz mi, wszystkie tereny przy M25 są niebezpieczne.

– Dlaczego stąd nie wyjedziesz?

– Wyjadę. Tylko najpierw muszę uporządkować swoje sprawy.

Niechcący wplątałam się w coś głupiego.

Popatrzyła na falę zbliżającą się do nas. W świetle jej twarz była blada, ale zaskakująco silna. Co jakiś czas wykrzywiała ją, dając wyraz wątpliwościom niczym aktorka, która nie jest w stanie zrozumieć swoich kwestii. Kiedy zauważyła, że się jej przyglądam, wyciągnęła ręce, by znów rozpuścić włosy, ale chwyciłem jej nadgarstki i przyciskałem do stołu, dopóki się nie opanowała.

– Julia... uspokój się.

– Dobrze. Przyłączę się do Lekarzy bez Granic. Pojadę do ja kiegoś kraju Trzeciego Świata, gdzie plaże wciąż śmierzają śniętymi rybami. Może nawet uda mi się zrobić coś pożytecznego.

– Robisz coś pożytecznego tutaj – zaprotestowałem. – Spróbuj uwierzyć w siebie.

– To niemożliwe. Poza tym w szpitalu spotykam się na każdym kroku z cierpieniami, których ludzie przysparzają sa mi sobie. Pijackie burdy, wypadki samochodowe, awantury, bijatyki. Przemoc na ulicach kwitnie. Ludzie nie wiedzą, że to wszystko bierze się z nudy. Świadczy o tym chociażby sport. Wszędzie tam, gdzie odgrywa on dużą rolę, ludzie są śmiecielnie znudzeni i tylko czekają na wybuch.

– Możesz wyjechać. Jest tylko jeden problem: gdziekolwiek pojedziesz, nie znajdziesz tam nic oprócz tej samej nudy.

– To może być zabawne. Czemu nie mielibyśmy wyjechać razem? Ty wymyślisz rzeczywistość, a potem ja będę opatrywać rany.

Polubiłem ją i cieszyłem się, że sprawiały jej radość te nasze przekomarzania. Ale odwracała wzrok za każdym razem, kiedy patrzyłem jej w oczy. Wolą spoglądać na fale, niż stawić czoło czemuś, co ukrywała.

Taras wokół nas wypełniony był pijącymi. Mężczyźni i kobiety w średnim wieku, prawie wszyscy w koszulkach z krzyżami św. Jerzego, stali, ze szklankami w rękach, paląc i klepiąc się po brzuchach. Wylegli na plac przed wejściem do hotelu. Wyszywane emblematy na ich koszulkach wskazywały, że są członkami klubu kibica Metro-Centre. Byli głośni, ale panowali nad sobą, witając nowo przybyłych przyjaznymi okrzykami.

– Kibice piłkarscy? – zapytałem Julię Goodwin. – Wydają się dosyć mili.

– Jesteś pewien? Pozwolę sobie zauważyć, że kilku z nich przyjmę na nocnym dyżurze.

– Mecz zaczął się o siódmej – przegapią pierwszą połowę.

– To nie jest ten rodzaj kibiców, którzy chodzą na mecze. Są tutaj, żeby

wszczynać bójki.

– Chuligani?

– Zdecydowanie nie. Są dobrze zorganizowani, praktycz nie stanowią lokalną milicję. Dobrze im się przyjrzyj, a potem schodź im z drogi.

Pijący odstawili szklanki po piwie i zeszli z tarasu, formując brzuchate zastępy prowadzone przez dowódców. Wychodzili wśród ironicznych pozdrowień, jedna z kobiet odłączyła się, by wpaść do pobliskich delikatesów. Ale maszerowali równo i zgadywałem, że Julia zaaranżowała spotkanie ze mną właśnie w Holiday Inn tylko po to, bym ujrział mroczniejszą stronę Brooklands.

Udawała, że szuka czegoś w torebce. Spowijał nas dym z papierosów. Wiedziała, czego dotyczyć będzie moje następne pytanie; nie bez powodu wręczyła mi lokalną gazetę. Zaraz nastąpi niespieszne wyznanie, ospale niczym sztuczne fale.

– Julio... póki pamiętam. Zeznawałaś w sądzie.

– Tak. I co?

– Właściwie dlaczego?

– To był mój obywatelski obowiązek. Ty byś tego nie zrobił?

– Pewnie tak. Naprawdę widziałas tam Duncana Christie go? W czasie, gdy padły strzały?

– Zdecydowanie tak.

– Jaka odległość was dzieliła?

– Diabli wiedzą. Dziesięć albo piętnaście stóp. Widziałam go wyraźnie.

– W tym całym zamieszaniu? – Rozejrzałem się, mając nadzieję, że ktoś wyłączy maszynę do robienia fal. – Zapa miętałaś tę jedną twarz w tłumie?

– Tak! – Julia pochyliła się nad stołem, wściekła na mnie, że jestem taki ograniczony. – Często go opatrywałam. Ciągłe ktoś na niego napadał.

– Co on robił w Metro-Centre? Przecież go nienawidzi.

– Nie mam zielonego pojęcia. Lubi się tu szwendać.

– Jakoś nie chce mi się w to wierzyć. A skoro już o tym mowa, co ty tutaj robiłaś? Nienawidzisz tego miejsca tak sa mo jak on.

– Nie pamiętam. Przechodziłam w pobliżu.

– Tak jak i pozostali świadkowie – jego psychiatra, który, tak się składa, wypuścił go tego dnia ze szpitala. Dyrektor je go dawnej szkoły. I ty. Troje ludzi, którzy przypadkiem zna leżli się w okolicy i pomyśleli, że mogliby wpaść na zakupy. I wszyscy przyjechaliście tu w tym samym czasie...

– Jezu Chryste! – Julia uderzyła pięściami w stół. Mój kie liszek

przewrócił się i spadł na wyłożoną kafelkami posadzkę. – Mnóstwo ludzi w Brooklands zna Duncana Christiego. Jest popularną postacią, kimś w rodzaju wiejskiego głupka.

– Jasne. I dlatego reprezentowała go kancelaria Geoffreya Fairfaksa. Widziałem cię tam tego wieczoru, kiedy Christie został przywieziony do Brooklands.

– U Geoffreya Fairfaksa? To mało prawdopodobne. Na słuchałeś się zbyt wielu plotek.

– Julia... na miłość boską. – Zniecierpliwiony jej obłudą, uniosłem głos, mając nadzieję, że uda mi się wydobyć prawdę z tej sympatycznej młodej pani doktor. – Siedziałaś odwrócona do mnie plecami w sali konferencyjnej, ukryta za swoimi wspaniałymi włosami. Podejrzewam, że ludzie, którzy tam z tobą byli, to pozostali świadkowie?

– Tak... – Julia wpatrzyła się w zbity kieliszek u swoich stóp. – Chyba tak.

– Nie uważasz, że to osobliwe? Christie dopiero co został aresztowany, a już zebrali się kluczowi świadkowie, synchroni zując swoje zegarki. Jednak naprawdę dziwne jest dopiero to, że ja miałem was tam zobaczyć. Świadców, panią Christie w recepcji, sierżant Falconer podgrzewającą mleko. To było niemal jak rekonstrukcja zbrodni. Dlaczego, Julio? Co mi to miało dać?

– Zapytaj Geoffreya Fairfaksa. – Poprawiła zakiet, przy gotowując się do wyjścia. – Może ci powie.

– Wątpię. Jest szalony, ale przebiegły. Na zewnątrz to bardzo staroświecki adwokat. W środku – wściekły prawico wy oszołom. Nie spodziewałbym się raczej, że będzie wypruwał sobie żyły dla tego dziwaka.

– Ludzie solidaryzują się z Christiem – powiedziała Julia słabym głosem.

– Za co? Za występowanie przeciwko centrum handlowe mu? Kto konkretnie? Drobnik sklepiarze, poujadyci z Doliny Tamizy?

– Nie chodzi tylko o to jedno centrum. Wszystkie galerie handlowe wyglądają dla ciebie bezpiecznie, ale za nimi nadchodzi coś groźniejszego. Christie i Geoffrey Fairfax dostrze gli to już dawno temu.

– Czy Christie zabił mojego ojca?

– Nie! – Julia zerwała się z miejsca, tak że stolik uderzył mnie w łokcie. Popatrzyła ostro na nadpływającą falę, zupełnie nie jakby spodziewała się, że tsunami pochłonie plażę i ją. – Znam Duncana Christiego. Zszywałam mu głowę, nastawiłam złamania. Nie mógłby...

Zadrżała, nie będąc w stanie się opanować. Wstałem i chwyciłem ją za ramiona, zaskoczony, jak słaba się wydawała.

– Masz rację. To ktoś inny strzelał do mojego ojca. Chcę, żebyś pomogła mi go znaleźć. Zapomnijmy o Duncanie Chri stem i Fairfaksie...

Pozwoliła, bym zaprowadził ją z powrotem na krzesło. Przez kilka chwil tuliła się do mnie mocno, potem odepchnęła mnie, zirytowana swoją słabością.

– Jestem pewna, że widziałam Christiego przy wejściu – powiedziała spokojnie do fal. – A przynajmniej tak mi się wy daje...

## 10. Ludzie ulicy

– To miejsce największego szaleńca może przywieść do całkowitej normalności. – Julia straciła kawałek szkła z buta. – Nie mów, że nie ma żadnego wyjścia.

– Odwiozę cię do domu. Co się stało z twoim samochodem?

– Jest... w warsztacie.

Ruszyła naprzód, podczas gdy ja płaciłem rachunek. Znów stała się pewna siebie. Pacjenci rzadko z nią rozmawiali i była wytracona z równowagi moimi pytaniami, świadoma, że jeśli nawet Duncan Christie jest niewinny, w jakiś sposób oszukiwała siebie. Ale dzięki niej wiedziałem już, że pewne fakty zatuszowano.

Przeszliśmy atrium, mijając olbrzymie misie z ich połatany futrem, życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia oraz daninami z melasy i miodu. Klienci przechodzili obok jak turyści w obcym mieście. W Metro-Centre nie było zegarów, przeszłości ani przyszłości. Jedyne odniesienie stanowił mecz piłkarski transmitowany przez telewizję. Rzędy reflektorów świeciły przez czarną mgiełkę, a ekrany po każdej stronie piętra pokazywały znajomą twarz Davida Cruise'a, mesjasza sprzedaży detalicznej ery telewizji kablowej.

Wyszliśmy z Metro-Centre przez jedne z drzwi wyjściowych i skierowaliśmy się na parking. Grupy kibiców sportowych opuszczały centrum, trzymając flagi miejscowych drużyn: hokejowej i lekkoatletycznej. Ustawili się wśród swoich samochodów z napędem na cztery koła i pomaszerowali równym krokiem w stronę miejsc zbiórki.

Jadąc zgodnie ze wskazówkami Julii, przemierzaliśmy pustą dzielnicę biurową, mijając stalowe kraty w drzwiach.

– Oni na coś czekają – skomentowałem. – Dokąd jedziecie my?

– Do południowego Brooklands. Znam skrót. Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy pojechali ulicą jednokierunkową?

– A czemu miałbym mieć coś przeciwko temu?

– Bo pojedziemy pod prąd. Zaoszczędzimy czas. Nic nie ryzykujesz, tracisz wszystko.

Przejechaliśmy obok gmachu sądu, po czym skręciliśmy w dzielnicę dyskontów meblowych, hurtowni i wypożyczalni samochodów. Stadion piłkarski mieliśmy cały czas po lewej stronie, zupełnie jakbyśmy okrążali go z bezpiecznej odległości, nie chcąc dostać się w obszar działania jego silnego pola magnetycznego.

– Dobra. – Julia pochyliła się do przedniej szyby. – Teraz w lewo. Nie, w prawo.

– Tutaj? – Zawahałem się, po czym minąłem znak zakazu wjazdu i wjechałem w uliczkę, przy której stały obdrapane domy. – Gdzie my właściwie jesteśmy?

– Mówiłam ci. To skrót.

– Do najbliższego komisariatu? Pani doktor, zawsze miej zapięte pasy. Czy to jakiś rodzaj rytuału godowego? – Mam nadzieję, że nie. Nawiasem mówiąc, pasy bezpieczeństwa zapewniają powściągliwość seksualną.

Patrzyłem na nowoczesne domy z drzwiami i oknami w stylu art deco, skamieliny z lat trzydziestych, obecnie zajmowane przez emigrantów. Małe domy bliźniacze stały przy zaniedbanych ogródkach, zdezelowane furgonetki parkowały na zaniedbanych trawnikach. Wszystko było skąpane w jaskrawym świetle reflektorów stadionowych, zupełnie jakby całą dzielnicę przesłuchiowano pod zarzutem nieudanej próby przyłączenia się do społeczeństwa konsumpcyjnego. Ze wszystkich okien swoich domów przybysze z Europy Wschodniej i Azji widzieli gigantyczną twarz Davida Cruise<sup>^</sup> uśmiechającego się ze srebrnych ekranów.

– Wynośmy się stąd. – Zahamowałem, by uniknąć wjechania na ogromny wybój. – Jak można tu mieszkać?

– Uważaj, mówisz o moich pacjentach. – Julia zasłoniła oczy przed światłem. – W większości z Bangladeszu. Są bar dzo ambitni.

– I chwała im za to. Nie mają innego wyjścia.

– Ich największym marzeniem jest otrzymanie posady sprzątacza albo babci klozetowej w Metro-Centre. Pamiętaj o tym następnym razem, kiedy będziesz robił siusiu...

Wjechaliśmy na obrzeża dzielnicy mieszkalnej i minęliśmy po raz drugi halę hokejową, zmuszeni do zwolnienia, kiedy grupa powiewających flagami kibiców zatarasowała nam drogę. Trzysta jardów od stadionu piłkarskiego, pośród wjazdów na autostradę, znajdował się stadion lekkoatletyczny z jaskrawą sztuczną bieżnią, skąpaną w ostrym świetle reflektorów. Grupy kibiców stały na ulicy, czekając na wynik biegu długodystansowego.

– Dlaczego nie wejdą do środka? – zapytałem Julię. – Trybuny są prawie puste.

– Może wcale nie są zainteresowani.

– Wierzyć mi się nie chce. Co oni w takim razie tutaj robią?

– Są egzekutorami.

– Egzekutorami czego?

Dojechaliśmy do skrzyżowania i skręciliśmy w lewo, w kolejną dzielnicę mieszkalną. Mecz dobiegł końca i widzowie zapelnili ulice wokół stadionu. David Cruise znów był samotny, mówiąc do swojego odbicia po drugiej stronie stadionu o męskich wodach kolońskich i kosmetykach do pielęgnacji ciała. Fragmenty reklam dudniły w nocnym powietrzu, bębniąc jak pięści o okna przycupniętych nieopodal małych domków.

– Julio, wracamy w okolice stadionu. Co się dzieje?

– To kawał historii Brooklands. Szukaj starego kina... Nie martw się, nie będziemy się trzymać za rączki podczas sean su.

Mijali nas pierwsi kibice, mężczyźni i ich żony w koszulkach z krzyżami św. Jerzego, dla żartu bębniący lekko o dachy zaparkowanych samochodów. Część tłumu odłączyła się od głównego nurtu i ruszyła w stronę małych azjatyckich sklepów. Mężczyźni byli potężni, ale zdyscyplinowani, prowadzeni przez przywódców w czerwonych czapczkach bejsbolowych, którzy krzyczeli do telefonów komórkowych. Tłum maszerował za nimi, wygwizdując ciche sklepiki. Grupa młodszych kibiców zaczęła rzucać monetami w okna na górze. Dźwięk tłuczonego szkła przeciął noc niczym wycie zwierzęcia.

– Julia! Zapnij pasy! Gdzie, do diabła, podziewa się poli cja?

– To oni są policją... – wydusiła Julia, mocując się w ciemności z pasem bezpieczeństwa. Była zszokowana, ale zarazem podniecona, jak dziewczyna rugbisty, która pierwszy raz widzi swojego ukochanego w akcji.

W naszym kierunku jechały, w jednym rzędzie, trzy samochody z włączonymi światłami długimi. Za nimi szła grupa kibiców krzyczących na całe gardło, awanturujących się z młodymi Azjatami, którzy pojawili się, by bronić swoich sklepów. Jeden z Azjatów upadł. Momentalnie pojawili się nad nim kibice, zaczynając go kopać. Ich białe adidasy wyglądały jak śnieg w czasie zadyмки.

Skręciłem tak gwałtownie, że Julia uderzyła w drzwi od strony pasażera, i wjechałem w wolne miejsce między samochodami, zahaczając o coś lusterkiem bocznym z hałasem przypominającym wystrzał. Gdzieś wyleciała szyba i roztrzaskała się o chodnik. Kaskady ostrego lodu rozsypały się pod nogi biegnących.

Tłum przepływał obok nas, pięści uderzały o dach samochodu. Mężczyzna z nadwagą i wyglądem bandyty krzyczał coś do telefonu komórkowego, kopiąc starszego Azjatę próbującego strzec wejścia do swojego sklepu żelaznego. Skandujący kibice szli równo,

zdyscyplinowani, ale wyraźnie nie mieli pojęcia, dokąd prowadzą ich przywódcy. Wystarczało im to, że mogą bezkarnie krzyczeć w ciemnych i zaśmieconych uliczkach.

– Julia! Nie wychodź z samochodu!

Dziewczyna oderwała wzrok od mężczyzny, który wołał ją przez szybę, zachęcając, by dołączyła do zebranych. Otworzyłem drzwi i wysiadłem. Na chodniku po drugiej stronie ulicy klęczał Azjata w średnim wieku. Usiłował przytrzymać się rozwalonego parkometru, podczas gdy młodzieniec o wąskiej twarzy, ubrany w koszulkę z krzyżem św. Jerzego, tańczył wokół niego, markując ciosy i kopiąc go, jakby wykonywał rzuty karne, krzycząc i unosząc ręce za każdym razem, gdy trafił.

– Pan Kumar!

Chwyciłem młodego człowieka za ramię i odepchnąłem go. Roześmiał się, bez protestu odstępując mi swoją ofiarę. Odskoczył na bok, rozrzucając stopami szkło. Pomogłem Kumarowi wstać, po czym skierowałem go w stronę podjazdu dla samochodów dostawczych, położonego obok niewielkiej hurtowni.

– Proszę... mój samochód.

– Gdzie pan zaparkował? Panie Kumar!

Oszołomiony i sponiewierany patrzył ponad moim ramieniem na napastników, jakby starał się zrozumieć, kim byli. A potem mnie rozpoznał i na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

– Nie... nie... nigdy...

Wyrwał mi się, zanim zdołałem go uspokoić, i pokuśtykał w mrok alejki.

Usiłując złapać oddech, poszedłem za nim na sąsiednią ulicę. Maszerujący wracali na stadion. Rozlegały się trzaski zamykanych drzwiczek, trąbienie klaksonów i odgłos włączanych silników. Kumar zniknął, zapewne znalazł schronienie u znajomych, których odwiedzał. Młodzi Azjaci zmiatali szkło z chodnika do rynsztoków, paląc papierosy i wsłuchując się w odgłosy nocy.

Szedłem pustą ulicą, zagubiony w blasku stadionowych reflektorów. Po jej drugiej stronie wznosił się, niczym obdrapana góra lodowa, biały budynek starego kina z lat trzydziestych. Przez lata mieściła się w nim sala do gry w bingo, a obecnie hurtownia dywanów.

Przed sobą ujrzałem radiowóz, (echał cichą ulicą, jakby nic się nie stało. Wszedłem po schodkach do wnęki przy kasie z zamkniętymi okiennicami. Stare kino nie było już nawet cieniem siebie, a przemoc

dawno temu przeniosła się z jego ekranu na ulicę, jednak wyłożona kafelkami wnętrza, która skojarzyła mi się z publiczną toaletą, oferowała chwilowe schronienie.

Skryty w cieniu obserwowałem radiowóz, który zatrzymał się przed budynkiem kina, po czym błysnął światłami. Na siedzeniu dla pasażera rozpoznałem komisarza Leightona. Jego zdjęcie zamieszczone było w lokalnej gazecie, którą czytałem w barze przy szpitalu. Obok niego siedziała sierżant Falconer w czapce policyjnej na swoich nieskazitelnych włosach córki Renu. Czekali przed kinem, niczym zakochana para zastanawiająca się, czy zobaczyć podwójny seans, po czym zapalili światła i ruszyli dalej.

Obok kina był parking, pusty, jeśli nie liczyć zabłoconego rangę rovera. Kierowca patrzył na ulicę, rozmawiając przez komórkę. Mimo jego grubej kurtki myśliwskiej i filcowego kapelusza opuszczonego na oczy, bez trudu rozpoznałem Geoffreya Fairfaksa. Przy nim siedział krótko ostrzyżony mężczyzna w kozuchu. Przypominali miłośników polowań podążających za obławą, zadowolonych, że mogą oglądać łowy z wygodnego samochodu, wzmacniając się ciepłą brandy z termosów.

Ale może oni wcale nie podążali za tym polowaniem, lecz mu przewodzili? Za nimi siedziało dwóch mężczyzn w koszulkach z krzyżami św. Jerzego, muskularne ramiona mieli przyciśnięte do okien. Obaj rozmawiali swobodnie z Fairfaksem i mężczyzną obok niego, pokazując pobliskie skrzyżowanie, jakby opisywali przebieg bitwy i morale wojska.

Mężczyźni przekazali sobie plan miasta. Fairfax zapalił górne oświetlenie. Rzuciwszy okiem na plan, włączył silnik. I wtedy zobaczyłem, że w rangę roverze jest ktoś jeszcze.

Z tyłu, między dwoma osiłkami w koszulkach z krzyżami św. Jerzego siedziała z rozpuszczonymi włosami doktor Julia Goodwin.

Wróciłem do swojego samochodu, omijając Azjatów próbujących posprzątać witryny sklepów. Z jednego z domów unosiły się, blade w świetle reflektorów stadionowych, płomienie.

## 11. Ciężka noc

Podobnie jak w całej Anglii, również w Brooklands nic nie było tym, czym się początkowo wydawało. Przez następne trzy dni nie ruszałem się z mieszkania ojca, usiłując zrozumieć to na pozór cywilizowane podlondyńskie miasteczko – miasteczko, którego najznakomitsi mieszkańcy – wpływowy adwokat i komisarz policji – wspierali minirewolucję. Czy natrafiłem na ślad spisku, który teraz zaciskał swoje macki wokół mnie? I czy mój ojciec był jednym z jego przywódców?

Zamieszki przy stadionie, dowodzone przez Geoffreya Fairfaksa pod okiem komisarza policji, dogłębnie mną wstrząsnęły. Pijąc chyba trochę za dużo whisky słodowej swojego ojca, wpatrywałem się w parking za oknem, mając nadzieję, że zobaczę Kumara i przekonam go, że nie miałem nic wspólnego z tą awanturą. Podczas rozruchów ktoś uderzył mnie w czoło i teraz nad lewym okiem miałem odcisk sygnetu. Przeglądając się w lustrze w przedpokoju, widziałem posiniaczoną twarz Duncana Christiego, nakładającą się na moją.

W sumie czułem się jak rugbista po ciężkim meczu, (akim cudem, w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, mój ojciec radził sobie z wszechobecną przemocą i bandytyzmem? Wieczorem, oglądając telewizję ze ściszym dźwiękiem i z zaciągniętymi zasłonami, nasłuchiwałem tłumów zagrzewających do boju drużyny Metro-Centre. Na ulicach zawodziły syreny karetek pogotowia i wozów strażackich, jadących do podupadłych dzielnic pomiędzy centrum Brooklands a M25.

Nad miastami przy autostradzie zapadała ciężka noc, wiele cięższa niż londyńska różowa poświata. Pod przykrywką imprez sportowych dokonywano czystek etnicznych, to za cichym przyzwoleniem miejscowej policji. Przypomniałem sobie sierżant Falconer dającą sygnał światłami rangę roverowi Fairfaksa. Za pomocą podlanych patriotycznym sosem klubów kibica można było wystąpić przeciwko emigrantom i przegnać ich z podupadających ulic, by zrobić miejsce dla nowych galerii handlowych, przystani jachtowych i luksusowych osiedli.

Ale tu chodziło o coś więcej niż tylko grabież ziemi. Każdego wieczoru odbywały się mecze piłki nożnej i rugby oraz mityng lekkoatletyczny, w których drużyny Metro-Centre spotykały się z rywalami z innych miast przy autostradzie. Reflektory stadionowe jarzyły się w nocy niczym światła graniczne kolonii karnej albo obozu jenieckiego; nowy gułag, gdzie pracą przymusową były zakupy i wydawanie pieniędzy.

Mecze dobiegły końca, ale potem nastąpi! koncert na pięści i dachy samochodów – plemienne wezwanie do wszczęcia zamieszek. Audi, nissany i renaulty były nowymi tamtamami. Każdego dnia lokalna gazeta relacjonowała atak na schronisko dla azylantów, podpalenie banglijskiej restauracji z daniami na wynos czy zranienie młodego Kosowianina i wrzucenie go za ogrodzenie strefy przemysłowej. „Porządkowi z Metro-Centre”, zwykle kończyły się relacje, „nie dopuścili do eskalacji przemocy”.

W popołudniowym programie kanału telewizji kablowej David Cruise uśmiechał się porozumiewawczo do swoich gości. Patrzyłem na tego trzeciorzędnego aktorkę, przystojnego i na pozór sympatycznego, który słodkim głosem zachęcał do stosowania przemocy.

– ...Nie chcę być bezkrytyczny wobec Metro-Centre, ale konsumpcjonizm to coś więcej niż tylko kupowanie rzeczy. Zgodzisz się ze mną, Doreen? Cieszę się. To podstawowy sposób wyrażania naszych wspólnych wartości, sprzęgniętych z nadziejami i ambicjami. To, co widzimy tutaj, to konflikt filozofii spędzania wolnego czasu, starcie bardzo różnych stylów życia. Po jednej stronie – ludzie tacy jak my – lubimy rzeczy oferowane nam przez Metro-Centre i mamy zaufanie do wysokich wartości i ideałów centrum handlowego i jego dostawców. Razem prawdopodobnie lepiej reprezentują nasze interesy niż członkowie parlamentu. Nie, żebym coś do nich miał, proszę nie przysyłać do mnie emaili z pogroźkami. Po drugiej stronie są niskiej wartości oczekiwania społeczności emigrantów. Ich stłamszone kobiety przebywają na emigracji wewnętrznej. Nigdy nie zaznały godności i wolności wyboru, którymi my cieszymy się w naszym konsumenckim raj. Prawda, Sheila?

Jak zawsze jego goście kiwali głowami na znak zgody, siedząc na czarnych skórzanych sofach w studiu na półpiętrze z olbrzymimi misiami w tle. Ta noc przyniosła ataki na azjatyckie sklepy, których dokonały gangi kibiców piłki nożnej i rugby, oraz spalenie hurtowni tkanin. Jak zawsze policja przyjechała dziesięć minut po wozach strażackich. W ogólnokrajowej prasie pojawiło się zaledwie kilka wzmianek na ten temat. Dziennikarze wrzucili zamieszki w Brooklands do jednego worka z awanturami kibiców i burdami pijackimi wszczynanymi w prowincjonalnych miastach.

Jaką rolę odegrał w tym wszystkim mój ojciec? Pomyślałem o starym pilocie siedzącym przy biurku w zagraconej komórce, z deską do prasowania i stertą koszulek z krzyżami św. Jerzego, otoczonego przez swoją ponurą bibliotekę, w kapliczce bogów ekstremizmu. Czy był ofiarą

ultraprawicowego zamachu stanu, starym żołnierzem, który stracił równowagę na śliskiej powierzchni politycznej wojny o wpływy? Całkiem prawdopodobne, że nie był wcale przypadkową ofiarą, ale prawdziwym celem zabójcy.

Czy strzelanina stanowiła próbę zniszczenia centrum? W dodatku specjalnym poświęconym wielkim centrom handlowym „Financial Times” donosił, że obroty Metro-Centre w ostatnim roku przestały rosnąć, ponieważ urok nowości przeminął i klienci zwrócili się ku tańszym galeriom handlowym.

Strzelanina, w wyniku której niektórzy klienci zostali zabici, a inni ranni, musiała spowodować znaczący spadek sprzedaży, niezależnie od tego, co twierdził Tom Carradine. Jednak poważni spiskowcy nie ryzykowaliby wynajęcia takiego świra jak Duncan Christie. W tej samej chwili uświadomiłem sobie, że trudno jest wierzyć świadkom, którzy go oczyścili. Pomyślałem o Julii Goodwin, siedzącej pomiędzy osiłkami z tyłu samochodu Fairfaksa, podczas gdy sam Fairfax przypatrywał się planowi miasta, obmyślając działania wojenne.

Chciałem spotkać ją znowu, ale wszystko, co się z nią wiązało, wydawało się zbyt ulotne. W Holiday Inn, obok spokojnych wód sztucznego jeziora, była nerwowa i napastliwa, a poza tym nie potrafiła w przekonujący sposób wytłumaczyć, dlaczego pojawiła się na pogrzebie mojego ojca. Jednocześnie miałem pewność, że chciała powiedzieć mi coś o jego śmierci, może nawet więcej, niż chciałbym wiedzieć.

Cały wieczór był starannie opracowanym podstępem, niezdarnie ułożoną wycieczką po Brooklands i jego mrocznych zakamarkach. Musiała wiedzieć, że dojdzie do zamieszek i chciała, bym stał się ich świadkiem. Ale czy uczyniła to po to, bym trzymał się z daleka, czy też chciała wciągnąć mnie do spisku? Tak duża część życia klasy średniej leżała w ukryciu, że uczciwość i szczerłość wydawały się najbardziej pokretną strategią ze wszystkich. Najoczywistsze kłamstwo leżało najbliżej prawdy.

Myśląc o tej humorzastej młodej pani doktor, przeniosłem się z picciem do komórki. Lekko wstawiony, patrzyłem na wyłączony komputer i biografie faszystowskich przywódców. Postawiłem szklankę na desce do prasowania i dotknąłem jednej z koszulek z krzyżem św. Jerzego. Niemal bez zastanowienia uniosłem ją, wygładziłem i włożyłem przez głowę.

Stanąłem przed lustrem, uświadamiając sobie, że po ulicznej awanturze mam zaczerwienioną skórę. Mój ojciec skurczył się w ostatnich latach życia, co wywnioskowałem z jego fotografii. Koszulka ścisnęła mnie

niczym ramiona pełnego aprobaty rodzica.

## 12. Baśniowe pałace

Siedziałem w samochodzie przed liceum w Brooklands, czekając na wyjście ostatnich uczniów. Rojąc się obok mnie, wypełniali pobliskie ulice hałasem i anarchią – nastoletnia hałastra, która pewnego dnia rozleje się po całym świecie. Lubiłem ich wszystkich: okrutnych i niechlujnych chłopaków z ich surrealistycznym poczuciem humoru oraz okrutne i wyniosłe dziewczyny.

Kiedy również nauczyciele odjechali, wysiadłem z samochodu i poszedłem drogą dojazdową zaśmieconą papierkami po cukierkach, petami i puszkami po coli, smętnymi pozostałościami po tej zarazie. Wszedłem do holu, wciąż rozbrzmiewającego echem krzyków i gwizdów, przesyconego smrodem testosteronu i brudnych strojów sportowych.

Sekretarka potwierdziła, że dyrektor się ze mną spotka. Zakładając, że jestem potencjalnym rodzicem, z pewnością będącym rozczarowanym tą przeludnioną szkołą, starała się być radosna i miła. Powiedziała mi, że pan Sangster jest w bibliotece, ale niedługo do mnie przyjdzie.

Czekałem przed gabinetem przez równy kwadrans, po czym udałem się na poszukiwania. Domyślałem się, że William Sangster, jeden z trzech świadków zeznających na korzyść Duncana Christiego, nie będzie zbyt skory do rozmowy ze mną, skoro przyczynił się do uwolnienia człowieka, który oskarżony był o zabicie mojego ojca. Nawet pół życia strawione na użeraniu się z niezadowolonymi rodzicami i regionalnymi komisjami do spraw oświatowych mogło być niewielką pomocą w uporaniu się z synem rozpaczliwie pragnącym zemsty.

Biblioteka okazała się labiryntem książek z oślimi uszami, liścików miłosnych i niedopałków papierosów zalegających po kątach. Sangster wyszedł kilka chwil przede mną. Słyszałem odgłos jego kroków w korytarzu. Mijałem puste sale lekcyjne. W jednej z nich zobaczyłem siedzącą przy tablicy nauczycielkę, pochyloną nad zeszytami. Odruchowo skinąłem głową. W końcu ujrzałem mężczyznę w czarnym płaszczu, kierującego się szybkim krokiem w stronę sali gimnastycznej.

Przemierzaliśmy razem sprężynującą drewnianą podłogę. Dzielilo nas piętnaście jardów wypolerowanej powierzchni. Szliśmy równym krokiem, niczym tancerze w tańcu synchronicznym. Sangster poruszał się szybko, ale wreszcie, kiedy znaleźliśmy się w części budynku, w której zajęcia miały najstarsze roczniki, udało mi się go dogonić.

Poddał się ze zrezygnowanym teatralnym gestem i zaczeka! na mnie,

strącając łupież z płaszcza. Był to ogromny mężczyzna, z potężnymi rękami i ramionami oraz pulchną, dziecinną twarzą, o wiele młodszy, niż się spodziewałem. Uniknął mojej wyciągniętej ręki i przez chwilę zastanawiałem się, czy nie jest oszustem, trzydziestopięcioletnim aktorem, który przypadkiem objął kierownictwo tej beznadziejnej szkoły i teraz już tylko szukał drogi ucieczki. Zauważył, że ominąłem trzy opakowania po prezerwatywach leżące na podłodze.

– Przy... – zająknął się, pokazując na opakowania i uśmiechnął się ponuro. – Przynajmniej ich czegoś nauczyli śmy, panie...?

– Pearson. Byliśmy umówieni. Richard Pearson.

Wpatrzył się w moją uniesioną rękę, zupełnie jakbym próbował sprzedać mu jakiś artykuł erotyczny, i wyjął palec wskazujący ze swoich dziecinnych ust.

– A, prawda. Pański ojciec...

– ...umarł w wyniku strzelaniny w Metro-Centre. Był pan tam wtedy.

– Pamiętam. – Popatrzył na opakowania prezerwatyw. – Straszna tragedia. Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy współczucia.

Zaciągnął mnie do pustej sali lekcyjnej i po dłuższym zastanowieniu posadził w ławce w pierwszym rzędzie. Kiedy usiadłem, zaczął chodzić wzdłuż tablicy, zatrzymując się, by zetrzeć cyfry w równaniu matematycznym. Najwyraźniej był jednym z tych dużych ludzi, którzy nigdy nie wiedzą, co począć ze swoim ciałem. Spojrzał na lewą rękę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu, nie będąc pewien, jak dopasować tę kończynę do obrazu siebie, który miał w umyśle.

Nie mogąc doczekać się puenty, zmęczony humorami tego dosyć dziwnego człowieka, powiedziałem:

– Panie Sangster, jest pan najwyraźniej zajęty. Czy mogli byśmy...

– Oczywiście. – Usiadł na krześle przy biurku, uśmiechając się przyjaźnie. – W tej strzelaninie zostało rannych dwoje rodziców naszych uczniów. Za wszelką cenę chce pan dowiedzieć się, kto zabił pańskiego ojca. Ale nie jestem pewien, czy mogę coś dla pana zrobić.

– Cóż... w pewnym sensie już pan zrobił.

– Naprawdę? Niby jak?

– Pomógł pan oczyścić z podejrzeń Duncana Christiego.

Sangster odchylił się do tyłu i oparł głowę o tablicę, prze chodząc do porządku dziennego nad moją obcesowością.

– Zeznałem, że widziałem Christiego w wejściu do cen trum, kiedy rozległy się strzały. Nie pomogłem go oczyścić. To nie pozostaje w mojej gestii. To było zeznanie naocznego świadka.

– Był pan w ogóle w Metro-Centre?

– Oczywiście. Tak jak i dwóch pozostałych świadków.

• – Wiem. Z jakiegoś powodu to mi nie daje spokoju. Starając się nie niepokoić tego i tak podenerwowanego człowieka, przywołałem na twarz swój najbardziej przyjacielski uśmiech, który w pracy rezerwowałem dla najlepszych klientów, i który, miałem nadzieję, porzuciłem na zawsze. Wszyscy go znaleźcie. Czy to nie dziwne?

– Niby czemu? – Krzesło odchyliło się do tyłu. Sangster popatrzył na mnie znad biurka, wydymając pulchne policzki niczym ryba z rodziny rozdymkowatych, szacująca rozmiary swojej ofiary. – W innym wypadku nie moglibyśmy go rozpo znać. Dlaczego mielibyśmy kłamać?

– W tym właśnie problem. Trudno wymyślić jakiś wspólny motyw...

– Panie Pearson, czy pan sugeruje, że spiskowaliśmy, aby uwolnić Christiego? – Dotknął tablicy za swoją głową, uda jąc, że nie zależy mu na odpowiedzi. – Tacy szanowani oby watele jak my?

– To prawda, jesteście szanowanymi obywatelami. Prawie za bardzo. Możliwe, że widzieliście kogoś podobnego do Christiego. Możecie myśleć, że to był właśnie on i dlatego wydaje się wam niewinny.

– On jest niewinny, panie Pearson. Uczyłem go. Przez trzy lata uczyłem go matematyki, właśnie w tej klasie. Sie dział dokładnie w tej ławce, w której siedzi teraz pan. Ktoś oddał te strzały, ale nie Duncan Christie, fest zbyt niepewny, zbyt nieobliczalny. Wykonywał dla mnie drobne prace, takie jak naprawa ogrodzenia albo koszenie trawy. Pracuje ciężko przez pięć minut, a potem nagle jego myśli odpływają nie wiadomo dokąd, rzuca wszystko i znika na tydzień. Jego mózg jest czymś w rodzaju teatru, w którym gra w gierki ze swoim rozsądkiem. On nie zabił pańskiego ojca.

– Dobrze. – Wstałem z mozołem z za poplamionej atra mentem ławki. – Właściwie zgadzam się z panem.

– Zgadza się pan? Świetnie. – Sangster również wstał i strzepnął biały pył z płaszcza, odwrócone kredowe równania spadły na podłogę przy jego wielkich stopach. Wskazał mi drzwi. – Ale właściwie, dlaczego?

– Widziałem, jak wychodził z sądu. Zgrywał się na mor dercę, żeby wyprowadzić wszystkich z równowagi. Przestał udawać dopiero wtedy, gdy mnie rozpoznał. Wiedział, że to nie gra. Prawdziwy zabójca nie zrobiłby tego.

– Co racja, to racja. – Sangster pokiwał głową w zadu mie. – Wiele przeszedłeś, Richard, a zachowałeś przenikli wość. To może wyglądać na spisek, ale wielu z nas znało Duncana Christiego i nie pozwolimy, żeby

został wrobiony...

Szliśmy korytarzem. Ogromna sylwetka Sangstera wypełniała prawie całą wąską przestrzeń. Wyraźnie mu ulżyło, klepał mnie po ramieniu, jakbym był jego uczniem, który nagle pojał zawiloci rachunku różniczkowego. Zamknął drzwi swojego gabinetu, odcinając nas od zaintrygowanej sekretarki, wyjął dwa kieliszki i butelkę sherry, po czym usiadł za biurkiem. Wciąż mając na sobie płaszcz, patrzył, jak piję słodki trunek. Jego dziecinne usta naśladowały moje.

– Rodzicielskie sherry – powiedział mi. – Czyni dni krótszymi i pomaga znośić tę pracę.

– No cóż, doskonale cię rozumiem. Niełatwo wbić coś do głów sześciuset nastolatkom pośrodku tego cyrku. – Pokazałem na kopułę widoczną za oknem. – Zbyt dużo sezamów i baśniowych pałaców pełnych skarbów.

– Jedynymi realnymi rzeczami są miraż. Możemy sobie z nimi poradzić. Wiem, jak się czujesz, Richard. Staruszek został zabity bez powodu. Jedynym wspólnym elementem jest Metro-Centre. To tłumaczy wszystko.

– Mojego ojca i cały ten konsumencki koszmar? Myślę, że jest jakiś związek. Większość ludzi staje się szalonymi, nie uświadamiając sobie tego.

– Wszystkie te galerie handlowe, lotnisko i cywilizacja au tostrady. To nowy rodzaj piekła... – Sangster wstał i przyciśnął swoje wielkie ręce do policzków, jakby starał się wypuścić z siebie powietrze. – To Hampstead widziana z perspektywy Tavistock Clinic. Cień pomnika Freuda pada na te tereny, w duszę sączy się trucizna. Uwierz mi, tutaj wszystko jest inne. Musimy przygotować nasze dzieci do nowego typu społeczeństwa. Nie ma potrzeby mówić im o demokracji parlamentarnej, kościele czy monarchii. Stare idee, którymi ty i ja byliśmy karmieni, opierają się na egoizmie. Całe to gada nie o prawach jednostki, *habeas corpus*, przewadze jednostki nad ogółem...

– A wolność wypowiedzi, prawo do prywatności?

– Na co ci wolność wypowiedzi, jeśli nie masz nic do powiedzenia? Spójrzmy prawdzie w oczy, większość ludzi nie ma nic do powiedzenia i doskonale o tym wie. Na co komu prawo do prywatności, skoro staje się ono prywatnym więzieniem? Konsumpcjonizm jest wspólnym doświadczeniem. Lu dzie tutaj chcą je dzielić i celebrować, chcą zbierać się razem. Kiedy idziemy na zakupy, jesteśmy częścią zbiorowego aktu

afirmacji.

– Więc bycie nowoczesnym w dzisiejszych czasach oznacza pasywność?

Sangster uderzył dłonią w biurko, przewracając podstawkę na pióro. Pochylił się w moim kierunku, poły wielkiego płaszcza zwisały przed nim.

– Zapomnij o byciu nowoczesnym. Pogódź się z tym, że modernistyczne idee wprowadzały głębokie podziały społeczne. Modernizm nauczył nas nieufności i niechęci do siebie. Całe to indywidualne sumienie, ból samotności. Siłę napędową modernizmu stanowiły nerwice i alienacja. Popatrz na sztukę i architekturę tego okresu. Był w nich niezmierny chłód.

– A konsumpcjonizm?

– Celebryzacja bycia razem. Dzielenie snów i wartości, marzeń i przyjemności. Konsumpcjonizm jest optymistyczny i patrzy w przyszłość. Oczywiście wymaga od nas podporządkowania się woli większości. Stanowi nową formę polityki masowej. Jest bardzo teatralny, ale nam się to podoba. Opiera się na emocjach, ale jego obietnice są osiągalne, to nie tylko pusta retoryka. Nowy samochód, nowe narzędzia elektryczne, nowy odtwarzacz CD.

– A rozum? Nie ma już dla niego miejsca, prawda?

– Rozum, no cóż... – Sangster poruszył się za biurkiem, obgryzione paznokcie przyłożył do ust. – Ma zbyt dużo wspólnego z matematyką, a większość z nas ma kłopoty z liczeniem. Ogólnie rzecz biorąc, radzę ludziom, żeby się nim nie kierowali. W konsumpcjonizmie wynik równania jest zawsze dodatni. Kiedy coś kupujemy, podświadomie wierzymy, że dostaliśmy prezent.

– A polityka domaga się ciągłego strumienia prezentów? Nowego szpitala, nowej szkoły, nowej autostrady?

– Właśnie. Wiemy, co się dzieje z dziećmi, które nigdy nie dostają zabawek. Dzisiaj wszyscy jesteśmy dziećmi. Czy ci się to podoba, czy nie, tylko konsumpcjonizm może utrzymać współczesne społeczeństwo razem. Pociąga za właściwe emocjonalne sznurki.

– Więc liberalizm, wolność, rozum...

– Przegrały! Ludzie nie chcą już więcej odwoływać się do rozsądku. – Sangster pochylił się i poturlał kieliszek po biurku, jakby liczył na to, że sam stanie na nóżce. – Liberalizm i humanizm są czynnikami hamującymi rozwój społeczeństwa. Wykorzystują poczucie winy i strach. Społeczeństwa są szczęśliwsze, gdy ludzie wydają, a nie oszczędzają. To, czego w tej chwili nam potrzeba, to pewnego rodzaju entuzjastyczny

konsumpcjonizm, coś w stylu tego, który widzi się na targach motoryzacyjnych. Ludzie tęsknią za autorytetem i tylko konsumpcjonizm może im go dać.

– Kupujesz nowe perfumy, nową parę butów i jesteś szczęśliwszy i lepszy? I tego wszystkiego właśnie uczysz na sze dzieci?

– Nie muszę. To przychodzi z powietrzem, którym odry chają. Pamiętaj, Richard, konsumpcjonizm jest zbawczą ideologią. W swojej najlepszej postaci próbuje dokonać estetyzacji przemocy, chociaż niestety nie zawsze się to udaje...

Sangster wstał, po czym uśmiechnął się do mnie niemal pogodnie. Popatrzył na swoje wielkie dłonie, z radością akceptując je jako ciężko pracujące przyczółki własnego ciała.

Rozstaliśmy się na schodach budynku. Polubiłem tego człowieka, choć miałem nieodparte wrażenie, że zapomniał, kim jestem, jeszcze zanim mi pomachał na pożegnanie i wrócił do szkoły. Odszedłem, przedzierając się przez papierki po cukierkach, puszki po coli, pety i opakowania po prezerwatywach.

### **13. Duncan Christie**

Orkiestra dęta grała pełne życia wiązanki melodii, ponad miastem otwierały się parasolki jaskrawych różowoturkusowych fajerwerków, samochody trąbiły, a tłumy krzyczały i wiwatowały na widok balonu, który unosił się nad kopułą centrum handlowego, bardziej oniryczny niż cokolwiek, co zajmowało tego wieczoru nasze myśli. W weekend odbywał się sponsorowany przez Metro-Centre festyn sportowy, wypełniony większą ilością obietnic, niż nawet William Sangster mógłby sobie wyobrazić.

Jedząc późne śniadanie, słyszałem autokary przywożące drużyny i ich kibiców z miast przy autostradzie. Wieczorem, w świetle reflektorów, odbędą się „Igrzyska olimpijskie Doliny Tamizy”: mecze piłki nożnej i rugby, zawody lekkoatletyczne, runda eliminacyjna turnieju hokeja na lodzie oraz maratony i wyścigi kolarskie. Sport i zakupy będą świętować dwudniowe małżeństwo, a ślubu udzieli im David Cruise. Niebo stanie się namiotem weselnym, a gośćmi – południowoschodnia Anglia. W telewizji kablowej Metro-Centre prezenterzy zagrzewali widzów do boju, podkreślając, że „mecze nienawiści” drużyn hokejowych z okolic Heathrow, tak jak w ogóle wszystkie sporty kontaktowe, mają charakter

pojedyneków *mano a mano*.

O drugiej, kiedy w końcu dotarłem do Metro-Centre, plac przed Bramą Południową zajmował największy tłum, jaki widziałem w Brooklands, zgromadzenie wiernych, którzy mogliby wypełnić kilkanaście katedr. Klienci centrum prowadzili pogawędki, a sprzedawcy w oficjalnych strojach trzymali w rękach afisze, na których wypisane były rabaty dnia; można się było z nich dowiedzieć, że obniżce ulegają ceny na odzież męską, mieloną wołowinę i kuracje botoksem. Ochroniarze mamrotali do mikrofonów wpiętych w klapy marynarek, a porządkowi w dresach Metro-Centre dbali o to, by nikt nie stał w ogrodzonym barierkami przejściu pomiędzy drogą dojazdową a wejściem do centrum.

Znaczącą siłę pośród zebranych stanowiły kluby kibica – podmiejska armia krzyżowców w koszulkach z krzyżami św. Jerzego. Zaparkowałem samochód na podziemnym parkingu, używając bezpłatnej VIPowskiej przepustki, którą otrzymałem od Toma Carradine'a. Wyszedszy z windy, zostałem wchłonięty przez drużynę piłkarską, biegającą i podskakującą w miejscu. Zapach potu i wesole okrzyki, stęknienia pełne bólu i jęki, niosły się w powietrzu w stronę okrągłego balonu. Nieopodal członkinie kobiecego klubu lekkoatletycznego ćwiczyły z wdziękiem, przechodząc z gracją uczennic szkoły tańca przez cały repertuar czirliderskich ruchów. Nigdzie nie zauważyłem żadnego policjanta.

Do jedyne go zakłócenia porządku doszło obok drogi dojazdowej. Przy krawężniku stał wysłużony pickup. Nie był to dzień na parkowanie w niedozwolonych miejscach, grzech ciężki mieszkańców przedmieść, któremu ulegali wszyscy, podobnie jak wystawianiu czeków bez pokrycia i przekraczaniu limitu karty kredytowej. Tak jak cudzołóstwo i alkoholizm stanowiło to nieodłączną część spoiwa, które utrzymywało przedmieścia przy życiu.

Podszedłem do zdezelowanego samochodu. Tłum przy nim wydawał się mniejszy. Wokół mnie zabręczały nadajniki, rój pobudzony do życia przez intruza. Przy pace pickupa stał młody mężczyzna. Właśnie wyładowywał lodówkę. Wokół niego zdążyło już uformować się niewielkie zbiegowisko. Matki odciągały dzieci, które pokazywały go palcami. W szoferce siedziała czarna kobieta. Pochłonięta lekturą czasopisma zdawała się nie dostrzegać tłumu i męża. Jej córka bawiła się obok niej.

Ostatnim razem widziałem tego młodego człowieka przed budynkiem sądu. Teraz po raz pierwszy miałem okazję z nim porozmawiać. Porozmawiać z Duncanem Christiem.

Największa z rzeczy przywiezionych przez Christiego stała jeszcze na pace: dwukomorowa lodówka z chromowanymi drzwiczkami i dozownikiem kostek lodu, na tyle duża, że mogła stanowić część wyposażenia hotelowego baru. Wyczerpany młodzieniec oparł się o klapy paki samochodu i uśmiechnął do balonu Metro-Centre unoszącego się nad nim. Doszedł już do siebie po brutalnym potraktowaniu przez policję, ale jego twarz była posiniaczona, a cera ziemista, zupełnie jakby gwałtowne sztormy szalejące nad nim ostatnio pozostawiły na jego skórze cienie.

Jego rozcięte usta, krótkie włosy – ani chybi ostrzyżone elektryczną golarką podczas przerwy na herbatę na placu budowy – i ogólna aura zaniedbania sprawiały, że wyglądał na nieodpowiedzialnego i wiecznie rozkojarzonego, co zapewne stanowiło efekt uboczny uzależnienia od metadonu, którym szpikowano go podczas leczenia. Wszystko w nim, począwszy od jego ogromnych stóp w niedopasowanych adidasach, a skończywszy na nerwowym tiku w zakażonym po przekłuciu uchu, czyniło z niego miejskiego stracha na wróble, którego ktoś postawił tutaj, by niepokoił kamery ochrony.

Ale jego spojrzenie było spokojne i wydawał się nie mieć nic przeciwko balonowi leniwie unoszącemu się pięćset stóp nad nim, jakby miał nadzieję, że kamerzysta w gondoli nakręci skromną wystawę towarów, które znosił z pickupa.

Wzdłuż krawężnika stały sprzęty gospodarstwa domowego: wirówka, dwie lodówki, trzy pralki i mikrofalówka. Żadne z tych urządzeń nie było nowe, były za to dziurawe i zardzewiałe. Podobne urządzenia znajdowały się w każdym domu w Brooklands, jednak tutaj wyglądały cokolwiek surrealistycznie, niepomierne denerwując tłum. Stojąca obok mnie kobieta w średnim wieku szarpnęła smyczą swojego potulnego dotąd spaniela. Pies popatrzył na mnie i zawarczał groźnie.

– Dobra, mój mały cudzie techniki... – Christie przestał w końcu kontemplować balon i splunął w dłonie. – Czas cię dźwignąć, kochaniutka...

Objął lodówkę i, przechylając ją z boku na bok, przesunął w stronę opuszczonej tylnej klapy. Był silniejszy, niż sądziłem, miał twarde ręce dokera, ale lodówka okazała się dla niego za ciężka. Kiedy przechyliła się do przodu, jedno z jej drzwiczek otworzyły się i przytrzymały mu prawą rękę.

– Jezu! – Nie mogąc się ruszyć, z lodówką przyciśniętą do piersi, spojrział na nieruchomych widzów. – Czy żaden z was nie ma w sobie za

grosz pieprzonego chrześcijańskiego miło sierzdzia? Maya!

Jego żona zerknęła w lusterko wsteczne, oceniła sytuację i wróciła do lektury i zabawiania córeczki. Ruszyłem do przodu i zamknąłem drzwi lodówki, uwalniając zdrętwiałe palce Christiego, po czym pomogłem mu znieść olbrzymie urządzenie na ziemię. Oparł się o nie, niczym zmęczony Samson obejmujący słup świątyni.

– Dziękuję panu. Bardzo panu dziękuję. Dobry uczynek w dzisiejszych czasach wymaga odwagi.

Starsza kobieta w płaszczu z serży i toczku spiorunowała go wzrokiem, zirytowana jego wyraźną radością.

– Słuchaj no pan! – ryknęła. – Jest pan w nieodpowiednim miejscu. Chce pan zwrotu pieniędzy?

– Zwrotu pieniędzy? – Młodzieniec wyprostował się i wpatrzył w kobietę. – Nie chcę zwrotu pieniędzy, proszę pa ni. Ja chcę zadośćuczynienia.

– Zadośćuczynienia? Tego pan tutaj nie dostanie. – Kobieta odwróciła się do męża, który skinął do mikrofalówki, jakby rozpoznał starego przyjaciela, na którego przyszły ciężkie czasy. – Harry, jaki to dział?

– Mnie się pytasz?

– Tak, ciebie.

Sprzecząc się, odeszli w kierunku tamburmajerek maszerujących w miejscu obok orkiestry dudziarzy.

Christie stanął obok swojej wystawy sprzętu AGD. Zachowywał się przyjaźnie, choć spojrzenie miał pochmurne, jakby w jego głowie szalała nawałnica. Był szalką Petriego pełną zarazków, rozmazem grymasów i tików. Oparł się o lodówkę i splunął na ziemię, po czym przybrał pozę sprzedawcy, uśmiechając się dziko do swoich klientów.

– Czy mogę pani coś zaoferować? – Musnął ręką mikrofalówkę, adresując te słowa do młodej kobiety z córką pchającą mały wózek. – |eden właściciel, na chodzie, dodatkowo dodam kilka piersi kurczaka, może jeszcze cheesburgera. Odnowiona.

– Ile pan za nią chce? – Kobieta przebiegła palcem po tłuistej emalii. – I czy daje pan pisemną gwarancję?

– Pisemną? – Christie przewrócił oczami i zwrócił się do mnie: – Więc umiejętność czytania i pisania jednak nie zaniżyła? Pisemną, proszę pani?

– No wie pan, taki druczek.

– Druczek... – Młodzieniec zaczął przekrzykiwać orkiestrę. – Proszę pani, nic nie jest prawdą, nic nie jest nieprawdą! Nie mów nic, niczego nie uznawaj, wierz we wszystko...

Kobieta i jej córka odeszły, a wraz z nimi inni gapie. Ponieważ z jego publiczności ostałem się tylko ja, młodzieńcowi nie pozostawało nic innego, jak zwrócić się właśnie do mnie.

– Przypatruję się panu od dłuższej chwili. Wpadła panu w oko ta lodówka. Ta wielka. Mam rację?

Czekałem, podczas gdy Christie szacował mnie wzrokiem. W swoim szarym letnim garniturze musiałem wyglądać dla niego jak uosobienie tego wszystkiego, czego nienawidził, wytwór Metro-Centre i galerii handlowych. Byłem prawie pewien, że mnie nie pamięta. Aresztowanie, brutalność policji, rozprawa – wszystko to zniknęło w jakimś zsypie na śmieci z tyłu jego głowy.

– Tak, ta wielka. – Dotknąłem ogromnego wraka lodów ki. – Jak rozumiem, działa?

– Oczywiście. Wytwarza wystarczającą ilość kostek lodu, żeby zamrozić Tamizę.

– Ile za nią?

– Cóż... – Doskonale się bawiąc, Christie przymknął oczy. – Mówiąc szczerze, nie stać pana.

– Proszę się przekonać.

– W żadnym wypadku. Naprawdę, cena jest poza pana zasięgiem.

– Dwadzieścia funtów? Pięćdziesiąt?

– Niech pan da spokój... cena jest niewyobrażalna.

– Wal pan.

– Ta lodówka jest za darmo! – Na twarzy Christiego poja wił się niemal maniakałny uśmiech. – Za darmo!

– To znaczy?

– Gratis. Zero. Nie kosztuje ani jednego pensa, ani jedno go euro, zupełnie nic. – Poklepał mnie po ramieniu. – Za darmo. Nie do pomyślenia, prawda? Proszę spojrzeć na sie bie. Nie mieści się to panu w głowie. Nie może sobie pan z tym poradzić.

– Mogę.

– Wątpię. – Konfidencyjnym tonem dodał: – Przyjeż dżam tu w każdą sobotę. Wcześniej albo później zawsze ktoś zapyta: „Za ile?”. „Za darmo”, odpowiadam. Wszyscy są zszokowani, reagują, jakbym chciał ich złupić. To właśnie ro bi z wami kapitalizm. Nic nie może być za darmo. Nie jeste ście w stanie znieść tej myśli, chcecie wzywać policję, zasię gać rady swoich księgowych. Czujecie się bezwartościowi, przekonani, że zgrzeszyliście, uciekacie stąd co sil w nogach i kupujecie wszystko jedno co, byle tylko odzyskać spokój...

– Podoba mi się. – Poczekalem, aż zapali skręta. – Myślałem, że to będzie jakieś przedstawienie teatru ulicznego. Ale pan naprawdę ma coś ważnego do przekazania.

– Oczywiście. Maya, posłuchaj pana.

– To wyraz sprzeciwu wobec Metro-Centre i wszystkich innych centrów handlowych. Dlaczego po prostu ich nie spalić?

– To się da zrobić. – Christie zaciągnął się skrętem z ma rihuaną. – Podpali pan ze mną lont?

– Czemu nie. Mam własne porachunki z Metro-Centre. Mój ojciec zginął w wyniku strzelaniny, która się tutaj odbyła.

Christie wypuścił dym i spojrzał na mnie bez zaskoczenia. Jego twarz nic nie wyrażała, nie odzwierciedlała żadnych emocji. W umyśle tego człowieka nie było miejsca na ból, współczucie czy żal. Nieważne, czy przypomniał sobie, że to ja obserwowałem go przed budynkiem sądu. Zrozumiałem, że nawet jeśli to on odpowiadał za śmierć mojego ojca, wyparł wspomnienie tego wydarzenia.

– Pański ojciec? Trudno dziś coś uhandlować. – Odszedł ode mnie, bębniąc pięściami w pralki. Kiedy jego żona wy chyliła się z szoferki, zawołał:

– Maya! Maio brakowało! Prawie miałbym klienta.

– Christie, musimy jechać.

Mówiła cichym głosem, ale była zdeterminowana, patrzyła na męża niczym zmęczona pielęgniarzka. Nasze oczy się spotkały, potem odwróciła wzrok, zupełnie jakby była przyzwyczajona do radzenia sobie z przybłędami, których przyciągała jałowa gadka Christiego.

Pięćdziesiąt stóp dalej, przy krawężniku, zatrzymał się duży amerykański samochód – srebrny lincoln z logo stacji telewizyjnej. Wysiadł z niego szofer w stroju Metro-Centre. Okrążył auto, by otworzyć tylne drzwi. W stronę pojazdu ruszyła ekipa telewizyjna, eskortowana przez trzech umundurowanych strażników. Kamerzysta przykucnął, filmując pasażera siedzącego na tylnej kanapie, znajomą przystojną postać, która przyglądała się w lusterku swojej głębokiej opaleniznie.

David Cruise, z pełną telewizyjną charakteryzacją, przygotowywał się do ujęcia z wózka, które otwierało jego sobotni show. Kamera miała sfilmować go wychodzącego ze srebrnego lincolna, pozdrawiającego wiwatujących klientów i tamburmajorki, a następnie otwierającego pałac konsumpcjonizmu, na czele którego stał.

Orkiestra zaczęła grać *Hail to the Chief* i górna warga Cruise'a została

muśnięta uśmiechem – leciutkie drzenie, które w końcu objęło również mięśnie twarzy. Wzmocniony tym grymasem wyskoczył zwinnie z samochodu. Pozdrawiał widzów niczym wytrawny polityk, szczypiąc w policzek uszczęśliwioną starszą panią, wymieniając żarty z dwoma robotnikami w kombinezonach, wyłuskując z tłumu ludzi i obdarzając ich przeznaczonymi tylko dla nich uśmiechami. Rzuciły mi się w oczy jego brak agresji i delikatność rąk, które były wszędzie, niczym trzepoczące skrzydełkami wytresowane ptaki, ściskając, klepiąc, machając i salutując.

Ze szminką, różem i podkładem na twarzy Cruise wyglądał bardziej realnie niż w telewizji. Przypominał mi drugorzędnych aktorów, z którymi pracowałem, kiedy zajmowałem się produkcją reklam. Spoty telewizyjne zamazywały różnice między prawdą a iluzją, kreując świat, w którym fałsz stawał się prawdą, a prawda fałszem. Ludzie patrzący na Cruise'a, który kroczy! majestatycznie w kierunku Bramy Południowej, nie sprawiali wrażenia zaskoczonych, że ich ulubieniec ma makijaż, podobnie jak uważali za rzecz oczywistą, że wyolbrzymia zalety produktów, do których kupna tak łatwo ich było namówić. David Cruise, aktor grający role drugoplanowe w serialach telewizyjnych, w których zatrudniano go, gdy ich wskaźniki oglądalności spadały, był tworem całkowicie sztucznym, począwszy od talii w gorsecie, a na chłopięcym uśmiechu skończywszy. Ale w tę imitację jego widowia była skłonna wierzyć.

– Ma pan rację – powiedziałem do Christiego. – Nic nie jest prawdą i nic nie jest nieprawdą. Jak to dalej leciało? Nie mów nic, wierz we wszystko?

Młodzieniec stał tak blisko mnie, że słyszałem jego ciężki oddech. Jego płuca poruszały się w krótkich interwałach, jakby ciało rozpaczliwie próbowało odłączyć się od mózgu. Dotknięty głęboką amnezją patrzył na oddalającą się postać Davida Cruise'a, rozdzielającego tłum niczym mesjasz z przeceny. Podejrzywałem, że Christie jest o krok od ataku padaczki. Położyłem dłonie na jego spoconych ramionach, gotów podtrzymać go, gdyby miał upaść. Ale odepchnął mnie, wyprostował się i spojrzał na balon unoszący się ponad naszymi głowami. Sam siebie wpędził w tę amnezję, wyrażając nienawiść do tego pulchnego aktora, który ucieleśniał wszystko, czego nie cierpiał w centrum handlowym.

– Christie – czas na nas. – Zona chwyciła go za ramię i wyszeptwała na tyle głośno, że usłyszałem: – Moje kochanie jest już zmęczone.

– Kochanie nie jest zmęczone. Kochanie właśnie się bu dzi...

Odwróciłem się, nie chcąc być świadkiem ich małżeńskich gier, i naprzeciwko siebie ujrzałem wyglądających na oprychów porządkowych

w koszulkach z krzyżami św. Jerzego. Przepychali się przez dum, siłując się niczym zapaśnicy. Jakieś dziecko krzyczało, puściło smycz z doprowadzonym do obłędu terierem, który zaczął ujadać i gryźć. Usiłujący uciec mężowie wpadali na żony, ale do prawdziwego wybuchu paniki doszło dopiero wtedy, gdy przewróciła się na ziemię lodówka.

– Dobra! Mamy cię! – wrzasnęli porządkowi, przekrzykując orkiestrę dudziarzy. – Zabieraj stąd te śmieci!

O bok pickupa zaczęły uderzać pięści. Trzymając jedną ręką córkę, pani Christie zaczęła bić na oślep napastników. Jej obudzony z letargu mąż mocował się z przywódcą bandy, jasnowłosym osiłkiem w hokejowym ochraniaczu pod koszulką.

Cofnąłem się i straciłem równowagę, odepchnięty ramieniem przez solidnie zbudowaną kobietę z kaskiem rowerowym na głowie. Przez płataninę nóg, kolan i pięści zobaczyłem stojący za pickupem kabriolet. Mężczyzna, który z niego wyskoczył, przewiązał się w pasie skórzaną kurtką, chcąc prawdopodobnie dołączyć do bijatyki.

Przeszukiwał tłum, odpychając z całej siły każdego, kto zastąpił mu drogę. Był dobrze po pięćdziesiątce, miał prawie karykaturalną gniewną minę, ramiona boksera i ogoloną głowę bramkarza z nocnego klubu. Często pojawiał się w telewizji, ale ostatnim razem, kiedy go widziałem, siedział obok Geoffreya Fairfaksa w rangę roverze. Był to psychiatra Christiego, doktor Tony Maxted, trzeci ze świadków, którzy przyczynili się do jego uwolnienia.

Ujrzał mnie klęczącego przy tylnym kole pickupa i podszedł. Chwycił mnie za ramiona, niczym umięśniony pielęgniarz chorego umysłowo pacjenta. Roześmiał się wesoło, kiedy próbowałem odtrącić jego rękę. Podciągnął mnie na nogi i pchnął w stronę swojego samochodu.

– Pan Richard Pearson? Postanowiliśmy zabrać stąd pa na, zanim kogoś pan pobije. Myślę, że rodzina Christiech sa ma sobie poradzi...

## **14. W stronę świadomego szaleństwa**

Trzeci świadek.

Siedziałem w fotelu kubelkowym zrywnej mazdy. Doktor Maxted jechał jak wariat przez ulice wschodniego Brooklands. Minęliśmy więzienie dla młodocianych, potem skręciliśmy ostro i przejechaliśmy przez centrum biurowoprzemysłowe, gdzie laboratoria badawcze Siemensa, Motoroli i Astra Computers konkurowały z sobą za

dziewieczymi trawnikami i rabatkami przygaszonych żonkili, które poddały się, czekając na swojego Wordswortha. Pokonawszy ulicę magazynów z metalu i ze szkła, wjechaliśmy na dwupasmówkę, która prowadziła obok przystani i klubu narciarstwa wodnego zbudowanych przy sztucznym jeziorze.

Podejrzewałem, że Maxted stara się mnie zdezorientować, tworząc w mojej głowie labirynt tylnych uliczek i dróg dojazdowych. Kiedy po raz drugi mijaliśmy więzienie, poklepałem go po ramieniu, ale pokazał na drogę przed sobą, jakby chciał powiedzieć, żebym go nie rozpraszał.

Postanowiłem ustąpić i patrzyłem na twarde mięśnie jego szyi i krótko przycięte włosy na dużej głowie. Kierował tym potężnym samochodem z zaskakującym brakiem wdzięku, ledwo dotykał kierownicy i tylko muskał drążek skrzyni biegów, podczas gdy z całych sił naciskał pedał sprzęgła. Podobnie jak wielu innych psychiatrów musiał prowadzić jakąś grę z każdym, kto wkroczył na jego przestrzeń zawodową, odprawiając własne rytuały współczesnego szamana.

W końcu dojechaliśmy do Northfield Hospital, szpitala psychiatrycznego, w którym przebywał Duncan Christie. Zatrzymaliśmy się przed szlabanem. Maxted nacisnął klakson, by obudzić strażnika, który drzemał nad popołudniową gazetą. Minęliśmy kompleks sportowy z halą gimnastyczną, bloki z mieszkaniami dla pracowników i międzywyznaniową kaplicę, która przypominała awangardowy pisuar. Zaparkowaliśmy przed głównym budynkiem administracyjnym i weszliśmy do niego bocznym wejściem, skrytym za parawanem rododendronów. Maxted wsunął swoją kartę chipową do czytnika i poprowadził mnie do przypominającej trumnę windy.

Kiedy jechaliśmy w górę, przyglądał mi się bacznie, bez słowa kiwając głową.

– Dzięki za magiczną podróż – powiedziałem. – Niezły samochód, co szczególnie dobrze widać było na tak skomplikowanej trasie.

– Czy to komplement? – Maxted poluzował krawat. – Nie próbowałem pana zmylić. Zrobiłbym to, gdybym pojechał prosto. Podziwiam, że w ogóle znalazł pan drogę do Brook lands.

– Nie jestem tego pewien...

Wysiedliśmy z windy i znaleźliśmy się w pozbawionym okien holu. Po wstukaniu kodu psychiatra poprowadził mnie korytarzem do przestronnego apartamentu, prawdopodobnie późniejszej dobudówki ze szkła i aluminium. Ogromne balkony wychodziły na budynki szpitalne poniżej. Milę dalej, za podwójnymi nitkami autostrad i strefą przemysłową

wznosiła się kopia Metro-Centre, balon unosił się ponad nią niczym dusza na uwięzi.

Maxted pokazał na drodze, acz anonimowe wyposażenie wnętrza, czarne skórzane sofy i chromowane lampy oświetlające dalekie obszary dywanu, po których zapewne jeszcze nikt nie stąpił. Przypomniało mi się studio telewizyjne, w którym brylował David Cruise. Prezenter telewizyjny i psychiatra działali w pewnym sensie na tym samym polu, zamieniając świat w minimalistyczną konstrukcję, w której istoty ludzkie były intruzami. Regały na książki były oczywiście puste, a w spartańskiej jadalni stół czekał na gości, którzy nigdy nie przyjdą.

– To nic innego jak luksusowa kurna chata... – Maxted machnął lekceważąco ręką na niskie pomieszczenie, ale wy dawał się odprężony i pewny siebie, chodząc dziarskim krokiem, jakby to mieszkanie odzwierciedlało jego sekretne wyobrażenie o nim samym. – Nowe skrzydło badawcze zostało sfinansowane przez DuPonta. Pomagałem pozyskiwać środki. To przyniosło mi kilka korzyści, jak na przykład posiada nie własnej windy. Łagodzi ból istnienia.

– Naprawdę odczuwa pan jakiś ból?

– Proszę wierzyć, że tak. Zresztą, powinien być pan przyzwyczajony do takich rzeczy. Wielka londyńska agencja, siedmiocyfrowa pensja, opcja na akcje, dwupoziomowe mieszkanie... Mam rację?

– Nie. Tak się składa, że zostałem wylany. – W głosie Maxteda usłyszałem nutkę tęsknoty, nie było w nim jednak zazdrości. Najwyraźniej cieszył się z życia, którego ten luksusowy apartament stanowił oznakę. Wskazałem na Metro Centre, niepewny, dlaczego przywiózł mnie do szpitala. – Stąd nie wygląda na takie duże. Najlepszy widok w Brooklands.

– Nawet jeśli mieszka się w domu wariatów? – Roześmiał się głośno i podszedł do barku. Wrócił z karafką i dwiema szklankami. – Laphroaig – tylko dla wyjątkowych pacjentów.

– Jestem pańskim pacjentem?

– Jeszcze nie wiem. – Wskazał mi fotel naprzeciwko siebie. Zlustrował mnie wzrokiem, zatrzymując się na zdartych, ale drogich butach. Postanowiłem nie mówić, że nigdy już nie będzie mnie stać na następną parę. Siorbał whisky, uciekając się do swojego szorstkiego uroku, by mnie do siebie przekończyć. Był silny fizycznie, ale niepewny, chętnie krył się za pan cerzem szklaneczki trunku. Podejrzywałem, że wiedział o mnie wszystko i że Geoffrey Fairfax zdał mu relację z mojego dochodzenia.

– No dobrze... – Odstawił szklanekę. – Proszę mi powiecie, lubi pan

przemoc?

– Przemoc? A który mężczyzna jej nie lubi? – Czułem, że whisky rozwiązuje mi język. – Tak, chyba tak. W każdym razie lubiłem, gdy byłem młodszy.

– Dobrze. To wygląda mi na szczerą odpowiedź. Bójki po meczach rugby, rozróby w klubach nocnych – tego rodzaju rzeczy?

– Tego rodzaju rzeczy.

– Uprawiał pan boks w szkole?

– Do chwili, gdy go zakazali. Żeby obejść zakaz, zakładaliśmy kluby sztuk walki. Nazywaliśmy to zajęciami samoobrony.

– Kopanie, rzucanie przeciwnika na matę... – Maxted uśmiechał się nostalgicznie. – Co pana w tym pociągało?

– Jednym słowem? – Odwróciłem wzrok, zmieszany jego rozpalonym spojrzeniem. – Niebezpieczeństwo.

– Co jeszcze?

– Strach, ból, wszystko, co wiązało się z łamaniem zasad. Większość ludzi nigdy sobie nie uświadamia, jak bardzo są brutalni. Albo jak dzielni, kiedy się ich przyciśnie do muru.

– No właśnie. – Maxted pochylił się, zaciskając pięści. Za pomniął o whisky. – Wtedy przekonujesz się o własnej wartości, nawet jeśli ktoś roztrzaskuje ci głowę.

– Pan też trenował boks?

– Bardzo dawno temu. Jeszcze na studiach. Ale pamięć tam, jakie to uczucie. Po trzech rundach zmartwychwstajesz. – Wyjął korek z karafki. – Na tym polega problem z wideo konferencjami. Pierwotna agresja zostaje stłumiona, żadnych lewych prostych czy haków przyłożonych do szyi. Nasz gatunek ma niewiarygodną potrzebę agresji. Sporty ekstremalne nie wystarczą. Musi być coś jeszcze.

– Jest. Dobrze pan o tym wie, doktorze.

– Wolałbym usłyszeć to od pana.

Wpatrzyłem się w kopułę, starając się przeniknąć sposób myślenia tego nieszablonowego psychiatry, niemal równie dziwnego jak jego pacjenci. Zaczynał zapadać zmierzch i światła wewnątrz czyniły Metro-Centre podobnym do podświetlanej dyni.

– Niebezpieczeństwo – powiedziałem. – Ból, strach przed śmiercią. I niewątpliwie szaleństwo.

– Szaleństwo... oczywiście. – Smakując to słowo, Maxted wyciągnął się na sofie, opierając grubą szyję o jej czarną skórę. – To prawdziwy powód, prawda? Możliwość rozmyślnej utraty kontroli nad sobą.

– Panie doktorze, czy możemy...?

– Racja. – Wyciągnąwszy ze mnie odpowiedź, jakiej ocze kiwał, Maxted klasnął w ręce. Odstawił karafkę, robiąc miej sce na stole. – Przejdźmy do meritum. Przywiozłem cię tutaj, Richard, bo są rzeczy, o których powinniśmy porozmawiać. Przebywasz w Brooklands zaledwie od kilku tygodni i szcze rze mówiąc, wystarczy. Na każdej ulicy burdy, bijatyki kibi ców sportowych, cała ta głupia sprawa z Christiem dzisiaj po południu... Jesteś magne sem przyciągającym przemoc.

– Próbuję po prostu ustalić, kto zabił mojego ojca. Do chodzenie policyjne utknęło w martwym punkcie.

– Nieprawda. – Machnął ręką. – Posłuchaj. Jest mi bar dzo przykro z powodu twojego staruszka. Straszny sposób rozstania się z tym światem. Czasami koło się obraca i wi dzisz tylko zera. Okropny wypadek.

– Wypadek? – Uderzyłem szklanką o stół. – Ktoś do nie go strzelał. Może Duncan Christie albo...

– Zapomnij o Christiem. Szczekasz pod niewłaściwym drzewem.

– Policjanci wcale tak nie uważali. Do momentu, gdy po jawiłeś się ty i inni „świadkowie”, był głównym podejrzanym.

– Policjanci zawsze wyciągają pochopne wnioski. To część ich pracy, w ten sposób budują zaufanie społeczeństwa. Widziałeś dzisiaj Christiego. Nie potrafi się skoncentrować na tyle długo, żeby wymienić bezpiecznik, a co dopiero zapla nować zamach.

– Zamach? – Odwróciłem się do kopuły, która wydawała się większa, świecąc w zapadającym mroku. – To oznacza, że chodziło o kogoś ważnego. Kogo dokładnie?

– Kto był celem? Trudno powiedzieć. David Cruise?

– Prezenter telewizji kablowej? Kiedyś z nim pracowałem. Kompletnie zero. Dlaczego ktoś chciałby zamordować Davida Cruise'a?

Maxted uśmiechnął się do karafki.

– Są ludzie, którzy podaliby ci ze sto powodów. Ma wiel kie zaplecze polityczne. Sprzedaż w Metro-Centre nie wzra sta, ale bez Davida Cruise'a zupełnie by podupadła. Mówi się, że chce założyć partię.

– Jedną z tych, których członkowie maszerują w brunat nych koszulach? Zamierza zostać Oswaldem Mosleyem przedmieść? Nie sądzę, żeby był na tyle przekonujący.

– Wcale nie musi być. Odwołuje się do czegoś zupełnie innego. To bardziej twój świat niż mój. Polityka epoki telewi zji kablowej. Przelotne wrażenia, iluzja znaczenia pływająca po morzu nieokreślonych uczuć. Mówimy o polityce wirtual nej, niezwiązanej z żadną rzeczywistością,

polityce, która przedefiniowuje w ogóle samo pojęcie rzeczywistości. Ludzie chętnie dają się oszukiwać. Czy Cruse'owi właśnie o to cho dzi? Wątpię.

– W takim razie, kto miał być celem? I kto zabił mojego ojca?

– Trudne pytanie, a oczywiście chcesz znać odpowiedź...

Maxted zrobił gest, jakby próbował wywołać dzina z karafki, i przypomniałem sobie, jak siedział u boku Geoffreya Fairfaksa w rangę roverze, a radiowóz dał im sygnał światłami. Postanowiłem jednak nic nie mówić, mając nadzieję że sam pozwoli sobie na niedyskrecję. Mimo całej twardości, był czymś zaniepokojony i bardziej bezbronny, niż początkowo mi się wydawało. Wstał i przeszedł chwiejnym krokiem po dywanie, jakby odtwarzał zapomniany krok taneczny.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zapytałem:

– Nie moglibyśmy trochę bardziej przycisnąć policji? Do wiedzieć się, kto jest aktualnym podejrzanym? Doktorze Maxted?

– Policji? Będą wzruszeni nadzieją, jaką w nich pokła dasz. Nie zdają sobie sprawy z tego, jak bardzo wszystko wokół się zmieniło. Nie są w tym osamotnieni. Londyńczycy nie rozumieją, że właśnie tu leży prawdziwa Anglia. Parlament, West End, Bloomsbury, Notting Hill, Hampstead – to dzie dzictwo Londynu, podtrzymywane przez kulturę wieczornych przyjęć. To tutaj, wokół M25, mamy do czynienia z prawdziwym życiem. To jest dzisiejsza Anglia. Rządzi nią konsumpcjonizm. Ludzie jednak są znudzeni. Stoją na krawędzi, czekając na nadejście czegoś dużego i dziwnego.

– Wygląda na to, że są przerażeni.

– Oni chcą być przerażeni. Chcą poznać strach. A może chcą stać się trochę szalonymi. Rozejrzyj się wokół. Co wi dzisz?

– Lotnicze magazyny. Centra handlowe. Luksusowe rezydencje. – Maxted słuchał mnie z ponurą miną, kiwając głową. – Dlaczego ludzie stąd nie wyjeżdżają? – zapytałem. – Dla czego nie wyjechaliście?

– Dlatego, że nam się tutaj podoba. – Uniósł ręce, jakby nie chciał dopuścić, żebym mu przerwał. – To nie jest przedmieście Londynu, to przedmieście Heathrow i M25. Mieszkańcy Hamstead i Holland Park patrzą na nie z autostrady, kiedy mkną do domów ze swoich domków w West Country. Widzą anonimową, położoną między miastami bezładną zabudowę, koszmarnie tereny pełne policyjnych kamer i psów obronnych, miejsce pozbawione tradycji i ludzkich wartości.

– Bo tak jest. Byłem tam. To ogród zoologiczny nadający się tylko dla psychopatów.

– Oczywiście. Za to właśnie je lubimy. Lubimy dwupa smówki i parkingi. Lubimy architekturę wieży kontroli lotów i przyjaźnie, które trwają jedno popołudnie. Nie ma autorytetów mówiących nam, co powinniśmy robić. To nie jest Islington ani South Ken. Nie ma tutaj tych wszystkich zbytków. Lubimy dobrobyt, którego oznaką jest sprzedaż samochodów i sprzętów AGD. Lubimy drogi, które prowadzą obok lotnisk, lubimy biura frachtu lotniczego i wypożyczalnie furgonetek, lubimy wykupione pod wpływem impulsu wycieczki do miejsc, do których akurat mamy fantazję pojechać. Jesteśmy obywatelami centrów handlowych i przystani jachtowych, Internetu i telewizji kablowej. Lubimy to wszystko i wcale nam się nie spieszy, żebyś do nas dołączył.

– A kto mówi, że bym chciał? Wierz mi, wyjadę stąd tak szybko, jak tylko będę mógł.

– To dobrze. – Maxted pokiwał energicznie głową. – Brooklands jest niebezpieczne. Może ci się stać krzywda. Miasta przy autostradzie to miejsca pełne przemocy. Nie mówimy o jednostkach. Mówimy o psychologii zbiorowej. Całe to miasto samo się prosi o kłopoty. Wszyscy ci kibice sportowi to po prostu bandyci w koszulkach z krzyżami św. Jerzego.

– Mój ojciec mógł mieć ją na sobie, kiedy został postrzelony. Emerytowany pilot po siedemdziesiątce. Sąsiedzi, którzy są Azjatami, wyraźnie się go bali. Patrzyli na mnie, jak bym był członkiem Frontu Narodowego.

– Może jesteś, nie uświadamiając sobie tego. – Maxted powiedział to bez ironii. – Musisz pomyśleć nie tylko o Brooklands i Dolinie Tamizy, ale o Anglii jako całości. Kościoły zieją pustką, monarchię zgubiła jej własna próżność. Polityka jest oszustwem, a demokracja tylko jeszcze jednym udogodnieniem, jak gaz czy elektryczność. Prawie wszyscy pozbawieni są wrażliwości obywatelskiej. Konsumpcjonizm to jedyne na rzecz, która daje poczucie wartości. Jest szczerzy i uczy nas, że wszystko, co dobre, ma kod kreskowy. Doprowadziło nas do niego wielkie marzenie epoki oświecenia, że rozum i racjonalizm pewnego dnia zatriumfują.

Próbowałem osiągnąć karafki.

– W takim razie, dlaczego się martwisz? Rozejrzyj się po Brooklands. To może być raj na ziemi.

– To nie jest raj. – Maxted usiłował ukryć szyderstwo. – Brooklands jest niebezpiecznym i niespokojnym miastem. Zdarzają się w nim okropne rzeczy. Cały ten rasizm i przebiegłość. Palenie sklepów i firm Azjatów. Jawna nietolerancja. A to dopiero początek. Coś o wiele gorszego czeka, żeby wy

skoczyć ze swojej nory.

– A jeśli rozum i światło jednak zwyciężyły?

– Nie zwyciężyły. Dlatego, że nie jesteśmy istotami roz sádnymi i racjonalnymi. Daleko nam do tego. Uciekamy się do rozsádku, kiedy nam wygodnie. Większość z nas wie gdzie jest życie i dysponuje wolnym czasem, w którym może sobie pozwolić na bycie nierozsádnym. Jesteśmy jak znudzone dzieci. Byliśmy za długo na wakacjach i dostaliśmy za dużo prezentów. Każdy, kto ma dzieci, wie, że największym niebezpieczeństwem jest nuda. Nuda i czerpanie przyjemności z bycia niedobrym. Połączone mogą zaowocować niezwykłą pomysłowością.

– Napchajmy dziecku do buzi słodyczy i obserwujmy, czy przestaje oddychać?

– Właśnie. – Maxted patrzył, jak uśmiecham się do swoje go drinka. – Mam nadzieję, że byłeś jedynakiem. Widziałeś ludzi tutaj. Ich życie jest puste. Przebuduj kuchnię, kup kolejny samochód, wyjedź na wakacje do ciepłych krajów. Kluby sportowe finansowane przez Metro-Centre nie są niczym więcej, jak próbą zwiększenia sprzedaży. Ale to nie działa. Ludzie są znudzeni, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– Dlatego tak dużo dzieci sinieje na twarzy?

– Nie tylko dzieci. To, co się tutaj dzieje, dotyczy całej społeczności. Wszystkich tych miast położonych wokół Heathrow i wzdłuż autostrad. Jest tylko jedna rzecz, która może wśaczyć trochę energii w ich życie, dać im poczucie celowości. Prowadziłeś kampanie reklamowe – masz jakieś pomysły?

– Żadnego. Narkotyki? Kompletna kultura narkotykowa?

– Zbyt destrukcyjna. Pomyśl raczej o...

– Wojnie? Dobrze wygląda w telewizji.

– Za trudne do zorganizowania. Przecież Dolina Tamizy nie będzie wysuwać żądań terytorialnych i nie dokona inwazji na Belgię. To, co mam na myśli, jest dostępne za darmo i leży w zasięgu ręki.

– Seks?

– Seksu już też próbowali. Prędzej czy później staje się harówką. Wymienianie się żonami jest zabawne, ale spotyka się zbyt wielu ludzi, którymi pogardzasz. Dekadencja wymaga pewnej dozy niewinności.

– Więc co pozostaje?

– Szaleństwo. – Maxted zniżył głos i zaczął mówić wyraźniej i wolniej. – Dobrowolny obłęd, jakkolwiek chcesz to nazwać. Jako psychiatra używam terminu psychopatia fakultatywna. To nie jest żadna z chorób psychicznych, które leczymy tutaj – mówię o wpędzaniu się z

premedytację w szaleństwo, czymś, co kwitnie wśród naczelnych. Przykładem może być stado szympanów. Nudzą się żuciem gałązek i wyłuskiwaniem pcheł spod pach pobratymców. Chcą mięsa, im bardziej krwawe, tym lepsze. Chcą posmakować strachu wrogów, wgrzyzając się w ich mięso. Więc zaczynają się bić i piszcząć. Same się nakręcają, a potem, oszalałe, wyruszają na polowanie. Napotykają stado gerez i dosłownie rozszarpują je na strzępy. Odsypiają całe to wydarzenie, po czym wracają do żucia gałązek i wyciągania pcheł.

– A potem wszystko się powtarza – powiedziałem, czując gorący oddech Maxteda. – Znowu rozruchy na tle rasowym i podpalenia ośrodków dla emigrantów. Więc ludzie w miastach przy autostradach są znudzeni żuciem gałązek... jedno pytanie. Kto organizuje te wszystkie ataki szaleństwa?

– Nikt. Na tym polega całe piękno tego wszystkiego. Szaleństwo z wyboru czeka w środku każdego z nas, gotowe wyjść, kiedy tego potrzebujemy. Mam na myśli najbardziej ekstremalne zachowania naczelnych. Polowania na czarownicę, palenie na stosie heretyków, rozgrzany pogrzebacz wrażany w odbyt wroga, szubienice wzdłuż linii horyzontu. Świadome szaleństwo może ogarnąć osiedle mieszkaniowe albo cały naród.

– Tak jak Niemcy w latach trzydziestych?

– Dobry przykład. Ludzie cały czas myślą, że to nazistowski przywódca doprowadził Niemców do okropieństwa wojny rasowej. Nic podobnego. Niemcy rozpaczliwie pragnęli wyrwania się ze swojego więzienia. Przegrana wojna, inflacja, groteskowe reparacje, strach przed barbarzyńcami ze wschodu. Tylko szaleństwo mogło ich wyzwolić. Więc wybrali Hitlera, a on poprowadził polowanie. To właśnie dlatego pozostali razem aż do samego końca. Potrzebowali psychopatycznego boga, któremu mogliby oddawać cześć, wzięli więc człowieka znikąd i wynieśli go na ołtarze. Wielkie religie bażowały na tym przez tysiąclecia.

– Na stanach świadomego szaleństwa? Chrześcijaństwo? Islam?

– Oparte na psychopatycznej iluzji ogromne systemy, które pochłaniały miliony ofiar, wysyłały krucjaty i zakładały imperia. Wielka religia oznacza niebezpieczeństwo. Ludzie mają dziś rozpaczliwą potrzebę wiary, ale mogą dotrzeć do Boga jedynie przez psychopatologię. Przyjrzyj się większości religii świata – tym na Bliskim Wschodzie i w Stanach Zjednoczonych. Te społeczeństwa są chore, a ich choroba się pogłębia. Ludzie są najbardziej niebezpieczni wtedy, gdy nie pozostaje im nic, w co mogą wierzyć, z wyjątkiem Boga.

– Ale w takim razie, w co innego można wierzyć? – Cze kałem, aż odpowie, ale patrzył przez okno na kopułę Metro Centre, zaciskając pięści, jakby próbował uspokoić świat wokół siebie. – Doktorze Maxted?

– W nic. Z wyjątkiem szaleństwa. – Zebrał się w sobie i odwrócił do mnie. – Ludzie czują, że mogą się oprzeć na ir racjonalizmie. Tylko on gwarantuje wolność od całej tej hipo kryzji, bzdur i głodnych kawałków, którymi ich karmią polity cy, biskupi i naukowcy. Rozmyślnie stają się na nowo ludami prymitywnymi. Tęsknią za magią i irracjonalizmem, które służyły im dobrze kiedyś i znowu mogą im pomóc. Palą się do otwarcia nowej ery ciemności. Światła są włączone, ale oni wycofują się w wewnętrzny mrok, w zabobon i irracjonalizm. Przyszłość będzie walką pomiędzy ogromnymi systemami bazującymi na psychopatii, rozpaczliwą próbą ucieczki od racjonalnego świata i nudy konsumpcji.

– Konsumpcjonizm prowadzi do patologii społecznej? Trudno w to uwierzyć.

– Toruje jej drogę. Połowa dóbr, które kupujemy w dzi siejszych czasach, to nic więcej jak zabawki dla dorosłych. Niebezpieczeństwo leży w tym, że konsumpcjonizm, żeby przybrać na sile, będzie musiał upodobnić się do faszyzmu. To, co się dzieje w Metro-Centre w czasie wyprzedaży, już teraz przypomina wiece w Norymberdze. Stoiska, długie, proste alejki, hasła i transparenty, cała ta teatralność...

– Nie ma jednak brunatnych koszul – zauważyłem. – Ani krzyczących fiihrerów.

– Jeszcze nie. Oni należą do polityki ulicy. Nasze ulice to kanały telewizji kablowej. Nasze emblematy partyjne to złote i platynowe karty stałego klienta. Śmieszne? Może i tak, ale nie zapominaj, że o nazizmie ludzie też początkowo myśleli jak o żarcie. Społeczeństwo konsumpcyjne jest czymś w ro dzaju łagodnego państwa policyjnego. Myślimy, że mamy wy bór, ale tak naprawdę wszystko jest przymusowe. Albo bę dziemy dalej kupować, albo staniemy się obywatelami drugiej kategorii. Konsumpcjonizm tworzy wielkie nieuświadomione pragnienia, które tylko faszyzm może zaspokoić. Faszyzm po prostu jest formą, jaką przybiera konsumpcjonizm, kiedy wy biera świadome szaleństwo. Musiałeś to już przedtem do strzeżać.

– W zielonym hrabstwie Surrey? Nigdy w życiu.

– To nadchodzi, Richard. – Maxted zasznurował wargi, zupełnie jakby chciał pozbawić się jakiegokolwiek możliwości uśmiechu. – Tutaj i w miastach wokół Heathrow można to wyczuć w powietrzu.

– A Fiihrer?

– Jeszcze się nie pojawił. Ale to tylko kwestia czasu, na dejdzie z jakiegoś centrum albo galerii handlowej. Mesjasze zawsze przychodzą z pustyni. Wszyscy będą na niego czekać, a on wykorzysta okazję.

– A parlament, administracja państwowa, policja? Zatrzy mają go.

– Mało prawdopodobne. Nie zostaną bezpośrednio przez niego zaatakowane, będą więc udawać, że go nie widzą. To nowy rodzaj totalitaryzmu, który posługuje się kasami fiskalnymi. To, co dzieje się na przedmieściach, nigdy nie będzie miało znaczenia dla rządu.

– Nowa era ciemności... Co możemy zrobić?

– Możemy to kontrolować. Spróbować skierować na mnie liznę. Potwór porusza się w głębi i musimy wyciągnąć go na brzeg, póki jest uśpiony. Czas zacząć działać, Richard.

– Zgadza się. – Dopilem whisky, starając się omijać wzrok Maxteda. Ten sugestywny mężczyzna z wielką głową i potężnymi rękami mnie również usiłował skierować na mnie liznę. Zaczął nerwowo zerkać na zegarek i spodziewałem się, że lada chwila drzwi otworzą się na oścież i do środka wpadnie zbrojny oddział ruchu oporu Geoffreya Fairfaksa.

– Czy jesteś odosobniony w swoich poglądach? – zapytałem prosto z mostu. – Czy też są jeszcze inni, którzy myślą tak jak ty?

– Jest nas kilkoro. Widzimy, co nadchodzi, i jesteśmy co raz bardziej zaniepokojeni.

– Geoffrey Fairfax? William Sangster? Komisarz Leigh ton?

– Tak się składa, że właśnie oni. – Maxted nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. – Ale nie tylko.

– Doktor Goodwin?

– Na swój sposób. Julia jest bardziej pewna siebie jako le karka niż jako kobieta. Dlaczego pytasz?

– To ciekawe, że niemal każdy z was przypadkiem był w Metro-Centre.

– I widział Duncana Christiego w Bramie Południowej? To prawda.

– Miał szczęście. Jego lekarz, jego psychiatra i dyrektor jego...

– Spotkaliśmy się na parkingu i szliśmy razem.

– Dobrze. Niech będzie. Jakie macie plany?

– Zdusić całą rzecz w zarodku. Jeśli za długo będziemy czekać, zostaniemy pokonani.

– Świadome szaleństwo... – powtórzyłem to określenie, które stało się już dla mnie czymś na kształt sloganu w reklama drażniącej. – Myślisz, że mój ojciec został zabity przez kogoś tak znudzonego, że wybrał szaleństwo?

– Na kilka sekund. Dokładnie tyle, ile potrzeba, by pociągnąć za spust.

– Maxted zdjął skórzaną kurtkę, po czym ści śnął moje ramiona w nagłym wyrazie zaufania. Czuję jego zapach, mieszaninę zwietrzałego dezodorantu i czystego strachu. Pocił się od przyjazdu do apartamentu, ale ten wyraz lęku stanowił coś więcej niż tylko ostrzeżenie. Ukrywał zakłopotanie faktem, że musiał odsłonić się przed kimś, kto odrobinę zbyt bacznie mu się przyglądał. Arogancka pewność siebie była maską, za którą krył się inteligentny i niepewny człowiek. Przypomniałem sobie, jak siedział w rangę roverze przed kinem, na obszarze zamieszek, którymi on i Fairfax kierowali. A w każdym razie nie robili nic, żeby je powstrzymać.

Wypuścił mnie z objęć i przez chwilę starał się wygładzić mój garnitur.

– Zastanów się nad tym. Możesz nam naprawdę pomóc. Podczas gdy będziesz myślał, ja zadzwonię. Nie żałuj sobie whisky. Zapowiada się gorąca noc...

– Doktorze Maxted... – poczekałem, aż dotrze do drzwi\*. – Proszę mi coś powiedzieć. Czy wie pan, kto zabił mojego ojca?

– Chyba tak. – Popatrzył na mnie, jakbym był przygnębionym pacjentem, dla którego prawda może oznaczać śmierć. – Tak, wiem.

– Ale?

– Za pięć minut wracam, jeszcze wielu rzeczy musisz się dowiedzieć.

## 15. Uwięziony w więzy

Leżałem na sofie, patrząc na światła zapalające się nad równinami przy autostradach, opuszczonymi ziemiami jałowymi Anglii sprzedaży detalicznej. Tego wieczoru odbywały się ważne imprezy sportowe: reflektory nad stadionami piłkarskim i lekkoatletycznym świeciły poprzez mgłę, omiatając swymi promieniami każdego owada w Dolinie Tamizy. Tysiące widzów w koszulkach z krzyżami św. Jerzego zajęło już swoje miejsca. Zanim zaleją spokojne miasto, zdąży ogarnąć ich gorączka.

Popijając whisky w tym apartamencie położonym jakże słusznie w zakładzie dla umysłowo chorych, zastanawiałem się nad tym wszystkim, co usłyszałem. Maxted wywarł na mnie wrażenie, ale nie wierzyłem, że wie, kto zabił mojego ojca. Motywy tego podmiejskiego psychiatry, który pojawiał się trochę zbyt często w telewizji, stanowiły dla mnie zagadkę. W programach telewizyjnych grał wciąż tę samą rolę, twardego, choć zarazem delikatnego lekarza, dorabiającego na boku jako bramkarz w nocnych klubach, ale nawet widownia talkshow nie dawała się na to nabrać. Starał się pozyskać mnie do swojego „ruchu oporu”, ale słyszałem

tłumy śpiewające na stadionach wojenne hymny, które wydawały się rozpalać noc, i wiedziałem, że Maxted ze swoją pozą ekscentrycznego doktora skazany jest na niepowodzenie.

Wyszedłem na balkon i spojrzałem na srebrną kopułę Metro-Centre, konstrukcję o wiele bardziej imponującą niż Millennium Dome w Greenwich, swego czasu wysławiane pod niebiosami centrum handlowe, które okazało się zwykłym namiotem pełnym tandety. W porównaniu z nim Metro-Centre jawiło się jaskinią pełną skarbów, która wzbogacała życie swoich gości. Niczym nieważny, ale ciężko pracujący bazarowy sprzedawca, poświęciłem całą swoją karierę jak najlepszemu zaprezentowaniu tych skarbów.

Wróciłem do salonu i wsłuchałem się w ciszę. Łatwo było sobie wyobrazić Maxteda z prostatą rozmiarów piłki do krykieta, siedzącego okrakiem na desce klozetowej i rozmawiającego przez telefon komórkowy z trudnym pacjentem, podczas gdy wypuszczał z pęcherza niemrawy strumyczek uryny.

Otworzyłem drzwi na korytarz. Biegł on do łazienki i sypialni. Nie słyszałem żadnego głosu. W mieszkaniu panowała całkowita cisza, przez okna wpadało światło z ekranów na stadionie piłkarskim. Byłem sam. Podejrzywałem, że psychiatra pospieszył do nagłego wypadku, zapominając mnie o tym powiadomić.

Nacisnąłem przycisk i wpatrzyłem się w panel windy, potem nacisnąłem raz jeszcze i czekałem. Żadnej reakcji, czerwone ostrzegawcze światełko paliło się bez przerwy w czytniku. Dopóki nie będę miał karty chipowej, winda pozostanie głucha na moje prośby. Była to część skomplikowanych środków bezpieczeństwa, które chroniły laboratoria badawcze i ich apteki przed zbiegłymi pacjentami.

– Maxted... na miłość boską!

Zirytowany nieskończoną serią łamigłówek, uderzyłem w metalowe drzwi windy, po czym przyłożyłem do nich ucho. Wściekły, że pozwoliłem Maxtedowi bawić się ze mną w kotka i myszkę, poszedłem do kuchni. Przeszklone drzwi prowadziły na wąski balkon, z którego biegły schodki na główną drogę ewakuacyjną.

Ostrożnie, dając systemowi bezpieczeństwa czas do namysłu, nacisnąłem klamkę, jednak drzwi ani drgnęły. Gdzieś w apartamencie musiały się znajdować skrzynka bezpiecznikowa i system blokujący zamki w drzwiach, miałem jednak już tego wszystkiego dosyć. Chwyciłem za nogi krzesło, uniosłem je nad głowę i skierowałem w stronę przeszklonych

drzwi. Gwałtowne uderzenia odbijały się echem w pustych pokojach, przypominając wystrzały pistoletu, ale zostawiły tylko nieznaczące ślady na wzmocnionej szybie. Dopiero po trzecim uderzeniu usłyszałem daleko pod sobą przenikliwe wycie alarmu.

\* \* \*

Pół godziny później siedziałem w czarnym fotelu Maxteda, dopijając whisky i zastanawiając się nad tym, że dziwnym zbiegiem okoliczności każdy, kogo odwiedzałem w Brooklands, poił mnie alkoholem. Nawet mój ojciec zostawił znaczne zapasy ginu i whisky, zupełnie jakby chciał złagodzić czekający mnie szok kulturowy, Fairfax, Sangster i doktor Maxted zaś serwowali mi trunki tak szybko jak nadgorliwy sommelier w niepopularnej restauracji.

Gapiałem się bezmyślnie na karafkę, kiedy drzwi windy w końcu się rozsunęły. Do środka wpadło dwóch ochroniarzy ze skórzanymi szelkami. Ruszyli bez słowa w moją stronę, robiąc zwody niczym rakarze próbujący złapać pijanego pitbulla, choć z pewnością doskonale wiedzieli, kim jestem. Po sprawdzeniu wszystkich zakamarków zaprosili mnie do windy.

– Panie Pearson, musimy pana stąd wyprowadzić.

– To dobrze. Nie będę stawia! oporu. Zakładam, że jesteście siłami szybkiego reagowania?

– Doktor Maxted powiedział...

– Nie chcę wiedzieć. Nie mogłem sobie poradzić...

Podejrzywałem, że psychiatra wymknął się, by załatwić jakąś pilną sprawę. Wiedząc, że włączę alarm, przykazał ochroniarzom, by mnie uwolnili pół godziny później. Wszedłem do windy. Ochroniarze dołączyli do mnie, gotowi zarzucić na mnie swoje szelki przy pierwszej oznace obłądu.

Drzwi zasunęły się. Zanim winda ruszyła, rozległ się odległy odgłos potężnej eksplozji, głośny huk, który wtargnął do szybu nad naszymi głowami i zatrzęsł kabiną.

Wyszedłem na wieczorne powietrze i popatrzyłem na niebo w poszukiwaniu pozostałości po tym wielkim fajerwerku. Obok rododendronów stał radiowóz z włączonymi światłami. Siedząca za kierownicą zdenerwowana policjantka próbowała się porozumieć przez trzeszczący radiotelefon. Widząc mnie idącego w stronę szlabanu, dała znak, żebym się zatrzymał.

Kiedy doszedłem do radiowozu, z budynku administracyjnego

wybiegła blondynka w niebieskim dresie i adidasach. Skrzywiła się, czując ode mnie cierpki zapach whisky.

– Pan Pearson? – Sierżant Mary Falconer wydawała się zaskoczona. Pokazała na ochroniarzy stojących przy windzie. – Co pan tu robi? Włamał się pan?

– Co takiego? – Uniosłem ręce, by chwycić ją za ramiona, a potem pozwoliłem jej zrobić krok do tyłu. – To naprawdę dom wariatów. Przez ostatnią godzinę usiłowałem się stąd wydostać.

– Wydostać? – Potrząsnęła głową. – Dlaczego? Jak pan się tu znalazł?

– Nieważne. Nic dziwnego, że liczba przestępstw wzrasta. Doktor Maxted mnie tutaj przywiózł.

– Doktor Maxted? Jest pan jego pacjentem?

– Jak tak dalej pójdzie, to niedługo będę. A teraz potrze buję taksówki.

– Proszę chwilę zaczekać. Niech pan się stąd nie rusza...

Sierżant Falconer wsłuchiwała się w trzeszczące dźwięki radia, po czym przetarła tarczę zegarka. Była ubrana jak na zawody lekkoatletyczne lub przynajmniej przebieżkę po okolicy, chociaż fryzurę i makijaż miała bez zarzutu. Wyglądała jak źle obsadzony aktor. Po raz kolejny skojarzyła mi się z zasadniczą, ale bezbronną nauczycielką świadomą, że uczniowie widzieli ją w dwuznacznej sytuacji.

Drugi radiowóz skręcił z głównej drogi i dojechał do szlabanu, ale sierżant Falconer była zbyt zdenerwowana, żeby to zauważyć. Wsłuchując się w odległe wycie syren, wyjęta z kieszeni bluzy telefon komórkowy. Wpatrzyła się w wiadomość, którą dostała, po czym podeszła do drugiego radiowozu. Wzięła od kierowcy słuchawkę, chwilę pottrzymała ją przy uchu, a potem podbiegła do mnie. Po raz pierwszy widziałem ją tak skoncentrowaną i czujną, zupełnie jakby scenariusz, który miała do odegrania, był idealnie zsynchronizowany z rzeczywistością.

– Pani sierżant? – Chwyciłem ją za rękę. – Co się stało? Co wy robicie?

– Proszę wsiąść do samochodu – Unikając mojego oddechu, pchnęła mnie na tylne siedzenie. – Podwieziemy pana.

– Co się dzieje? – Popatrzyłem na drugi radiowóz, który wycofał się i odjechał. – Czy złapali tego bandytę?

– Kogo? Którego bandytę?

– Tego, który zabił mojego ojca. Aresztowali go?

– Nie. – Zapięła pasy i dała znak policjantce za kierowni cą, by wjechała na trawnik, omijając szlaban. – To Metro Centre. Ktoś podłożył bombę. Duże zniszczenia, ale nie ma ofiar. A przynajmniej na razie nic o nich nie wiemy...

## 16. Zamach bombowy

Świątynia była zagrożona, więc wierni gromadzili się, by jej bronić. Fale kibiców piłkarskich zalały ulice, mijając nasz radiowóz, który stał w korku niedaleko ratusza. Popędzana przez sierżant Falconer prowadząca samochód policjantka próbowała przedrzeć się przez tłumy kibiców i wieczornych klientów centrum. Spotkania sportowe zostały przerwane. Kiedy rozeszła się wieść o wybuchu bomby, wszyscy zapomnieli o brutalnych meczach hokejowych i rzutach karnych i wylegli na ulice, by pospieszyć na ratunek zagrożonemu centrum.

Będąc jakieś sześćset jardów od Metro-Centre, ujrzeliśmy dym wydobywający się z dachu, czarne kłęby rozświetlane przez kaskady iskier. Kopyta wyłoniła się przed nami w całej pełni, kiedy dojechaliśmy do placu. Był tak ogromny, że w pierwszej chwili nie zauważyłem policyjnych aut, karettek i wozów strażackich stojących przed wjazdem na podziemny parking.

W dachu była niewielka dziura – wąski trójkąt wielkości i kształtu kliwra na szkunerze. Bomba, która wybuchła na wyższym poziomie podziemnego parkingu, przedziurawiła podłogę w Metro-Centre. Podmuchał szklane i aluminiowe panele dwieście stóp ponad atrium. Centrum handlowe, według komunikatów policji, pozostało niemal nietknięte, dym pochodził z samochodów płonących na parkingu. Opuściwszy szybę, spojrzałem na ciemny trójkąt niedaleko wierzchołka kopyta. Niedługo to naprawią, ale na razie ten wycinek czasoprzestrzeni przestał istnieć, ukazując głęboką wyrwę w naszym zbiorowym marzeniu.

Sierżant Falconer pokazała swoją legitymację funkcjonariuszowi wpuszczającemu pojazdy ratowników. Pośród wycia syren policjant w żółtej kurtce skierował nas prosto na podziemny parking.

– Wygląda na to, że bombę podłożono w samochodzie – powiedziała do mnie sierżant. – Trzy funty semteksu. Jeszcze jeden szalenciec na wolności.

– Czy są zabici albo ranni?

– Nie. Dzięki Bogu, nie...

Ułga z powodu tej wiadomości tylko w niewielkim stopniu uspokoiła panią sierżant. Kosmyki blond włosów wysunęły się z jej warkocza. Z jakiegoś powodu nawet najmniejsza skaza na perfekcyjnym wizerunku sprawiała, że sierżant Falconer wyglądała na wykończoną nerwowo i

niepewną. Nie mogąc doczekać się wjazdu na parking, sięgnęła do kierownicy, próbując zmienić pas ruchu. Silnik zgasł. Siedząca obok niej zdenerwowana policjantka zapaliła go na nowo, podczas gdy sierżant Falconer zabębniła pięściami o deskę rozdzielczą.

Kiedy w końcu ruszyliśmy, odwróciłem się, by spojrzeć na plac wokół Metro-Centre, okupowany w tej chwili przez ogromny tłum – plac św. Piotra sprzedaży detalicznej. Wszyscy patrzyli w górę na kłęby dymu unoszące się ponad dachem. Z przodu ujrzałem Toma Carradine'a, młodego kierownika działu PR, który jeszcze na pogrzebie mojego ojca zapraszał mnie do centrum. Biegał we wszystkie strony, za wszelką cenę usiłując coś zobaczyć, zbyt zrozpaczony, by robić cokolwiek innego. Przypominał skaczącego po korcie tenisistę, który próbuje zapobiec przegranej spowodowanej przez niewidzialnego przeciwnika z niewidzialną piłeczką. Myśl, że ktoś może nie lubić Metro-Centre i pragnąć jego zniszczenia, najwyraźniej nie mieściła mu się w głowie.

Wjechaliśmy na podziemny parking i podążyliśmy za policyjnymi znakami do ramp wyładunkowych, by w końcu zaparkować pomiędzy dwoma ciężarówkami. Pracowników z nocnej zmiany właśnie przesłuchiwała ekipa dochodzeniowa. Taśmociąg towarowy nie przesunął się, zatrzymany w momencie wybuchu. Trzyczęściowe garnitury w plastikowych pokrowcach, konsole do gier i ekspresy do kawy leżały obok siebie w bezładnym skupisku. Nad wszystkim unosiły się wonie benzyny i spalonej gumy oraz kwaśny pył.

Reflektory rozświetlały mrok, a policyjne taśmy odgradzały puste zatoczki parkingowe, przeszukiwane przez techników policyjnych. W betonowym suficie zauważyłem trójkątną dziurę, prowadzącą do przebieralni klubu fitness znajdującego się obok atrium.

– Wszyscy klienci poszli na mecz – wyjaśniła sierżant Falconer – więc parking zamknęli na noc. To prawdziwy cud, że nikt nie został ranny.

Patrzyłem na techników przedzierających się przez gruz.

– Niewiele tam można znaleźć. Czego szukają?

• – Resztek zapalnika. Mechanizmu zegarowego. Tkanek... Sierżant Falconer wpatrzyła się we mnie z niepokojem. To nie jest odpowiednie miejsce dla pana. Najlepiej będzie, jeśli pojedzie pan do domu.

– Ma pani rację.

Moja obecność uwierała ją i wyraźnie nie miałyby nic przeciwko temu, by się mnie pozbyć. Ale dlaczego w takim razie mnie tutaj sprowadziła?

Pozostawało to dla mnie zagadką, podobnie jak motywy, którymi kierował się doktor Maxted, zawożąc mnie do swojego zakładu dla umysłowo chorych.

Próbowałem przypomnieć sobie, gdzie zaparkowałem samochód, podziemny garaż był jednak nie do poznania. Na dodatek rano krążyłem po nim przez kilka minut, usiłując znaleźć wolne miejsce, a potem, podczas przepychanki ze zbirami, którzy napadli na Duncana Christiego, zgubiłem kwit z numerem stanowiska.

Kiedy wybuchł zbiornik z paliwem, kilkanaście samochodów zajęło się ogniem, zanim włączyła się instalacja tryskaczowa. Pokryte pianą poczerńiałe pojazdy były właściwie wrakami, bez szyb i drzwi, ze strzępami opon zwisającymi z kół.

Pośrodku znajdował się samochód, w którym podłożono bombę, dogorywający w agonii rozszerzonych paneli, odkrytych sprężyn siedzeń, rozbebeszonego silnika i wału napędowego. Cały dach zniknął. Technicy w białych kitlach, pochyleni nad szczątkami, grzebali w zwęglonych resztkach tablicy rozdzielczej.

Podejrzewałem, że zamachowiec ukradł auto, przyjechał nim do Metro-Centre i zostawił bombę w bagażniku, dokładnie nad bakiem. Zarówno przednie, jak i tylne tablice rejestracyjne wyparowały w kuli ognia, ale duży silnik osłabił zniszczenia przedniej części pojazdu. Metalowy znaczek Guards Polo Club wciąż trzymał się przedniego zderzaka.

Ten znaczek znajdował się na zderzaku mojego jensena, którego kupiłem od młodej wdowy po poruczniku grenadierów kilka miesięcy po jego śmierci na wojnie w Iraku. Zostawiłem tę plaketkę, oddając w ten sposób hołd nieżyjącemu żołnierzowi. Miałem nadzieję, że przyciągnie wzrok jego byłych towarzyszy broni.

Osloniłem oczy przed ostrym światłem reflektorów policyjnych. Ze wszystkich pojazdów stojących na parkingu Metro-Centre, zamachowiec wybrał właśnie mojego starego, choć wciąż lśniącego i okazałego jensena...

Wyjąłem kluczyki i popatrzyłem na stary breloczek, wszystko, co pozostało z eleganckiego krążownika szos z minionej epoki motoryzacji. Dotarło do mnie, że to kierowca, a nie samochód, stanowił prawdziwy cel ataku i cudem uniknąłem śmierci. Godzina spędzona w zamknięciu w apartamencie Maxteda prawdopodobnie uratowała mi życie. Gdybym wyszedł z Northfield Hospital razem z psychiatrą i pojechał taksówką do Metro-Centre, pewnie byłbym w drodze do mieszkania ojca, kiedy wybuchłaby bomba.

Podszedłem do techników policyjnych wyjmujących kawałki postrzępionej tapicerki z podłogi auta. W ciągu kilku dni, o ile nie godzin, numery silnika i podwozia doprowadzą policjantów do wdowy po grenadierze, a potem do mnie.

Czy to nie zrodzi w ich umysłach podejrzenia, że jestem zamachowcem? Mój ojciec zginął w Metro-Centre. Podłożenie bomby na parkingu policja może uznać za akt zemsty. Technicy odwrócili się, żeby na mnie spojrzeć, i zauważyłem, że macham kluczami do jensena, nerwowy tik niewiadomego pochodzenia.

Uspokoilem się i znalazłem sierżant Falconer. Stała przy grupce dziennikarzy, którzy zadawali pytania inspektorowi w mundurze. W prześwitującej plastikowej torbie trzymał kapelusz filcowy z postrzępioną dziurą w denku. Wyjął go z torby i pokazał zebranym. Kiedy mówił, jego palce bębniły po sztucznej musze przyszytej do wstążki kapelusza.

Dziennikarze gryzmolili w swoich notatkach, będąc wyraźnie pod wrażeniem prezentowanego im nakrycia głowy. Ja jednak obserwowałem panią sierżant. Nawet w ostrym świetle reflektorów policyjnych jej twarz była nienaturalnie blada. Krew odpłynęła z policzków, ujawniając kości pod skórą, cierpliwie czekające na swój dzień. Odwróciła się i zachwiała, po czym zatoczyła na inspektora. Nie przerywając swojej przemowy, skinął do dwóch policjantek stojących za nim. Zaprowadziły sierżant Falconer do furgonetki techników policyjnych, zaparkowanej w środku odgradzonego taśmami miejsca wybuchu.

Bojąc się o nią, próbowałem przejść nad taśmą, ale jeden z policjantów mnie zatrzymał. Kiedy się cofałem, usiłując wykaszelec z gardła smród i pył, wpadłem na młodą policjantkę, która przywiozła mnie ze szpitala.

– Czy wszystko w porządku? – Złapałem ją za ramię. – Z sierżant Falconer? Zasłabła...

– Nic jej nie będzie. Złe wieści. Znaleźliśmy pierwszą ofiarę. A raczej to, co z niej zostało.

– Mój Boże... gdzie ona jest?

– Wszędzie. W małych kawałeczkach. – Zdjęła moją rękę ze swojego ramienia i popatrzyła na mnie przenikliwie, naj wyraźniej podejrzewając, że byłem pacjentem szpitala psy chiatrycznego. – Niech pan nie wdycha za dużo tego pyłu ani nie przygląda się podeszwom butów...

– Nie będę. – Pokazałem na inspektora odchodzącego od dziennikarzy. – A ten kapelusz? Czy ofiara była rybakiem?

– Adwokatem. Nazwisko jest w środku kapelusza. Geof frey Fairfax. – Przyjrzała mi się uważnie, jakby zastanawiała się, czy nie zatrzymać mnie

jako potencjalnego podejrzanego. – Czy pan go znał, panie Pearson?

Podziękowałem policjantce i wspiałem się po schodach znajdujących się obok wjazdu dla dostawców, wstrzymując oddech, dopóki nie wyszedłem na świeże powietrze i w ciemność głębszą niż noc.

## 17. Geometria tłumu

Policjanci wycofywali się, wsiadając do radiowozów stojących na drodze dojazdowej i odjeżdżając spod centrum handlowego. Przedzierałem się przez tłum stojący na placu i wypełniałem płuca nocnym powietrzem, próbując pozbyć się pyłu i ostrego zapachu spalonej gumy. Noc osiadała ciężko na ponurych twarzach, mrok barwił się spoconymi wysportowanymi ciałami, zapachem gumy do żucia, piwa i wściekłości.

Zagłębiwszy się w tłum, stanąłem na stopniu pozostawionego bez nadzoru land cruisera i uniosłem głowę, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Tom Carradine zniknął, zakończywszy swój szalony mecz tenisowy z samym sobą, i bez wątpienia przeszedł do prokurowania lawiny optymistycznych komunikatów prasowych. W bastionie powstał wyłom, ale policja odjeżdżała, pozostawiając ochronę centrum brygadzie PRowców, kierowników piętér i sekretarek.

Dwóch policjantów w ostatnim radiowozie obserwowało grupę kibiców hokejowych otaczających zapomniane volvo i bębniących pięściami w jego dach, w znajomym plemiennym rytuale. Przednia szyba roztrzaskała się, stróże prawa jednak zignorowali ten incydent i odjechali.

Tylko technicy policyjni pozostali na podziemnym parkingu Metro-Centre, grzebiąc w tym, co zachowało się z mojego samochodu. Zdażyłem już zatęsknić za swoim klasycznym jensenem z jego elegancką linią i wielkim amerykańskim silnikiem. Nie mogłem uwierzyć, że Geoffrey Fairfax chciał mnie zabić. Niewykluczone, że adwokat zobaczył zamachowca umieszczającego bombę w moim aucie i usiłował rozbroić ją, zanim wrócę.

A może Fairfax i jego tajemnicza grupa chcieli ze mnie zrobić kozła ofiarnego? Może miałem uchodzić za zamachowca, wyrażającego w ten sposób swoją nienawiść do Metro-Centre? To były całkiem trzeźwe pytania. Pytania wymagające jeszcze bardziej trzeźwych odpowiedzi. Pół karafki whisky laphroaig, które wypilem w apartamencie Maxteda, wyparowało z mojego krwiobiegu w chwili, gdy we wraku rozpoznałem swój samochód.

Patrzyłem na drogę dojazdową, czekając na policyjne posiłki. Metro-Centre otaczał niespokojny, liczący kilka tysięcy osób tłum, w obrębie którego poruszały się liczne prądy. Kibice sportowi, piłkarscy i hokejowi popychali się wzajemnie, przemierzając mrok. Nie zauważyłem pomiędzy nimi oznak nienawiści, ale niemal czułem zapach wściekłości, szorstki

oddech niespokojnego zwierzęcia szukającego wroga.

Przywódca kibiców hokeja, jasnowłosy zbir, który napadł na Duncana Christiego, przepychał się między ludźmi, młóćąc pięściami powietrze. Poruszał się w różnych kierunkach, gromadząc za sobą coraz więcej osób. W końcu odłączyli się od niego, podążając za dwoma ogromnymi ciężarówkami, którzy bez wysiłku torowali sobie drogę przez ciżbę.

Całe rodziny, ojcowie z nastoletnimi synami i żony pilnujące córek, wciąż patrzyły na ostatnie smugi dymu unoszące się nad dachem Metro-Centre. Ale większość zebranych stała odwrócona plecami do kopuły. Tłum obserwował sam siebie – zgromadzenie czekające na rozpoczęcie nabożeństwa.

Land cruiser zakołysał się gwałtownie i słupek drzwi uderzył mnie w policzek. Chwyciłem za bagażnik na dachu. Pojazd zaczął kołysać się z boku na bok. Grupa atletycznie zbudowanych kibiców, mężczyzn w średnim wieku w koszulkach drużyny sportowej, otoczyła samochód i zaczęła odrywać antenę i lusterka boczne. Ludzie odwracali się, by na nich patrzeć obojętnym wzrokiem pracowników biura obserwujących rozkopywanie placu budowy.

Zeskoczyłem ze schodka auta i dołączyłem do tłumu. Kiedy land cruiser został przechylony na koła po stronie kierowcy, a potem otrzymał ostatnie pchnięcie i upadł ciężko na ziemię niczym martwy nosorożec, rozległy się wiwaty. Włączył się alarm, światła zamrugały w panice. Wprawne ręce sięgnęły pod zbiornik paliwa, ktoś przeciął scyzorykiem przewód paliwowy. Wyciekająca benzyna utworzyła jeziorko wokół tylnego koła, jej smród sprawił, że się zakrztusiłem.

W ciemności zabłysł płomyk zapalniczki. Na ziemi pojawiły się miniaturowe płomienie, ścigając się ze sobą. Widzowie odsunęli się, ogień rozświetlił setki twarzy. Z samochodu buchnął pojedynczy, wysoki na dziesięć stóp słup ognia. Po chwili cały land cruiser stał się płonąca pochodnią. Czuć było zapach palonego lakieru i słyszeć trzaski pękającego szkła.

Zanim, cały czas wypatrując policji, dotarłem do drogi dojazdowej, płonęły już trzy kolejne samochody. Dym unosił się nad głowami zebranych. Kilka osób podążało za mną, dokładnie po moich śladach, zmieniając kierunek za każdym razem, gdy robiłem to ja. Trzech kibiców hokeja szło po prawej stronie, podczas gdy starsza para w koszulkach z krzyżami św. Jerzego trzymała się mojego lewego boku. Za nimi maszerowała duża grupa kibiców, bezgłośnie popijając piwo z puszek.

Kiedy skręciłem, żeby ominąć znak drogowy, idący za mną zrobili to samo. Gdy zatrzymałem się, by zetrzeć pasek spalonej gumy z buta, zaczęli stapać bezwiednie w miejscu. Podjęli marszrutę dopiero wtedy, gdy ruszyłem w dalszą drogę.

Żadne z nich na mnie nie patrzyło ani nie wydawało się świadome, że ich prowadzę. Szli jak dojeżdżający do pracy na zatłoczonej stacji kolejowej, którzy podążają za każdym, kto znalazł lukę w tłumie podróżnych. Ich poczynaniami rządziła unikatowa wewnętrzna geometria tłumy. To ona kazała im wybierać to jednego przywódcę, to drugiego. Bezwiednie przegrupowywali się i zmieniali kierunek, bez żadnej logiki, niczym ziemia obsuwająca się z nasypu nudy i bezcelowości.

Próbując ich zgubić, przeszedłem przez jezdnię. Przedemną rozciągała się główna ulica Brooklands, przy której znajdowały się biurowce, sklepy i niewielkie domy towarowe. Prowadziła ona na plac ratuszowy. Szło za mną co najmniej pięćset osób, chociaż nieliczne wyprzedziły mnie niczym przewodnicy wycieczki. Razem odciągaliśmy z parkingu Metro-Centre inne grupy. Kilkuset kibiców przeszło przez jezdnię i wylało się na boczne uliczki. Młodzi mężczyźni w koszulkach z krzyżami św. Jerzego poszturchiwali się żartobliwie. Centrum handlowe zostało zapomniane, ostatnie kłęby dymu unosiły się nad kopułą, żalonym Wezuwiuszem Doliny Tamizy.

Szedłem dalej, trzymając się jak najbliżej wejść biurowców. Po pięćdziesięciu jardach uświadomiłem sobie, że idący z tyłu o mnie zapomnieli. Ściśnięci przez wąską ulicę, szli wszyscy ramie przy ramieniu. Odegrałem już swoją rolę i logika tłumy kazała im ze mnie zrezygnować.

Odpoczywałem w wejściu do budynku towarzystwa ubezpieczeniowego i patrzyłem na przechodzących obok mnie ludzi. Papierosy żarzyły się w ciemności i odbijały w witrynach sklepów. Oddychałem szybko i czułem dziwne podniecenie, zupełnie jakbym miał kochać się z nieznaną kobietą; znajdowałem się w tym stanie ducha po raz pierwszy, odkąd przyjechałem do Brooklands.

I wciąż nie było policji. Minałem mały samochód, który musiał zatrzymać się na chodniku; w dachu miał wgniecenia od twardych pięści. Siwowłosego kierowca ścisnął kurczowo kierownicę, zbyt zszokowany, by wysiąść z pojazdu. Gangi młodych rzucały butelki po piwie w okna siedziby lokalnej gazety i brzęk tłuczonego szkła przebijał się przez gwizdy. Trzej przybysze z Europy Wschodniej wypadli z agencji rekrutującej nocnych salowych do Brooklands Hospital. Szybko zostali pochwyteni. Ich nosy krwawiły, ręce zasłaniały twarze, torowali sobie

drogę do bocznej uliczki wśród kopnięć i ciosów pięściami.

Pięćdziesiąt jardów dalej znajdował się rynek. Reflektory punktowe oświetlały balkon ratusza. Burmistrz i radni wydawali uroczystą kolację na cześć zwycięskich drużyn sportowych. Ekipa telewizyjna czekała cierpliwie, z kamerami w pogotowiu.

W ciągu kilku minut plac wypełnił tłum kibiców, gwizdząc i krzycząc w kierunku ratusza, zajmując trawniki i deptając kwiaty. Niewielki kordon policjantów w cywilnych ubraniach strzegł schodów wiodących do magistratu. Stanowili oni jedyną ochronę, zupełnie jakby bliski wszczęcia zamieszek tłum idący przez miasto, podpalający samochody i dewastujący sklepy stanowił część wieczornego festynu.

Nowo przybyli tłoczyli się na rynku, zwolennicy drużyn lekkoatletycznych powiewali flagami, kibice hokeja mieli na sobie kaski i ochraniacze. Poruszając się po obrzeżach tłumu, doszedłem do siedziby kancelarii adwokackiej Geoffreya Fairfaksa i stanąłem na jej schodkach. Budynek pogrążony był w ciemności, w drzwiach i oknach tkwiły stalowe kraty. Odniosłem wrażenie, że personel wiedział doskonale, że zamieszki odbędą się właśnie tego wieczoru.

Tłum zaczął ryczeć, do okrzyków dołączyły gwizdy i wycia. Na balkonie pojawił się burmistrz Brooklands, prominentny miejscowy biznesmen, z insygniami władzy i łańcuchem. Towarzyszyli mu kapitanowie dwóch drużyn piłkarskich. Zdezorientowany przez niespokojny tłum i samochód płonący na ulicy obok, uczynił próbę wezwania o spokój, ale jego wzmocniony przez mikrofon głos został zagłuszony przez okrzyki niezadowolenia i gwizdy. Butelki po piwie poleciały ponad głowami zdenerwowanych policjantów i roztrzaskały się o schody.

Potem gwizdy ucichły i na placu zapanowała cisza. Ludzie wokół mnie zaczęli klaskać, wyrażając w ten sposób swoją aprobatę. Zewsząd dobiegały dźwięki rogów myśliwskich, przyjazne pohukiwania i okrzyki.

Za burmistrzem pojawiło się trzech mężczyzn. Jednym z nich był David Cruise. Ubrany niczym kapelmistrz w biały smoking i przepasany jedwabną czerwoną szarfą, uśmiechał się szeroko i unosił ręce, jakby chciał objąć wszystkich zgromadzonych. Ukłonił się w przejawie skromności, który uznałem za dziwny, biorąc pod uwagę, że jego gigantyczna twarz z niesłabnącym uśmiechem wciąż górowała nad Brooklands na stadionowych ekranach. Na żywo wydawał się mały i bezbronny, jakby wyczerpany koniecznością skurczenia się do ludzkich rozmiarów.

Burmistrz podał mu mikrofon, wyraźnie mając nadzieję, że uspokoi tłum i uśmierzy gniew wywołany eksplozją bomby w Metro-Centre. Prezenter telewizji kablowej pochylił głowę i podjął próbę opuszczenia balkonu, ale drogę zagroził mu Tony Maxted. Wyglądający jak bandzior w swoim smokingu psychiatra, którego ogolona głowa błyszczała w świetle reflektorów, chwycił Cruise'a za ramię i odwrócił twarzą do zebranych, niczym bliski współpracownik prezydenta mającego pierwsze oznaki choroby Alzheimera, niepewnego, do jakiej publiczności się zwraca.

Nieco poluzniejszy uścisk, Maxted wykrzyczał Cruise'owi do ucha kilka słów. Tłum zaczął gwizdać. Za tymi dwoma mężczyznami stał William Sangster, na strój wieczorowy narzuconą miał skórzaną kurtkę. Był spięty, ale uśmiechał się, wciągając pulchne policzki, jakby próbował zmylić zgromadzonych, którzy mogliby go rozpoznać jako dyrektora swojej dawnej szkoły. On i Maxted popchnęli Cruise'a, każdy uniósł jedną z rąk prezentera niczym sekundanci dodający sił bokserowi, który wchodzi z trudem na ring. Wydawało się, że zmuszają go do objęcia przywództwa nad tłumem i wyzywają na pojedynkę moce ciemności, które zbezczęściły Metro-Centre.

Cruise jednakże nie zamierzał się poddać. Pomachał do tłumy, ale wyłączył swój uśmiech i zrobił gest, który wydawał się mówić, że wyłącza również swą publiczność. Odwrócił się plecami do hałaśliwego placu, przepchał się między Maxtedem i Sangsterem, i zszedł z balkonu.

Kiedy mikrofon przejął burmistrz, rozległy się gwizdy. Zawirowały piłkarskie terkotki, od lat niesłyszane na stadionach, ich narastające stukotanie przypominało przekrzykiwanie się małp. Tłum był niespokojny i coraz bardziej zniecier pliwiony. Stojące obok mnie kobieta i jej nastoletnia córka, obie w hokejowych koszulkach, zaczęły gwizdać z niesmakiem. Potrzebowały działania, chociaż nie wiedziały, jaką formę miałyby ono przybrać. Liczyły na to, że David Cruise im to powie i poprowadzi naprzód. Mogły za nim pójść, ale były też przygotowane na to, że go wygwizdzą i wyśmieją. Potrzebowały przemocy, jednak rozumiały, że Cruise jest zbyt nierzeczywisty, stanowi elektroniczną iluzję, kreację telewizji popołudniowej z całą jej bezbarwnością i słodyczą. Tęskniły za dotykiem rzeczywistości, czymś rzadkim w ich życiu, produktem, którego Cruise nigdy im nie dostarczy ani go nie wylansuje.

Gwizdy i okrzyki narastały w czasie, gdy Tony Maxted przemawiał do mikrofonu. Miał zbyt bandycki wygląd, ze swoją wielką głową i twarzą jak maska, która ujawniała wszystko. Tłum chciał być wykorzystany, ale

na swoich warunkach. Ironiczna meksykańska fala przetoczyła się przez plac pośród gwizdów ćwiczonych przez lata jako reakcja na decyzje krótkowzrocznych sędziów. Grupa młodych ludzi podpaliła ławkę w parku, wrywając gałęzie z zarośli, by dorzucić je do ognia.

Uderzenie w bok głowy prawie mnie przewróciło. Na pobliskiej ulicy rozległ się huk ogromnej eksplozji. Wszyscy skulili się, kiedy błysk rozjaśnił drżące w oknach szyby. Fala uderzeniowa przygięła drzewa do ziemi, wtłoczyła powietrze do moich płuc i nacisnęła na moje zebra. Próżnia na moment pochłonęła noc, a potem wniknęła z powrotem w siebie.

## 18. Nieudana rewolucja

Wszyscy biegli, jakby próbowali prześcignąć swoje lęki. Panika i gniew kazały im obierać setki kierunków. W ciągu minuty plac opustoszał, mimo że ratusz i pobliskie kancelarie prawne pozostały nietknięte. Wybuch wzbił tumany kurzu ze starej zaprawy. W powietrzu unosiła się delikatna mgiełka niczym najbledszy dym, ruchome cienie zabytkowych gmachów.

Bomba eksplodowała w wąskiej bocznej uliczce, przy której znajdowały się głównie garaże, ale nikt nie został ranny, zupełnie jakby Brooklands było sceną, przygodowym placem zabaw, nękanym przez niegrzeczne dzieci o piromańskich skłonnościach. Słuchałem wycia syren pędzących ulicami karet i radiowozów. Za nimi narastał coraz głośniejszy i głębszy dźwięk – to tłum zbiera! się na przedpolu wroga.

\* \* \*

Przez następną godzinę na ulicach Brooklands trwały zamieszki. Nosiły dwa kostiumy, farsy i okrucieństwa. Bandy kibiców piłkarskich włamywały się do każdego azjatyckiego sklepu i pustoszyły stoiska z alkoholem, uciekając ze skrzynkami piwa, które ustawiały w sterty na ulicach, tworząc darmowe bary dla tłumów. Rozruchy szybko przerodziły się w libację, ale bandy co bardziej zdeterminowanych kibiców hokeja połączyły siły z kibicami lekkiej atletyki i pomaszerowały w kierunku strefy przemysłowej w podupadłym wschodnim Brooklands, nocnego pustkowiecia kamer monitorujących i patroli ochroniarzy. Oszalałe psy obronne rzucały się na łańcuchach przy ogrodzeniach, doprowadzane do białej gorączki przez wymachujących flagami kibiców, rzucających im skradzione hamburgery.

Czekając na przyjazd policji, podążyłem za tą niezbyt zdyscyplinowaną prywatną armią do cygańskiego schroniska przy zajezdni autobusowej. Agresywne gwizdy i skandowanie wystraszyły wyczerpane romskie kobiety, próbujące powstrzymać od reakcji swoich mężów. Pozostawiłem ich i udałem się w drogę powrotną do ratusza. Przed szkołą tańca płonął przewrócony samochód. Grupa kibiców boksu próbowała sprowokować jej uczniów, których uważali za rozpieszczonych próżniaków niepewnej orientacji seksualnej.

Za stadionem piłkarskim najtwardsi z agresywnych demonstrantów

przypuścili szturm na osiedle zamieszkiwane przez Banglijczyków. Spalili flagę piłkarską w ogrodzie obdrapanego parterowego domu, używając do tego benzyny spuszczonej ze starego mercedesa stojącego na podjeździe. Kiedy właściciel domu, azjatycki dentysta, którego widziałem w szpitalu, otworzył drzwi, by zaprotestować, przywitał go grad puszek z piwem.

Poprzez cały ten bezcelowy zamęt przejeżdżał w swojej sportowej mazdzie doktor Tony Maxted. Wciąż miał na sobie smoking, który nadawał mu wygląd playboyarewolucjonisty. Tam, gdzie zamieszki wydawały się zamierać, wysiadał z samochodu i przedzierał się przez tłum, pijąc z innymi piwo, intonując pieśni i fotografując wszystko aparatem, który miał w komórce. Tak jak się spodziewałem, w końcu pojawili się nieliczni policjanci. Większość pozostawała na obrzeżach Brooklands, odganiając ciekawskich gości. Na dachu ratusza ujrzałem Sangstera stojącego obok komisarza Leightona. Patrzyli na rozruchy spokojnym wzrokiem właścicieli ziemskich, obserwujących zabawę swoich poddanych, zupełnie jakby podpalanie samochodów i awantury na tle rasowym były żywiołowymi rekreacjami, charakterystycznymi dla okrutnego chłopstwa z miast przy autostradach.

Ale świat zewnętrzny zaczynał zwracać na to uwagę. Za ratuszem dwaj policjanci na motocyklach zatrzymali zespół wiadomości BBC, rozstawiający swój sprzęt. Zagonili ekipę z powrotem do furgonetki, kazali kierowcy zawrócić i eskortowali pojazd, dopóki nie wjechał z powrotem na M25.

Nieliczni świadkowie ich odjazdu byli wyraźnie rozczarowani, że zamieszki w Brooklands, jedyny od lat trzydziestych przyczynek do sławy, nie zostaną zaprezentowane w porannych wiadomościach. W krótkiej przerwie, zanim zebrani znaleźli kolejny obiekt ataku, wysłuchałem ostatnich doniesień w radiu trzymanym przez dwie nastolatki w koszulkach z krzyżami św. Jerzego. Reporter mówił o ulicznych walkach. Uznał je za przejaw tradycyjnej angielskiej rozrywki, awantur pseudokibiców. Dodał, że miejskie siły policyjne znajdują się w stanie gotowości, ale na razie nie interweniują.

Rozczarowani biernością swoich wrogów uczestnicy zamieszek zaczęli zwracać się przeciwko sobie i noc przekształciła się w serię pijackich burd i znudzonych ataków na już wcześniej złupione lokale. Odwróciwszy się plecami do tego wszystkiego, zacząłem przedzierać się przez cichsze boczne uliczki. Zgubiłem się i wcale nie miałem nic przeciwko temu. Nienawidziłem rozruchów i aktów przemocy na tle rasowym, ale wiedziałem, że tłum był rozczarowany klęską rewolty, która miała rozpalić

miasta przy autostradzie. Wiedziałem już, że bomba podłożona w moim jensenie stanowiła próbę zapalenia lontu. Ale znudzonym konsumentom, którzy tworzyli społeczność Brooklands, umknęło to, co najważniejsze. Tkwiąc w swoim rajach sprzedaży detalicznej, nie mieli odwagi zmierzać ku samozniszczeniu. Tłum przed ratuszem chciał, by David Cruise go poprowadził, ale prezenter telewizji kablowej miał zbyt mało pewności siebie. Zamieszki skończyły się na tym, że sfrustrowany motłoch gniewnie popatrywał na siebie w lustrze i tłukł o nie zakrwawionym czołem.

Wiedziałem już teraz, że wszyscy jesteśmy sterowani przez niewielki zespół nieudolnych lalkarzy. Grupę prominentnych miejscowych obywateli, którzy, przestraszeni, że Metro-Centre wzniesi amatorski pucz, próbowali odwrócić wskazówki zegara i ocalić swoje stare hrabstwo przed plagą detalistów. Geoffrey Fairfax, doktor Maxted, William Sangster, a także inni, prawdopodobnie za cichym przyzwoleniem komisarza Leightona i starszych rangą oficerów policji, postanowili wykorzystać szansę daną im przez strzelaninę w Metro-Centre, która doprowadziła do śmierci mojego ojca. Tylko bezpośredni atak na wielkie centrum handlowe mógł obudzić głęboko uspięte społeczeństwo. Zniszczenie kościoła czy biblioteki, splądrowanie szkoły czy muzeum nie dotknęłoby go tak do żywego. Tylko gwałtowna rewolta, kordyt społecznego konfliktu w podmiejskim hrabstwie Surrey, mogła zmusić władze hrabstwa i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych do reakcji. Galerie handlowe zostałyby zamknięte, lis wróciłby na swoje tereny, a polowanie znów pogalopowałoby przez opuszczone dwupasmowe autostrady i parkingi zapomnianych stacji benzynowych.

Tymczasem mój zamęczony jensen był w drodze do laboratorium kryminalistycznego i mogłem zostać oskarżony o przewożenie nieudanej rewolucji...

## 19. Potrzeba zrozumienia

Sznur karetek pogotowia czekających przed wejściem do izby przyjęć szpitala w Brooklands wynurzył się z za zasłony mgły i dymu. Uczestnicy zamieszek ciągnęli ulicą przy szpitalu, dewastując sklepy. Na chodniku przede mną leżały szyby z okien biura podróży, szkło gotowe, by wbić się w kostki nierozważnych idących.

Przedzierając się przez brudne odłamki, zauważyłem kobietę w białym kitlu, która stała obok samochodu, odganiając ręką kłęby dymu. Rozpoznawszy doktor Julię Goodwin, ucieszyłem się i przez chwilę zapomniałem o całym tym fatalnym wieczorze.

– Julia? Co się stało? Wyglądasz...

– Pan Pearson... Richard? Boże, stało się to, co najgorzsze. – Wyglądała na zmieszaną, zabębniła pięściami o karosie rię samochodu, jakby prawila kazanie upartemu pacjentowi. – Co ty tu robisz?

– Przyłączyłem się do zamieszek. – Starłem się ją uspoкоїć, chwytając za nadgarstki. Puls na każdym z nich wydał się bić w innym rytmie. – Czy... ?

– Nic mi nie jest? A jak, do diabła, myślisz? – Wyrwała ręce i zauważyłem, że kierowca karetki wysiadł z wozu. Po machała do niego uspokajająco i obniżyła głos, odwracając wzrok. – Richard, ty jeden zachowałeś zdrowy rozsądek. Po wiedz mi, co właściwie się stało?

– Nie wiesz?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Popatrzyła na samochód i powiedziała rzeczowo, jakby nie w pełni wierzyła sobie: – Geoffrey Fairfax nie żyje.

– Bomba w Metro-Centre. To straszne... Przykro mi.

– Właściwie był z niego kawał drania. – Wyrażnie się ożywiła. – Usiłował rozbroić bombę.

– Skąd wiesz?

– Sierżant Falconer mi powiedziała. Dziwna kobieta. Nie chciałabym, żeby mnie przesłuchiwała. Geoffrey musiał za uważać ładunek wybuchowy w samochodzie zamachowca. Jej zdaniem śledził go. Kto jeździ po mieście z cholerną bombą na tylnym siedzeniu? – Odwróciła się do mnie i odruchowo starła plamkę sadzy z mojego ramienia, zupełnie jakby gła skała kota sąsiada. – To całe miasto robi się szalone.

– Wydaje mi się, że o to właśnie chodziło. Ale się nie udało.

– O czym ty mówisz? Widziałeś Tony'ego Maxteda i Sangstera?

– W całym mieście. Wszędzie. Praktycznie rzecz biorąc, są

przywódcami.

– Starają się obniżyć temperaturę. Uspokoić ludzi i po wstrzymać ich przed zrobieniem czegoś naprawdę strasznie go. Policja ich wspiera.

– Czy to właśnie powiedziała ci sierżant Falconer?

– Mniej więcej. Była trochę roztrzęsiona, jak pewnie się domyślasz. Nie wiem, co Geoffrey Fairfax w niej widział...

Nagle Julia zatoczyła się na samochód. Chwyciłem ją za ramiona, starając się ją przytrzymać. Pokazałem na szpital. Kierowca karetki wyłączył silnik.

– Nie powinnaś być...?

– W izbie przyjęć? Dziesięć minut temu skończyłam dy żur. – Przypomniawszy sobie o swoim zawodzie, uwolniła się z moich objęć i poprawiła fartuch. – Dzięki za pomoc. Ko chany jesteś. Dziwne, że nie ma więcej ofiar. Wybijanie szyb w oknach, podpalanie samochodów... Mieszkańcy Brook lands mają chyba do tego dryg. Chciałam jechać do domu, ale popatrz na to...

Pokazała na roztrzaskaną przednią szybę swojego samochodu, pajęczą sieć popękanego szkła pozostałego po ciosie zadany kijem bejsbolowym. Uniósłszy głowę, zaczęła jęczeć cicho do siebie.

– Wezwiemy taksówkę. – Usiłowałem chwycić ją za rękę. – Słuchaj, odprowadzę cię do szpitala. Może powinnaś się z kimś zobaczyć?

– Z kim? – Moje niezręczne pytanie sprawiło, że wstrzymała oddech. – Z jakimś lekarzem? Jezu Chryste! – Odrzuciła włosy z oczu, autentycznie zdumiona. – Pracuję z nimi ca ły dzień. Nie ma tam ani jednego, któremu mogłabym zaufać.

– No dobra. – Pochyliłem się nad przednią szybą i zbiłem ją do reszty łokciem. – Możesz pojechać swoim samochodem. Tylko że wolno.

– Świetnie. – Rozpogodzona, powiedziała: – Podwiozę cię. Gdzie zaparkowałeś?

– Mój samochód... silnik nawalił. Zabrali go do warsztatu.

– To straszne. Znam to uczucie. – Otworzyła drzwi i po zbierała odłamki szkła z siedzenia. Usiadłszy za kierownicą, dodała: – W ostatecznym rozrachunku ulica jest wszystkim, czemu możesz zaufać.

Jechaliśmy przez opustoszałe miasto. Wiatr zdmuchiwał kawałki szkła z przedniej szyby na nasze kolana. Metro-Centre było ciche, ostatnie smugi dymu unosiły się z przewróconego land cruisera. Strażacy dogaszali właśnie inny wywrócony do góry nogami samochód na pustym placu. Zamieszki wygasły, zupełnie jakby sędzia odgwizdał koniec meczu.

Nieliczni kibice wracali do domów, przewiązani w pasie koszulkami z krzyżami św. Jerzego. Mężowie z nagimi torsami ramię w ramię ze swoimi żonami. Obok nich przejechał radiowóz, po cichu odzyskując władzę nad nocnym miastem.

Prowadzenie samochodu uspokoiło Julię. Wyrzwała przez dziurę w przedniej szybie i zagwizdała na widok spalonych aut.

– Co tu się stało? Chyba coś nowego i bardzo niebezpiecznego.

– Masz rację. Bomba podłożona w Metro-Centre była sygnalem. Zniszczenie kopuły miało być zapalnikiem do wybuchu powszechnego powstania.

– Było.

– Nie. Tej nocy skończyło się na kolejnych zamieszkach kibiców piłkarskich. Maxted i Sangster zostali wykorzystani. Nie wiem, jak Geoffrey Fairfax. Ludzie, którzy naprawdę stoją za wybuchem bomby, chcieli wszcząć uliczną rewolucję, coś gwałtownego i okrutnego, co miało się rozprzestrzenić na wszystkie miasta przy autostradzie. Z Davidem Cruisem jako Watem Tylerem telewizji kablowej, stojącym na czele nowego powstania chłopskiego. Potem pojawiłaby się policja i ludzie z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zamknęliby kopułę, wprowadzili kanapki z ogórkiem i powołali na nowo do życia królestwo Surrey.

– O mało się tym nie skończyło.

– Niezupełnie. David Cruise nie połknął haczyka. Nie na darmo spędził tyle lat w telewizji. Musiał zrozumieć, że to pułapka.

– Ale dlaczego? Nie cierpię tego cholernego centrum, ale nie chcę nikogo zabić.

– Masz ucieczkę w postaci swojej pracy. Są ludzie, którym dobrze się powodzi, ale czują się odrzuceni. Władza przeniosła się do Metro-Centre i galerii handlowych położonych wzdłuż M25. To nowy rodzaj konsumpcjonizmu – sponsorowane drużyny piłkarskie, orkiestry dęte, reflektory stadionowe zapalone całą noc, telewizja kablowa. Mnóstwo ludzi tego nie lubi. Policja, miejscowe władze, biznesmeni starego typu, którzy nie mogą dorwać się do koryta. Chcą skompromitować Metro Centre i zrobią wszystko, żeby je zniszczyć.

– Tony Maxted i Bill Sangster?

– To amatorzy. Dla Maxteda cała rzecz to studium przy padku. Kiedyś napisze o tym książkę, która zostanie zaadaptowana przez BBC2. Sangster jest inny, chociaż nie wiem, na czym to polega.

– Ja wiem. Jego pociąga szaleństwo tego wszystkiego. Co dziennie, wielkim wysiłkiem woli, podtrzymuje istnienie swojej szkoły. Dlaczego

się tym martwi? W głębi duszy jest zmę czony. Nie przejąłby się wcale, gdyby całe to cholerstwo spu ścić w toalecie. – Wyciągnęła do mnie rękę. – Przykro mi z powodu Brooklands, to musiał być dla ciebie koszmar...

Odchyliłem się do tyłu, ciesząc się towarzystwem tej pełnej życia i chaotycznej młodej kobiety, nawet tej nocy, która całkiem mnie dezorientowała. Jakaś częśćka mnie chciała wtajemniczyć Julię Goodwin w szczegóły śmierci ojca i zagadkową rolę, jaką w tym wszystkim odgrywał Duncan Christie. Zaniepokojenie śmiercią starego człowieka spowijało ją jak źle uszyty całun. Na jej twarzy malowały się najróżniejsze emocje, walcząc o miejsce wśród ściągniętych brwi i grymasów. Dziecięce poczucie winy dotykało jej ust, zmęczonych oczu i policzków. W tej chwili cała jej postać wydawała się salą sądową, na której toczyła się rozprawa przeciwko niej.

Kiedy dojechaliśmy do domu, w którym mieszkał mój ojciec, ostrożnie skręciła na podjazd, ale potem straciła orientację w ciemności. Żywopłot z ligustru rozbił to, co zostało z przedniej szyby jej auta, zasypując nas gradem ostrych koralików. Chwyciłem kierownicę, wrzuciłem na luz i pozwoliłem autu potoczyć się po żwirze. Julia zerknęła w lusterko wsteczne. Na czole miała niewielką ranę.

– Powinnaś to opatrzyć. – Pomogłem jej wysiąść z samo chodu. – Mam na górze starą apteczkę linii lotniczych. Napij się drinka, a ja wezwę taksówkę...

Zawahałem się, zanim otworzyłem drzwi mieszkania, nie będąc pewien, jak Julia zareaguje na ślady mojego ojca pozostałe w każdym skórzanym fotelu i popielniczce. Na początku była sztywna i skrepowana, jakby oczekiwała, że się pojawi i zakwestionuje jej obecność. Ale kiedy wyszła z łazienki z plastrem nad łukiem brwiowym, sprawiała wrażenie, jakby była u siebie w domu. Chodziła po salonie, ogrzewając ręce o szklaneczkę brandy. Na widok stojaków na fajki i wystawy fotografii w ramach uśmiechnęła się. Czy była ostatnią z kochanek mojego ojca? Wyobraziłem ją sobie w kuchni, przypominającą mu o następnej szczepionce przeciw grypie, podczas gdy smażył dla niej omlet.

O dziwo, tak dalece oswoiła się ze mną, że przysiadła na poręczu fotela, w którym siedziałem, i położyła mi rękę na ramieniu.

– Richard? Jakoś się trzymasz, prawda?

– Tak jakby. To był bardzo dziwny dzień. Cieszę się, że tutaj jesteś.

– Chciałam zobaczyć to mieszkanie. – Skrzywiła się, słysząc zmęczone zawodzenie odległego alarmu. – Ostrzegałam cię, w tym mieście dzieją się

naprawdę dziwne rzeczy.

– Nie jestem pewien, co. Po lunchu spotkałem miejscowy głos wołający na pustyni – twojego przyjaciela Duncana Christiego. Szalony, a jednocześnie całkowicie przy zdrowych zmysłach. Potem Maxted zamknął mnie w swoim domu wariatów. Wyszedłem z niego dzięki jego blond służącej, sierżant Falconer, i następną rzecz, z jakiej zdałem sobie sprawę, to że stoję na czele rozruchów. Przez dziesięć minut podążał za mną wielki tłum.

– Musimy za kimś podążać. Co nam, biedakom, pozostało?

– W każdym razie – nie za dużo. To dlatego tak dobrze zarabiałem – wszystko, w co wierzymy, ma swój początek w reklamie. Tej nocy było inaczej. Bomba w Metro-Centre miała stać się zarzewiem konfliktu, ale się nie udało.

– Może nic nie reklamowała?

– Masz rację. Za tym musi stać jakiś przekaz. Następnym razem będę o tym pamiętał.

– Jeszcze jeden głos wołający na pustyni. Jezu Chryste... – Wzięła szklaneczkę z drinkiem i przysiadła na stoliku przede mną. – Słuchaj, Richard. Obudziłeś się w koszmarze, który sam pomagałeś stworzyć. Wracaj do Londynu. Przedmieścia są dla ciebie o wiele za dziwne. Dlaczego rzuciłeś pracę?

– To ona rzuciła mnie. Mówiąc szczerze, zostałem wylany. Wyliminowany przez rywala, który znalazł moją słabość.

– Jak to?

– Ten rywal był moją żoną. W sumie i tak dotarłem do kresu możliwości.

– Z nią?

– I z branżą reklamową. Gospodarka toczy się po nie skończonej równinie, a konsumenci są znudzeni widokiem. Potrzeba czegoś dziwnego, żeby usiedli z wrażenia.

– Dziwnego?

– Dziwnego i odrobinę szalonego. Na tym właśnie opierał się mój pomysł. Mieliśmy nawet takie hasło: „Szaleństwo jest złe. Zło jest dobre”. Wypróbowaliśmy je raz, w kampanii nowego samochodu, ale nie chwyciło. Nikt go już potem nie lubił.

– To strasznie dziwne.

– Też tak sobie pomyślałem. Kolejny wielki reklamowy punkt zwrotny, który donikąd nie prowadził.

– Jego czas jeszcze nadejdzie. – Odgarnęła włosy z twarzy, jakby

chciała mi się zaprezentować, usunąć jeszcze jedną zasłonę, która wisiała pomiędzy nami. – Jak dobrze znałeś ojca?

– Niezbyt dobrze. Matka nigdy nie pogodziła się z tym, że ją zostawił. Przez lata wmawiała mi, że zginął w katastrofie lotniczej. Na urodziny przychodziły czeki. Utrzymywała, że przybywają z tamtej strony. Dlatego też przez długi czas uważałem banki za wysunięte placówki nieba. Dziwne, ale poznałem go lepiej dopiero po jego śmierci.

– lestem pewna, że był dobrym człowiekiem.

– Był. Oprócz tego, że miał kilka dziwnych pomysłów.

– To ciekawe... – Popatrzyła na korytarz, który wiódł do sypialni. – Mogę się rozejrzeć? W dzisiejszych czasach rzadko ma się okazję zobaczyć, jak mieszkają pacjenci.

Poszedłem za nią do kuchni i w milczeniu obserwowałem, jak przegląda skromny asortyment ziół i przypraw. Zerwała listek bazylii, którą kupiłem, i uniosła go do nosa. Była zmęczona, ale starała się trzymać fason. Wiedziałem, że wspomina starego człowieka, którego życie próbowała podtrzymać przez kilka godzin. Podążałem za nią, podniecony jej zapachem, perfumami wytworzonymi przez nią samą z piękna, uporu i chronicznego zmęczenia.

– Więc to tutaj spał? – Stała w drzwiach sypialni mojego ojca, pociągając nosem w ciemności, jakby chciała złapać trop. Weszła do środka i zapaliła lampkę przy łóżku, po czym usiadła na narzucie, wygładzając zmarszczki na jedwabiu.

– Julia?

– Tutaj... – Skinęła, bym usiadł obok niej. Jak gdyby od ruchowo rozpięła górny guzik bluzki. – Jego głowa leżała na tej poduszce. Sny starego pilota. Pomyśl o nich, Richardzie. Wszystkie te niekończące się pasy startowe...

– Julio... – Usiadłem obok niej i chwyciłem ją w ramiona. Uświadomiłem sobie, że drży, jakby przeszył ją chłódny powiew dobiegający od drzwi nocy, które właśnie się uchyliły. Ta zrozpaczona kobieta siedziała na łóżku mojego ojca, o krok od uprawiania miłości z jego synem z powodów, które re miały wszystko i nic wspólnego z seksem. Był to rodzaj kurczowej i gwałtownej miłości, której mają szansę doświadczyć tylko pogrążeni w smutku.

Chwyciła moją rękę i włożyła ją pod swoją bluzkę, przyciskając do piersi.

– Nie musisz mnie lubić.

– Julio... – Usiłowałem ją uspokoić. – Nie tutaj. Chodźmy do mojej

sypialni, dobrze?

– Nie. – Mówiła beznamiętnym, prawie szorstkim głosem. – Tutaj.

– Kochanie, spróbuj...

– Tutaj! To musi stać się tutaj! – Popatrzyła na mnie rozgorączkowanym wzrokiem. – Nie rozumiesz?

## 20. Tor wyścigowy

Zostawiłem ją śpiącą w łóżku mojego ojca. Było jeszcze ciemno, kiedy obudziłem się o czwartej rano, zaniepokojony dziwnymi konturami materaca, wąskim wgłębieniem po biodrach i ramionach staruszka, i o wiele bardziej niepokojącym odciskiem jego umysłu. Julia leżała obok mnie. Kiedy usiadłem, odwróciła się i umościła w zarysie ciała starego pilota. Przeżycia ostatniej dziwnej nocy musiały ją wyczerpać. Po gwałtownym akcie miłosnym nastąpiły niespokojne sny. Pochwyciła mnie, jakbym był demonem przysłanym przez ojca zza grobu. Seks ze mną był po części aktem pokuty, a po części ekspiacją, zadośćuczynieniem.

Siedziałem na łóżku, głaszcząc jej ciemne włosy, i ścisnąłem ją za rękę, mając nadzieję przekazać jej trochę uczucia, jakie do niej żywiłem. Odpowiedziała nikłym uściskiem, przypominającym wsunięty pod drzwi liścik z podziękowaniem, po czym wślizgnęła się w płytki poranny sen, który mógł trwać nawet godzinami.

Musiałem wyjść z mieszkania i pobiec ulicami, zanim ktokolwiek jeszcze wstanie. Kiedy wkładałem dres, dokonałem szybkiego remanentu swego stanu posiadania. Czarna lista: straciłem samochód, pracę i przyjaciół w Londynie. Straciłem również ojca, którego tak naprawdę nie znałem, i ekscentryczną, ale sympatyczną młodą panią doktor, którą poznałem w szpitalu i z którą dzieliłem łóżko, ale prawie nic o niej nie wiedziałem. Mimo całego ciepła, jakie do niej czułem, dzieliło nas nieokreślone poczucie winy i niepokoju. Czy w jakiś sposób zawiodła mojego ojca podczas jego ostatnich godzin na oddziale intensywnej opieki medycznej? Kochała się ze mną, jakby próbowała reanimować trupa. Słuchałem jej oddechu, nieco dziecięcego, rozkosznego sapania i myślałem o córce, którą moglibyśmy kiedyś mieć.

Ale musiałem opuścić to mieszkanie, odwiedzić tor wyścigowy i usłyszeć dźwięki silników dudniących w ciemności.

Z kartonem soku pomarańczowego w ręce wybiegłem z domu i skierowałem się do położonego pół mili dalej toru. Ulice wciąż były ciche, przedmieścia niczego, nieskazitelne pawilony, które przypominały mi stylowe grobowce na jednej z wysp w Lagunie Weneckiej.

Mający jakieś trzydzieści stóp wysokości wał wznosił się w ciemności. Jego grzbiet przecinała droga dojazdowa. Przebiegłem przez ten wąski korytarz, a potem zatrzymałem się przy brzegu wiekowego betonowego wzniesienia. Pomyślałem o swoim ojcu chodzącym na wyścigi w latach

trzydziestych, małym chłopcu oszołomionym zapachem oleju i drogich perfum, wonią przepychu i niebezpieczeństwa. Ówczesne kroniki filmowe wypełniały dramatyczne kraksy, heroiczne śmierci, które stanowiły odpowiedź Anglii na dyktatorów z drugiej strony Kanału i wyrażały nieuświadomione pragnienie wojny.

– Halo? Tam na dole... proszę do mnie. Będzie pan miał lepszy widok...

Nade mną przechadzał się w ciemności mężczyzna. Miał na sobie biały smoking, zupełnie jakby zabląkał się tutaj z całonocnego przyjęcia. Machał do mnie teatralnie, ale poruszał się ostrożnie po nierównym betonie, jakby życie spędzone na zdradliwych posadzkach nauczyło go nieufności wobec każdego rodzaju podłoża. Widząc, że jestem zbyt wyczerpany, by wspiąć się do niego, zaczął schodzić.

Czekając, aż do mnie dotrze, zauważyłem amerykański samochód stojący na drodze poniżej. Szofer w czapce z daszkiem opierał się o drzwi, paląc papierosa i kreśląc jego czerwonym koniuszkiem wzory w ciemnym powietrzu.

– No, już jestem... – David Cruise chwycił mnie za rękę, z dobrotliwym uśmiechem, zupełnie jakby witał nowego uczestnika swojego programu. – Warto było wejść tutaj, wciąż czuje się strumień powietrza. Proszę posłuchać – słyszy pan?

– Chwileczkę. Bugatti, tak myślę. Z czterema gaźnikami. Albo też dwudziestoczwolnowy NapierRailton.

– Właśnie! – Zadowolony, że zacząłem grać rolę w je go małym przedstawieniu, Cruise potrząsnął moją ręką. – Pan...?

Przedstawiłem się, ale puścił moje nazwisko mimo uszu, jednocześnie przyjmując za pewnik, że jest zbyt sławny, by sam musiał się przedstawiać. Nie uświadamiając sobie tego, mówi! do kamery, która, jak wyczuwałem, filmowała jego ulubiony lewy profil.

– O, jak dobrze... – Wciągnął z rozkoszą powietrze, jakby delektował się ostrym zapachem spalonej gumy. – Wspania ła... nieograniczona moc koni, dwudziestolitrowe silniki. Nie takie jak dzisiaj. Mamy rozwiniętą technikę, ale nie potrafimy marzyć.

– A Formuła 1? Nie?

Ruszyliśmy w stronę lincolna.

– Proszę sobie nie żartować... Milionerzy w azbestowych wdziankach pokrytych znakami firmowymi. To, co działo się tutaj, było czymś prawdziwym.

– Bardziej niż Metro-Centre?

Zatrzymał się, by na mnie spojrzeć.

– Metro-Centre? Chciałbym, żeby przetrwało chociaż z siedem lat, a co dopiero siedemdziesiąt.

Powędrował wzrokiem ponad ciemne dachy miasta, gdzie ostatnie smużki dymu z kilku tłących się samochodów łączyły się w poranną mgiełkę. Olbrzymie ekrany na stadionie piłkarskim wciąż się świeciły, pokazując reklamy pustym trybunom. Ekranowe wcielenie Cruise'a zachwalało starszej miłośniczce sportu komplet mebli do sypialni. Jego ręka odbijała się od materaca, jakby zapraszał ją do wspólnego baraszkowania.

Prezenter uciszył! mnie, unosząc pięść i wpatrzył się w siebie. Jego usta otwierały się w odpowiedzi na będący jego znakiem rozpoznawczym repertuar kuszących uśmiechów i płochliwych grymasów, które odzwierciedlać miały głębokie zainteresowanie gośćmi w studiu.

Mimo nikłego światła widziałem go wyraźnie w bladej aurze otaczającej go podmiejskiej sławy. Jego medium stanowiła ciemność, zmieniała jego wygląd niczym wewnątrz telewizyjnego studia. Byłem zdumiony, że wydawał się taki mały, mimo że mierzył prawie sześć stóp wzrostu i miał wygląd bywalca siłowni. Był dowcipny, ale nie autoironiczny. Pomniejsze bóstwa nie powinny nigdy podawać w wątpliwość swojego istnienia. Pod każdym względem był tworem telewizji, z siwymi włosami eksponującymi twarz i skrywającymi wysokie czoło oraz wewnętrznym chłodem w oczach. Dawno temu musiał sobie wmówić, że lubi towarzystwo zwykłych ludzi i to złudzenie utrzymywało go przy życiu.

Kaskada iskier załśniła za północną trybuną stadionu. Ktoś podpalił magazyn – ubezpieczeniowy kant, wykorzystujący wydarzenia ostatniej nocy.

Cruise skrzywił się i odwrócił w kierunku swojego samochodu.

– Dom wariatów – szabrownictwo, podpalenia, wybija nie szyb... Ktoś podłożył bombę w Metro-Centre. Zupełnie jakbyśmy i bez tego nie mieli wystarczająco dużo proble mów.

– Widziałem zniszczenia. Policja zabrała mnie na par king.

– Był pan tam? Odważny z pana człowiek. Podłożyli bombę w czyimś samochodzie.

Doszedł do lincolna. Kierowca stał przy otwartych drzwiach od strony pasażera. Postanowiłem zaryzykować i dodałem:

– Tak się składa, że to był mój samochód.

– Pański samochód? – Cruise zawahał się. Wpatrzył się we mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy, jakbym był twa rzą w tłumie w studiu,

której opis usłyszał w tkwiącej w uchu słuchawce. – Wysadzili pański samochód? Biedaku. Musiał pan być w szoku.

– Byłem. Stary jensen. Przepiękne auto. Nic w nim nie działało, łącznie z zamkiem w drzwiach.

– Całkiem zniszczony? Dzięki Bogu zamachowiec zginął. – Cruise pokazał w stronę cichego wału. – To dlatego przyszedł pan tutaj, na tor wyścigowy. Chciał pan usłyszeć jeszcze raz te silniki. Coś autentycznego, jak pański jensen.

– Może i ma pan rację.

– Pewnie, że mam! – Położył mi na ramionach dwie potężne dłonie, zupełnie jakby uspokajał pogrążonego w smutku uczestnika konkursu. – Wiem, to dlatego pan tu przyszedł. Ta ruina to jedyne prawdziwe miejsce w Brooklands.

– Metro-Centre jest prawdziwe.

– Chyba pan żartuje. – Chwycił mnie za ramię. Głęboko zamyślony zaczął odchodzić od lincolna. – Czy myśmy się już kiedyś nie spotkali?

– Wczoraj. Przed Metro-Centre. Przyjechał pan na swój popołudniowy program.

– Nie. Gdzie indziej. Przed laty. – Wpatrzył się w moją twarz chłodnym wzrokiem patologa oglądającego zwłoki. – Był pan młodszy, twardszy, bardziej ambitny. Pana głos był wyższy, rozstawiał mnie pan po kątach. Boże, jak ja potrzebowałem tej pracy. Z jakiej pan jest branży?

– Reklamowej.

– Właśnie! Ta zwariowana reklama skody. Grałem pirata drogowego. Wszyscy uważali ją za szaloną.

– Miała być szalona. Taki był nasz zamysł.

– Agent ostrzegał mnie, żebym nie przyjmował tej propozycji. „Za dziwaczna”, powiedział. „Zostaniesz zaszufładko wany”. Marna szansa, nie pracowałem przez rok. Tak się złożyło, że okazałem się za duży do tego samochodu, nie mieściłem im się w kadrze. Potem już nigdy do tego nie wracałem. Mój agent od razu odrzucał takie propozycje. W pewnym sensie dzięki panu, panie...

– Richard Pearson. Był pan bardzo dobry.

– Nie, ciągle starałem się udawać. To wielki błąd w tym biznesie. Musisz być sobą. To kosztuje dużo pracy. Każdy z nas jest kilkoma osobami. Teraz wmawiam sobie, że jestem reżyserem wystawiającym nową sztukę. Wszyscy ci ludzie przyszli na przesłuchanie i wszyscy oni są mną. Niektórzy są bardziej ciekawi, inni mniej, niektórzy są bardziej realni, nie którzy mogą chwycić za serce. To dzieje się każdego ranka,

kiedy się budzę. Mogę wybierać i być bezlitosny. Rozumie pan?

– Oczywiście. To kwestia znalezienia właściwych ról. Ta kich ról, w których nie musi się udawać.

– Właśnie. Pamiętam, w zeszłym roku dostał pan jakąś nagrodę branżową. W Savoyu, widziałem, jak ją pan odbie rał...

Wyprostował się, otrząsając się z zamyślenia.

Doszedłem do wniosku, że za chwilę o mnie zapomni, twórca jego kariery zostanie pozostawiony tutaj jak Ben Gunn tej betonowej pustyni.

Potem zauważyłem, że kierowca przeszedł na drugą stronę lincolna. Drzwi z obu stron były teraz otwarte.

– Richard... – Cruise chwycił mnie swą opaloną ręką za łokieć, popychając w kierunku samochodu, jakby prowadził szczęśliwego zwycięzcę do jego nagrody. – Zjedzmy śniada nie u mnie w domu. Jest kilka spraw, o których musimy po rozmawiać. Może będziesz mógł mi doradzić. Coś mi mówi, że będziemy razem pracować...

## 21. Nowa polityka

– Brooklands? Cale to miasto jest stuknięte. Nie łapię te go wszystkiego. – David Cruise zmiął papierową chusteczkę i rzucił ją w stronę kamery stojącej na trójnogu obok basenu. – Co, na miłość boską, się tutaj działo wczoraj w nocy?

– Myślę, że wiesz. – Wpatrzyłem się w wodę, spokojną i nieruchomą jak tafla szkła. – Próba puczu.

– Puczu?

– Przewrotu pałacowego.

Cruise skrzywił się do swojego odbicia w lustrze.

– Niby gdzie jest ten pałac?

– Żyjemy w nim. To Metro-Centre i wszystkie galerie handlowe pomiędzy Brooklands a Heathrow. Ty, ja i ludzie, którzy oglądają twoje programy.

– Nie jest ich wystarczająco dużo – w tym właśnie problem. Kto miałby stać na czele tego przewrotu?

– To też wiesz. Ty.

– Ja? Muszę zapamiętać, żeby następnym razem zażądać garderoby i samochodu do dyspozycji. Też mi przewrót, też mi pałac...

Siedzieliśmy przy basenie w domu Cruise'a w ekskluzywnym osiedlu Seven Hills, w którym mieszkali kiedyś Beatlesi, Tom Jones i inne gwiazdy pop. Kopulasty szklany dach – jak się domyślałem, rozmyślne echo Metro-Centre – przypominał obserwatorium astronomiczne, ale jedyną gwiazdą, którą się tutaj oglądało, był David Cruise.

Dom był w swoim zasadniczym zrębie tudorowskim gmaszyskiem. Pokoje były tak duże, że można by rozgrywać w nich mecze squasha, i umeblowane jak hotel poza sezonem. W mieszczącej się obok toalet części biurowej pracownicy negocjowali honoraria za występy swojego szefa na cele charytatywne i odpowiadali na listy jego fanów. Gdy przyjechaliśmy, mój gospodarz przejrzał faksy i emaile, po czym poprowadził mnie przez puste pokoje do basenu, gdzie wyciągnęliśmy się na leżakach obok baru. Dwie potulne młode Filipinki podały nam śniadanie – papaję, kawę i kotlety jagnięce – ale prezenter przejawiał większe zainteresowanie wódką.

Patrzyłem na jego pulchne ciało spoczywające na leżaku; biały smoking i koszula odcinały się wyraźnie od tła. Kiedy przechodziliśmy

przez pokoje jego posiadłości, wydawał się znudzony i nieco podejrzliwy w stosunku do tego, co miało być jego domem, świadom, że jest to niewiele więcej niż dekoracja sceniczna.

Wbrew sobie polubiłem go. Podchodził z rezerwą do sukcesu, który osiągnął, i szukał czegoś pewnego w swoim życiu, chociaż cała jego kariera była zbudowana na iluzji i zestawie emocjonalnych trików karcianych. Był apodyktyczny, ale zarazem bardzo niepewny siebie i cały czas domagał się ode mnie pochlebstw.

Tymczasem postanowiłem przeprowadzić mały eksperyment, ostatnią próbę uwolnienia się z sieci spisków, które odpowiadały za śmierć mojego ojca. Jak dotąd prawie nic nie osiągnąłem, zabawiając się w detektywaamatora igrającego z niebezpieczeństwem, nieustannie ogłuszanego przez drzwi, które zatrzaśkiwały mu się przed nosem.

Ale na jednym obszarze byłem profesjonalistą – w tej pełnej napięcia rzeczywistości, w której spotykały się reklama i powszechny gust. Brooklands i inne miasta przy autostradzie stanowiły panel konsumencki, gdzie mogłem zastosować w praktyce wywrotowe pomysły, które przypłaciłem załamaniem kariery. Tu nie było komisji etycznych, mających na mnie oko, zebrań strategicznych, na których zawsze żądano ostrożności, ani żadnych ambitnych żon czekających na najmniejsze spotkanie. Gdyby udało mi się zmienić sposób myślenia mieszkańców tego niespokojnego miasteczka w Surrey i uwolnić tkwiącą w nich niesforną energię, mógłbym przedrzeć się przez wygładzone spiski, które ich ograniczały, i odkryć, dlaczego mój ojciec tak bezsensownie zginął.

Przynajmniej zyskałem pierwszego cennego sojusznika. David Cruise był najważniejszym człowiekiem, jakiego poznałem w Brooklands, i jednym z nielicznych, którzy chcieli rozmawiać. Wydawał się bezbronny, kiedy patrzył na mnie przebiegle ponad szklaneczką trunku, zupełnie jakby czuł, że bomba podłożona w Metro-Centre była wymierzona w niego. Ten prezenter telewizji kablowej, idol gospodyń domowych i miejscowy rzecznik praw obywatelskich prawdopodobnie cierpiał na brak przyjaciela.

Przypomniałem sobie, jak odjeżdżałem z nim z toru wyścigowego. Kiedy usiedliśmy na tylnej kanapie lincolna, przyznałem się mu, że mój ojciec jako dziecko przychodził na ten tor. Niemal bez zastanowienia Cruise uściśnął moją rękę, przypieczętowując braterstwo w obliczu terroryzmu. A poza tym, przy całej swojej bezbarwności i charakterze łagodnym i płytkim jak reklama telewizyjna, stawiał czoło Tony'emu Maxtedowi i Sangsterowi, odmawiając udziału w ich grze.

– Podziwiam cię za to, że posłałeś ich do diabła – powie działem mu,

podczas gdy dziewczyny z Filipin krążyły cichutko pośród nas, zbierając tace. – Oferowali ci klucze do królestwa.

– Albo do więzienia w Guildford. – Cruise musnął małą pupkę starszej z Filipinek. – Wszystko mieli starannie zaplanowane: coraz bardziej wściekły tłum, wybuch drugiej bomby, cały ten cyrk. Do pełnego szczęścia brakowało im tylko mnie krzyczącego z balkonu. Podmiejski dyktator z siebie dzibą w Metro-Centre – możesz to sobie wyobrazić?

– Mogę. Każde centrum handlowe do tego zmierza. Po wstaniu ludowe zaczyna się w najbliższym sklepie Tesco. To możliwe. Istnieje głód przemocy, to dlatego sport stał się obłędem całego kraju. Wszyscy się duszą – za dużo czujników kodu kreskowego, za dużo kamer ochrony i podwójnych żółtych linii. Ta druga bomba naprawdę ich nakręciła.

– Właśnie o to chodziło. – Cruise wpatrywał się w pustą szklaneczkę, jakby opłakiwał pierwszego drinka tego dnia. – Zabijasz kilku ludzi i wszyscy myślą, że była dobra zabawa. To nie dla mnie – zawsze bezpieczniej trzymać się tego, o czym nie masz pojęcia. W moim przypadku – sportu i sprzętu AGD. Zapomnij o prawicowych koterych ukrytych za rodzinnymi herbami.

– Dobrze. Ale ta narastająca fala wciąż tutaj jest. Czuję ją w tłumie. Ludzie chcą, żebyś ich poprowadził. Jesteś symbolem licznym przywódcą, który w powszechnym odczuciu stoi za Metro-Centre. To ty trzymasz w ryzach kluby kibica i możesz mówić to, co wszyscy w sekrecie myślą o emigrantach i starających się o azyl. Jesteś gwiazdą ze snów wszystkich gospodyń domowych...

– Za dużo tego jak dla mnie... w tym cały problem. Mam na głowie całe Metro-Centre. – Cruise wyciągnął się na leżąco, opuścił wzrok, jego usta uformowały się w serię półśmiechów, znak, że zamierza być szczery. – Słuchaj, Richard, musisz to zrozumieć. Jestem oszustem.

– Daj spokój...

– Nie. Gram pewną rolę. Cały czas jestem aktorem, gram rolę komentatora sportowego. Czy ja mam jakiegokolwiek pojęcie o sporcie? Między nami mówiąc, prawie żadne. Nigdy w życiu nie strzeliłem karnego.

– Czy to ma znaczenie?

– Nie. W sumie to nawet pomaga. Najlepsi komentatorzy nic nie wiedzą o sporcie. Tak jak oni mogłoby komentować każdy z ich słuchaczy. „Gra czysto, dąży do zwycięstwa...”. Śmiechu warte. Pracuję w biznesie, który jest czymś w rodzaju zwierciadła, daję ludziom twarz, którą chcieliby widzieć w lustrze łazienki, kiedy wstają. Twarz kogoś, kto

podziela ich nudę i twierdzi, że pójdzie do Metro-Centre rozwiąże ich wszystkie problemy.

– Wykonałeś kawał dobrej roboty. Wczoraj wieczorem byłem przed ratuszem. Lubią cię.

– Czy ja wiem? Wiwatują, a potem gwizdzą. – Cruise pochylił się, obniżając głos. – Możesz mi nie wierzyć, ale kiedy byłem młody, większość ludzi mnie nie znosiła. In stynktownie. Nie cierpieli mojego przyjaznego uśmiechu, serdeczności. Myśleli, że cały czas udaję. Nawet moi rodzi ce mnie unikali. Ojciec był lekarzem z klasy robotniczej. Specjalizował się w hipochondrii, to było najłatwiejsze do wyleczenia. Matka była pełnoetatowym studium przypad ku. Zaciskali pasa i oszczędzali, żeby mnie wysłać do szko ły prywatnej; teraz muszę ukrywać akcent i udawać, że po chodzę z przedmieść Heathrow. Za każdym razem, kiedy się z nimi spotykam, wiem, że myślą o mnie jak o nie udaczniku.

– Nonsens. Ludzie tutaj wierzą w ciebie.

– Nie mów tak. Jeśli zbyt dużo ludzi w ciebie wierzy, to nieomylny znak, że skończysz przybity do krzyża. To tylko praca, nic więcej. Czasami czuję, że już się do tego nie na daję.

– Nadajesz się, i to wcale nie jest tylko praca.

Czekałem, podczas gdy Cruise wydawał się pograżać w uzalaniu się nad sobą. Oparł się z powrotem na leżaku, jego ciało poruszyło się jak wąż usiłujący zrzucić skórę, lśniący pancerz, który stracił połysk. Potem wyprostował się, otrząsnął ze zwątpienia w siebie i wrzucił pustą szklaneczkę do basenu. Tafla wody zmarszczyła się w fale. Cruise wpatrywał się w nią, jakby to była kryształowa kula, w której widać przyszłość.

– Richard? – skinął na mnie. – Mów dalej. Myślę, że masz dla mnie kilka pomysłów.

– Zgadza się. Chciałbym ci zaproponować pójdzie inną drogą.

– To dobrze – Metro-Centre wymaga pomocy.

– A ty masz dokładnie to, czego mu potrzeba. W tym cen trum handlowym pojawił się nowy rodzaj polityki. Jesteś ide alnym człowiekiem, żeby ją wcielić w życie.

– Kiedyś, może...

– Teraz. Widzę w tobie człowieka przyszłości. Konsump cjonizm to drzwi do przyszłości, ty pomożesz je otworzyć. Ludzie gromadzą emocjonalny kapitał, tak samo jak gotówkę w banku, i muszą zainwestować te emocje w przywódcę. Nie chcą bezwzględne go fanatyka ciskającego gromy z balkonu. Oni chcą gospodarza programu

telewizyjnego siedzącego z gośćmi w studiu, mówiącego cicho o tym, co ważne w ich życiu. To nowy rodzaj demokracji, w której głosujemy przy kasie, a nie przy urnie wyborczej. Konsumpcjonizm jest naj większą siłą, jaka została wymyślona do rządzenia ludźmi. Nowe fantazje, sny i antypatie, nowe dusze do wyleczenia. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nazywają to robie niem zakupów. Ale tak naprawdę to polityka w stanie czy stym. A ty stoisz na czele tego ruchu. Możesz rządzić praktycznie całym krajem.

– Krajem? Teraz zaczynam się bać... – Cruise chwycił się poręczy leżaka, przewyciężając chęć zerwania się na równe nogi i niespokojnego chodzenia tam i z powrotem. Popatrzył na mnie wzrokiem, którym przeszywał gości w swoim pro gramie. Widziałem, jak rozważa wszystko, co mu powiedzia łem. – Masz rację – mogę ich poprowadzić. Wiem, że to tkwi tutaj, we mnie.

– Jest tam, naprawdę. Wierz mi, David.

– Wspieram wiele organizacji charytatywnych, otwieram galerie handlowe, hipermarkety przy M25 – dzięki temu tele widzowie mogą być podłączeni do Metro-Centre. W mia stach dookoła Heathrow mieszkają miliony ludzi. Są znudzeni, chcą być poddani próbie. Mają już garaż na dwa samochody, dodatkową łazienkę, własność wczasową w Algarve. Ale chcą więcej. Mogę do nich dotrzeć, Richard. Jest jednak jeden problem – z jakim przesłaniem?

– Przesłaniem? – Wstałem, unosząc ręce, żeby Cruise po został na miejscu. – Nie ma żadnego przesłania. Przesłania należą do świata starej polityki. Nie jesteś Fuhrerem wrzesz czącym do swoich oddziałów szturmowych. To stara polity ka. Nowa polityka dotyka ludzkich marzeń i potrzeb, ich na dziei i lęków. Ty masz ich zainspirować. Nie mów swoim wi dzom, co mają myśleć. Przyciągnij ich, zmusz do tego, żeby się otworzyli i zaczęli mówić, co czują.

– Unikać haseł i przesłań?

– Żadnych haseł i przesłań. Nowa polityka. Żadnych ma nifestacji i zobowiązań. Żadnych łatwych odpowiedzi. Sami postanowią, czego chcą. Twoim zadaniem jest ustawić deko racje i kreować odpowiedni klimat. Pokierujesz nimi, wyczu wając ich nastrój. Myśl o nich jak o stadzie antylop na afry kańskiej sawannie. Sami postanowią, dokąd pójdą.

– Jak duże jest to stado? Milion? Pięć milionów?

– Może nawet pięćdziesiąt. Pomyśl o przyszłości jak o programie telewizyjnym trwającym wieczność.

– To byłoby piekło – roześmiał się Cruise. – Ale pięć mi lionów to

bardzo duża popołudniowa widownia. Jak będę ni mi rządził, jak ich przy sobie utrzymam? To wszystko może stać się szalone.

– Szalone? I bardzo dobrze. Szaleństwo jest kluczem do wszystkiego. W małych dawkach, aplikowanych, kiedy nikt nie patrzy. Mówisz, że obroty Metro-Centre spadają?

– Niezupełnie spadają. Są na równym poziomie. Widomy znak, że przepaść niedaleko. Próbowaliśmy już wszystkiego.

– Wszystkiego? Próbowaliście klasycznego przyjaznego podejścia, dając klientom to, czego chcą. Albo myślą, że chcą. Teraz musicie spróbować podejścia nieprzyjaznego.

– Mówić im, czego powinni chcieć? – Cruise machnął ręką. – To się nie uda.

– Nie. To za bardzo autorytarne, za bardzo w stylu państwa opiekuńczego. To nie jest nowa polityka.

– A co nią jest?

– Nieobliczalność. Bądź miły przez większość czasu, a po tem nagle, wtedy, gdy się tego najmniej spodziewają, stań się okropny, fak znużony mąż, kochający, ale z nutką okrucieństwa. Ludzie będą wstrząśnięci, ale wyniki oglądalności wzrosną. Daj im odrobinę szaleństwa, nieco psychopatologii. Pa miętaj, silne wrażenia i psychopatia to jedyne sposoby, żeby dotrzeć do ludzi w dzisiejszych czasach. Twoim widzom nie zajmie dużo czasu zasmakowanie w prawdziwym szaleństwie, nieważne czy będzie chodzić o produkt, czy o ruch polityczny. Zachęcenie ludzi do odrobiny szaleństwa uczyni zakupy i związki miłosne ciekawszymi. Od czasu do czasu ludzie chcą być przez kogoś dyscyplinowani. Chcą, żeby ktoś im rozkazywał.

– Właśnie. – Cruise klepnął poręcz leżaka i wsłuchał się w echo odbijające się od ścian basenu. – Chcą być karani.

– Karani i kochani. Ale nie przez bezstronnego rodzica. Raczej przez humorzastego strażnika więziennego, spoglądającego na nich zza krat. Solidny klaps dla ludzi, którzy nie skierują się prosto na wyprzedaż mebli albo nie wystąpią o nową kartę stałego klienta.

– Zaczną odchodzić.

– Nie zaczną. Ludzie muszą być od czasu do czasu mal tretowani. Masochizm to nowa czerń. Zawsze nią był. Jest ponurą pieśnią przyszłości. Ludzie potrzebują dyscypliny i chcą przemocy. A najbardziej ze wszystkiego pragną zorganizowanej przemocy.

– Hokej na lodzie, rugby, rajdy samochodowe...

– Właśnie. Nowa polityka będzie trochę jak rugby. Spróbujemy tego w

twoim następnym programie. Nie zmieniaj swojego stylu, tym większe będzie zaskoczenie. Pokaż pazur, otwarcie ich skrytykuj. Odwołaj się do ich emocji. Ujawnij swoje wady, a potem domagaj się wierności. Domagaj się wiary i oddania, nie mówiąc im dokładnie, w co mają wierzyć. To właśnie jest nowa polityka. Pamiętaj, ludzie w dzisiejszych czasach podświadomie wierzą, że przemoc jest zbawieniem. I w głębi serca są przekonani, że psychopatia jest bliska świętości.

– Mają rację?

– Tak. Wiedzą, że szaleństwo jest jedyną wolnością, która im została. – Usiadłem na leżaku i czekałem na odpowiedź Cruise'a. – Davidzie? – ponagliłem go.

Prezenter telewizyjny wpatrywał się w basen, który znów był gładki jak parkiet. Odwrócił się i pokazał na mnie dwoma palcami wskazującymi, gest, który stosował w swoich programach, gdy gość wygłosił niespodziewanie trafne spostrzeżenie.

– To całkiem niezły pomysł. Podoba mi się...

## CZEŚĆ DRUGA

## 22. Bohater w prochowcu

Miasta przy Heathrow uprzętały pas startowy, podniosły koła i uczyły się latać, krążąc wysoko w ciepłe jasnego sierpniowego słońca. Kiedy zjechałem z autostrady i dotarłem na peryferie Ashford, zauważyłem sztandary z frędzlami na hipermarkecie, przeobrażające ten brzydki metalowy hangar w karawelę pełną skarbów. Flagi z krzyżami św. Jerzego powiewały na sklepach, domach oraz mijających mnie samochodach. Barwy miejscowych klubów sportowych dekorowały ratusz i wielopoziomowy parking, wnosząc odrobinę świątecznego nastroju w hałaśliwą atmosferę.

Na głównej ulicy odbywała się parada sportowa, prowadzona przez orkiestrę dętą i grupę mażorettek, dziewczęta o odsłoniętych udach, wystrojone w rurytańskie tuniki i czaka z emblematami sponsorującego je hipermarketu. Kroczyły dumnie przed drużynami machającymi do kibiców, którzy wylegli na balkony biur i chodniki.

Za nimi maszerowali dziarsko strażnicy i porządkowi w koszulkach z krzyżami św. Jerzego, a pochód zamykała jeszcze jedna orkiestra. Wszystkie sale lekcyjne i stanowiska pracy opustoszały, kiedy gorący puls obywatelskiej dumy i entuzjazmu ogarnął to nijakie miasto. Spadek produkcji czy posucha w kasach zostaną nadrobione przez wzrost wydajności i pracę w nadgodzinach.

Stałem w korku i machałem do kibiców, którzy spontanicznie uformowali się w kolumnę za maszerującymi, przyłączając się do parady, która zmierzała w kierunku parkingu dla autokarów przy stacji kolejowej. Stamtąd zostaną zawiezieni do Brooklands, spędzą popołudnie na zakupach w Metro-Centre, po czym pójda kibicować swoim drużynom w rozgrywkach miejscowej ligi.

Stopy tupwały obok mnie, a ręce muskały mojego wynajętego mercedesa. Ale polubiłem tych ludzi i czułem, że są mi bliscy. Wielu było w średnim wieku, ich białe kolana unosiły się i opadały energicznie, lecz bez pośpiechu. Koszulki tych krzyżowców były pokryte przyszytymi emblematami, odpowiednikami odznak skautowskich dla dorosłych – jeszcze jeden z projektów, które opracowałem. Każdy miał nazwę miejscowego sklepu i nadawał noszącemu go wygląd kierowcy Formuły 1. David Cruise i ja spodziewaliśmy się pewnego oporu, ale emblematy zyskały ogromną popularność, umacniając w tych ludziach poczucie, że ich życie jest kompletne tylko wtedy, gdy reklamują konsumencki świat.

Trwał właśnie zakrojony na szeroką skalę eksperyment socjologiczny, który pomagałem tworzyć. Zapomniani mieszkańcy miast przy autostradzie, tak pogardzani przez londyńczyków, odnaleźli dumę i poczucie wspólnoty, społeczną spójność, która pobudzała dobrą koniunkturę i ograniczała przestępczość. Za każdym razem, gdy zjeżdżałem z autostrady koło Heathrow, miałem poczucie, że wkraczam do laboratorium społecznego, które rozciągało się wzdłuż M25, obejmując każdy stadion sportowy i osiedle, każdy plac zabaw i galerię handlową. Zachodziła tu gwałtowna reakcja chemiczna, wiodąc te potulne przedmieścia ku nowemu i ostrzejszemu światłu. Miasta na równinie, dla mieszkańców Chelsea i Holland Park tak odległe jak Atlantyda i Samarkanda, uczyły się oddychać i śnić.

Kiedy minęła mnie orkiestra dęta, zacząłem czekać, aż ruch zostanie wznowiony, chociaż akurat tym razem nie musiałem się spieszyć. Trzy miesiące po pierwszym spotkaniu z Davidem Cruise'em sprzedałem swoje mieszkanie w Chelsea Harbour. Kupił je ode mnie młody neurochirurg. Nasi prawnicy w końcu, po kilku pełnych napięcia tygodniach, uzgodnili tekst umowy, choć bystra żona lekarza do końca piętrzyła trudności. Musiała zauważyć, że kręcę się po pustej sypialni, i błędnie odczytała to jako ostatnie wątpliwości dotyczące całkowitej przeprowadzki do Brooklands.

– Dokąd? – zapytała, kiedy wyjaśniłem jej powody sprzedaży mieszkania. – Czy takie miasto w ogóle istnieje?

Spodziewała się jakiejś tajemnej wady, sterowca przycumowanego piętro wyżej albo odpływu ścieków piętro niżej. Bez końca przemierzała jadalnię, wyobrażając sobie wieczorne przyjęcia, które stanowiły dla niej oznakę wysokiego statusu społecznego. Przyszłość jawiła się jej jako schody ruchome wielkomiejskiej paplaniny, tak wzniosłej, że sięgającej chmur. Kiedy wychodziła, uściśnąłem jej znacząco rękę, próbując wywołać mikrosekundową namiętność, odrobinę erotycznego napięcia, błysk amoralności. „Bądź szalona, bądź zła”, chciałem powiedzieć. Niestety, wyszła bez żadnej widocznej reakcji. Ale taki właśnie jest Londyn wewnętrzny, strefa płatnego ruchu duszy.

Przeprowadzając się do Brooklands, miałem pewne wątpliwości. Zostawiłem za sobą zdumionych znajomych, swoje wieczorki brydżowe i mecze squasha, była kochankę, do której wciąż czułem miętę, nawet ekszono, z którą w połowie miesiąca zjadłem lunch, co okazało się pełnym min, ale intrygującym doświadczeniem. Do tego dochodziły przyjemności

życia w wielkim mieście, od Muzeum Wiktorii i Alberta począwszy, a na tonach śmieci w skrzynkach na listy skończywszy. Moi znajomi uważali, że poświęciłem to wszystko dla zaspokojenia chorobliwej potrzeby znalezienia zabójcy ojca.

To prawda, wciąż zależało mi na wykryciu sprawcy tej tragedii, ale obecnie śmierć ojca nie znajdowała się w centrum mojej uwagi. Policja w Brooklands ogłosiła, że nie udało się jej ustalić właściciela jensena. Doszedłem do wniosku, że doskonale wiedzieli, czyj był ten samochód, ale mieli jakieś własne powody, by mnie nie wypytywać o ten wybuch. Może bali się, że przysporzę im kłopotów, przypominając niewyjaśnioną sprawę strzelaniny w Metro-Centre. Tak długo, jak się da, wolałem nie wchodzić im w drogę i myśleć o ojcu. W pewnym sensie znałem go o wiele lepiej niż kiedyś, ale czy to usprawiedliwiało mnie w jego oczach? Szczerze w to wątpiłem. Tymczasem natknąłem się przypadkiem na o wiele ważniejsze sposoby odzyskania wiary w siebie. Czekala mnie nowa przyszłość: wielkoduszna, pełna niespodzianek i gotowa zrekompensować wszelkie niepowodzenia.

Na głównej ulicy ruch wciąż był powolny, chociaż parada zniknęła i policja ograniczyła się do prowadzenia jakichś niejasnych własnych gier. Oparłem głowę o okno samochodu i spojrzałem w górę na billboard ponad wypożyczalnią telewizorów, reklamujący Metro-Centre i jego telewizję kablową. Miała ona teraz trzy kanały – sportowy, publicystyczny i z informacjami dla klientów. Cieszyły się one dużą popularnością w miastach przy autostradzie.

Reklama ukazywała ziarniste zbliżenie Davida Cruise'a, już nie wystrojonego i pokrytego różem prezentera telewizyjnego, ale uciekającego przed kimś bohatera filmu *noir*. Siedział za kierownicą samochodu, patrząc na drogę i jadąc na spotkanie przeznaczenia. Upiorny blask rozświetlał brudną przednią szybę, ukazując każdy por na jego nieogolonej twarzy. Czekoladowa opalenizna dawno temu już zbladła. Obecnie David Cruise, chociaż pozostawał głównym prezydentem kanałów telewizji kablowej, był bliższy rozpaczonych samotników z filmów gangsterskich z lat czterdziestych, mężczyzn, na których ciążyło przeznaczenie, każące im zmierzać ku tragicznemu końcowi.

Co ten ponury scenariusz miał wspólnego z obietnicą mnogości dóbr? Na pozór niewiele. Nic więc dziwnego, że kiedy wyszedłem z tym pomysłem, Tom Carradine i jego pracownicy działu PR kategorycznie zaprotestowali. Jednak reżyser, scenograf, a nawet Cruise w lot pojęli, w

czym rzecz, i dali mi szansę.

Kolejny plakat Metro-Centre, rozmiaru kortu tenisowego, pokrywał ścianę biurowca w centrum miasta. Ukazywał Cruise'a spoglądającego na ekspozycję mebli kuchennych. W tej pełnej grozy reminiscencji dramatu Strindberga groźny i zdezorientowany mąż obudził się w najniższym kręgu piekła.

Wszystkie te plakaty były fotosami z trzydziestosekundowych reklamówek, które pokazywano w kanałach telewizji kablowej. Ukazywały Cruise'a jako mężczyznę złapanego w pułapkę dziwnych stanów i zmiennych nastrojów – wykrzywionego, zasepionego, wściekłego, ponurego, mającego halucynacje i opętanego. Mógł wpatrywać się niemal ekstatycznie w kosz pełen śmieci, zupełnie jakby zaraz miał przeżyć objawienie, albo dzwonić do przypadkowo wybranych drzwi i przeszywać wzrokiem zmartwiałą z przerażenia gospodynię domową, w równej mierze gotów ją uderzyć, jak i błagać o udzielenie schronienia. Innym razem odwiedzał tor wyścigowy w Brooklands i pisk opon torturował jego umysł, albo prowadził grupę uczennic przez halę odlotów lotniska Heathrow jak potencjalny porwacz dzieci.

O dziwo, grał te role sprawnie i z dużą wrażliwością, swobodnie przechodząc przez złowrogi konsumencki krajobraz salonów samochodowych, telefonicznych centrów obsługi klienta i ogrodzonych osiedli. Historie ukazwane w tych filmikach były niedorzeczne, ale widzowie je lubili. Dopiero razem nabierały głębszego sensu, układając się w sceny ze zbiorowego snu, rozgrywające się w zakamarkach umysłów.

Jako doradca medialny Cruise'a dużo ryzykowałem, ale byłem gotów rozkręcić tę maszynę i postawić wszystko na jedną kartę. Widownia rosła i we wszystkich miastach przy autostradzie niedługo później pojawiły się plakaty, grające na tej samej stłumionej potrzebie ekscentryczności i nieobliczalności. Na skrzyżowaniu głównej ulicy Ashford i podwójnej autostrady pojawił się billboard miejscowego towarzystwa ubezpieczeniowego, reklamujący ubezpieczenie na życie. Przedstawiał wyglądającą na obłąkaną młodą kobietę, ciągnącą przez opustoszały parking zakrwawione dziecko i obserwowaną przez uśmiechającą się parę, która urządzała sobie piknik obok volva z uszkodzonym błotnikiem.

Śmiałem się wielkodusznie z tego inteligentnego dowcipu. Tak jak i pozostałe plakaty nie reklamował on niczego z wyjątkiem własnej ekscentrycznej przekory. Mimo to pomysł chwycił. Sprzedaż rosła i Metro-Centre oddało do użytku dodatkowe kanały telewizyjne. Ludzie z hrabstw wokół Londynu, a nawet z samego Londynu wewnętrznego,

przejeżdżali jak turyści przez miasta przy autostradzie, świadomi, że te nierzucające się w oczy przedmieścia trawiła nowa gorączka. Zagrzewali drużyny sportowe, które paradowały po parkingach wokół Metro-Centre, wyprostowywali ramiona, kiedy maszerujący wrzeszczeli i tupali. Patrzyli na zdyscyplinowane rzędy lekkoatletów niosących z uroczystymi minami flagi, właścicieli kart stałego klienta skandujących: – Metro... Metro...

Bez wiedzy zapracowanego kierownictwa i działu sprzedaży Metro-Centre stało się siedzibą główną wirtualnej partii politycznej, finansowanej przez kluby kibica i właścicieli złotych kart stałego klienta. Nie ogłosiła ona manifestu, nie składała żadnych obietnic i nie przedstawiła programu. Nie reprezentowała niczego. Mimo to kilku kandydatów w koszulkach z krzyżami św. Jerzego, których jedyną trybunę stanowiła lojalność wobec centrum handlowego i jego klubów sportowych, objęło stanowiska w lokalnych władzach. Ich programy polityczne były trzydziestosekundowymi reklamówkami, które wymyśliłem dla Davida Cruise'a.

Trzeba przyznać, że prezenter wykonał kawał dobrej roboty, spełniając nadzieje z nim związane. Zgadzał się z każdą moją sugestią, skory do dodania wielu pomysłów do tej nerwowej, choć niezrozumiałej psychodramy. Radził sobie dzielnie z zalewem walentynek i propozycji małżeństwa i nigdy nie zapominał, że jest prezenterem talkshow. Skromność w tym względzie stanowiła dużą część jego wdzięku. Dzięki niemu każdy mężczyzna utożsamiał się z postaciami uciekinierów, które kreował, a każda kobieta wyobrażała sobie, że stanie się Jane dla tego neurastenicznego Tarzana z podmiejskiej dżungli

– Lata niepowodzeń – powtarzał mi często – są najgorszym przygotowaniem do nagłego triumfu.

– A co najlepiej do niego przygotowuje?

– Lata sukcesów.

Pozostał życzliwy i sympatyczny, mimo zadowolenia płynącego z nowo odkrytej agresji. Mógł do woli terroryzować i obrażać myślące tylko o sobie żony i tępych mężów, którzy pojawiali się w jego programach – i tak nie mieli mu tego za złe. Jego zniecierpliwienie w stosunku do co bardziej głupawych gości, zaciśnięte pięści i widoczne napięcie korespondowały ze zdesperowanymi postaciami, które grał w reklamówkach w stylu *noir*.

Pozostał głosem Metro-Centre, ambasadorem królestwa pralek i kuchenek mikrofalowych, ale był również przywódcą wirtualnej partii politycznej, której wpływy rozciągały się na wszystkie miasta przy

autostradzie. Podobnie jak inni demagodzy wykorzystywał psychopatyczne cechy swojej osobowości. Wynurzył się nie ze zgorzkniałych ulic i robotniczych monachijskich karczm Wielkiego Kryzysu, ale z gościnnych studiów telewizji popołudniowej, pozbawiony przesłania głosu, który znalazł swoją pustynię.

Autostradą przejechał ostatni autokar, uwożąc drużyny i ich kibiców do Brooklands. Eskortowali go policjanci na motocyklach z włączonymi kogutami. Wstrzymywane dotąd samochody ruszyły w pościg.

Przejechałem na pomarańczowym świetle, witany przez salutującego rozpromienionego posterunkowego, który machnął, żebym jechał dalej. Mimo nawału pracy nie przestawałem myśleć o Julii Goodwin. Mieliśmy się spotkać tego popołudnia, kiedy skończy dyżur w szpitalu. Zazdrościłem pacjentom, których dotykała swoimi zniszczonymi, zmęczonymi dłońmi.

Mgliste poczucie winy zawisło pomiędzy nami, zupełnie jakby bez porozumienia ze mną dokonała aborcji naszego dziecka. Ale przynajmniej to napięcie dowodziło jej żarliwej uczciwości. Podejrzewałem, że ona, Geoffrey Fairfax, doktor Maxted i Sangster próbowali wykorzystać strzelaninę w Metro-Centre do własnych celów. Trzej mężczyźni usiłowali to uczynić raz jeszcze tego wieczoru, kiedy nastąpił wybuch bomby, mając nadzieję, że uda im się przechwycić władzę dzięki marionetkowemu Bonapartemu, opornemu Davidowi Cruise'owi. Sparzyli się na tym i teraz trzymali głowy opuszczone. Tylko Fairfax zapłacił najwyższą cenę, podkładając bombę pod mój samochód albo próbując ją rozbroić.

Koroner, prawdopodobnie za podszeptem komisarza Leightona, stwierdził, że zgon nastąpił w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Fairfax szybko został zapomniany przez kolegów prawników. Byłem jednym z niewielu żałobników na jego pogrzebie, oplakując w równej mierze swojego jensena, co tego ekscentrycznego adwokata, niepełnoetatowego żołnierza i pełnoetatowego fanatyka, który należał do przeszłości, tak jak i stare Brooklands. Poświęciłem się Metro-Centre przez wzgląd na pamięć swego ojca, a także dla Julii Goodwin i dla przyszłości nowego Brooklands.

## 23. Schronisko dla kobiet

Ruch w kierunku Brooklands raz jeszcze zwolnił, wstrzymywany przez policję, która ustawiła stalowe barierki i znaki zakazu wjazdu. Stanowiły one część zakrojonych na szeroką skalę przygotowań do weekendowych zawodów sportowych i parady. Tego wieczoru miano rozegrać kilka ważnych meczów piłkarskich i finały turniejów rugby, koszykówki i hokeja na lodzie.

W krykieta, jak zauważałem, kiedy Julia pytała mnie o wyniki spotkań reprezentacji narodowych, w Brooklands ani w innych miastach przy autostradzie w ogóle nie grano. Przeważały sporty kontaktowe, im bardziej brutalne, tym lepiej. Krew i agresja stanowiły wartości same w sobie. Brutalność była istotą sportu, przemoc kwitła na marginesach regulaminów. Krykiet jawił się jako zbyt amatorski i zawily, tkwił w gąszczu niezrozumiałych zasad. Przede wszystkim jednak był sportem klas średnich i nie łączył się z żądzą kupowania, charakterystyczną dla kibiców Metro-Centre. Julia powiedziała mi, że była kapitanem szkolnej drużyny krykieta, podejrzewałem jednak, że jej obecne zainteresowanie tą grą wynikało z dziecinnej chęci przeciwstawienia się twardym stadionowym wartościom, które zdominowały życie Brooklands.

Mieliśmy się spotkać o trzeciej, kiedy skończy dyżur. Nienawidziła zawodów sportowych, niekończącego się harmidru orkiestr dętych, który bębnił o okna, przedzierając się przez wycie karet pogotowia i wozów strażackich. Zwykle miała wówczas dyżur, zajmując się ofiarami wnoszonymi na noszach do izby przyjęć. Chociaż raz pomyślawszy o sobie, tak ustawiła harmonogram dyżurów, by dać nam sposobność spotkania się w weekend.

Miałem nadzieję, że będę mógł spędzić z nią przynajmniej jego część, choć ostatnio trzymała mnie na dystans. Nie uprawialiśmy seksu od tej niespokojnej nocy w łóżku mojego ojca. Kochanie się ze mną stanowiło dla niej akt pokuty, odkupienie jakiejś winy, do której się nie przyznała. Za każdym razem, gdy się spotykaliśmy, patrzyła na mnie nieufnie, zasłaniając włosami oczy, jakby chciała ukryć znamienne tajemnicę. Mimo to zawsze cieszyłem się na te nasze spotkania. Uwielbiałem jej humory i upór, papierosy gaszone w topniejącym sorbecie, niechęć, jaką przejawiała do własnego samochodu, i ładnego czarnego kota, który spał obok niej niczym demoniczny mąż. Wszystko, co działo się między nami, następowało w odwrotnej kolejności. Zaczęliśmy od seksu, pełnego

napięcia i desperacji, potem przyszedł czas na długi okres zalecania się. Nigdy jej nie zawiodłem i miałem nadzieję, że pewnego dnia w końcu wybaczy mi to, co zrobiła w przeszłości mojemu ojcu.

Jadąc w sznurze samochodów kierujących się do Metro-Centre, patrzyłem na kolumny kibiców maszerujących do swoich punktów zbiórek w bocznych uliczkach. Pod jaworami i bukami parkowały autokary przyozdobione sztandarami z krzyżami św. Jerzego. Kibice przyjeżdżali teraz z miejsc tak odległych jak Bristol i Birmingham, przyciągani przez militarny nastrój, który ogarnął miasto, gotowi maszerować jego ulicami, wrzeszczeć ile tchu w piersiach i wydawać oszczędności w galeriach handlowych, sponsorujących imprezy. Brooklands w każdy weekend okupowało dwadzieścia tysięcy gości. Siedząc w wygodnym fotelu za kierownicą mercedesa, nie mogłem się nadziwić, jacy są zdyscyplinowani, wykonując szorstkie komendy porządkowych, kierujących ich do Metro-Centre – tysiące podmiejskich krzyżowców z przyszytymi znakami towarowymi, którzy poruszali się w tym samym rytmie. W równych odstępach, próbując utrzymać krążenie krwi, falangi kibiców hokeja na lodzie i koszykówki wznosiły okrzyki i machały ramionami niczym skrzydła wiatraków.

Nie mogąc się doczekać powrotu do domu, sprawdziłem wiadomości na komórce, mając nadzieję, że David Cruise jakoś przeżył czterdzieści osiem godzin beze mnie. Znalazłem króciutki SMS od Julii, mówiący, że tego dnia będzie pracować do szóstej w schronisku dla azjatyckich kobiet. Liceum w Brooklands miało przerwę wakacyjną i Sangster użyczył części pomieszczeń Azjatkom i ich dzieciom tak zastraszoną przez pijanych kibiców, że nie chciały wracać do domów.

Chcąc jak najszybciej zobaczyć Julię, skręciłem na pusty pas dla autobusów i wjechałem w najbliższą boczną uliczkę, po czym zacząłem przemierzać ulice wypełnione autokarami. Kierujący ruchem porządkowi zmuszali prywatne samochody do przepuszczenia ociężałych kolosów z kibicami. Większość mieszkańców wywodzących się z klasy średniej nie znosiła weekendów sportowych. Chcąc uniknąć stania w korkach, wziąłem proporczyk z krzyżem św. Jerzego z tylnego siedzenia i przyczepiłem go do słupka przedniej szyby, po czym włożyłem czapkę bejsbolową z tym samym znakiem. Na następnym punkcie kontrolnym porządkowi przepuścili mnie bez kolejki i wymienili ze mną pełne wigoru saluty.

Czapka i proporczyk były przebraniem, jedynym, które działało. Nie cierpiałem wywyższania się tych wszystkich miniaturowych gauleiterów, wiedziałem jednak, że poczucie, iż wróg nie śpi, wyostrzyło odruchy i

podniosło wszystkich na duchu. Bawiące z wizytami drużyny i ich kibice byli postrzegani jako zaprzyjaźnieni obywatele nowej federacji miast przy autostradzie, uczestniczący w zjeździe rodzinnym Heathrow. Każdy w Brooklands był przyjacielem, ale poza nim czaili się gdzieś „wrogowie”, o których David Cruise wspominał bezustannie w swoich programach telewizji kablowej, choć nigdy ich jednoznacznie nie zidentyfikował.

Równocześnie wszyscy wiedzieli, kto jest prawdziwym wrogiem – elementy wywrotowe we władzach lokalnych, władze hrabstwa, kościół i klasy średnie z ich bryczesami i wieczornymi przyjęciami, szkołami prywatnymi i objawiającym się zaparciem snobizmem. Solidaryzowałem się z maszerującymi kibicami i byłem gotów powstrzymać ich przed jakąkolwiek konfrontacją. Przejęli inicjatywę i stworzyli nowy porządek polityczny, oparty na energii i emocjach. Na nowo zdefiniowali swoje życie, maszerując dumnie z militarnym entuzjazmem ludzi idących na wojnę, podczas gdy inni pozostali wierni pacyfistycznemu marzeniu o tarasach i *barbecue*. Wszystko to mogło być częścią wielkiej strategii marketingowej, ale czułem, że dumny krok, dyscyplina i brutalna kondycja przywróciły mnie do życia. Wyczuwało się w tym leciutki dotyk arogancji, która mogła być niebezpieczna po zmroku, ale czyż kropla sosu tabasco nie dodaje pikanterii najbardziej mdłej potrawie?

Mój ojciec na pewno by się z tym zgodził.

Omijając Metro-Centre i zakorkowane ulice, wjechałem do śródmieścia. Wiele sklepów na weekend zabito deskami. Przed polskim sklepem z aparatami fotograficznymi, który pozostał otwarty, zauważyłem trzech porządkowych klubu sportowego. Mieli ulotki i materiały rekrutacyjne, a także trochę flag i proporców, ale zapomnieli o nich, awanturując się z właścicielem sklepu. Błady młody mężczyzna z przeredzonymi włosami był przerażony, ale dzielnie stawiał im czoło, chociaż zdenerwowana żona próbowała zaciągnąć go do sklepu. Dwaj porządkowi pchnęli Polaka w pierś, usiłując go sprowokować.

Zawahałem się, czy nie wysiąść i nie zainterweniować, ale zamiast tego zatrafiłem. Porządkowi odwrócili się do mnie gwałtownie, po czym zobaczyli na przedniej szybie nalepkę Metro-Centre ze zdjęciem Davida Cruise'a. Zasalutowali, machnęli do Polaka, by wracał do żony, i poszli dalej, kopiąc stalowe rolety antywłamaniowe.

Ruszyłem, nieco zawstydzony i trawiony poczuciem winy. Porządkowi z klubów sportowych stanowili plagę miast przy autostradzie, zastraszając właścicieli sklepów z Azji i Europy Wschodniej i ściągając haracze z

drobnych przedsiębiorców. Tych, którzy odmawiali, odwiedzali pijani kibice włóczący się po zmroku po ulicach. Policja jednak tolerowała proceder wymuszania pieniędzy w zamian za ochronę, ponieważ porządkowi utrzymywali ład w miastach.

Próbowałem się tym wszystkim nie przejmować, myśląc o pewnych sobie demonstrantach podążających do Metro-Centre. Z czasem bandyci i rasiści odejdą. Poza tym angielscy kibice słynęli z zادیorności. Moje sumienie spało – co prawda, niespokojnie, ale spało.

Dziesięć minut później wjechałem na parking dla personelu przy liceum w Brooklands, rzuciłem proporczyk z krzyżem św. Jerzego na tylne siedzenie i zatrzymałem się obok brudnego citroena Sangstera. Wandale wybili kilka szyb w oknach budynku administracyjnego, (ednak autorytet dyrektora, nawet tak ekscentrycznego jak Sangster, zapewniał pewną ochronę. Wspaniałomyślnie przeznaczył salę gimnastyczną i część pustych sal lekcyjnych na schronisko dla przerażonych Azjatek. Ich mężowie pozostali, broniąc spalonych domów i starając się prowadzić dalej zagrożone sklepy i punkty usługowe.

Kiedy przyjechałem, dwóch Azjatów właśnie wyjmowało walizki z poplamionego farbą samochodu. Sangster i grupa studentów wyższej szkoły sztuk pięknych wzmocniali ogrodzenie z tyłu sali gimnastycznej, zastawiając boczne wejście drewnianymi słupkami i drutem kolczastym.

Dyrektor szkoły machnął do mnie ręką, po czym dotknął czoła, zdejmując wyimaginowany kapelusz w niemal feudalnym pokłonie. Przypomniałem sobie jego ogromną sylwetkę na balkonie ratusza tego wieczoru, kiedy w Metro-Centre podłożono bombę, i jego dziwne zachowanie, gdy powstrzymywał uczestników zamieszek, a jednocześnie zagrzewał ich do walki. Wiedział, że mu nie ufam, i próbował zachowywać się protekcyjnie. Ale przegrał, a ja wygrałem.

Trzy razy w tygodniu sala gimnastyczna przeobrażała się w poradnię dla kobiet w ciąży. Azjatki przyjmowała doktor Kumar, moja nieprzystępna sąsiadka. Ostatnia pacjentka zbierała się do wyjścia, (ej pociechy siedziały na ławce przy drabinkach, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami. Zignorowały mój przyjacielski uśmiech, jakby dobry humor stanowił oznakę nowego rodzaju agresji.

Julię i doktor Kumar zastałem w kuchni. Piły herbatę przyniesioną w termosie. Azjatka popatrzyła na mnie gniewnie i wstała bez słowa.

Objąłem Julię i pocałowałem ją w czoło. Pomachałem też doktor

Kumar, ale włożyła kitel i pospiesznie wyszła.

– Zawzięta kobieta. Czy ją jakoś obraziłem?

– Oczywiście. Nigdy jej nie zawiodłeś.

– Szkoda. Jestem po jej stronie. Ciągłe mnie unika.

– Zupełnie nie wiem, dlaczego. – Julia znalazła czysty kubek i wlała do niego resztkę herbaty, po czym usiadła i uśmiechnęła się, kiedy skrzywiłem się z powodu ostrego smaku teiny. – Ciągłe jej powtarzam, że jesteś przyzwoitym, odpowiedzialnym i sympatycznym człowiekiem.

– To wcale nie było śmieszne. Też mi coś. – Wylałem herbatę do zlewu i odkręciłem kurek. – Poleć jej obejrzenie moich reklamówek z Davidem Cruise'em.

– Już to zrobiłam. Odparła, że widziała jakąś nową. Z mężczyzną śmiejącym się w rzeźni.

– Co o niej sądzi?

– Jej zdaniem jesteś szalony.

– To dobrze. To znaczy, że zaczyna mnie lubić. Dlaczego była taka nieprzyjazna?

– Spójrz w lustro. – Julia pokazała na lusterko do golenia, które stróż nocny zawiesił nad zlewem. – Podejdz. Zaryzykuj.

– O mój Boże... Nic dziwnego, że dzieci się mnie bały.

Wciąż miałem na głowie czapkę z krzyżem św. Jerzego. Położyłem ją na stole i klepnałem się w czoło. Julia wrzuciła ją do kosza na śmieci.

– Przepraszam...

– Nie przejmuj się. – Sięgnęła przez stół i chwyciła mnie za rękę. Uświadomiłem sobie, jak bardzo jest zmęczona, i za pragnąłem ją objąć, sprawić, że jak za dotknięciem czaro dziejskiej różdżki znikną jej sucha skóra i kości uwidaczniają się na twarzy. Próbowałem dotknąć jej policzków, ale chwyciła mnie za nadgarstki, zupełnie jakby uspokajała spiętego pacjenta. – Słyszysz?

– Kochanie... Nie widziałem cię od kilku dni. Rozluźnij się trochę.

– Nie mogę. Sytuacja tutaj jest rozpaczliwa. W nocy kibi ce napadli na szkołę. Sangster ich przepędził, ale zbili szyby w oknach. Dzieci się wystraszyły. Jedna z matek poroniła.

– Przykro mi. Dobrze przynajmniej, że cię tutaj nie było.

– Ale powinnam być. Spędziłam cztery godziny w szpitalu, zszywając pijanych prymitywów. Dlaczego oni to zrobili?

– Zaatakowali szkołę? W odwecie za lata nudy. I za ta jemniczego dyrektora, którego śmiertelnie się bali.

– To nie ma nic do rzeczy. Ataki są wszędzie – w Hillingdon, Southall,

Ashford. Oni chcą wygnać stąd tych ludzi.

– „Tych ludzi”?

Julia uderzyła pięścią w stół.

– Będę ich nazywać tak, jak mi się podoba! Banglijczycy, Kosowianie, Polacy, Turcy. Chcą ich przenieść do jakiegoś gigantycznego getta we wschodnim Londynie. A potem w końcu ich załatwią.

– Julia, proszę cię... – Wiedziałem, że była znudzona moimi próbami podniesienia jej na duchu. – Czy ta wizja nie jest cokolwiek zbyt...?

– Apokaliptyczna?

Do kuchni wszedł William Sangster. Zasłonił swoją zwalistą sylwetką okno, odcinając małe pomieszczenie od światła. Zdjął płócienne rękawice i rzucił je na ociekacz, po czym opadł na krzesło, wyciągając przed siebie ogromne nogi. Sprawiał wrażenie zmęczonego, ale zadowolonego, jakby wydarzenia wokół potwierdzały jego przypuszczenia. Na jego pulchnych, dziecięcych policzkach pojawił się zarost. Wyglądał, jakby miał na sobie niedopasowane przebranie.

– Apokaliptyczna... – powtórzyłem. – Przez te kilka ka mieni? To nic poważnego.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. – Sangster odchylił głowę do tyłu, adresując słowa do sufitu, jakby wolał nie przypominać o swoich mętnych źrenicach. – Z doświadczenia wiem, że jeśli jeden kamień trafi w okno, istnieje duże prawdopodobieństwo, że polecą za nim następny. A za nim dwa kolejne. Twarde kamienie dla podkreślenia twardych argumentów. Dodaj kilka przestraszonych muzułmańskich ro dzin do równania i otrzymasz linię prostą – drogę prowadzącą całą do miast na obszarze zalewowym Tamizy.

– Blisko terminalu kontenerowego w Rotherhithe. – Julia popatrzyła na mnie znacząco. – I tego dziwnego lotniska, które chcą zbudować na Isle of Dogs.

– A zatem... – Sangster potrząsnął pustym termosem i położył delikatnie ogromną dłoń na ramieniu Julii. Po nocy pełnej rozruchów nie był zwyczajnie zmęczony, ale wręcz wy czerpany, bawiąc w rejonach, w których każda szalona fanta zja mogła wydawać się rzeczywista. – Sądzisz, że Julia prze sadza, Richardzie?

– Chyba jednak nie. Sytuacja jest naprawdę groźna. Zro bię, co będę mógł, porozmawiam z porządkowymi i odkryję, którzy kibice tu przyszli.

– Świetnie. – Sangster skinął głową. – Julio, on porozmawia z porządkowymi. Może powie nam, gdzie nastąpi kolejny atak. Richardzie, powinieneś wydawać biuletyn informacyjny. Jak w tych starych filmach

wojennych. Cel ataku tej nocy: Hillingdon, Ashford, cel alternatywny: Brooklands. Co o tym sądzisz? Potraktuj to jak kampanię marketingową.

– Czyż w dzisiejszych czasach wszystko nie jest kampanią marketingową? – Świadom, że obojgu kręci się w głowach ze zmęczenia, dodałem: – Słuchajcie, porozmawiam z policją.

– Z policją? – Sangster zrobił przesadnie poważną minę. – No, popatrz, nie pomyśleliśmy o tym. Julio, co ty na to?

Puściłem mimo uszu ironię jego słów.

– Ja naprawdę nienawidzę przemocy. I ataków o podłożu rasistowskim. Nienawidzę wymuszania haraczy i zastrasza nia. Jednak ci ludzie to margines.

– Tylko margines?

– Przyznaję, niebezpieczny margines. Ale niewiele osób jest w to zamieszanych. Tam, gdzie jest sport, są i chuligani. Tak się składa, że sporty kontaktowe najbardziej trafiają do hołoty rozglądającej się tylko za zadymami. Nie patrzcie na to wszystko przez pryzmat nocnych wydarzeń.

– Słuszna uwaga – przyznał Sangster. – Mów dalej.

– Popatrzcie na to, co się dzieje w ciągu dnia. Zdyscypli nowane tłumy, wszyscy zachowują się bez zarzutu. Przyglą dałem się im godzinę temu. Całe rodziny razem – zdrowe, świeże, optymistyczne, wiwatujące na cześć swoich drużyn. Przyjacielska rywalizacja, głowy uniesione wysoko.

– I sztandary? – Julia pochylila się nad stołem i uścisnęła mój nadgarstek. – Widziałeś je? To wygląda jak legiony rzymskie. Niewiarygodne.

– Zgadza się. Powiewające sztandary. W powietrzu czuć nową dumę, we wszystkich miastach przy autostradzie. Lu dzie są pewniejsi siebie, bardziej optymistycznie podchodzą do życia. M25 była zaściankiem Heathrow, ponurym żartem. Podwójnymi autostradami i komisami samochodowymi. Nie było tu niczego, na co by się czekało, z wyjątkiem nowych drzwi balkonowych i podróży do Homepage. Obietnica lep szego życia dostarczona w zestawie do samodzielnego mon tażu.

Sangster skinął głową, wpatrując się w swoje obgryzione paznokcie.

– A teraz?

– Odrodzenie! Sprężysty krok. Ludzie wiedzą, że ich ży cie ma sens. I że dzieje się coś dobrego dla całej społeczności.

– A także dla Metro-Centre?

– Oczywiście. Wiemy, na czym się skupić. Finansujemy kluby kibica i budowę nowych stadionów. Używamy kanałów telewizji kablowej do wywierania nacisku.

– Nacisku? – Julia zwolniła uścisk, zirytowana wszystkim, co powiedziałem. – Żeby zwiększyć sprzedaż waszych pralek i kuchenek mikrofalowych?

– Stanowią część ludzkiego życia. Konsumpcjonizm jest powietrzem, którym ludzie oddychają dzięki nam.

\* \* \*

Julia odwróciła się, nie chcąc mnie już dłużej słuchać. Zaczęła szukać w torbie telefonu komórkowego. Wstała i zmierzwiła moje włosy.

– Muszę zadzwonić – powiedziała. – Zaraz wracam.

– Nie zapomnij o naszej dzisiejszej kolacji.

– Mam nadzieję, że do niej dojdzie. – Zatrzymała się w drzwiach i przeszła mnie gniewnym spojrzeniem. – Po wietrzem, którym ludzie oddychają? Nie zapominaj, że oni nie tylko wdychają, ale też wydychają.

## 24. Państwo faszystowskie

– Richardzie... – Sangster zastukał ciężkim knykiem w stół, przypominając mi o przesłuchaniu, które prowadził. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz.

– Niezupełnie. – Siedzieliśmy po przeciwnych końcach stołu, nie rozpraszeni obecnością Julii. – Założę się, że za mierzasz mnie oświecić.

– W istocie. – Sangster przyjrzał się swoim spuchniętym dłoniom i wyjął drzazgę z kciuka. – W sumie to niemałe osiągnięcie. W latach trzydziestych coś takiego wymagało wspól nego działania wielu ludzi o spaczonych umysłach, a ty doko nałeś tego sam.

– Twoim zdaniem jestem człowiekiem o spaczonym umy śle?

– Zdecydowanie nie. To właśnie mnie najbardziej niepo koi. Jesteś zdrowy psychicznie, życzliwy, podchodzisz do wszystkiego z całą tą autentyczną szczerością speców od re klamy.

– I co takiego zrobiłem?

– Stworzyłeś państwo faszystowskie w miniaturze.

– Faszystowskie? – Pozwoliłem, by to słowo zawisło w powietrzu, po czym rozwiało się niczym obłok. – W jakim sensie? Czysto spekulatywnym?

– Nie. To coś jak najbardziej prawdziwego. Nie mam naj mniejszych wątpliwości. Patrzyłem, jak rośnie w siłę przez ostatni rok. Poruszało się w brzuchu swojej matki, ale ty ukląkłeś na sianie i odebrałeś poród. To dzięki tobie ten po twór przyszedł na świat.

– Faszystowski? To brzmi jak „nowy” albo „lepszy”. To może znaczyć wszystko. Gdzie są wojskowe buty, krok defi ladowy, brunatne koszule, wrzeszczący Fiihrer? Nie widzę tego tutaj.

– Nie jest potrzebne. – Sangster wpatrywał się we mnie z dziwnym uśmiechem, który nie uformował się do końca, jakbym był niebezpiecznym uczniem, za którym nie przepa dał, ale który, z niewiadomego powodu, go pociągał. – To ła godna forma faszyzmu. Żadnego kroku defiladowego, żad nych butów wojskowych, ale takie same emocje i taka sama agresja. Tak jak mówiłeś, istnieje tu silne poczucie wspólnoty, ale nie jest ono oparte na swobodach obywatelskich. Wszyst kim rządzą emocje. Widać to w każdy weekend przed Metro Centre.

– Kabice sportowi wiwatuja tam na cześć rywalizujących z sobą drużyn.

– Jak lotnicy Goeringa? Nawiasem mówiąc, te drużyny wcale z sobą

nie rywalizują. Wszystkie maszerują przy dźwiękach tej samej orkiestry dętej. A jeśli chodzi o prawdziwe poczucie wspólnoty, ludzie zaznają go w korkach ulicznych i w halach lotnisk.

– Albo w Metro-Centre? – zasugerowałem. – People's Palace?

– I w setkach innych centrów handlowych. Kto dziś potrzebuje wolności, praw człowieka i odpowiedzialności obywatelskiej? To, czego nam potrzeba, to estetyka przemocy. Wierzy my w triumf uczuć nad rozumem. Czysty materializm nie wystarczy, wszyscy ci azjatyccy sklepikarze z umysłami niczym kasy sklepowe. Potrzebujemy dramatu, chcemy, żeby naszymi uczuciami manipulowano, żeby nas oszukiwano i nam pochle biano. Konsumpcjonizm idealnie się do tego nadaje. Naszkicował plan dla faszystowskich państw przyszłości. Tworzy głód, który może zaspokoić tylko faszyzm. Ostatnią drogą wyjścia jest szaleństwo. Wszyscy dyktatorzy w historii szybko to poj mowali – Hitler i inni przywódcy nazistowscy dopilnowali, żeby nikt nigdy nie pomyślał, że byli całkowicie zdrowi na umyśle.

– A ludzie w Metro-Centre?

– Też to wiedzą. Zwróć uwagę, jak reagują na wasze nowe reklamy telewizyjne. – Sangster wycelował we mnie brudnym paluchem, niechętnie zmuszając się do komplementu. – Kiepski aktor na dachu parkingu wielopoziomowego, a my od razu widzimy w nim jasnowidza.

– Więc David Cruise to Führer? Jest dość łagodny.

– To zero. Wirtualny człowiek bez jednej prawdziwej myśli w głowie. Konsumencki faszyzm ma własną ideologię, nikt nie musi siadać i dyktować *Mein Kampf*. Zło i psychopatia zostały zamienione w deklarację stylu życia. To straszna perspektywa, ale konsumencki faszyzm może być jedynym sposobem na utrzymanie społeczeństwa razem. Na zapanowanie nad agresją i skanalizowanie wszystkich lęków i nienawiści.

– Tak długo, jak orkiestry będą grać i wszyscy będą marchować równym krokiem?

– Właśnie! – Sangster nachylił się, trzęsąc stołem. – Więc wal w bęben, graj na trąbce, poprowadź ich na pusty stadion, na którym będą mogli wrzeszczeć, ile sił w piersiach. Daj im agresywne wersje kołowodki dla chomika, takie jak piłka nożna i hokej. Jeśli wciąż będą potrzebowali ujścia pary, niech podpalą kilka kiosków.

Unosząc ręce jak w geście kapitulacji, wstał i odwrócił się do mnie plecami. Kiedy czytał wiadomość na swojej komórce, patrzyłem za okno. Przed główne wejście szkoły podjechała taksówka. Zatrzymała się przed budynkiem administracyjnym.

– Wzywałeś taksówkę? – zapytałem Sangstera, kiedy odłożył telefon.

– Nie. Mam tu jeszcze trochę roboty. – Pokazał na ogro dzenie, przy którym studenci rozwijali drut kolczasty. – Tym czasem organizujemy delegację do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – Julia, doktor Maxted, ja i kilku innych. Chciałbym, żebyś się przyłączył.

– Delegację? Do ministerstwa?

– Do ośrodka władzy, jak to mówią. Może i nie spotkamy się z samym ministrem, ale Maxted zna podsekretarza stanu. Spotkał go w jakimś programie telewizyjnym. Może coś się uda zrobić – ta zaraza rozprzestrzenia się wzdłuż M25, prę dzej czy później pętla zaciśnie się wokół Londynu.

– A co z policją?

– Bezużyteczna. Całe ulice mogą płonąć, a oni będą to nazywać wybrykami piłkarskich pseudokibiców. Chcą pozbyć się po cichu emigrantów z Azji. Podobnie jak miejscowe włą dze. Mniej sklepików, więcej centrów handlowych, wyższe zyski z podatków. Pieniądz rządu, więcej domów, większa rozbudowa infrastruktury. Lubią, gdy orkiestry grają, a ludzie maszerują – łatwiej wtedy ukryć szelest banknotów.

– Tak właśnie wygląda dzisiejsza Anglia. Delegacja do ministerstwa? – Odwróciłem wzrok. – Nie jestem pewien, czy to coś da. Wydarzenia w miastach przy autostradzie mogą być pierwszą oznaką narodowego odrodzenia. Kto wie, może zakończą późne stadium kapitalizmu i rozpoczną coś nowego?

– Możliwe. – Sangster stanął nade mną. Poczulem nie świeży zapach jego ubrania. – Dołączysz do nas?

– Zastanowię się.

Położył swoje olbrzymie ręce na moich ramionach, po czym przyciągnął mnie i uściskał.

– Nie ma się co zastanawiać.

Przeszliśmy z kuchni do sali gimnastycznej. Pod drabinkami siedziały Azjatki z dziećmi, przed nimi stały walizki. Kobiety najwyraźniej były nowymi pacjentkami doktor Kumar.

– To smutne. Wręcz tragiczne – powiedziałem do Sang stera. – Ich domy zostały spalone?

– Nie. Ale boją się tego, co się może stać tej nocy. Daj mi znać, co postanowiłeś w sprawie naszej delegacji.

– Przekażę odpowiedź przez Julię. – Zajrzałem do dam skiej szatni. Poradnia dla kobiet w ciąży zakończyła już działalność i szafki z lekarskami zostały zamknięte. – Julia... Gdzie ona jest?

- Pojechała do domu. – Sangster popatrzył na mnie ze źle skrywanym zadowoleniem. – Ta taksówka przyjechała po nią.
- Mógłbym ją podwieźć. Mamy zjeść razem kolację.
- Może jednak nie zjecie...

Dyrektor szkoły odszedł po wyczyszczonej do połysku drewnianej podłodze, uśmiechając się do siebie. Skinąłem do doktor Kumar, która oczywiście mnie zignorowała, i zacząłem przemierzać korytarze w poszukiwaniu Julii. Było mi przykro, że pojechała do domu, byłem też poirytowany i zdezorientowany przemową Sangstera o faszyzmie. Podejrzywałem, że rozmyślnie sprowokował Julię do wyjścia. Poza tym mówił z takim przekonaniem, że wydawało się, jakby protestował przeciwko czemuś, co w istocie popiera. Intrygowałem go, ponieważ stanowiłem część groźnego nowego świata, który go pociągał. Mimo że był matematykiem, galopował na narowistym koniu emocji. Nie wszyscy potencjalni gauleiterzy stanowili obsadę punktów kontrolnych na skrzyżowaniach.

Na boisku minęła mnie Azjatka owinięta ciemnymi chustami. W jednej ręce trzymała karteczkę z przydziałem zakwaterowania, w drugiej – walizkę, którą mężnie pomagał jej targać synek. Niedaleko pojawiło się dwóch Azjatów, ale żaden z nich nie zaoferował pomocy, zatrzymałem więc kobietę i wziąłem od niej bagaż. Wspomagany przez chłopca, zaniósłem walizkę do budynku szkoły i postawiłem ją tuż obok drzwi, ponieważ drogę zatarasowała mi starsza Azjatka.

Zasapany spojrzałem na kopułę Metro-Centre. Jej srebrna powierzchnia lśniła w świetle trzech reflektorów punktowych, jadący M25 kierowcy zwalniali, by popatrzeć na parady, słuchając w swoich radiach komentarza Davida Cruise'a. Przedmieścia ożywały. Niebezpieczny margines dopełni dzieła zniszczenia, napędzając przerażeniem niewinną mniejszość z Azji i Europy Wschodniej.

Jednak trup został wskrzeszony. Usiadł i domagał się śniadania. Konające miasta przy autostradach, ludzie z równiny Heathrow, zajmowali miejsca na pasie startowym, gotowi wzbić się do lotu.

## 25. Samotny, zagubiony, wściekły

Tom Carradine, tak jak zwykle, czekał przy krawężniku, kiedy zatrzymałem się obok Bramy Południowej Metro-Centre. Nie zdążyłem jeszcze odpiąć pasa bezpieczeństwa, a już otworzył drzwi mojego samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce, wyłączając silnik. Pewny siebie i pełen entuzjazmu młody człowiek był ubrany w nowy mundur pracowników działu PR, jasnoniebieską kreację z galonami, którą mógłby nosić jeden z generałów Mussoliniego.

– Dzięki, Tom. – Zaczekałem, aż pomoże mi wysiąść z samochodu i zamknie drzwi. – To, co robisz, nadaje nowy wymiar pojęciu odstawiania samochodów na parking przez obsługę. W następnym życiu chciałbym być mercedesem albo bmw...

– Parking dla VIPów jest do pańskiej dyspozycji, panie Pearson. Jensen wciąż w naprawie?

– Cóż... obawiam się, że jego żywot dobiegł końca.

Carradine pospiesznie skinął głową. Od wybuchu bomby na podziemnym parkingu wyczuwałem w nim pełną podejrzliwości rezerwę. Atak na centrum wpłynął na jego widzenie świata, które zmieniło się tak dalece, że w każdym kliencie widział potencjalnego wroga. Dla Toma Carradine'a Metro – Centre nigdy nie było zwyczajnym sklepem, ale świątynią prawdziwej wiary, której będzie bronił do ostatniego jarda axminstera i ostatniego weekendowego rabatu. Popatrzył na wielki plac wypełniony tłumem kupujących, kibicami w strojach swoich klubów, orkiestrami, mażoretkami i turystami o wybałuszonych oczach. Kamery telewizyjne na dźwigach okrążały to miejsce, wyczulone na fanatyków w kamizelkach z materiałami wybuchowymi. Mrużąc oczy, Carradine dał znak, bym się pospieszył. Przed nami szło dwóch ochroniarzy, torując drogę przez ciżbę.

– Masz na sobie swój nowy mundur – zauważyłem. – Je stem pod wrażeniem. Powinienem ci zsalutować.

– To ja powinienem zsalutować panu. To pan to wszyst ko sprawił. Nigdy nie zapomnę, że przywrócił pan Metro Centre do życia. Pan i pan Cruise. Wszyscy uwielbiają ostat nią reklamę.

– Tę w rzeźni? Nie jest za ponura?

– Nigdy w życiu. Egzystencjalny wybór. Czy nie o to wła śnie chodzi w Metro-Centre?

– Myślę, że tak.

– Doktor Maxted wyjaśnił to wszystko w swoim wczorajszym programie. A propos, dzwonił dzisiaj krawiec Metro-Centre. Byłby szczęśliwy, gdyby mógł pobrać miarę na pański mundur.

– Dziękuję, Tom. – W chwili słabości przymierzyłem je den z nowych strojów. – Jednak nie jestem pewien, czy...

– Mnóstwo galonów oficerskich na czapce i w ogóle...

– Wiem. Jestem tylko autorem tekstów, Tom. Wymyślam slogany.

– Jest pan kimś więcej niż autorem tekstów, panie Pear son. Poruszył pan nasze serca.

– Nawet jeśli tak, ten strój trochę za bardzo kojarzy się z wojskiem...

– Musimy bronić Metro-Centre.

– Jestem z wami. Ale czy ono znajduje się w niebezpieczeństwie?

– Zawsze jest jakieś niebezpieczeństwo. Musimy być przygotowani na wszystko.

Patrzyłem na mięśnie napinające mu się na twarzy. Mimo wszystkich jego pochlebstw wiedziałem, że propozycja przywdziania munduru była pomysłową próbą podporządkowania mnie sobie. Cała służba mundurowa podlegała bowiem Tomowi Carradine'owi. Zagrożenie dla Metro-Centre wyostrzyło jego odruchy, ale pozostał fanatycznym młodym przywódcą, gotowym na każde poświęcenie w imię swych zasad.

Dotarliśmy do Bramy Południowej. Nad markizą na wspornikach wisiały dwa głośniki, obsługiwane z budki przed wejściem. Poprzez hałas orkiestr i maszerujących stóp słyszałem serię sprzężeń i zająknięć, jakby ktoś kręcił pokrętłami potencjometrów.

Potem rozległ się zachrypnięty głos:

– NIC NIE JEST PRAWDĄ! NIC NIE JEST NIEPRAWDĄ!

Carradine zatrzymał się i chwycił mnie za ramię, jakby niebo miało runąć na kopułę, a ta – spaść na nas.

– ...NIEPRAWDĄ! NIC NIE JEST... SŁYSZYCIE?... NIC NIE JEST PRAWDĄ!

Młody kierownik działu PR oderwał się ode mnie i zaczął biec pomiędzy zaskoczonymi klientami, wpatrującymi się w niebo. Ochroniarze ruszyli za nim, potracając po drodze młode matki i starsze kobiety. Rzucili się w kierunku budki i wywlekli z niej wysokiego młodego mężczyznę w siatkowym podkoszulku i wystrzępionych džinsach. Wymachiwał mikrofonem jak pałą, usiłując odeprzeć atak.

Kiedy dotarłem do budki, leżał już na ziemi zajadle kopany przez ochroniarzy. Krew leciała mu z nosa i lewego ucha. Rozpoznałem Duncana Christiego, uderzającego o marmurową posadzkę głową, jakby

dostał napadu padaczki. Carradine deptał mu po dłoniach, pokazując jak oszalały na mikrofon, prawie w amoku z powodu zagrożenia Metro-Centre. Zgubił swoją czapkę z daszkiem, ale chłopczyk w marynarskim ubranku znalazł ją pośród kłębowiska nóg i mu ją oddał. Carradine umieścił ją zawadiacko na głowie, przez chwilę zdezorientowany.

– Tom, uspokój się... – Chwyciłem go za ramiona, starając się go ułagodzić, po czym odegnałem machnięciem ręki ochroniarzy. – To tylko głupi dowcip – nikomu nic się nie stanie.

Hałas orkiestr dętych wypełniał powietrze, a ludzie tłoczyli się przy wejściu. Hasło Christiego zostało już zapomniane. Zdyszany i poobijany sprawca krótkotrwałego zamieszania dźwignął się na kolana. Krew kapłała mu z nosa na marmurową posadzkę. Popatrzył na mnie i pokręcił głową, zupełnie jakby chciał mnie powstrzymać przed wejściem do Metro-Centre.

Jeden z ochroniarzy pochylił się i ryknął mu prosto w twarz. Młodzieniec uniósł rękę, by go uciszyć, po czym rzucił się w moją stronę z wyciągniętymi rękami.

Carradine i ochroniarze dopadli go natychmiast, próbując zapanować nad jego długim, wierzgającym ciałem, ciągnąc za brudne od smaru ubranie. Zanim jednak pięści uderzyły w jego czoło, zdołał do mnie dotrzeć. Chwycił mnie za lewą rękę i wsunął mi w dłoń rozgrzany kamień.

Kiedy ochroniarze i Carradine ciągnęli Christiego przez tłum, otworzyłem zaciśniętą pięść, osłaniając jej zawartość przed ciekawskimi spojrzzeniami.

W mojej dłoni leżał nabój.

Ważąc go w ręce, wszedłem do hali i wskoczyłem na chodnik ruchomy, który poniósł mnie do atrium. Po tych pełnych emocji chwilach powietrze w Metro-Centre było przyjemnie chłodne i przesycone zapachami. Z głośników dobiegała miła dla ucha muzyka marszowa, odegrane w stylu orkiestry Mantovaniego *Pieśń Horsta Wessela* i chór niewolników z opery *Nabucco*. Muzyka była stonowana i dyskretna, ale prawie wszyscy maszerowali równym krokiem.

Wciąż wstrząśnięty brutalnym atakiem na Christiego, uniosłem nabój do światła. Usiłowałem odczytać symbole odcisnięte u jego podstawy. Christie robił wszystko, co mógł, by wcisnąć go w moją dłoń, ale jego przesłanie pozostało niejasne. Wątpiłem, że w ten sposób mi groził. Prezent w postaci naboju, prawdopodobnie tego samego typu, co ten, który zabił mojego ojca, stanowił wyraźny znak, i to nie taki, jaki chciałem otrzymać...

Pośrodku atrium, na podwyższeniu, stały trzy olbrzymie misie, machając łapami w rytm muzyki, przyjemny tercet, którego guzikowe oczy widziały wszystko i nic. Na swój zabawkowy sposób przejawiały wzruszający spokój. U ich stóp leżało jeszcze więcej ofiar z miodu i melasy i kilkanaście pamiątek, w których fani opowiadali o ich wymyślonych przygodach. David Cruise zaproponował żartem reklamę, w której atakowałby misie i odrąbywał im głowy, ale stanowczo zaprotestowałem. Chociażby z tego powodu, że przypominały mi wszystkie te zabawki, których nigdy nie dostałem w dzieciństwie.

Wszedłem po schodach do studia na półpiętrze, w którym Cruise prowadził swój popołudniowy program. Taras pełen był gości, stojących na tyle blisko prezentera, na ile tylko pozwalali ochroniarze. Znalazłem wolne krzesło w galerii i wpatrzyłem się w ekran pokazujący ostatnie minuty programu.

Cruise był bez krawata, ubrany w sfatygowany czarny garnitur i podniszczoną białą koszulę, strój stanowiący obecnie jego znak firmowy, zestaw, który nawiązywał do ubrań przegranych bohaterów filmów gangsterskich, zdesperowanych mężczyzn znajdujących się o krok od szaleństwa. Prezenter stracił na wadze, a jego opalenizna pobladła, ukryta przez charakterystyki, nadając mu wyglądniasty i męczeński wygląd zbiegłego mesjasza centrów handlowych.

Przemawiał jak zwykle do swojego wianuszka potulnych i posłusznych gospodyń domowych.

– ...,„społeczność”, Angela? To słowo, którego szczerze nienawidzę, (jedno z tych słów, których używają snoby z wyższych sfer, które chcą utrzymać zwykłych ludzi na ich miejscach. Społeczność oznacza życie w małym pudełku, jeżdżenie małym samochodzikiem, krótkie wakacje. To znaczy przestrzeganie zasad, które „oni” ustalili. Nie zgadzasz się ze mną, Sheila? Szczerze mówiąc, do diabła z tobą! Wracaj do swojego małego pudełka i czyść do połysku swój mały komplet naczyń stołowych. Społeczność? Wiem, czym jest społeczność azjatycka. Wiem, czym jest społeczność muzułmańska. Wszyscy wiemy, prawda? Tak... Nienawidzę tego. Jak dla mnie, jedyna prawdziwa społeczność to ta, którą budujemy tutaj, w Metro-Centre. To w nią wierzę. Drużyny sportowe, kluby kibica, spotkania posiadaczy złotych kart stałego klienta. Sheila? Zamknij się. Czuję się samotny. Może za dużo piję i za bardzo użalam się nad sobą. Brakuje mi was, dziewczynki. Sheili, Angeli, Doreen i wszystkich, które mnie oglądają. Brakuje mi waszych zwariowanych pytań i waszych

szalonych, pięknych marzeń. Mam masę dziwnych pomysłów – tak, Sheila, takich też – chcę zburzyć stary świat i stworzyć nowy porządek, podobny do tego, który zbudowaliśmy razem wewnątrz Metro-Centre. Wiem, że mam rację, wiem, że powołamy do życia nowy świat. Zaczął się tutaj, w Metro-Centre, ale rozprzestrzenia się po całej prawdziwej Anglii. Jeśli czujesz autostradę, jesteś w prawdziwej Anglii. Możesz ją wyczuć, prawda, Cathy? Głęboko w sobie. Nie, nie tam, Sheila. Przyjdź później, to ją razem znajdziemy. Tak, jestem samotny, nie śpię za dobrze, jakaś częśćka mnie, mówiąc szczerze, jest trochę szalona. Ale mam rację, widzę przyszłość i wierzę w nią. Chcę robić rzeczy, o których nawet nie mogę wspominać. Potrzebuję was wszystkich, i to tutaj...

Przemowa osiągnęła punkt kulminacyjny, gdy kamera zrobiła zbliżenie na wymizerowaną, przystojną twarz Cruise<sup>^</sup>. Producent machnął ręką, gospodynie domowe opadły do tyłu, sprawiając wrażenie ogłuszonych, a prezenter odpiął mikroport i popędził do swojej garderoby.

W ciągu kilku najbliższych sekund rozdzwonią się telefony, zaczną nadchodzić emaile i SMSy od widzów rozpaczliwie pragnących pomóc Cruise'owi w poskromieniu jego demonów. Pojawią się zaproszenia na *barbecue*, honorowe członkostwa klubów sportowych, gorące wyznania miłosne. Metro-Centre zaleje nowa fala ochotników. To był ruch polityczny, ale bez polityków. Wola władzy przychodziła z dołu, z tysiąca kas i alejek sklepowych. Obietnice były widoczne i znajdowały się na wyciągnięcie ręki, na wystawie z towarami. Obsesje i zahamowania seksualne Cruise'a stały się tańcem obłąkanego króla pszczół, wiodącego rój do miejsca przeznaczenia, które już zostało wybrane, (ego talkshow, oparty na moich scenariuszach, był starannie wyreżyserowanym spektaklem, ale odzwierciedlał pragnienia i niepokoje widowni. Gospodynie domowe przesyłające mu swoje fotografie tak naprawdę wyrażały powszechną tęsknotę za wiarą niezwiązaną z polityką.

Podczas gdy ekipa składała sprzęt, przez chwilę chodziłem pomiędzy kamerami, komplementowany przez producenta i jego asystenta, którzy gratulowali mi kolejnego wspaniałego dzieła. Potem udałem się do garderoby Cruise'a.

Leżał przed oknem panoramicznym wychodzącym na atrium, pozdrawiając zgromadzonych na dole fanów, którzy do niego machali.

– Richard! Widziałeś program?

– Byłeś świetny. Samotny, zagubiony, wściekły. Dotknięty szaleństwem. Niemal ci uwierzyłem.

– To wszystko prawda. Nie grałem. – Usiadł i uściśnął moje ręce. –

Odnalazłem w tym wszystkim siebie. Nagiego, rozrywającego swoje ciało na strzępy, ze strużką krwi zalewa jąca mikrofon. Dotąd nie wiedziałem wszystkiego o sobie. Boże, ile tego czekało na uwolnienie. Całe to psychiczne gówno zbierało się we mnie od lat.

– Nie zatrzymuj go w sobie. Ludzie go potrzebują. To czyste złoto.

– Naprawdę tak myślisz? Serio? – czekał, aż pokiwałem zdecydowanie głową. – Dzięki temu, że pogrążam się w sza leństwie, oni pozostają przy zdrowych zmysłach.

– Program już się skończył. Spróbuj się uspokoić.

– Nic mi nie jest. – Położył się z powrotem i uniósł rękę, cze kając, aż podam mu jego szklanekę wódki z tonikiem. – Dobrą chwilę zajmuje mi wylądowanie na ziemi. Wzleciałem bardzo wysoko, a w górze panowała dziwna pogoda. Przez całe lata nie wiadomo po co upokarzałem swoich gości. Teraz upokarzam siebie i nagle odniosłem ogromny sukces. Jak to rozumieć?

– To powietrze, którym oddychamy.

– Masz rację. – Pokazał na stojącą na toalecie reprodukcję z jednym z krzyczących papieży Francisa Bacona, zupełnie nie jakby rozpoznawał siebie w tym obłąkanym duchownym, któremu mignęła pustka skrywająca się za pojęciem Boga. Podarowałem tę reprodukcję Cruise'owi pod wpływem dziwnego impulsu i naprawdę go zafascynowała. – Powiedz mi to jeszcze raz – do czego on krzyczy?

– Do życia. Uświadomił sobie, że nie ma Boga i rodzaj ludzki jest wolny. Cokolwiek ta wolność oznacza. Dobrze się czujesz?

– Świetnie. Znam to uczucie. Czasami...

Wciąż trzymając szklanekę wódki, gotów postawić ją w bezwładnie leżącym łapsku prezentera, usiadłem w fotelu obok sofy, w pozycji psychoanalityka słuchającego niezrównoważonego pacjenta. Te programy zmieniły go. Zaczynał być podobny do zrozpaczonych bohaterów, których grał w reklamach. Jego twarz schudła i stała się kanciasta. Miał ziemistą bladeść zakładnika wypuszczonego po latach niewoli.

– I co, Richardzie, sprzedałeś mieszkanie? Zegnaj Chel sea, zegnajcie ciotowate wieczorne przyjęcia. Teraz stanowisz część Brooklands, jesteś związany z Metro-Centre. Wciągnie my cię na listę plac.

– Hm... to chyba niezbyt dobry pomysł.

– Nie będę tobą dyrygował, słowo. W każdym razie, za służyłeś na pensję. Sprzedaż i słupki oglądalności wzrosły, i to nie tylko tutaj. Wzdłuż całej M25. To coś nowego i ja im to daję.

– Coś gwałtownego. To mnie trochę przeraża.

– Współczuję ci. Siedząc przez lata za wielkim biurkiem przy Berkeley Square, wciąż wierzyłeś w rodzaj ludzki. Ludzie lubią przemoc. Ona pobudza krew, przyspiesza puls. Przemoc jest najlepszym sposobem na panowanie nad nimi, na nabranie pewności, że sytuacja nie wymknie się spod kontroli.

– To już się stało. Te ataki na Azjatów i azylantów, ogni stoczerwone krzyże w ogrodach, podpalanie domów. Nie chciałeś tego wszystkiego, Davidzie. Niektórzy z tych kibiców wykorzystują zawody sportowe jako przykrywkę do ataków rasistowskich. To czystki etniczne.

– Teatr uliczny, Richardzie. Po prostu teatr uliczny. Może trochę ich nakręcą, ale tłumy są żądne krwi. Wierzą w Me tro-Centre, a Azjaci tu nie przychodzą. Nie uczestniczą w naszym życiu. Sami się wykluczyli, sami więc są sobie winni.

– Nawet jeśli tak, to czy nie możesz pomówić z szefami sił porządkowych? Spróbować nieco stonować nastroje?

– Dobrze. Zobaczą, co się da zrobić. – Znudzony tą roz mową i moim marudzeniem Cruise usiadł i gestem dał znać, że nie chce wódki. – Pomyśl o tym jak o śladach hamowania. Zwierzę zabite na drodze. Ale musimy jechać dalej. Pamiętasz? „Szaleństwo jest złe. Zło jest dobre”?

– To ja wymyśliłem to hasło. I cały czas w nie wierzę.

– Cieszę się. Może w takim razie posunąć się dalej, trochę przykręcić śrubę? Mogę opowiedzieć o swoim uzależnieniu od alkoholu i narkotyków.

– Nie jesteś alkoholikiem ani narkomanem.

– Nieważne. – Cruise wpatrywał się we mnie uparcie. – Alkoholizm i uzależnienie od narkotyków to dzisiejszy ekwiwalent służby wojskowej. Daje ci coś w rodzaju...

– Potwierdzenia wiarygodności?

– Właśnie. – Uniósł palec wskazujący, wzywając mnie do uwagi. – Weźmy uzależnienie od seksu. Czytałem tę książkę, którą mi dałeś.

– Krafft-Ebinga?

– Zgadza się. Znalazłem w niej trochę pomysłów. Mogli byśmy włączyć kilka do programu, zobaczymy, jak na to za reagują nasze panie na sofach.

– Chyba trafiłbyś je szlag. – Wstałem i odwróciłem się plecami do okna panoramicznego i klientów machających z dołu. – Uważaj, żeby ludzie nie zaczęli się nad tobą litować. O wiele lepiej, jeśli się ciebie boją. Nie zdradzaj za dużo. Bądź bardziej napastliwy i wymagający.

– Kij, a nie marchewka?

– Bądź też bardziej tajemniczy. Pozbądź się lincolna. Jest zbyt amerykański, za bardzo kojarzy się z showbiznesem.

– Wolnego! Uwielbiam to auto.

– Zamień go na czarnego mercedesa. Czarną limuzynę z przyciemnianymi szybami. Agresywny, ale paranoiczny. Jednocześnie daj im do zrozumienia, że manipulujesz ich emocjami. Uczyń zakupy doświadczeniem chwiejnym emocjonalnie. Zapomnij o okazjach, dobrych zakupach, o wszystkich tych liberalnych bzdurach klasy średniej. Chcemy złych zakupów. Spróbuj dotknąć ich niepokoju, ich niechęci do wszystkich tych ludzi, którzy pogardzają konsumpcjonizmem.

– Czyli mam działać w starym dobrym stylu? Podoba mi się to.

– Jeszcze jedno. – Okrążyłem sofę, udając zamyślenie. – Potrzebujesz swojej publiczności, ale od czasu do czasu naśmiewaj się z niej. Pogardzasz nimi. Ale ich potrzebujesz. Graj nieobliczalnego rodzica. Znajdź jakichś nowych wrogów. Powiedz ludziom, żeby wstępowali do klubu konsumenta Metro-Centre, jeśli chcą stać się częścią prawdziwej rodziny. Niech przesłaniem będzie obrona centrum.

– Obrona centrum. – Cruise pokiwał z powagą głową. – To jest to.

– Mów ludziom, żeby przychodzili na spotkania posiada czy złotych kart stałego klienta i nocne wyprzedaże, jeśli chcą, żeby ich pokazali w telewizji. Trzymaj ich w ryzach groźbą nieokazywania uczuć. Traktuj ich jak dzieci – właśnie tego tak naprawdę chcą.

– Oni są dziećmi! – Cruise wyrzucił ręce w powietrze, po czym zasalutował środkowym palcem do okna panoramicznego. – Uwielbiam to, Richardzie. Cieszę się, że to przedyskutowaliśmy. Już teraz widać, że coś się dzieje, parlamenta rzyści dzwonią do nas z prośbą o wsparcie, mówią, że chcą być częścią tej organizacji. Odpowiadam, że nie ma żadnej organizacji! Nawet BBC zaproponowała mi program.

– Odmówiłeś?

– Oczywiście. Ludzie tutaj odcieliby mi jaja.

– Nie chcemy tego... Co by na to powiedziały Cory i Imelda?

Śmiejąc się na wzmiankę o swoich filipińskich służących, Cruise wstał i poklepał mnie po plecach. Czerwona gwiazdka zapulsowała na panelu sterowania. Zasalutował z gracją.

– No dobrze. Czas na próbę wieczornego programu. Zo staniem?

– Wracam do domu. Tam obejrzę. Muszę trochę po mieszkać.

– Nie spiesz się. – Cruise odprowadzi! mnie do drzwi, otaczając ręką moje ramiona. – Ktoś mi mówił, że jedziesz do Londynu.

– Coś nowego. Kiedy?

– Z tą delegacją do ministerstwa. Julia Goodwin, Maxted, Sangster. Chcą wprowadzić więcej policji w nasze życie.

- To metody działania klasy średniej.
- Nie pojedziesz?
- Zdecydowanie nie.
- To dobrze. Twoim prawdziwym domem jest Metro – Centre. Twój ojciec na pewno by to zrozumiał.

Wyszedłem z centrum jednym z bocznych wyjść i dołączyłem do południowego tłumu, który wypełniał plac. Orkiestry dęte maszerowały, kluby kibica pozdrowiały unoszące wysoko nogi mażoretki. Miasta przy autostradzie wyludniły się tego dnia, małe dzieci siedziały na ramionach ojców, zuchwałe nastoletnie dziewczęta spacerowały w grupach. Rodziny tryskały zdrowiem i optymizmem, wiwatując i klaszcząc do rytmu.

Wciąż zakładałem, że jestem częścią procesu sprzedaży, który dzwonił wszystkimi kasami w Dolinie Tamizy, ale tak naprawdę rozpoczynało się coś o wiele większego. Do życia budziła się nowa Anglia, zdyscyplinowana, dumna i zadowolona. Płonące domy Azjatów były częścią zupełnie innego kraju.

## 26. Nabój w garści

Pojechałem do mieszkania ojca, żeby zmyć z siebie przesłodzony zapach sterylnej atmosfery centrum. Wóz strażacki zastawiał drogę dojazdową, cofając się wolno na ulicę. Krzyknąłem do jednego ze strażaków, ale był tak pochłonięty daniem znaków wielkiemu pojazdowi, że nie zareagował. Ostry zapach przypalonej farby i zwęglonego plastiku wypełniał powietrze, sącząc się w ligustrowe żywopłoty. Towarzyszyła mu leciutka woń trzeciego składnika, który skojarzył mi się ze sklepem mięsnym.

Czekałem do chwili, gdy wóz wyjechał na ulicę, po czym skręciłem w wypełnioną spalinami drogę dojazdową. W lusterku wstecznym zauważyłem jadącą za mną karetkę pogotowia z zapalonym kogutem. Przed budynkiem stały dwa radiowozy i samochód pomocy drogowej. Mieszkańcy patrzyli z okien na parę sąsiadów przepytywanych przez policjantkę.

Zaparkowałem przy pojemnikach na śmieci, zostawiając karetce miejsce na dojazd do drzwi wejściowych. Taśmy policyjne odgradzały niewielkiego spalonego fiata, stojącego na spłaszczonych oponach. Piana rozpływała się na żwirze jak jaja krabów na plaży. Technicy policyjni przytwierdzili do samochodu stalową linę, przygotowując się do wciągnięcia wraka na wóz pomocy drogowej.

Ruszyłem w kierunku wejścia, machając do sąsiadów, którzy jak zwykle mi nie odpowiedzieli. Szklane drzwi były przestrelone. Na posadzce w przedsionku dostrzegłem kałużę krwi. Nad moją głową zamknęło się gwałtownie okno. Starsza para rozmawiająca z policjantką przerwała w pół słowa, kiedy się pojawiłem. Patrząc na mnie spode łba, cofnęli się, jakbym był mordercą, który wrócił na miejsce przestępstwa.

– Proszę się odsunąć. Panie Pearson, słyszy pan?

Odwróciłem się i zobaczyłem sierżant Falconer. Stała tak blisko mnie, że czułem zapach pudru na jej twarzy. Przypatrywała mi się uważnie, zupełnie jakby szukała wskazówki dotyczącej zbrodni, która dotarła pod drzwi tej enklawy spokoju.

– Pani sierżant? Nie rozumiem. Czy ten samochód...

– Już po wszystkim. Nie ma niebezpieczeństwa wybuchu pożaru. Czy mogę zapytać, co pan tutaj robi?

Uniosła głowę i wpatrzyła się we mnie, mrużąc oczy. Od czasu eksplozji w Metro-Centre zmieniła się. Pamiętałem, jak prawie zemdląca

na wiadomość o śmierci Geoffreya Fairfaksa. Była blisko związana z Fairfaksem i Tonym Maxtedem, ale jej rzeczowe zachowanie dowodziło, że należy to już do przeszłości. Frakcja policji Brooklands, która sprzymierzyła się z tą dziwną kliką, przepadła i podejrzewałem, że komisarz Leighton obrał inną opcję w gąszczu lokalnej polityki, zabierając sierżant Falconer z sobą. Czy kiedyś łączył ją romans z Geoffreym Fairfaksem? Wątpiłem w to, chociaż ta zimna kobieta z zawsze nienagannym makijażem prawdopodobnie potrzebowała towarzystwa dominującego, silnego mężczyzny.

– Panie Pearson!

– Co tu robię? Mieszkam tutaj. Wprowadziłem się do mieszkania ojca.

– To wiem. – Była bardziej agresywna, niż pamiętałem, wyprostowała ramiona i przechyliła głowę, jakby przygoto wując się do popchnięcia mnie na kwietnik. – Mnie chodzi o to, co pan tu robi właśnie teraz?

– Po prostu wracam do domu. – Przeszedłem obok niej. Mieszkańcy stojący w przedsiionku odsunęli się. – Co tu się stało?

Sierżant Falconer poczekała, aż spalony fiat zostanie przyczepiony do wozu pomocy drogowej. Ścisząc głos, zapytała:

– Pańscy sąsiedzi chyba za bardzo za panem nie przepa dają, prawda?

– Tak powiedzieli? Nie mam nic wspólnego z tym, co się tutaj wydarzyło.

– Nic? A gdzie pan był godzinę temu?

– W Metro-Centre. W garderobie Davida Cruise'a. Wi działy mnie tam setki ludzi.

– Czy telefonował pan stamtąd? Kontaktował się z kimś?

– Chodzi pani o to, czy dałem komuś sygnał? Co tu się właściwie stało?

Prawie od niechcienia powiedziała:

– Po siedemnastej dokonano napadu na państwa Kuma rów. Pan Kumar przyjechał do domu samochodem żony. Kil ku kibiców hokeja napadło na niego, kiedy chciał wysiąść z auta. Pańscy sąsiedzi widzieli, jak oblali go benzyną i pod palili.

– Mój Boże... Biedaczysko. Czy on...

– Jakoś udało mu się wydostać przez drzwi po stronie pa sażera i wbiec na klatkę schodową. Gwizdali i śpiewali, kiedy doktor Kumar usiłowała go reanimować. Wyszła, żeby z nimi porozmawiać, ale wtedy jeden z nich wyciągnął pistolet i strzelił jej w klatkę piersiową.

– Dlaczego? Boże Wszechmogący... W jakim są stanie?

– Dowiemy się, kiedy dojadą do szpitala, Jeśli ma pan ja kieś informacje, dobrze by było, żeby pan podzielił się nimi ze mną.

– Informacje?

Z mieszkania Kumarów wyszli sanitariusze, pchając nosze na kółkach. Gdzieś pod maską tlenową i srebrną folią znajdował się pan Kumar, jego zwalista sylwetka była zniekształcona przez pasy zabezpieczające. Sierżant Falconer odciągnęła mnie, kiedy próbowałem do niego podejść. Sanitariusze wnieśli Kumara do karetki i pobiegli z powrotem po jego żonę. Zmrożony widokiem tej eleganckiej kobiety, zredukowanej do roli obwiązanego pakunku ledwie żywego ciała, patrzyłem na oddalającą się karetkę. Jej syrena zawodziła, jakby przynosiła złe wieści.

Kierowca wozu pomocy drogowej zawrócił na podjeździe i drzwi fiata otworzyły się ponad naszymi głowami. Do szyby przylegał, przypominający osmalony pergamin, kawałek ludzkiej skóry.

Odruchowo ścisnąłem ramię sierżant Falconer.

– Ta banda – kto to był?

– Jak to? – Policjantka popatrzyła na mnie, jakbym żarto wał. – Nie wie pan?

– A niby skąd miałbym wiedzieć? Pani sierżant?

– Są tacy, którzy uważają, że miał pan motyw. Chciał pan, żeby Kumarowie się stąd wynieśli.

– Co za bzdury. Nie pochwalam tego rodzaju napadów.

– Może i nie. Ale robi pan dużo, żeby do nich zachęcić.

– Tymi kilkoma reklamami telewizyjnymi? Próbujemy sprzedawać lodówki.

– Sprzedajecie o wiele więcej. – Odciągnęła mnie od co fającego się wozu. – Jeśli David Cruise jest sułtanem, to pan – wielkim wezyrem.

– Pisząc hasła reklamowe?

– O tak... takie hasła, które wmawiają ludziom, że czarne jest białe i że dobrze być szalonym. Pan myśli, że sprzedaje lodówki, ale to, co pan naprawdę sprzedaje, to wojna domo wa pod płaszczykiem sportu.

– W takim razie, dlaczego policja tak mało robi? Pozwoli liście sytuacji wymknąć się spod kontroli.

Po raz pierwszy sierżant Falconer nie wiedziała, co powiedzieć. Odwróciła się ode mnie, starając się zapanować nad wyrazem twarzy. Zagryzła wargi.

– My to kontrolujemy, panie Pearson. Ale dysponujemy ograniczonymi środkami. Nasz szef uważa, że zakaz mar szów i zawodów wywoła jeszcze większą falę przemocy.

– Zgadza się pani z nim?

– Sama nie wiem. Ministerstwo jest zdania, że to kwestia społecznej

dyscypliny. Wybuchy piłkarskiego chuligaństwa zdarzają się co cztery lub pięć lat. Oficjalną polityką władz jest powstrzymywanie ekspansji, a nie konfrontacja...

– Bełkot. Rodziny wygania się z domów, strzela się do nich na klatkach schodowych. Doktor Maxted stanął na czele delegacji do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Niewyklu czone, że do niej dołączę.

– Proszę tego nie robić. – Sierżant dotknęła mojego ramienia. Zniżając głos, przysunęła się do mnie. – Niech pan będzie ostrożny. Proszę wracać do Londynu i zacząć żyć swoim życiem. Boję się, że doktor Maxted tylko marnuje czas.

– Naprawdę? Zmieniła pani opcję, pani sierżant. Jeszcze nie tak dawno temu była pani człowiekiem na posyłki Geof freya Fairfaksa i jego małej kłiki i podgrzewała pani mleko dla dziecka mordercy.

– Postępowanie przeciwko Duncanowi Christiemu umorzono. Policja nie miała żadnych dowodów.

– Jasne. Odegrał swoją rolę, odwracając uwagę od prawdziwego sprawcy. Fairfax i komisarz Leighton wykorzystali go, żeby podburzyć ludzi przeciwko Metro-Centre. A propos, co się stało z komisarzem? Od dawna nie widziałem go w pa ni radiowozie.

– Jest na bezterminowym urlopie zdrowotnym. – Sierżant Falconer usiłowała odsunąć się ode mnie, ale uwięziłem ją między sobą a kwietnikiem. Pomachała do dwóch posterunkowców rozmawiających z moimi sąsiadami, ale żaden z nich nie zareagował. – Wybuch bomby stanowił wielkie obciążenie dla sił policyjnych w Brooklands.

– Wcale nie wątpię. Przynajmniej komisarz nie stracił głosu. Mam nadzieję, że to nie on zaopatrzył Geoffreya Fairfaksa w bombę.

– Co pan insynuuje, panie Pearson?

– Nic. Ot, taka przelotna myśl. – Wyjąłem z kieszeni nabój i uniosłem go do jej oczu. – Poznaje pani? Założę się, że to nabój z będącego na wyposażeniu policji Hecklera & Kocha. Ktoś dał mi go przed Metro-Centre dziś po południu. To nie tyle przyjacielskie ostrzeżenie, ile kartka z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, mówiąca mi, że bym nie ustawał w wysiłkach.

Sierżant Falconer wyciągnęła rękę, ale zamknąłem jej palce w swoich dłoniach, przyciskając ciepły nabój do jej miękkiej dłoni. Byłem zaskoczony, że nie próbuje się uwolnić. Patrzyła mi w oczy na swój spokojny sposób, zdając się nie dostrzegać jawnie erotycznego podtekstu moich poczynań. I czekając na to, co zrobię. Jeśli naprawdę lubiła wiązać się z silnymi mężczyznami, to teraz, gdy Fairfax i komisarz Leighton

zeszli ze sceny, w jej życiu był wakat. Jako wazyr Davida Cruise'a mogłem wypełnić to wolne miejsce. Nabój z hecklera & kocha, taki sam jak ten, który zabił mojego ojca, stanowił moją walentynkę. Będąc blisko tej atrakcyjnej, choć pozostającej w konflikcie z sobą kobiety, widząc ją parzącą kawę w kuchni mieszkania mojego ojca, mógłbym poznać prawdę o jego śmierci.

– Panie Pearson? – Uwolniła dłoń, ale nie próbowała już odebrać mi naboju. – Znowu jakieś przelotne myśli?

– Coś w tym stylu. Jednak o wiele bardziej interesujące.

– Dobrze. – Opanowanie nigdy jej nie opuszczało, nawet jeśli musiała za nie płacić późniejszym upokorzeniem. – Wi dzę, że zmieni! pan samochód.

– Wypożyczony. Mój jensen miał wypadek.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego?

– Trudno powiedzieć. Coś mi się nie wydaje, żeby udało mu się przejść przegląd techniczny.

– Szkoda. Doktor Goodwin uważała, że pasuje do pana. – Uniosła głowę i zdobyła się na pożegnalny uśmiech. – Wie pan – mający już za sobą okres świetności, ale wciąż wystar czająco szykowny na przejażdżkę. Nieobliczalny układ kie rowniczy i beznadziejne hamulce. Skłonność do skręcania w ślepe uliczki...

– Nie do końca sprawny?

– Nie wygląda na taki. Niech pan spróbuje pobyć trochę pieszym, panie Pearson. Ale proszę patrzeć pod nogi...

Jej uśmiech przerodził się w kpiący uśmieszek. Dołączyła do dwóch posterunkowych, kończących rozmowę ze świadkami. Zaniepokoiłem ją i obawa o mnie, jaką być może kiedyś czuła, zniknęła. Ale uczucia prawdopodobnie były mało ważne dla sierżant Falconer. Lgnęła do silnych mężczyzn, oczekując, że zostanie upokorzona, i prawie wypatrywała odrzucenia, którego w końcu doznawała. Odegrała swoją rolę w spiskach, które rozkwitły po śmierci mojego ojca, prawdopodobnie w ogóle sobie nie uświadamiając, że stawką w tej grze może być ludzkie życie.

Moja rola była jeszcze bardziej złożona. Myślałem, że biorę udział w strategii sprzedaży podmiejskiego centrum handlowego, używając sloganu „zło jest dobre”, który pojawiał się w pełnych ironii reklamach. Zwerbowałem trzeciorzędny prezentera telewizji kablowej i czasami aktora do odegrania roli błazna, karła na hiszpańskim dworze. Ale ironia wyparowała, slogan stał się zaczynem ruchu politycznego, a prezenter – potężną siłą, która w każdej chwili mogła doprowadzić do wybuchu. Specja

od reklamy spotkało ostateczne upokorzenie: bycie brany dosłownie.

Po raz pierwszy pożałowałem, że sprzedałem swoje mieszkanie w Chelsea Harbour. Odwróciłem się do roztrzaskanych przez nabój drzwi, marząc o zimnym prysznicu i jeszcze zimniejszym drinku, ale moja stopa przykleiła się do posadzki w przedsionku. Spojrzałem na but i zrozumiałem, że wszedłem w kałużę krwi doktor Kumar. Sierżant Falconer pomachała do mnie, a ja cofnąłem nogę i powlokłem się do klatki schodowej.

## 27. Niespokojny antrakt

Nienawiść i przemoc wkroczyły do gry.

Kumarowie przeżyli. Pani doktor miała przebite lewe płuco, a jej mąż poważne oparzenia klatki piersiowej i ramion. Usiłowałem ich odwiedzić w szpitalu, ale krewni, którzy przyjechali z Southall, mnie do nich nie dopuścili. Jeden z siostrzeńców, którzy trzymali straż nad doktor Kumar, wepchnął mnie do windy i postraszył, że jeśli pojawię się jeszcze raz, zginę. Julia Goodwin, niestety, unikała mnie i nie odbierała moich telefonów. Sąsiedzi byli tak samo nieprzyjaźni jak zawsze, traktując mnie jak powietrze, kiedy mijałem ich na schodach, i nawet nie parkując w pobliżu mojego mercedesa.

Delegacja do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, na czele której stali Sangster i doktor Maxted, nic nie dała. Podsekretarz stanu pospieszył z zapewnieniami, że zrobią, co w ich mocy, ale reprezentował marginalny okręg wyborczy Birmingham o wysokim bezrobociu i wyraźnie się zapalił do pomysłu przeniesienia do swojego regionu magicznej mieszanki sportu, dyscypliny i konsumpcjonizmu.

Przez następny tydzień pozostawałem w mieszkaniu, sam ze swoim ojcem, oddając się wspomnianiu starego pilota albo, gwoli ścisłości, rekonstrukjom jego osoby na podstawie śladów, które pozostawił. Od początku odcinałem się od jego prawicowego skrzywienia, tych wszystkich koszulek z krzyżami św. Jerzego, biografii Hitlera i obsesji na punkcie nazistowskich strojów. Nienawidziłem tego, podobnie jak nienawidziłem napadów na Azjatów w pobliżu M25. Niemniej jednak moi sąsiedzi widzieli we mnie złowrogiego manipulatora, pomagającego sprzedawać wcale nie lodówki, ale groźny podmiejski faszyzm. Konsumpcjonizm i nowy totalitaryzm spotkały się przypadkiem w podmiejskim centrum handlowym i świętowały swe potworne małżeństwo.

Tymczasem sportowe weekendy wydawały się trwać wiecznie, bez przerw na dni robocze. Na wszystkich stadionach od Brooklands po Heathrow kalendarz imprez pękał w szwach. Miniligi i rundy eliminacyjne turniejów sportowych powodowały przyjazdy autokarów pełnych kibiców, którzy maszerowali i przeprowadzali kontrmarsze za swoimi tamburmajorami. Było tak dużo meczów, tak dużo finałów lokalnych przeobrażających się w ćwierćfinały i półfinały, że kibicom kręciło się w

głowach od nieskończonych wiwatów. Potrzebowali tupania, wrzeszczenia i wymachiwania flagami, by uwierzyć gorąco w coś lub, jeśli się nie uda, w nic.

W nocy z determinacją oddawali się niczemu. Z wiadomości ogólnokrajowych rozgłośni radiowych i stacji telewizyjnych wynikało, że przemoc rośnie w miarę, jak rosną emocje sportowe. Ataki na muzułmańskie sklepy i ośrodki były teraz tak zwyczajne jak duże piwo po meczu. Po wieczornym spotkaniu piłkarskim każdy chiński i hinduski bar z jedzeniem na wynos, położony w pobliżu stadionu, był atakowany przez gangi złożone z kibiców pragnących przemocy. W swoim programie David Cruise żartował, że najłatwiejszy sposób na znalezienie baru z curry to szukać podbitych oczu i zbitych szyb.

Członkowie służb porządkowych pełniący wartę honorową przy Tomie Carradine'ie połączyli się w oddziały paramilitarne chroniące hipermarkety i galerie handlowe przed „złodziejami i obcymi”, których obwiniano o zniszczenia. David Cruise od niechcienia wspominał o „wrogu”. Tym umyślnie mało precyzyjnym terminem określał Azjatów, przybyszów z Europy Wschodniej, czarnych, Turków, niekonsumentów i wszystkich, którzy nie interesowali się sportem.

Nowi wrogowie zawsze się przydają i wkrótce odnaleziono kolejnego. Powszechnym celem ataków stała się tradycyjna klasa średnia, z jej szkołami prywatnymi i pogardą dla Metro-Centre. Znudzone zdemolowaniem kolejnego sklepu z mięsem *halal* i kolejnego sikhijskiego sklepu spożywczego, bandy kibiców zaczęły przemierzać zamożniejsze dzielnice mieszkalne, wygwizdując każdy dom z muru pruskiego z pergolą i kortem tenisowym. Furgonetkom Harrodsa i Petera Jonesa, zauważanym w miastach przy autostradzie, natychmiast spuszczano powietrze z opon i zamalowywano karoserię. Nastoletnie dziewczęta jeżdżące na swoich potulnych chabetach pod bukami spokojnych alei musiały uciekać przed samochodami z krzyżami św. Jerzego, pełnymi gwizdzących i obrzucających je obelgami kibiców. Namalowana sprayem gwiazda Dawida zaczęła się pojawiać na drzwiach garaży gojowskich adwokatów i architektów.

Nakłaniałem Cruise'a do zaapelowania o umiar, ale był zbyt pochłonięty popisywaniem się swoim nowym mercedesem, czarną limuzyną, którą nazwał „Heinrich”. Z Filipinkami podskakującymi na sprężynujących siedzeniach krążył między stadionem piłkarskim, lodowiskiem i stadionem lekkoatletycznym. Stojąc na stanowisku komentatorskim, podczas gdy Cory i Imelda mizdrzyły się za nim, Cruise

grzmiał do tłumu; jego wzmocniony głos przetaczał się po nocnym niebie. Gdy „Heinrich” sunął złowrogo ulicami, prezenter nieprzerwanie perorował do kamery pokładowej, przypominając widzom o złotych kartach i elitarnych wieczorkach w Metro-Centre. Mimo dwuznacznych igraszek z Filipinkami i aluzji, że w jacuzzi dochodzi do czegoś więcej niż tylko klapsy i łaskotki, nakłaniał widzów do obrony „republiki” przed zepsutym sojuszem snobistycznej klasy średniej i zadzierających nosa londyńskich gmin, które zawsze pogardały przedmieściami przy autostradzie.

Jednak Cruise martwił się tylko na użytek programu. Rozpoczęły się rządy terroru. Nowy ruch ogarniał coraz większe połacie hrabstw wokół Londynu. Kibice w koszulkach z krzyżami św. Jerzego paradowali dumnie głównymi ulicami od Dagenham po Uxbridge, plądrując osiedla klasy średniej i zastraszając każdego golden retrievera w zasięgu wzroku.

Trzy dni po napadzie na Kumarów banda kibiców dokonała inwazji na sąd magistracki w Brooklands, gdzie dwóch z nich miało rozprawę pod zarzutem usiłowania morderstwa. Kibice wygwizdali policjantów i zakrzyczeli starszych sąsiadów, zeznających, że widzieli napastników. Przesłuchanie zostało przerwane, a zszokowani sędziowie odroczyli posiedzenie, uwalniając oskarżonych za minimalną kaucją.

Następnego dnia kibice napadli na biura opieki społecznej w Brooklands, Ashford i Hillingdon, domagając się natychmiastowej podwyżki zasiłków dla tych, którzy porzucili pracę, by zostać członkami służb porządkowych w miejscowych galeriach handlowych.

Mimo postępującej atmosfery zagrożenia władze hrabstwa popierały Davida Cruise'a i jego ideowy konsumpcjonizm. Burmistrzowie, posłowie, a nawet przywódcy religijni postrzegali Cruise'a i Metro-Centre jako czynnik łagodzący. Zachwycała ich dyscyplina, zwłaszcza że podnosiła ceny nieruchomości i oznaczała skok w aktywności przy wszystkich kasach w promieniu dziesięciu mil od Heathrow. Fala przestępstw dalej przewalała się przez Dolinę Tamizy, ale szefowie policji lekceważyli napady na Azjatów i emigrantów, uważając je za wybryki nielicznych kibiców.

Pokrzepiające było to, że nowy ruch nie miał widocznego ośrodka władzy ani strategów o chłodnym wzroku, którzy bez przerwy spiskowali, by przejąć rządy. Nawet jeśli wszystko to miało nieznaczący odcień faszyzmu, był to faszyzm w wersji niskokalorycznej, łagodny i nietoksyczny.

O wiele mniej pokrzepiony byłem, oglądając w telewizji optymistyczne

korespondencje z Metro-Centre, nadawane przez reporterów BBC. Podziwiając pewne siebie tłumy i orkiestry dęte, przypominali widzom, że nikt nie organizował tych pokazów miejscowej dumy.

Nienawiść i przemoc, jak zawsze, organizowały się same.

## 28. Śledztwo starego człowieka

Myśląc o dochodzących do zdrowia Kumarach, wyłączyłem wiadomości BBC i wsłuchałem się w syreny przejeżdżających radiowozów i karettek, stanowiące obecnie integralną część życia Brooklands. Chodziłem po salonie, spoglądając na fotografie w ramach i dzienniki pokładowe mojego ojca. Lata spędzone na Bliskim Wschodzie uczyniły go prawicowym fanatykiem z napełniającą przerażeniem biblioteką i kolekcją koszulek z krzyżami. Wciąż jednak czułem jego uścisk i do pewnego stopnia wierzyłem, że popierałby wszystko, co zrobiłem w Metro-Centre.

Dręczony przez coraz większe wątpliwości, przeszedłem z salonu, przez kuchnię, do komórki. Jej drzwi były zamknięte, ponieważ wolałem unikać nawet przelotnego widoku starannie wyprasowanych koszulek i biografii Hitlera. Jednak teraz znów potrzebowałem pomocy ojca, a klucz tkwił w zamku.

Usiadłem przy biurku, stanowisku pracy zamienionym w kapliczkę, i włączyłem komputer. Wciąż czekałem na urzędowe zatwierdzenie testamentu, które odwlekło się w czasie z powodu śmierci Geoffreya Fairfaksa i przekazania sprawy jednemu z jego współników. Większość dokumentów ojca była umieszczona w folderach rozsianych po całym komputerze.

Przejrzałem listę tych folderów: zwroty podatku dochodowego, pakiety akcji, składki na ubezpieczenie zdrowotne, domy spokojnej starości w rejonie Brooklands, zakłady pogrzebowe i ceny ich usług, pola golfowe w pobliżu Marbella i Sotogrande, lotniska w Algarve. Ostatni folder nosił tytuł „Dziennik sportowy”. Otworzyłem go, spodziewając się znaleźć listę wyścigów starych samochodów. Oczami wyobraźni widziałem już opis trasy Londyn – Brighton.

Jednak w dzienniku odnotowane zostały imprezy zgoła innego rodzaju. Obraz mojego ojca w futrze z szopów, siedzącego wśród mosiądzu i skóry zabytkowego renaulta albo hispanosuizy, szybko zbladł. Odwróciwszy wzrok od ekranu, wyczułem zapach zaczytanych biografii Hitlera i ten szczególnie chemiczny odór lakierowanego papieru, który wydawcy rezerwowali chyba tylko dla szczególnie potwornych fotografii.

„Dziennik sportowy” obejmował ostatnie trzy miesiące życia mojego ojca i odnotowywał incydenty rasistowskie, których był świadkiem, ataki

na azjatyckie sklepy i ośrodki dla azylantów. Każda notatka zawierała relację z imprezy sportowej, która stanowiła pretekst dla napadów po meczu, liczbę kibiców, opis zniszczeń i ogólne przemyślenia ojca na temat *esprit de corps* kibiców, a także ich środowiska i zawodów.

Pierwszy wpis został poczyniony 3 lutego.

*Stadion przy Byfield Lane. Ćwierćfinały Spartan League. Brooklands Wanderers: 2, Motorola FC: 5. Trzydziestu kibiców Brooklands zebrało się przy Feathers, swoim stałym miejscu spotkań. Co najmniej dziesięciu z nich było na meczu. Ubrany w koszulkę z krzyżem św. Jerzego zostałem ciepło powitany. O 9.15 ustawiliśmy się i pomaszerowaliśmy do strefy przemysłowej. Napad na banglijskich kioskarzy, zabicie szyb w oknach, kradzież napojów i tabliczek czekolady. W dobrych humorach i bez rasistowskich okrzyków. Postrzegani przez wszystkich jako dowcipnisie. Uczestnicy: kierownik stoiska w supermarkecie, pracownik telefonicznej obsługi klienta, dwóch kierowców ciężarówek, pracownik administracyjny w szpitalu. Tylko nieliczni znali się wcześniej, ale wszyscy trzymali się razem, kiedy przejeżdżały obok radiowozy, i czekali na mnie, kiedy miałem kłopoty z dotrzymaniem im kroku. Szanowani obywatele, w większości żonaci, połączeni przez sport. Nie interesują się Hitlerem ani nazizmem. Front narodowy uważają za kiepski dowcip. Dwa tygodnie później mój ojciec był na meczu hokeja.*

*Brooklands Bears: 37, Addlestone Retail Park: 3. Ogromna przewaga wywołała entuzjazm tłumów. Twarde sporty kontaktowe podnoszą adrenalinę. Kilkunastu kibiców spotkało się przy Crown and Duck. Ochroniacze na łokcie i barki pod koszulkami z krzyżami św. Jerzego. Podchodzili do mnie z rezerwą, dopóki nie zacząłem głośno mówić o „snobach z klasy średniej”. Dołączyliśmy do dwudziestu kibiców czekających na parkingu i poszliśmy w stronę zajezdni autobusowej. Przedmiotem ataku stał się chiński bar. Kucharz i jego żona patrzyli spokojnie na sajgonki, którymi rzucano o ściany. Kierownik opróżnił kasę i zaproponował pieniądze, ale został powalony na ziemię i skopany. Oburzenie na myśl o wzięciu pieniędzy. Otwarta przemoc i rasistowskie pogroźki, ale środowiskowa duma. Czują, że bronią Brooklands, choć nie mają pojęcia przed czym. Kreślarz, taksówkarz, technik dentystyczny, recepcjonista w hotelu. Mają samochody, domy, żony i dzieci. Trzymają się razem, ale tęsknią za przywództwem.*

Przeglądałem późniejsze notatki. Ojciec dołączał do różnych klubów

kibica. Wydawał się świadom ograniczeń tych rasistów z barów wyższej kategorii i próbował dotrzeć do ich przywódców, jeśli w ogóle istnieli. Wyraźnie martwił się, że te nieskoordynowane ataki mogą doprowadzić do anarchii. Odnotował kilka napadów na azjatyckie lokale, inwazję na ośrodek dla uchodźców z Kosowa i zdemolowanie obozowiska Cyganów.

12 kwietnia napisał:

*Derby na stadionie piłkarskim poza miastem. Blaszana buda z gigantycznymi ekranami najnowszej generacji, jak Sopwith Camel zestawiony z silnikiem turbowentylatorowym RollsRoyce'a. Niesamowita atmosfera, prawdziwe poczucie wspólnoty. W dobrych nastrojach, żarliwi. Setka lub coś koło tego kibiców, wszyscy z klubów Metro-Centre, zebrała się na parkingu i pomaszerowała do wschodniego Brooklands. Zdewastowali banglijski zakład krawiecki, potem włamali się do azjatyckiego supermarketu. Stoczyli walkę z młodymi sikhami uzbrojonymi w noże i metalowe pręty. Koszulki z krzyżami św. Jerzego do czegoś zobowiązują. Kibice dotrzymali pola. Wystawiając gole pięści przeciwko nożom Azjatów, utrzymali pozycje jak ongiś ich dziadowie pod Arnheim i El Alamein. Wspaniali ludzie, chronili mnie, chociaż byłem dla nich kulą u nogi. Najlepszy materiał na podoficerów, jaki można sobie wyobrazić: kierownicy sklepów, elektrycy, sprzedawcy obuwia. Tęsknią za dyscypliną i przywództwem. Metro-Centre wnosi w ich życie poczucie misji.*

Następnie mój ojciec opisał przewiezienie poważnie rannego mężczyzny do szpitala w Brooklands.

*Położyliśmy go na tylnym siedzeniu bristola. Krew na całej tapicerce. Wcisnąłem gaz do dechy, wyprzedzając policyjne vauxhalle. Otrzymałem potem wiele serdecznych uścisków rąk. – Proś, o co tylko chcesz, dziadku – mówili. Kiedy jednak zapytałem, czy mogę spotkać się z ich przywódcami, wyglądali na skonsternowanych.*

I dalej:

*Zrozumiałem, że oni nie mają przywódców. To ulotki Metro-Centre o obniżce cen dywanów trzymają ich razem. Tęsknią za autorytetem i jakimś głębszym znaczeniem w swoim życiu. Potrzebują kogoś, kogo mogliby podziwiać i za kim podążać. Dokąd ich to zaprowadzi, nie ma znaczenia.*

*Najbliższy przywódca jest prezenter kanału telewizji kablowej David Cruise. Zagrzewa ich do boju w czasie meczów, ale brakuje mu tego „czegoś” – ot, były aktor bez scenariusza. Jest jednak niebezpieczny, ponieważ Metro-Centre stanowi siłę napędową pustego życia tych ludzi.*

*Narastające niebezpieczeństwo przeciągnięcia dynamicznego. Całe miasto zacznie pikować i zleci na ziemię z prędkością 400 węzłów. Czy pasażerowie się tym przejmą? Wszystko, co czytałem o nazistowskich przywódcach, dowodzi, że ich zwolennicy nie bali się klęski, ale ją z radością witali.*

*Mój główny problem – nie mam nikogo, z kim mógłbym o tym wszystkim porozmawiać. Sport zdominował wszystko, a przemoc jest częścią kultury. Policja jest zbyt tolerancyjna, a poza tym upatruje w emigrantach źródła problemów, nawet jeśli nie są winni. Jediną sensowną osobą, którą tutaj poznałem, jest psychiatra z Northfield Hospital, doktor Tony Maxted. Dziwny człowiek, z własnym widzeniem świata. Do pewnego stopnia cieszy się falą przemocy – to potwierdza jakąś akademicką teorię. Był bardzo zaintrygowany moim opisem przeciągnięcia dynamicznego.*

*Niestety, w nocy skradziono mojego bristola. Znaleziono go spalonego w zatoczce przy drodze do Weybridge. Kochałem staruszkę i zirytowałem się, że tak się to skończyło. Za wszelką cenę unikaj rzucania się w oczy. Polityka to pod każdym względem rozrywka stadna...*

30 kwietnia:

*Istnieje granica infdtracji, którą przeprowadzam. Demonstracje stają się coraz bardziej gwałtowne. Jestem wysportowany, ale nie na tyle, by brać udział w ulicznych bójkach. Dostałem pięścią w twarz od młodego Banglijczyka broniącego matki. Nie zrozumiał, że chciałem jej pomóc. Moi towarzysze podziwiali moją odwagę, ale kazali mi wracać do domu.*

*To zadziwiające, jak dobrze działa moja maskarada. Nikt nie podejrzewa starego pilota British Airways. Żałuję tylko, że wystraszyłem swoich sąsiadów, zwłaszcza doktor Kumar i jej męża. Ale muszę utrzymywać przebranie jeszcze przez kilka tygodni. Kluby sportowe Metro-Centre są niebezpieczne i trzeba je powstrzymać. Kluby kibica przemieniają się we freikorpsy, chociaż nawet sobie tego nie*

*uświadamiają. Dziwna rzecz. Kiedy poszedłem do Fairfaksa po swoją emeryturę, zapytał: „Kim są przywódcy?”. Oczywiście pytanie, które wszyscy zadają. Nie ma przywódców, jeszcze. Prędzej czy później jakiś bandzior z darem wymowy sięgnie po władzę w bezkrwawym zamachu stanu, już teraz jest mowa o nowej „republice”, rozciągającej się od Heathrow po Brooklands, obejmującej cały korytarz między M3 a M4. Nowy rodzaj dyktatury opierający się na Metro-Centre. Próbowałem porozmawiać z Fairfaksem, ale mówił tylko o swoim golfowym handicapie, fest częścią dziwnej małej kliki, która może przejawiać polityczne ambicje.*

Ostatni wpis pochodził z 2 maja.

*Oglądałem prezentera telewizji kablowej Davida Cruise<sup>^</sup>. Sympatyczny w wystudiowany sposób. Wysoce rozwinięte wyczucie emocji widzów. Niebezpieczny? Jest marionetką, czekającą na pokierowanie przez kogoś, kto włożyłby trochę wysiłku. Dociera do pewnego rodzaju pozbawionych korzeni ludzi, którzy nie wierzą w nic i gotowi są stworzyć najbardziej szaloną teorię, żeby tylko usprawiedliwić swoją pustkę.*

*Jutro włożę koszulkę z krzyżem św. Jerzego i spróbuję dostać się do jego programu. Zagram kartą starego pilota British Airways i zrobię demonstrację. Ostrzegę ludzi przed niebezpieczeństwem, które kryje się za zbyt dużą ilością sportu i towarzyszącą mu pustką. Wcześniej czy później pojawi się jakiś mesjasz...*

Zamknąłem folder i odchyliłem się w fotelu. Kątem oka dostrzegłem lok i wąsik Hitlera na grzbiecie jego biografii. Kamień spadł mi z serca. Poczułem nagły przypływ zaufania do tego podmiejskiego mieszkania i zgromadzonych w nim wspomnień. Ojciec stał mi się znowu bliski. Byłem pod wrażeniem odwagi tego starego człowieka. Wiedział, że coś jest nie tak, i rozpaczliwie pragnął dotrzeć do źródła głębokiego kryzysu, w którym znalazła się pokojowo nastawiona społeczność Brooklands. Jego pozorne członkostwo w klubach sportowych spod znaku krzyża św. Jerzego zmyliło zarówno sąsiadów, jak i mnie. Bardziej niż chciałem przyznać, potrzebowałem wsparcia z jego strony, by usprawiedliwić swoje działania na rzecz Metro-Centre i sportowych sił porządkowych.

Teraz znałem już prawdę. Mogłem podziwiać ojca i zaakceptować siebie. Już nie musiałem unikać luster w mieszkaniu. Jednocześnie tajna

misja, którą prowadził, mnożyła pytania dotyczące jego śmierci. Czy został zdradzony przez przyjaciela, z którym spiskował? Geoffrey Fairfax nie miałby skrupułów. Czy ktoś włamał się do mieszkania i przejrzał foldery w komputerze? Domyślałem się, że ta „dziwna mała klika”, na której czele stali Fairfax i komisarz Leighton, pochwyciła w swoją postrzępioną sieć Julię. Czy ta klika pozbyła się wścibskiego staruszka, werbując jakiegoś skompromitowanego policyjnego snajpera, a ten zastrzelił mojego ojca, kiedy wchodził on po schodach do studia na półpiętrze? Dla odwrócenia uwagi zrobili w to Duncana Christiego, dziwaka i miejskiego stracha na wróble. Pozwolili, by uchodził za winnego na tyle długo, by mogli zatrzeć ślady prawdziwego zabójcy. Nawet Sangster i doktor Maxted mogli nie mieć pojęcia o prawdziwych poczynaniach Fairfaksa. Mat głupca skrywający o wiele bardziej skomplikowany gambit...

Ku przerażeniu Fairfaksa zamordowany stary człowiek został zastąpiony przez jego, jeszcze bardziej wścibskiego, syna. Bomba w moim samochodzie pozostawiona przez niecierpliwego prawnika miała usunąć tę małą niedogodność z szachownicy.

Jednak ostatnie figury zaatakowały graczy.

## 29. Zagrożone miasto

W mieszkaniu brakowało powietrza. Dusilem się nawet przy otwartych oknach. Intrygi i spiski wychodziły z zapadni, a potem znikwały we mgle. Musiałem oczyścić umysł, a jedynym miejscem w Brooklands nietkniętym przez Metro-Centre był tor wyścigowy, pomnik o wiele bardziej rozsądnych snów o prędkości.

Opuściłem mieszkanie i poszedłem do samochodu. Skandujący tłum na stadionie lekkoatletycznym, wiwaty i niepohamowane przemowy komentatora zepsuły popołudnie. Hałas bębnił o okna pobliskich domów, zamieniając przyjemny słoneczny dzień w lato na wieży Babel.

Przejeżdżałem ulicami obok bram z kutego żelaza i flag z krzyżami św. Jerzego. Codziennie kilka więcej powiewało na prowizorycznych masztach albo zwisało z mosiężnych latarni na gankach, stanowiąc niezbyt przekonującą próbę odparcia przechodzących kibiców, oznakę kapitulacji potężnej klasy społecznej.

Pół mili od toru droga była zamknięta przez blokadę policyjną. Funkcjonariusze stojący przy radiowozach kierowali pojazdy na objazd. Ignorując ich zalecenia, skręciłem w boczną uliczkę, ale następna droga dojazdowa okazała się odcięta policyjnymi taśmami. Znaki objazdu nakazywały niekończącą się jazdę przy domach z muru pruskiego i przez chwilę miałem przed oczami obraz całej klasy średniej Brooklands, zamożnych prawników, lekarzy i członków ścisłego kierownictwa, zamkniętych w swoim getcie i przez cały boży dzień nie robiących nic z wyjątkiem oporządzania kucyków i machania młotkami do krokieta.

Ciesząc się z perspektywy spaceru, zaparkowałem przed wejściem domu spokojnej starości i ruszyłem na piechotę. Policja patrolowała skrzyżowania, ale w pobliżu toru wyścigów prawie nie było ruchu. Przeszedłem przez drogę dojazdową i zbliżyłem się do wału.

Jak zawsze słyszałem silniki buczące w oddali, chrapliwy ryk dobiegający z rur wydechowych bez tłumików i kasznięcia gaźników złaknionych powietrza. Do dzisiejszych czasów przetrwał tylko mały odcinek terenu wyścigów, jednak w mojej wyobraźni, a także w wyobraźni mojego ojca, tor pozostał nietknięty. Jego powierzchnia wciąż utrzymywała samochody sportowe, które ścigały się w nieskończoność przez odległe popołudnia w szczęśliwszym świecie prędkości, przepychu i eleganckich kobiet w białych kaskach i kombinezonach.

Silniki ryczały, ale nie w mojej głowie. Poszedłem ścieżką wzdłuż

drogi dojazdowej, która przecinała wał. Parking przy strefie przemysłowej był pełen pojazdów policyjnych i wojskowych. Obok wału stały dziesiątki wojskowych furgonetek i ciężarówek z pakami pokrytymi brezentem. Autobusy przerobione na kuchnie polowe, wozy wypełnione antenami i sprzętem łączności i przyczepy dźwigające olbrzymie buldożery parkowały na pasie startowym opuszczonego lotniska w środku toru wyścigowego. Dziesiątki policjantów i żołnierzy w kombinezonach przemierzały go w drodze do blaszanego magazynu w strefie przemysłowej, w którym urządzono tymczasowe koszary.

Patrząc na te wszystkie pojazdy sił inwazyjnych, doszedłem do wniosku, że zostały tu zgromadzone do przejęcia lotniska Heathrow po ataku terrorystycznym. Zauważyłem żołnierza siedzącego w szoferce ciężarówki. Pałąc papierosa, wpatrywał się w mapę samochodową.

Zacząłem iść w jego kierunku, ale radiowóz z włączonym kogutem zjechał z drogi i nagle znalazł się za mną. W końcu dosłownie otarł się o moją nogę. Z samochodu wychylił się posterunkowy. Dał znak ręką, żebym odszedł, a potem odprowadzał mnie wzrokiem, gdy opuszczałem tor.

Wracałem do samochodu, zdumiony ogromem tej operacji wojskowej. Pojazdy wciąż nadjeżdżały, zatrzymywane i sprawdzane przez żandarmerię wojskową. Aldershot, główne miasto garnizonowe armii brytyjskiej, znajdowało się ledwie kilka mil od M25 i podejrzewałem, że odbywają się jakieś, zakrojone na szeroką skalę, ćwiczenia obrony cywilnej.

Kiedy dotarłem do auta, zatrzymałem się, by spojrzeć na opustoszałą ulicę. Znaki objazdu wciąż pozostawały na swoich miejscach, a flagi z krzyżami św. Jerzego zwisały żałośnie z bram ogrodów. Ale nad miastem zaległa kompletna cisza. Wzmocnione przez system nagłaśniający komentarze sportowe i grupowe śpiewy zamarły i po raz pierwszy od wielu dni, o ile nie tygodni, nikt nie wiwatował.

Z podjazdu domu spokojnej starości wybiegła młoda kobieta, pchając spacerówkę z przestraszonym dzieckiem. Wydawała się zrozpaczona. Uniosłem ręce, by ją uspokoić.

– Czy mogę w czymś pomóc? Wszystko w porządku?

Podejrzewając, że jest pogrążoną w żałobie krewną, chciałem ją pocieszyć. Ale odepchnęła mnie i potknęła się o krawężnik. Zaklęta siarczyście, po czym pokazała gwałtownym gestem na niebo.

– Kopuła płonie!

– Kopuła? Gdzie?

– Płonie! – Machnęła w stronę dachów budynków. – Pod palili Metro-Centre!

A potem uciekła – ostatnia mieszkanka zagrożonego miasta.

### 30. Zamach

Nad Brooklands zaległa cisza głośniejsza od huku gromu. Słyszałem samochody jadące po M25 i rozróżniałem silniki poszczególnych ciężarówek i autobusów. Stadiony piłkarskie i lekkoatletyczne opustoszały, a wieczorne imprezy sportowe zostały przełożone. Wszyscy czekali na wieści z centrum.

Podobnie jak większość ludzi spędziłem popołudnie przed telewizorem. Z okien salonu widziałem wąską kolumnę białego dymu wydobywającego się z otworu wentylacyjnego w dachu Metro-Centre. W nieruchomym powietrzu unosił się pionowo, drżał, w końcu rozpraszał w pokrywie chmur.

Podejrzewałem, że do pożaru doszło z powodu spięcia w systemie klimatyzacji. Ogień zostanie opanowany i pogłoski o podpaleniu szybko ucichną. Ale ekipy wiadomości ITN i BBC, nadające relacje spod Bramy Południowej, wcale nie były pewne, jaka jest przyczyna pożaru, i nie potrafiły oszacować skali zniszczeń. Reporterzy potwierdzali jedynie, że nie zarządzono ewakuacji centrum, i uspokajali widzów, że nie było ofiar. Zdjęcia atrium robione ukrytą kamerą ukazywały spokojnie przechadzające się tłumy i trzy misie poruszające się w rytm muzyki. Nikt nie przejawiał najmniejszych oznak paniki.

Dla kontrastu trzy kanały telewizyjne Metro-Centre kreowały atmosferę zagrożenia, twierdząc, że nieznani podpalacze próbowali puścić centrum z dymem. Nagrani wcześniej prezenterzy mówili o poważnych zniszczeniach, które miały pochłonąć dziesiątki milionów funtów, i o groźnych wrogach robiących wszystko, by zrównać centrum z ziemią.

Wejścia na żywo przedstawiały Davida Cruise'a na pierwszej linii frontu, w czerwonym hełmie i kombinezonie strażackim. Seria ujęć z ręki ukazywała go na podziemnym parkingu. Wychodził z szoferki wozu strażackiego, dyskutował zawzięcie z białym na twarzy Tomem Carradine'em i ekipą techniczną Metro-Centre, po czym przyciskał ręce do płataniny rur i kabli w agregatorowni, jakby chciał je uleczyć. Dysząc w masce tlenowej, rozdał wyczerpanym strażakom butelki wody mineralnej, przy okazji ją reklamując, po czym razem z nimi ją wypił. Przemawiając do kamery, nie miał wątpliwości, że wszyscy klienci i kibice znajdują się w niebezpieczeństwie. Pocierając zaczerwienione czoło – jego policzki zostały stylowo pomalowane na czarno – powiedział:

– Do wszystkich, którzy pozostają na zewnątrz. Tu David Cruise, z linii

frontu. Słuchajcie mnie, o ile jeszcze transmisja do was dociera. Potrzebujemy wsparcia każdego z was. Nie miejcie złudzeń, są tutaj ludzie, którzy chcą nas zniszczyć. Nienawidzą Metro-Centre, nienawidzą klubów sportowych i nienawidzą świata, który stworzyliśmy. – Zakrztusił się w masce tlenowej, odsuwając atrakcyjną sanitariuszkę, która próbowała mu pomóc. – Tym razem musimy stanąć do walki za to, w co wierzymy. Ludzie, którzy to zrobili, spróbują znowu. Chcę, żebyście byli gotowi. To wy stworzyliście ten świat, nie pozwólcie, żeby został zniszczony. Mamy wrogów na zewnątrz i doskonale wiecie, kim oni są. Jeśli już się nie zobaczymy, możecie być pewni, że poległem, walcząc o Metro-Centre...

Godzinę później dym wciąż unosił się nad dachem, biały pióropusz prawie niewidzialny w świetle późnego popołudnia. Dziennikarz BBC dostał się do podziemi i donosił, że źródło ognia jest już znane. Palił się duży zsyp wypełniony kartonami, ale sytuacja była pod kontrolą.

Jednak David Cruise znajdował się bliżej pola walki. Wyszedł z jakiegoś wjazdu i zmęczony zdjął hełm, po czym wyszeptał chrapliwie o niebezpieczeństwie pożaru w położonych na terenie Metro-Centre sklepach z artykułami chemicznymi.

– Mówimy tu o ładunkach wybuchowych z zapalnikami czasowymi – poinformował pochmurnie swoich widzów. – Bądźcie w pogotowiu i sprawdźcie swoje garaże i piwnice. Każdy z nas może być celem...

O siódmej miał przemówić do publiczności ze studia na pódpiętrze. Oglądałem, jak gra swoją rolę, statysta wypromowany na gwiazdę własnego piekła. Technicy stojący wokół niego wydawali się cokolwiek zażenowani, ale Cruise był całkowicie szczery, naturalizowany obywatel nowego królestwa, w którym nic nie było prawdą ani fałszem. Większa część jego publiczności prawdopodobnie doskonale wiedziała, że pożar w zsypane na śmieci to pretekst do zwołania wiecu poparcia, którego powody pozostawały na razie niejasne. Zdawali sobie sprawę z tego, że się ich okłamuje, jednak jeśli kłamstwa są spójne, stają się w końcu wiarygodną alternatywą dla prawdy. Niemal wszystkim rządziły tutaj emocje, a kłamstwa wynikały z emocji, które były dobrze znane i pomagały, podczas gdy prawda miała ostre, raniące krawędzie. Woleli kłamstwa i nastrojową muzykę, i akceptowali fantazje Davida Cruise'a, strażaka i obrońcy ich wolności. Konsumencki kapitalizm nigdy nie rozwijał się na wierze w prawdę. Bywalczy centrów handlowych woleli kłamstwa, ponieważ były

tak samo winne jak oni.

Niestety, na peryferiach Brooklands zaczęły wybuchać prawdziwe pożary. Wczesnym wieczorem potężny tłum zebrał się przed Metro-Centre, podmiejska armia ubrana w swoje koszulki z krzyżami św. Jerzego. Kluby sportowe pomaszerowały na peryferie, zupełnie jakby chciały bronić murów obleganego miasta. Zgodnie z moimi obawami niedługo potem w osiedlach Azjatów i emigrantów doszło do podpaleń i rabunków.

Ale gangi szybko znalazły sobie inne cele. Znużone bijatykami ze zdesperowanymi Banglijczykami i wyczerpanymi Kosowianami zaatakowały szkołę doskonalenia zawodowego w pobliżu rynku oblepioną irytującymi afiszami reklamującymi kursy *le cordon bleu*, archeologii i estampażu. Kolejnym celem stała się biblioteka miejska, jej regały zostały wyczyszczone z tych kilku książek, które miała na składzie, chociaż ogromne zapasy płyt CD i DVD oraz kaset wideo pozostały nietknięte.

Inni napadli na klub krykieta, gdzie wypróżnili się na boisku, i na Gymkhana Riding School, bastion potencjalnej klasy średniej, który puścili z dymem. Wiadomości telewizyjne pokazywały oszalałe konie galopujące przez parkingi Metro-Centre, ich przypalone grzywy pełne były iskier. Nawet komisariat policji i sąd magistracki znalazły się w niebezpieczeństwie i musiały zostać otoczone niebieskim kordonem policjantów w rynsztunku bojowym.

Reporterzy BBC donosili, że bandy kibiców, nie mogąc znaleźć nowych wrogów, w końcu zaczęły walczyć między sobą.

Właśnie usiłowałem dodzwonić się do Julii Goodwin i ostrzec ją, że schronisko dla azjatyckich kobiet znajduje się w niebezpieczeństwie, gdy David Cruise rozpoczął przemówienie do obywateli swojej nowej „republiki”, transmitowane na żywo ze studia na półpiętrze. Zamienił kombinezon strażacki na elegancką kurtkę żołnierską, ale charakteryzatorki pozostawiły nietknięte jego zmierzwione włosy i wysmarowane na czarno policzki. Musiał zapanować nad histerią, wynikającą z faktu, że kluby sportowe pustoszyły miasteczko, ale bliski był ostatni gwizdek sędziego i nie będzie doliczonego czasu gry. To, co reporterzy telewizyjni wciąż nazywali chuligaństwem kibiców piłkarskich, rząd określał jako powstanie. Wojsko i policja czekały na rozkaz.

Cruise pochylił się do kamery, gotów do przyciągnięcia uwagi wiernej publiczności i nie mogąc powstrzymać swojego zwykłego zawadiackiego uśmiechu. Kiedy jednak otworzył usta, ukazując ostre zęby i mięsisty

język, osunął się w fotelu. Nagły paroksyzm bólu sprawił, że przyłożył rękę do piersi i wzrok mu się zaszklili. Zachwiał się, a łokieć ześlizgnął mu się z blatu biurka. Wyrwał mikroport z kurtki. Sięgnął przed siebie i wywrócił oczami. Uśmiech zniknął z jego twarzy, uciekł jak szczury z tonącego okrętu. Prezenter wyprostował się i w następnej chwili upadł do przodu, uderzając głową o zakrwawiony scenariusz.

Pięć sekund później obraz zniknął. Zapadła chwilowa cisza, a potem rozległo się głębokie, dobiegające od Metro-Centre wycie, kiedy tłum patrzący na ekrany nad Bramą Południową wydał okrzyk wściekłości i bólu, ryk ginącego zwierzęcia. Echo popłynęło nad całym Brooklands, bębniąc o szyby i odbijając się od dachów pobliskich budynków.

Przełączyłem telewizor na wiadomości Channel 4. Prezenterka wpatrywała się niespokojnie w teleprompter, jakby gotowa w każdej chwili przerwać.

– Otrzymaliśmy doniesienie... o próbie zabójstwa w centrum handlowym w Brooklands. Naoczni świadkowie twierdzą, że uzbrojony bandyta... nie wiemy jeszcze, czy...

Wyłączyłem telewizor i wpatrzyłem się w pociemniały pokój. Ktoś strzelał do Davida Cruise'a, ale jakoś trudno mi było uwierzyć, że prezenter został poważnie ranny. Znałem go na tyle dobrze, by w to wątpić. Był tak dominującą osobowością, obecną w prawie każdej chwili mojego życia w Brooklands, że już dawno stał się postacią fikcyjną. Przeniósł się do świata równoległego, w którym sława stawała się rzeczywistością. Jego bolesne runięcie na biurko, rozpaczliwy sposób, w jaki zdarł mikroport z przeszytej piersi, był ostatnim odcinkiem serii reklam w stylu *noir*, które dla niego wymyślałem. Wyłączyłem telewizor głównie po to, by uniknąć powrotu do kanału kablowego i konieczności zobaczenia produktów, które sponsorowały ten odcinek.

Ale już właściwie zapomniałem o Davidzie Cruise'ie. Julia Goodwin zapewne odchodziła od zmysłów, wiedząc, że będzie musiała obronić Azjatki przed brutalną reakcją tłumów. Pozbawione swego mistrza i kablowego filozofa kluby kibica wpadną w furię, atakując wszystko w zasięgu wzroku.

Przeszedłem do przedpokoju i otworzyłem szafę, w której stały moje walizki. Worek golfowy ojca, z kijami nietkniętymi od miesiąca, opierał się o ścianę. Wyciągnąłem ciężką skórzaną torbę, która leżała pomiędzy putterami, i wyjąłem z niej strzelbę.

Na półce wyżej znalazłem pudełko z nabojami kaliber 12, wystarczające do odpędzenia chuliganów próbujących splądrować swoją

starą szkołę. Nic nie było prawdą i nic nie było nieprawdą. Ale rzeczywistość zaczynała się nieśmiało sprzeciwiać nierzeczywistości.

### 31. „Brońmy centrum!”

Przed budynkiem pojawił się samochód. Żwir strzelał spod jego kół. Miał włączone światła długie, oświetlając parking niczym plan filmowy. Stałem przy tylnych drzwiach mercedesa, kładąc na podłodze strzelbę zawiniętą w płaszcz przeciwdeszczowy. Kolba strzelby spoczęła na skrzyni biegów, tak żebym miał ją w zasięgu ręki, gdy usiądę za kierownicą.

Reflektory samochodu świeciły mi prosto w oczy. Kierowca, krzepki mężczyzna, wysiadł z auta, zostawiając włączony silnik. Rozglądał się dookoła, a jego łysa głowa prawie świeciła w ciemności. W następnej chwili mnie rozpoznał.

– Tak właśnie myślałem, że cię tu znajdę. Zostaw to i jedź ze mną.

– Ki diabeł? To ty, Maxted?

– Mam nadzieję – w tej chwili nic już nie jest pewne. Wy gładasz na zdenerwowanego.

– Zaraz... Dokąd mamy jechać?

Wpatrywał się we mnie, podczas gdy ja wciąż się wahałem, z ręką wyciągniętą w kierunku strzelby. Był zmęczony, ale stanowczy, jego zatroskana twarz była otwarciem wroga. Ze znużeniem dotknął mojego ramienia.

– Dokąd? Do twojego duchowego domu – Metro-Centre. Przynajmniej raz masz szansę zrobić coś pożytecznego.

– Chwileczkę... – Popatrzyłem na płomienie unoszące się na nocnym niebie i pokazałem na swojego mercedesa. – Mam tu strzelbę.

– Zapomnij. Nawet jeśli by się nam przydała, to i tak jest już za późno. Weźmiemy mój samochód.

– Znasz najnowsze wiadomości? O Davidzie Cruise'ie?

– Ktoś wpakował mu kulkę. – Maxted wsiadł do swojej sportowej mazdy. – Na antenie! Boże, naprawdę jestem pełen podziwu dla was, chłopaki. Nie mów mi, że właśnie o tym marzyłeś!

– Nie... – Wcisnąłem się w mały fotel auta. W świetle odbijającym się od ganku zobaczyłem spuchniętą twarz psy chiatry. Na policzku miał odcisnięte ślady pięści. – Czy on żyje?

– Tak, ale kiepsko z nim. – Zawrócił i przejechał przez rabatkę różaną. Skrzywił się, słysząc klaksony i zgiełk ruchu na ulicy, krzyki i wrzaski, które powróciły do Brooklands. – Nabój przebił mu płuco – miejmy nadzieję, że przeżyje noc.

– Kto do niego strzelał? Już wiadomo?

– Jeszcze nie. Pewnie jakiś Banglijczyk, którego sklep ostatnio zbyt często demolowano, albo Kosowianin, któremu pobito żonę. – Maxted przyspieszył, jadąc wąską drogą do jazdową, a kiedy dotarliśmy do ulicy, wolnoamerykanki za korkowanego ruchu, zahamował gwałtownie, oświetlając ogarniętych paniką pieszych. – David Cruise miał niezliczoną liczbę wrogów – powiedział, przekrzykując hałas. – To stało się część jego strategii. Sam wiesz najlepiej. Tak to zapła nowałość.

Puściłem mimo uszu jego drwiny, myśląc o długich godzinach, które spędziłem przy basenie Cruise'a w towarzystwie filipińskich dziewcząt.

– Gdzie leży? W Brooklands Hospital?

– Na oddziale pierwszej pomocy w Metro-Centre. Dopóki jego stan nie będzie stabilny, nikt nie zaryzykuje przewiezenia go do szpitala. Miejmy nadzieję, że ten oddział jest do brzo wyposażony. Nigdy nie przypuszczałem, że to powiem, ale David Cruise koniecznie musi być utrzymany przy życiu.

– A jeśli umrze?

– Ludzie są gotowi na przewrót. Nie tylko w Brooklands, ale we wszystkich miastach przy autostradzie. Nie podoba mi się to, co się tu dzieje, ale następny rozdział może być o wiele gorszy.

– Psychopatia...

– Fakultatywna? Właśnie. Świadome szaleństwo. – Maxted włączył się do ruchu, prosto w zmotoryzowany zgłęb klaksonów i syren. – Nie wiedzą tego, ale czekają na pociąg gnienie za cyngiel. Prędzej czy później pojawi się ktoś z klučem i włoży go do zamka.

– Czy już się to stało?

– Czy już się pojawił? Tak.

– Kto to?

– Ty. – Wyprzedził pickupa pełnego kibiców wymachu jących flagami.

– To ty pisałeś scenariusze dla naszego fihrerka. Podmiejski doktor Goebbels... Myślałeś, że co robisz? Sprzedajesz pralki?

– Coś w tym rodzaju. Chwyliło.

– I to jak diabli. Schyłkowy kapitalizm drapie się od he moroidów i próbuje znaleźć miejsce, w którym może się wyśrać. Wszystkie wygodki są zamknięte z wyjątkiem jednej. Kupowanie pralek jest aktem politycznym – to jedyna prawdziwa polityka, jaka w tej chwili nam pozostała.

Utknęliśmy w korku, powietrze wypełniał narastający hałas klaksonów. Kibice w koszulkach z krzyżami św. Jerzego przedzierali się pomiędzy

samochodami, bębniąc w ich dachy. Cała Dolina Tamizy zdawała się podążać do Metro-Centre. Górowało ponad domami i biurowcami, ogromne białe widmo, mauzoleum gotujące się na śmierć.

– A ten pożar dziś po południu? – zapytałem Maxteda, przekrzykując hałas. – Ten w centrum?

– Nie daj się zwieść. To tylko David Cruise próbował podpalić lont.

– To był wybieg?

– Oczywiście. Potrzebował powstania, choć wiedział, że jest już za późno. Usłyszał o oddziałach wojskowych czekających na torze wyścigowym.

– Widziałem je po południu. Wyglądały, jakby naprawdę nie żartowały.

– Bo nie żartują. – Maxted roześmiał się w zgiełku klaksonów. – Ten widok musiał cię otrzeźwić.

– Już wcześniej mnie otrzeźwiło. W komputerze znalazłem dziennik mojego ojca. Nie był zwolennikiem krzyży św. Jerzego. Nienawidził tych klubów sportowych i wszystkiego, co wiązało się z Metro-Centre.

– Miło mi to słyszeć. Wreszcie masz kogoś do podziwiania.

– Próbował wniknąć w szeregi tego ruchu i odkryć, kto mu przewodzi. Całkiem możliwe, że dlatego został zastrzelony

– Niewykluczone. – Dwóch kibiców hokeja usiadło na masce mazdy, wystukując pięściami rytm. Maxted nacisnął klakson i zwolnił go dopiero wtedy, gdy zeskoczyli i przedarli się przez zamęt światła reflektorów. Ryknął do mnie:

– Nikt temu nie przewodzi. Przykro mi, że twój staruszek zginął, ale to oddolna rewolucja. To właśnie dlatego jest taka niebezpieczna. Sangster i ja próbowaliśmy ją stłumić. Chcieliśmy wyciągnąć Cruise'a ze studia na ulicę, gdzie zobaczył by, co się dzieje. Ale rzeczywistość nigdy nie była jego żywiołem.

– Dlaczego rząd nie interweniował? Sytuacja w Brooklands wymknęła się spod kontroli już miesiące temu.

– Nie tylko w Brooklands. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych chciało zobaczyć, co się stanie. Przedmieścia są idealnym laboratorium społecznym. Możesz wytworzyć tu dowolny patogen i przetestować jego siłę. Kłopot w tym, że czekali za długo. Całe M25 może ogarnąć powstanie i wciąż gnać resztę kraju w pełnowymiarową psychopatię.

– Niemożliwe. Ludzie są za potulni.

– Ludzie są znudzeni. Nieskończenie znudzeni. Kiedy ludzie są tak znudzeni, wszystko może się zdarzyć. Nowa religia, czwarta rzesza. Mogą otoczyć ciałem symbol matematyczny albo dziurę w ziemi. To nasza wina.

To my popchnęliśmy ich do przemocy i paranoi. O, a tu co się dzieje?

Samochody objeżdżały rangę rovera zaparkowanego przed rezydencją w stylu tudorowskim. Banda kibiców żelaznymi prętami tłukła szyby w oknach auta. Kierowca, zszokowana młoda kobieta w kożusku, próbowała protestować, odpychając jednego z młodzieńców, którzy ją obmacywali.

– Maxted... Trzeba jej pomóc.

– Nie ma czasu. – Ruszył dalej, wjeżdżając na bulwar, który prowadził do Metro-Centre. – Musimy tam dojechać, zanim dach odfrunie.

– Chcesz, żebym porozmawiał z Davidem Cruise'em?

– Porozmawiał? Julia Goodwin mówiła, że jest podłączony do respiratora.

– Julia? Ona tam jest?

– Sangster przywiózł ją ze schroniska dla kobiet. Julia zdaje sobie sprawę z tego, że musimy zachować prezentera przy życiu.

– Co w takim razie mam zrobić?

– Przejąć obowiązki Cruise'a. Znasz ekipę produkcyjną, ucieszą się na twój widok. Pisałeś scenariusze, powinieneś więc być wygadany. Przemów do kamery, nakłoń wszystkich do powrotu do domu i uspokojenia się. Powiedz, że cały program klubów sportowych jest ćwiczeniem PRowskim, eksperymentem marketingowym, który nie wyszedł. Powiedz, że się myliliście.

– Ale ja się nie myliłem.

Zostawiliśmy samochód pięćset jardów od centrum. Maxted zaparkował na wysepce i zaczęliśmy kluczyć pomiędzy rzędami samochodów osobowych i autokarów przywożących kibiców do Metro-Centre z całej Doliny Tamizy. Ogromny tłum okupował plac, wpatrując się w kopułę, jakby czekał na jakąś wiadomość. Wszyscy gapili się w ekrany nad Bramą Południową, na których dwóch prezenterów zdawało relację z walki o życie Cruise'a toczonej w sali operacyjnej, urządzonej w oddziale pierwszej pomocy.

Maxted przedzierał się przez tłum widzów, pokazując legitymację lekarską i krzycząc do porządkowych, którzy usiłowali nas odepchnąć. Za nami, na drodze dojazdowej, zapaliły się światła, reflektory punktowe pojazdów policyjnych i wojskowych, przedzierających się wśród samochodów. Transporter opancerzony staranował małą mazdę Maxteda i przewrócił ją na bok. Ciężkie ciężarówki z orurowaniem spychały mniejsze samochody z drogi i odsuwały je brutalnie na pobocze. Oddziały

policjantów w rynsztunku bojowym maszerowały naprzód wśród rozkazów, które dowódca wypowiadał przez megafon.

– Richard! Do dzieła! – Maxted ścisnął moje ramię. – Kieruj się do wejścia.

Tłum ruszył za nami, uparty motłoch spychany przez policję pod centrum. Doszło do bijatyk, gołe pięści przeciwko policyjnym pałkom, które regularnie to unosiły się, to opadały. Młoda kobieta, próbująca obronić męża, padła bez czucia na ziemię. Jej dzieci zaczęły wrzeszczeć, ich głosiki wkrótce zagłuszone zostały przez śmigła helikopterów wojskowych, tnące nocne powietrze. Reflektory omiały burzę pyłu wzbijanego przez prąd powietrza, wyłuskując co bardziej zapalczywych zebranych. Elitarne kluby kibica włączyły się do walki z agresywnymi oddziałami interwencyjnymi policji, łapiącymi ich przywódców. Konie policyjne stawały dęba, ich nogi drżały od razów kijów bejsbolowych. Ostry, cierpki zapach gazu łzawiącego mieszał się ze smrodem wymiocin.

Tłum ustępował, wycofując się pod Bramę Południową. Podtrzymałem starszą kobietę wsłuchującą się w swój telefon komórkowy. Próbowiała mnie odepchnąć łokciem, potem krzyknęła:

– Chcą zamknąć centrum!

Potrząsałem jej kościstym ramieniem.

– Dlaczego? Kto chce je zamknąć?

– Policja! Zamyka centrum!

Wokół mnie podniósł się krzyk, mantra strachu, przekazywana z ust do ust.

– Zamykają centrum! Zamykają centrum!

Teraz krzyczeli już wszyscy. Tłum ruszył w stronę wejścia, szalony prąd, który niósł nas z sobą, pod ekranami, obok stolików punktów pierwszej pomocy, przez drzwi i w jaskrawo oświetloną przystań holu wejściowego. Ludzie potykali się, chwyтали się siebie nawzajem, gubili buty w masowym pędzie, konsumenci powracający do swojego sanktuarium, fortecy i świętego schronienia.

Znów podniósł się krzyk.

– Brońmy centrum!

## 32. Republika Metro-Centre

Umykający przed gazem łzawiącym i pałkami policyjnymi tłum wpadł przez drzwi do holu wejściowego. Reflektory wydawały się podążać za nami, a hałas helikopterów bębnił o dach nad naszymi głowami, mowa cierpienia przedzierająca się z rykiem przez pogodne światło w środku.

Przewróciłem wózek sklepowy i upadłem na kolana, pociągając za sobą czarną kobietę i dwoje dzieci, które trzymały się mojej marynarki. Tony Maxted zniknął, poniesiony przez napływający tłum. Ludzie wchodzili na chodnik ruchomy, szukając bezpieczeństwa w ogromnym wnętrzu Metro – Centre, wymachując kartami stałego klienta do zaskoczonych ekspedientek, które podchodziły do drzwi swoich sklepów.

Wstałem i zauważyłem, że zgubiłem lewy but. Sandały, adidas, pantofle, a nawet kaptcie leżały pośród porzuconych toreb z zakupami. Znalazłem swojego półbuta obok damskiego buta ze złamanym obcasem i przypomniałem sobie dużą kobietę w futrze, która nadepnęła mi na nogę, a potem obrzuciła mnie obelgami.

Po drugiej stronie drzwi szereg żołnierzy z tarczami i pałkami rozpraszał setki gapiów, którzy wysiedli ze swoich samochodów na drodze dojazdowej. Policjanci w rynsztunku bojowym i hełmach odcięli wejście, ignorując kamery telewizyjne ustawione w furgonetkach głównych kanałów informacyjnych.

Jednak to nie był jeszcze koniec walki. Zmobilizowana przez światła ekip telewizyjnych grupa porządkowych i kibiców w koszulkach z krzyżami św. Jerzego zaryglowała drzwi. Zamknęli je na zamki, rozwinęli wąż strażacki i przewlekli jego mosiężny wylot przez uchwyty przy drzwiach.

Policjanci ignorowali te wszystkie poczynania, będąc pewni, że i tak przejdą tę zaporę, jeśli tylko zechcą. Dwóch inspektorów naradzało się, spoglądając na porządkowych montujących barykadę z lad i wystaw sklepowych i wyraźnie nie przejmując się ich poczynaniami. Neutralizując Metro-Centre, policja zażegnała niebezpieczeństwo powstania, a prowodyrzy tej otwartej rebelii w szczęśliwym momencie odizolowali się od swoich stronników pozostających na zewnątrz.

Usiadłszy na krześle przy kontuarze punktu informacyjnego, zdjąłem zakrwawioną skarpetkę i przewiązałem stopę chusteczką. Przyglądałem się porządkowym zbierającym swe drużyny, podziwiając ich z góry skazane na klęskę starania. Wielu klientów, którzy z powodu zamieszek znaleźli

się w pułapce pod kopułą, teraz pomagało budować barykady. Ich oddanie Metro-Centre okazało się czymś więcej niż garścią sloganów. Mieli za złe policji i wojsku interwencję. Helikoptery, które w nieskończoność krążyły ponad dachem, próbowały ich zastraszyć, ale oni postanowili dać im odpór. Wszyscy kibicowali kobiecej drużynie judo, która uniosła budkę z hamburgerami i przeniosła ją przez hol, pozostawiając na posadzce ślad gorącego tłuszczu. Oklaskiwane przez swoich mężczyzn judoczki rozkołysały budkę i rzuciły ją na barykadę. Nawet inspektorzy policji zasalutowali im z uznaniem.

Wstałem, próbując wykaszeleć pył i gaz łzawiący. Z głośników dobiegała wiązanka marszów Straussa, a ekrany informacyjne obwieszczały otwarcie nowego żłobka. Klienci wciąż siedzieli w kawiarnianych ogródkach nad podwójnymi espresso i ciastkami. Ale mimo całej dzielności, Metro-Centre uderzyło w swoją górę lodową. Musiałem znaleźć Julię i pomóc jej w przetransportowaniu Davida Cruise'a do szpitala, zanim zatoniemy.

Na zewnątrz kolumna pojazdów opancerzonych i ciężarówek wojskowych w końcu się zatrzymała. Reflektory punktowe zostały wymierzone w drzwi, zamieniając hol wejściowy w gigantyczną halucynację gwałtownie skręcających cieni. Policjanci sforsowali troje z drzwi i pojawili się na barykadzie, ale na razie nie podjęli próby jej rozebrania. Starszy rangą policjant, zastępca komendanta policji hrabstwa Surrey, zaczął przemawiać przez megafon do patrzącego na niego tłumu; ledwie strzępki jego apelu z trudem przedzierały się przez ryk helikopterów.

– ...od tej nocy Metro-Centre będzie zamknięte z powodu remontu... kierownictwo całkowicie się zgadza... w trosce o klientów... dla własnego bezpieczeństwa wychodźcie w uporządkowany sposób...

Co najmniej pięćset osób stało w tłoku w holu wejściowym i pobliskich alejkach. Personel, kibice, klienci uwięzieni przez zamieszki i przechodnie, którzy w panice szukali schronienia w centrum, zebrali się razem, czekając na rozwój wypadków. Wielu chciało wyjść, ale zachowali milczenie, gdy agresywna mniejszość obrzucała obelgami zastępcę komendanta.

Na jego znak policjanci zaczęli rozbierać barykadę. Najpierw odrzucili na bok budkę z hamburgerami, potykając się i ślizgając na tłuszczu. W tłumie doszło do przepychanek, a dzieci zaczęły piszczeć na widok cieni mocujących się na ścianach holu wejściowego.

– No tak... – Przeniosłem ciężar ciała ze swojej zranionej nogi na drugą, przygotowując się do dołączenia do exodusu. – To już koniec. Koniec małej rewolucji w Dolinie Tamizy...

– Niezupełnie. – Stojący obok mnie starszy człowiek w szarym palcie, z teczką w ręce, uśmiechał się do siebie z rezygnacją. Zauważyłem go za kontuarem punktu informacyjnego i doszedłem do wniosku, że akurat wychodził, kiedy rozpoczęły się zamieszki. – Obawiam się, że tej nocy nie spę dzimy w swoich łóżkach... – Pokazał na znajdujące się obok toalet wejścia służbowe.

Wyszła z nich grupa porządkowych, techników w pomarańczowych kombinezonach i około pięćdziesięciu kibiców w koszulkach z krzyżami św. Jerzego. Przepychali się agresywnie przez tłum, maszerując prawie równym krokiem. Na ich czele szedł Tom Carradine, wciąż w swoim błękitnym mundurze działu PR. Nie był już gorliwym wyznawcą, którego wiarę w centrum handlowe odbierałem jako tak wzruszającą. Wydawał się teraz opanowany, czujny i poważny, niczym torreador stojący przed tępym, ale niebezpiecznym bykiem. Za nim, tworząc jego osobistą ochronę, szli dwaj porządkowi, którzy powalili na ziemię Duncana Christiego, kiedy próbował wcisnąć mi do ręki nabój. Obaj trzymali strzelby, które, jak podejrzewałem, zrabowali z jednego z wielu sklepów z bronią znajdujących się na terenie Metro-Centre. Carradine prawą rękę trzymał uniesioną ponad głowę, ruchami palca wskazującego dając znaki swoim ochroniarzom. Był pewny siebie i nieustraszony, szczęśliwy, że stanął wreszcie przed najwyższym wyzwaniem, jakie go mogło spotkać.

Zaraz za ochroniarzami szedł William Sangster, jego szerokie ramiona kołysały się z boku na bok, głowa pochylona była jak u boksera przed wyjściem na ring. Wodził wzrokiem po tłumie, jakby szukał dawnych uczniów, którzy wciąż chodzili na wagary. Uśmiechał się zmieszany, niepewny siebie i tego, co robi w towarzystwie tych uzbrojonych ludzi.

Rozległ się wystrzał, ostry huk jak trzaśnięcie drzwi. W hali zapadła cisza. Uniesiona strzelba wycelowana była w sufit. Słaby dymek z jej lufy rozpląnął się w dusznym powietrzu. Zastępca komendanta opuścił megafon, a policjanci rozbierający barykadę zamarli, czekając na dalsze rozkazy.

Carradine oddał strzelbę jednemu z ochroniarzy. Zdjął czapkę z daszkiem, uwalniając blond włosy opadające z zaskakująco wysokiego czoła. Wsłuchał się w ciszę, a potem przemówił do mikrofonu, podanego mu przez ochroniarza. Jego głos skażony akcentem miast przy autostradzie zahuczał ponad głowami policjantów i żołnierzy na zewnątrz.

– Metro-Centre jest chronione... Wycofajcie wszystkie oddziały... Powtarzam, Metro-Centre jest chronione... Mamy zakładników... Powtarzam, mamy zakładników...

Dźwięki odbijały się od ścian centrum, bębniąc o dach. Carradine, porządkowi i technicy patrzyli w górę, jakby spodziewali się ocalenia przychodzącego z nieba. Nawet Sangster zadarł głowę.

– Co oni wyprawiają? – powiedziałem cicho do starszego zmęczonego człowieka, który stał obok mnie. – Liczą chyba na cud.

– Mało prawdopodobne... – Próbował złapać zasięg na swojej komórce, w końcu jednak zrezygnował. – Ale jest pan na właściwym tropie.

– A ci zakładnicy? Kim oni są?

– To akurat mogę panu powiedzieć. My nimi jesteśmy...

Tłum jęknął i setki rąk pokazały na sufit wąskiego westybulu przed holem wejściowym. Stalowe drzwi przeciwpożarowe wolno opadały, odcinając barykadę, zastępcę komendanta i jego policjantów.

Głębokie metaliczne dudnienie jak zgrzytanie zębów olbrzyma wypełniło hol, kiedy drzwi przeciwpożarowe sięgnęły podłogi. Rozeszła się wibracja, głęboka poddźwiękowa fala, która wydawała się dobiegać też w mniejszych drzeniach od drzwi wyjściowych centrum, z dalszych placówek ogromnego skarbcza, który odciął się od reszty świata.

Popatrzyłem na ciężką osłonę i pomogłem starszemu mężczyźnie usiąść na krześle przy kontuarze. Podziękował mi i zauważył:

– Pana noga krwawi.

– Wiem. Proszę mi powiedzieć, jesteśmy zamknięci?

– Na to wygląda.

– A Brama Północna?

– Podejrzewam, że też jest zamknięta.

– A boczne wyjścia?

– Wszystko. Parkingi i rampy dostawcze. – Uniósł rękę, by mnie uspokoić, widząc, że jestem zdenerwowany. – Oba wa przed ogniem, rozumie pan. Najmniejszy przeciąg może zamienić mały płomień w palenisko.

– To prawda... – Byłem zaskoczony, jak spokojny się wy dawał, zupełnie jakby wiedział, co się stanie, i nabrał dystansu do tego, zanim jeszcze wszystko się zaczęło. Patrzył z żalem na swoją bezużyteczną komórkę, rezygnując z myśli o skontaktowaniu się ze swoją żoną. Cały czas próbując oszczędzać nogę, zapytałem:

– Pracuje pan tutaj, prawda?

– W księgowości. Na ogół jesteśmy dobrze poinformowani. Pan

Carradine to bardzo zdeterminowany młody czło wiek, ale centra handlowe nie uczą, jak radzić sobie z prze mocą. Istnieje możliwość, że...

– Wojna ogarnie konsumencki świat? Niezła perspekty wa. Aż do teraz bycie pralką było bezpieczne. Wieczorem do kogoś strzelano.

– Do tego aktora telewizyjnego? Bardzo mi przykro. Chy ba lepiej nie wiedzieć, co się naprawdę stało. – Potrzęsnał moją ręką. – Posiedzę tu jeszcze chwilkę. Musi pan znaleźć sobie jakieś miejsce do spania. Jest duży wybór...

Siedział na krześle za kontuarem punktu informacyjnego, siwowłosy sfinks gotów odpowiedzieć na wszelkie pytania, ale ignorowany przez tłum, który przemierzał hol wejściowy, nie mogąc ustalić swojego położenia. Carradine i jego świta zakończyli inspekcję swego nowego terytorium, zapewne niezbyt zainteresowani losem ludzi uwiezionych pod kopułą.

Podszedłem do stalowych drzwi przeciwpożarowych, tak masywnych, że tłumyły wszystkie odgłosy aktywności policji i wojska. W panelu znajdowało się wyjście ewakuacyjne, i przez chwilę kusiło mnie, by do niego pobiec, ale cyfrowe zamki były niemożliwe do sforsowania.

Poza tym tutaj czekał na mnie nowy i o wiele bardziej interesujący świat, niezależne uniwersum skarbów i obietnic. Tłum, który napłynął z powrotem do centrum, skazany był na przyszłość wiecznych zakupów. Republika Metro-Centre w końcu została proklamowana; wierni uwiezieni we własnej świątyni.

## CZEŚĆ TRZECIA

### 33. Konsumenckie życie

Za godzinę miałem opuścić centrum. Po raz ostatni przemierzyłem opustoszały taras Holiday Inn i wyszedłem na plażę przy sztucznym jeziorze. W holu hotelu ostatnia grupa zakładników, która miała zostać wypuszczona, wymeldowała się i przygotowywała do przejścia do Bramy Południowej. Prowadzeni przez porządkowych, powłóczyli nogami, niektórzy zbyt słabi, żeby iść. Pomachałem do nich, próbując im przypomnieć, że za kilka minut będą oddychać świeżym powietrzem, ale żadne z nich mnie nie zauważyło. Były wśród nich zmęczone matki z niespokojnymi nastoletnimi córkami, żony prowadzące starszych mężów, blady pracownik McDonalda, którego doktor Maxted próbował wyleczyć z hysterii, i młoda para ledwo radząca sobie z gorączką wywołaną pićm zanieczyszczonej wody.

Julia Goodwin wybrała ich poprzedniego wieczoru spośród pięciuset zakładników, którzy pozostali jeszcze w centrum. Twierdziła, że stanowią zagrożenie chorobotwórcze i koniecznie trzeba ich jak najszybciej uwolnić. Kiedy przekazałem listę z nazwiskami Tomowi Carradine'owi, natychmiast zakwestionował wybór Julii. Fanatycznie broniący Metro-Centre – i, według Maxteda, wykazujący pierwsze kliniczne objawy paranoi – były kierownik działu PR siedział na swoim krześle charakteryzatorskim w studiu na półpiętrze, stukając w kartkę papieru pędzelkiem do brwi. Wiele godzin zajęły mu przygotowania do pojawienia się na ekranie, ale na razie odłożył swój debiut, czekając na lepszy moment. Przypuszczałem, że gdzieś głęboko w umysłach wszystkich PRowców tkwiło przekonanie, że kiedy pojawią się na żywo w telewizji, zdarzy się cud. Morze się rozstąpi, a niebo spadnie.

Carradine wpatrywał się podejrzliwie w listę, szukając jakiejś zaszyfrowanej wiadomości dla policji i dziennikarzy czekających za kordonem bezpieczeństwa wokół kopuły. W końcu poddał się, uciszając Julię, która obrazowo opisywała symptomy duru brzuszego i plamistego. Odsunął się od zmęczonej lekarki z zapaleniem rogówki, objawem wszystkich chorób, przed którymi ostrzegali policyjni negocjatorzy, i podpisał listę jednym z kilkunastu piór Montblanc.

Wiedział, że Julia, przynajmniej na razie, ma kartę atutową. Poważnie ranny David Cruise leżał na jej prowizorycznym oddziale intensywnej terapii, utrzymując się przy życiu tylko dzięki sile woli, ponieważ jego ciało postanowiło dać już sobie spokój. Kiedy jednak ta karta zostanie

wykorzystana, a respiratory i przyrządy do transfuzji odłączone, Julia Goodwin straci swoją władzę. Ona i ja dołączymy do zakładników przetrzymywanych w mrocznych piwnicach Holiday Inn.

W tym momencie rozpocznie się prawdziwa walka o centrum, ponieważ Carradine i jego pomocnicy umocnią swoją władzę. Mikrorepublika przekształci się w mikromonarchię, a zgromadzone tu produkty staną się jak najbardziej prawdziwymi poddanymi Carradine'a.

Stałem na piasku, patrząc na oleistą powierzchnię basenu. Zakładnicy oddalali się, powłócząc nogami. Porządkowi wciąż widzieli we mnie doradcę medialnego Cruise'a i w mojej obecności starali się nie obrzucać ich wyzwiskami. Zakładnicy milczeli, tylko balkonik do rehabilitacji chorych zgrzytał na marmurowej posadzce. Za godzinę przejdą przez wyjście ewakuacyjne i staną przed kamerami telewizyjnymi. W zamian policja dostarczy przenośny klimatyzator, który ochłodzi oddział intensywnej terapii.

Wymknę się z nimi również ja, ponieważ Julia w ostatniej chwili dopisała moje nazwisko do listy. Chciałem z nią zostać, pomóc jej w cięższych pracach w tymczasowej klinice, którą utworzyła na oddziale pierwszej pomocy. Ale martwiła ją infekcja mojej kostki, która oparła się wszystkim antybiotykom, jakie tylko były dostępne w trzydziestu aptekach Metro-Centre. Sen z powiek spędzała jej również większa infekcja, która zaczęła nas wszystkich dotykać: pogłębiająca się apatia, utrata siły woli i poczucia czasu. Skarbiec produktów konsumpcyjnych, w którym się znajdowaliśmy, zdawał się definiować to, kim jesteśmy.

Pokuśtykałem po piasku do leżaka ustawionego na brzegu. Odpoczywałem tam każdego wieczoru, kiedy wyciszano w końcu odtwarzane z taśmy komentarze sportowe Davida Cruise'a, opisy dawno zapomnianych meczów, przekazywane przez wszechobecny system nagłaśniający. Potem światła gaszono i w Metro-Centre zapadał błogi spokój.

Siedziałem na chybotliwym leżaku i piłem jak najwięcej whisky, by uśmierzyć ból w spuchniętej kostce. Cisza stawała się coraz bardziej kojąca, jednak w końcu pojawiały się nocne patrole. Ich członkowie przeklinali i głośno tupali buciorami, kręcąc się po całym centrum i oświetlając latarkami puste sklepy i kafejki w poszukiwaniu intruzów. Ten sztuczny mrok trwał aż do rana. Podczas długich godzin nocnych duchy Metro-Centre, tysiące kamer oraz urządzeń kuchennych i kompletów sztućców, zaczynały wyłaniać się z ciemności niczym zebrani razem

wierni.

Sięgnąłem po pustą puszkę po piwie, która stąta u moich stóp, i wrzuciłem ją do pobliskiego kosza na śmieci. Plaża wokół mnie była zaśmiecona butelkami i pustymi kartonami po jedzeniu. Woda nigdy się nie poruszała, ale kozuch petów i plastikowych opakowań utworzył linię zasięgu wód przyływu. Przynajmniej na chwilę konsumpcjonizm został wyrzucony na brudny brzeg. Za kilka godzin, po tym, gdy policja mnie przesłucha, a lekarze potwierdzą, że nie mam już infekcji, wrócę do mieszkania ojca.

Już po pięciu dniach centrum znajdowało się w pożałowania godnym stanie. Po ochłonięciu po zwycięstwie Carradine i jego porządkowi odkryli, że zamknęli się tu z prawie trzema tysiącami ludzi – na liczbę tę składało się kilkuset kibiców i pracowników Metro-Centre, robiących wszystko, co w ich mocy, by bronić centrum przed wszelkimi przybyszami, oraz klienci uwięzieni tu przez zamieszki i demonstranci, którzy uciekli przed policyjnymi pałkami. Gdy tylko niebezpieczeństwo minęło, prawie wszyscy zapragnęli stąd wyjść.

Tom Carradine stanął na wysokości zadania. Trzeba przyznać, że ten sympatyczny PRowiec, gdy przyszło co do czego, pokazał pazur. Sprytnie wykorzystał obecność w centrum dwustu małych dzieci, głodnych i rozczochranych, odłączonych od ulubionych gier komputerowych i zbyt przerażonych, by spać w ramionach swoich wyczerpanych matek. O północy pierwszego dnia oblężenia, kiedy oddział szturmowy zjechał na linie z helikoptera na dach centrum, Carradine uwolnił przerażoną matkę, która dostała ataku serca. Jej noszom wyniesionym przez wyjście bezpieczeństwa w drzwiach przeciwpożarowych Bramy Południowej towarzyszyło dwóch płaczących osesków uczeponych rąk Julii Goodwin.

Wyczerpana, choć wciąż atrakcyjna lekarka zrobiła ogromne wrażenie, ukazując się na ekranach telewizyjnych w całym kraju. Widziałem ją w swoim telewizorze w Holiday Inn. Julia ostrzegła policyjnych negocjatorów, że każda próba dostania się do środka pochłonie dziesiątki ofiar i że wiele dzieci może zginąć podczas wymiany ognia między porządkowymi a snajperami wojskowymi. Potem z własnej woli wróciła do centrum i do opieki nad Davidem Cruise'em, wymógłszy jednak na policji obietnicę, że z Brooklands Hospital dostarczone zostanie kompletne wyposażenie oddziału intensywnej terapii. Tajemnicą poliszynela było, że Carradine odmówił uwolnienia Cruise'a, który stał się jego Zakładnikiem Numer Jeden. Policjanci nie próbowali już jednak wtargnąć do Metro-Centre.

Bezpieczni za drzwiami przeciwpożarowymi, z własnym generatorem mocy i nieskończonymi zapasami żywności, napojów i zakładników Carradine i porządkowi nabrali pewności siebie. A wtedy przedstawili żądania: wszystkie groźby zamknięcia centrum mają zostać wycofane, żaden z jego obrońców nie będzie postawiony w stan oskarżenia, Metro-Centre zostanie ponownie otwarte, a kluby kibica i drużyny sportowe wznowią działalność. Nieszczęsny dyrektor centrum handlowego, otoczony skulonymi ze strachu kierownikami działów, został zaprowadzony do studia na półpiętrze, gdzie zadeklarował, że jest gotów do rozpoczęcia handlu.

Oczywiście Ministerstwo Spraw Wewnętrznych odmówiło negocjacji, ale do tego czasu ogromna liczba dziennikarzy otaczała już centrum. Za drogą dojazdową, gdzie policja ustawiła swój kordon, koczowały dziesiątki ekip telewizyjnych, śledzących każdy krok stróżów prawa. Kibice z miast przy autostradzie wypełniali ulice Brooklands, demonstrując swoją solidarność z zamkniętymi. Komentatorzy opisywali przejęcie centrum jako powstanie ludowe, walkę konsumentów ze stołecznymi elitami, które nienawidzą wielkich sklepów. Ludzie z centrów bronili prawdziwej Brytanii sklepów Homepage, giełd rzeczy używanych i centrów ogrodniczych, amatorskich klubów sportowych i koszulek z krzyżami św. Jerzego.

Carradine i jego porządkowi wszystko to skrupulatnie wykorzystywali. Na szczęście zakładnicy szybko zrozumieli, że ich życie nie znajduje się w niebezpieczeństwie. Dwadzieścia supermarketów Metro-Centre było wypełnionych po brzegi owocami i warzywami, świeżym mięsem i drobiem, pizzami i gotowymi daniami mrożonymi. Lady chłodnicze zawierały istną górę lodów. Na półkach w zasięgu ręki było wystarczająco dużo alkoholu, żeby wypłynąć kopułą na Morze Północne.

Choć ani mnie, ani Tony'emu Maxtedowi nie mieściło się to w głowie, prawie nie odnotowywano przypadków szabrownictwa. Ani jedna restauracja czy kawiarnia nie funkcjonowała, jednak tłumy uwięzione w centrum już kilka godzin po jego zamknięciu karnie stawiały się w supermarketach. Kasy nie działały, lecz klienci płacili za swoje zakupy, wrzucając pieniądze do puszek. Wszyscy wiedzieli, że Metro-Centre utrzyma ich przy życiu. Alejki i hale supermarketów były ich prawdziwym domem. A swojego domu się nie okrada.

Potem porządkowi zaprowadzili wszystkich do hoteli i pokojów odpoczynku dla pracowników centrum oraz do działów z meblami i łóżkami w dużych sklepach. Spędziłem tę noc w pokoju dwuosobowym na

trzecim piętrze Holiday Inn z Tonym Maxtedem. Spaliśmy w ubraniach, z zasłoniętymi oknami, by odciąć się od nieustających nocnych hałasów policji i wojska oraz reflektorów omiatających półprzezroczystą powłokę centrum.

Maxted spał niespokojnie, prawiać mi kazania przez sen. Pokój był duszny, a rury w łazience gwizdały i piszczały, kiedy ciśnienie spadło. Następnego ranka, gdy wyszedłem na balkon, było gorąco jak w tropikach.

Zarówno Maxted, jak i ja uważaliśmy, że oblężenie zakończy się tego dnia. Ale ani Carradine ani MSW nie byli skłonni do kompromisu. Zmęczony tłum cały ranek czekał w holu wejściowym, kłócąc się z porządkowymi, którzy pilnowali drzwi przeciwpożarowych. Inni oddalili się ze swoimi marudnymi dziećmi, które nie miały ochoty na czwartego loda. Siedzieli przy kawiarnianych stolikach w atrium jak pasażerowie opuszczeni przez linie lotnicze. Spacerowałem pośród nich, kiedy spoglądali na tarcze zegarków, zapewniając się nawzajem, że za godzinę będą w domu.

Carradine i jego porządkowi mieli jednak co innego w głowie. Uświadomili sobie, że jeśli przeżyją ten pierwszy, początkowy okres po przejęciu centrum, kryzys minie, a ich władza się umocni. Społeczeństwo i MSW przestaną się niepokoić przyszłością Metro-Centre, a zaczną – losami zakładników. Technicy pracowali ciężko nad zasilaniem centrum, zapewniając najbardziej efektywne zużycie rezerw mocy. Carradine rozkazał wyłączyć światła. Wiele sklepów zdawało się wycofywać do wewnętrznej ciemności, co stanowiło dość niepokojącą transformację. Kiedy ludzie chodzili nieoświetlonymi alejkami, szukając otwieraczy do konserw i chusteczek odświeżających, odnosiło się wrażenie, że zbliża się atak z powietrza. Wszedłszy do jednego z większych sklepów żelaznych, przechodziłem po omacku obok lad, otoczony setkami noży, pił i dłut. Ich ostrza tworzyły w ciemności srebrny las. Świat, który czekał na swoją chwilę, jawił się o wiele bardziej pierwotnym.

Późnym popołudniem następnego dnia wszyscy uświadomili sobie, że czeka ich kolejna noc w centrum i że są teraz zakładnikami. Podczas gdy policyjni negocjatorzy stracili do reszty cierpliwość, Carradine wykonał sprytne posunięcie. Doradzał mu Sangster, którego wielka i powłócząca nogami postać o dziecięcej twarzy nie odstępowała młodego kierownika na krok. Przypominał ambitnego agenta obiecującego boksera wagi piórkowej. Tony Maxted podziwiał zaangażowanie dyrektora szkoły.

– Wszystkiego przypilnuje, uspokoi gorące głowy – zapewniał mnie, ale ja słyszałem tę śpiewkę już dawno temu. Wyczuwałem, że Sangster

uważa przejęcie Metro-Centre za ciekawy eksperyment socjologiczny i wcale mu się nie spieszy do jego zakończenia.

Kiedy helikoptery znowu zaczęły odbywać swoje męczące patrole nad kopułą, Carradine zwołał zebranie w holu wejściowym przy Bramie Południowej. Zgodnie z sugestią Sangstera zawiadomił policyjnych negocjatorów, że każdego z kolejnych trzech dni będzie uwalniał pięciuset zakładników, nie żądając nic w zamian.

Kryzys został zażegnany. Policja opóźniła inwazję na centrum. Została zmuszona do czekania, aż ostatni zakładnicy wyjdą na wolność. Buntownicy tym samym pozbyli się w dużej mierze problemu braku bezpieczeństwa, zmniejszyli drenaż zapasów i dali nadzieję na kolejne uwolnienia i pokojowe zakończenie oblężenia.

O siódmej wieczorem pierwsza grupa zakładników wyszła z centrum w światłach reflektorów i lamp błyskowych. Byli to w głównej mierze starsi klienci, matki z dziećmi i kilkudziesięciu nastoletnich „szczurów z supermarketu”. Wszyscy zostali przewiezieni autobusem do Brooklands Hospital, a potem wrócili do rodzin. Ci, którzy pozostali, wybrali się do sklepów, by kupić coś na kolację, po czym udali się do dusznych pokoi hotelowych, tak wyczerpani, że bez problemu zasnęli w huku helikopterów i światłach reflektorów.

W tym wszystkim zapomniano o człowieku, na którego zamach wywołał to powstanie. David Cruise wciąż leżał w sali na tyłach oddziału pierwszej pomocy, pielęgnowany przez (ulię Goodwin oraz dwie pielęgniarki, które zgłosiły się na ochotnika, by jej pomóc. Ledwie świadomy i niemogący mówić, unosił się w medycznej strefie nicości złożonej z rurek, kroplówek i respiratorów, pozornie zapomniana najważniejsza osoba w centrum. Mimo próśb Julii Carradine nie chciał go wypuścić, twierdząc, że niedługo wyzdrowieje i przejmie dowództwo nad rewoltą.

Tymczasem policja zaaresztowała ludzi, którzy do niego strzelali, dwóch bośniackich braci, których warsztat naprawy motocykli został podpalony przez pseudokibiców. Zgłosili się na komisariat policji, przyznali do popełnienia przestępstwa i oddali broń, którą przeszmyglowali na jedno z pięter nad studiem telewizyjnym. Nikt nie musiał pytać o ich motywacje, ale jakiegokolwiek by nie były, najwyraźniej pasowały do przestępstwa.

###

Siedząc na leżaku na plaży, dopiłem butelkę whisky. Byłem pijany, ale równocześnie czułem się trzeźwy, jak ktoś uwięziony na rollercoasterze. Musiałem iść do Bramy Południowej i ukryć się pomiędzy zakładnikami, którzy mieli zostać uwolnieni w ciągu następných trzydziestu minut. W umyśle oddzieliłem się od swojej spuchniętej stopy, jakby boląca rana była męczącym krewnym, który za mną chodził. Jednocześnie nie chciałem opuszczać Metro-Centre, choć trudno było znaleźć powód, by zostać. Ale czy go potrzebowałem?

Wygodnie ułożyłem się na leżaku, zbierając siły na krótki spacer. Nade mną rozciągały się wyższe poziomy centrum handlowego, tarasy wędnących palm i roślin doniczkowych, ogród botaniczny biegnący aż po samo niebo. Teraz, kiedy windy i schody ruchome nie działały, prawie nikt nie wchodził na siódme piętro, na którym nasycone powietrze wydawało się zmieniać w ciężką mgłę.

Jednak w tej chwili ktoś patrzył na mnie zza barierki na siódmym piętrze, częściowo ukryty za żółknącymi liśćmi juki. Wpatrujący się we mnie mężczyzna nie zdradzał najmniejszych oznak zainteresowania tym, co działo się na najniższym poziomie centrum, zakładnikami oglądającymi wystawy lub siedzącymi w ogródkach kawiarnianych i czytającymi gazety sprzed tygodnia.

Podniosłem się z leżaka, wiedząc, że stanowią wyraźny cel na tej swojej prywatnej plaży. Czy intruz był snajperem policyjnym, przeschmuglowanym do centrum przez system klimatyzacji i rur ściekowych z listą prominentów do odstrzału? Mężczyzna, który mnie obserwował, miał broń. Czarna lufa wyglądała spod jego skórzanej kurtki. Jednak w odróżnieniu od policjantów z oddziałów specjalnych nie nosił hełmu.

Widząc, że go zauważyłem, wychylił się przez barierkę. Ujrzałem jego twarz, ostrą jak ostrze siekiery, i czoło zmarszczone od chaotycznych myśli. Błada skóra pokrywała wystające kości, naprawdę posiniaczona, a nie pokryta farbą do kamuflażu.

– Christie?... Co my, do diabła, wyprawiamy?

Wstałem, mamrocząc pod nosem. Mężczyzna zrobił krok do tyłu. Na kilka sekund zniknął za juką, a potem pojawił się ponownie z uniesionymi rękami.

– Christie! – Mój głos zdawał się marszczyć tafłę wody przy plaży. – Schodź tutaj, człowieku... Mają cię jak na dłoni!

Kiedy kuśtykałem obok leżaka, przewracając go w końcu na piasek, mężczyzna rzucił coś w moim kierunku. Przedmiot poszybował w

mglistym powietrzu, po czym wylądował dziesięć stóp ode mnie. Brązowy i błyszczący leżał na brudnym piachu.

Próbując stanąć pewniej, poczułem nagle na ramionach silne dłonie porządkowego.

– Panie Pearson? – Był to jeden z krzepkich ciężarowców, którzy mieli mieć na mnie oko. Siedział na tarasie baru, kiedy usłyszał mój krzyk. – Jest pan ranny?

– Nie trafił. Tam jest.

– Nie słyszałem strzału. Wejźmy do środka.

– Do środka? Przecież cały czas jesteśmy w środku, prawda? – Rozmyślałem nad tym, kiedy prowadził mnie w stronę schodów. Straciłem szansę na to, by dołączyć do grupy uwalnianych zakładników, ale przynajmniej zobaczyłem przedmiot leżący na plaży.

Zanim ciężka stopa porządkowego wgniotła go w piach, udało mi się go rozpoznać. Był to taki sam nabój jak ten, który Duncan Christie wcisnął w moją dłoń przed Metro-Centre.

### 34. Praca czyni wolnym

Wmawiałem sobie, że bardzo mało się zmieniło, ale tak naprawdę nic nie było takie samo. Pod koniec drugiego tygodnia wciąż wydawało się nam, że wkrótce zostaniemy uwolnieni. Tego ranka pozostali zakładnicy wyszli z hoteli, zaspani i rozczocharani. Wyglądali, jakby pobili się ze swoimi snami. W najbliższym supermarkecie ściągnęli z półek napoje i słodycze na śniadanie, umyli się w litrze wody perrier, a potem zebrali w holu wejściowym, niczym ofiary odwiecznego strajku bagażowych.

Do tej pory zostało wypuszczonych prawie dwa tysiące zakładników. Ci, którzy pozostali, wiedzieli, że ich wartość gwałtownie wzrosła. Obecnie ledwo dwanaście osób uwalniano każdego dnia, a Julia Goodwin już nie zawracała sobie głowy osobistym przekazywaniem listy Carradine'owi. Straciła też nadzieję, jeśli chodziło o mnie, i tylko kręciła ze znużeniem głową za każdym razem, gdy się pojawiałem i pytałem o zdrowie Davida Cruise'a. „Lepiej zapytaj o własne”, zdawał się mówić jej zmęczony, ale pełen potępienia wzrok.

Z poczucia obowiązku pokuśtykałem do Bramy Południowej i dołączyłem do zakładników cierpliwie ustawiających się w kolejce. Zmęczona czekaniem grupa rodziców ze starszymi dziećmi próbowała siłą przedrzeć się przez kordon porządkowych pilnujących drzwi przeciwpożarowych. Zagrzewani do walki okrzykami zgromadzonych odrzucili na boki bramki ochronne i zażądali uwolnienia.

Reakcja była gwałtowna i natychmiastowa. Porządkowi wyciągnęli pałki i dali odpór rodzicom. Dwóch mężczyzn odniosło rany głowy. Wszyscy w holu wejściowym zamilkli. Zza parawanu swoich oprychów Sangster obserwował to wszystko ze zrezygnowanym, ale zarazem pełnym zrozumienia uśmiechem.

Chciałem z nim porozmawiać, ale czułem się w jego towarzystwie niezręcznie. Zaczął się kołysać z boku na bok jak czwarty miś w atrium, w rytm muzyki, która rozbrzmiewała mu w głowie. Jego rola była niepokojąco niejednoznaczna. Niepostrzeżenie przedzierzgnął się z zakładnika w prowodyra.

Po tej brutalnej odpowiedzi porządkowych wszyscy patrzyli w milczeniu na miejsce przepychanki. Krwawe ślady znaczyły posadzkę. Sangster zrobił krok do przodu i zaczął im się przyglądać w dziwnie obsesyjny sposób, jak antropolog badający malunki wykonane stopami przez prymitywne plemię. Otrząsnął się z zadumy i przyniósł z

pomieszczenia służbowego mopa i wiadro. Obserwowany przez tłum wytarł ślady, wycisnął zakrwawione frędzle, po czym raz jeszcze przejechał nimi po posadzce, aż zaczęła lśnić. Zakładnicy przeglądali się w niej z obojętnością, ale pozostali milczący.

Nie powiedziałem Sangsterowi ani Tony'emu Maxtedowi o tym, że widziałem Duncana Christiego, postanawiając, że zachowam to dla siebie. Nabój rzucony na plażę, taki sam jak ten, który wcisnął mi w dłoń, był jego sposobem na to, by przypomnieć mi, że to Metro-Centre zabiło mojego ojca. Przyglądałem się górnym galeriom, ale Christie zniknął we mgle, która oddzielała siódme piętro od nieba.

Plotki rozchodziły się po Metro-Centre jak zjawy, które poruszały się za dnia. Zdrzemnąłem się jakąś godzinę, siedząc za kontuarem punktu informacyjnego. Kiedy się obudziłem, usłyszałem, jak zakładnicy mówią, że David Cruise odzyskał świadomość. Zdjął maskę tlenową i oświadczył kilku świadkom, że pragnie bronić Metro-Centre i wrócić na swoje miejsce w społeczności M25.

Uznałem to za niemal historyczną fantazję, ale Tom Carradine potwierdził dobre nowiny przez megafon. Był pewny siebie i charyzmatyczny w swoim świeżo wyprasowanym mundurze, ale mówił podejrzanie jasno i płynnie, zupełnie jakby wspomagał się amfetaminą, i patrzył jasnym wzrokiem na wyczerpanych zakładników. W każdym razie ogłosił, że uczci te dobre wieści, wypuszczając kolejną pięćdziesiątkę. Jego decyzja została przekazana policyjnym negocjatorom, znajdującym się na swoim stanowisku za drzwiami przeciwpożarowymi, i zdominowała wiadomości południowe w telewizji.

Wszyscy ustawili się w kolejce, starając się wyglądać jak najgorzej, kiedy Carradine i Sangster dokonywali selekcji. Rodzice robili wszystko, by zirytować swoje już i tak marudne nastoletnie pociechy, żony zachęcały mężów, którzy byli w średnim wieku, by się ślinili i mamrotali. Większość z nas była zbyt zmęczona, by udawać wyczerpanie, ale i tak Sangster wybrał tylko wdowę, która oberwała palką i wykazywała objawy łagodnego wstrząśnienia mózgu.

Gros zakładników pogodziło się ze swym losem. Tylko grupa bogatych Pakistańczyków była przekonana, że została umyślnie pominięta. Otoczyła Carradine'a w wybuchu oburzenia, krzycząc i popychając go. Sangster szybko dał sygnał porządkowym, którzy siłą odsunęli gestykulujących i skopali ich torby z zakupami. Towary wysypały się na posadzkę. Wśród gwizdów podnieśli jedwabną, drogą bieliznę, po czym podeptali ją. Starszy prawnik, głowa rodziny, wściekł się, rzucając wyzwiska pod

adresem Carradine'a i przypadkowo splunął na jego koszulę. Kiedy opuszczałem to miejsce, porządkowi właśnie wyciągali pałki.

Nienawidziłem brutalności. Pokuśtykałem na oddział pierwszej pomocy, mając nadzieję, że zobaczę Julię Goodwin. Jednak porządkowi chroniący Davida Cruise'a tym razem mnie nie wpuścili. Usiadłem więc na podium przed misiami. Pół godziny później usłyszałem szcęk otwieranych drzwi bezpieczeństwa. To ostatni z wyznaczonych wychodził chwiejnym krokiem na wolność.

Teraz pozostało około trzystu zakładników i tyle samo buntowników. Ci ostatni byli fanatykami, którzy porzucili wszystko – domy, rodziny, pracę i samochody – żeby bronić Metro-Centre.

Mimo ich wysiłków warunki w centrum wciąż się pogarszały. Bez silnych klimatyzatorów temperatura wciąż rosła. Podłogi supermarketów stały się śliskie od rozpuszczonych lodów, wypływających z lad chłodniczych, a z lodówek z mięsem zaczął wydobywać się smród. Ciśnienie wody było zbyt niskie, by zapęłnić rezerwuary toalet i swojski zapaszek otaczał hotel Ramada Inn, w którym więziono dyrektora centrum i jego kierownictwo. Metro-Centre, które kiedyś pławiło się w chłodnym i aromatycznym powietrzu, teraz zmieniało się w gigantyczny chlew.

O drugiej, kiedy zakładnicy udali się na poszukiwania lunchu, okazało się, że wszystkie supermarkety zostały zamknięte. Podglądali przez drzwi, grzechotali łańcuchami i kłódkami, aż system nagłaśniający nakazał im się zebrać w atrium. Trzydzieści minut później pojawił się Carradine. Zszedł po schodach z półpiętra i poinformował zebranych, że lunch zostaje wykreślony z menu aż do czasu, gdy sprzątną supermarkety, doprowadzając je do dawnego nienaganego stanu. Odwołał się do ich poczucia dumy z Metro-Centre i stwierdził, że powinni spłacić dług zaciągnięty w centrum, które zmieniło ich życie. Zakładnicy zostali podzieleni na dziesięć ekip. Każda z nich miała się zająć jednym supermarketem.

Carradine patrzył triumfalnie na ponure twarze i słuchał Sangstera szepczącego mu do ucha. Potem ogłosił, że ekipy wezmą udział w zawodach. Zespół, który najlepiej posprząta i pozbędzie się śmieci w ciągu przyszłego tygodnia, będzie mógł opuścić centrum.

Kiedy zakładnicy rozchodzili się, aby stanąć w kolejkach po mopy i wiadra, podszedłem do Sangstera, który cały czas uśmiechał się przebiegle pod wąsem.

– Richard? Dobrze, że cię widzę... – Otoczył ręką moje ramię. – Świetny pomysł, nie sądzisz?

- „Praca czyni wolnym”?
  - Kto to powiedział? To święta prawda. Podtrzymuje wołę rywalizacji i daje im motywację do życia. Równocześnie wyplenia twardsze jednostki.
  - Tych, którzy mogą przysparzać kłopotów?
  - Nie możemy przegrać. Chory zakładnik jest dużo bar dziej wartościowy niż zdrowy i silny. Nie martw się, dopilnuję, żebyś nie musiał sprzątać.
  - Jestem wdzięczny. Dobrze mieć przyjaciela na górze. Szczerze mówiąc, ledwo chodzę.
  - Z powodu stopy? – Sangster zmarszczył brwi, patrząc na mój poplamiony krwią bandaż. – Możemy ci znaleźć jakąś siedzącą pracę. Może wyżymanie mopów? Czy to ma podłoże psychosomatyczne?
  - Nie pomyślałem o tym. Zapytam Tony'ego Maxteda.
  - Właśnie tak bym zrobił na twoim miejscu. – Sangster popatrzył na mnie poważnie, a potem uśmiechnął się. – Chcesz tu zostać. Wiesz to.
  - Nieprawda.
  - Pewnie, że chcesz. To miejsce to twój... duchowy eden. Wszystko, w co wierzysz.
  - Nigdy w życiu. Powiedz, kiedy skończy się to obłęzenie?
  - Poczekamy, zobaczymy. – Wydawał się niemal radosny, myśląc o tej dalekiej perspektywie. – Właśnie dlatego to jest takie interesujące. Nie chodzi o Metro-Centre, chodzi o dzi siejszą Anglię. A teraz wracaj do swojego pokoju i odpocznij. Jesteś zbyt wartościowy, żeby być chory. Kiedy David Cruise się obudzi, musisz go podnieść na duchu.
  - A obudzi się?
- Sangster odwrócił się, żeby mi pomachać.
- Mam nadzieję...

Patrzyłem, jak zakładnicy, powłócząc nogami, oddalają się do miejsc pracy z entuzjazmem pacjentów, którym kazano sprzątać szpital. Wszyscy byli zdyscyplinowani i w bojowych nastrojach. Pudełka zbutwiałej pizzy, ławice gnijących paluszków rybnych, tysiące kartonów skwaśniałego mleka ściągano z półek i wywożono do śmietników w podziemiach. Carradine i Sangster wprowadzili surowy system racjonowania żywności i wszyscy staliśmy w kolejkach po nasze skromne posiłki składające się z wołowiny w puszcze, sardynek i fasoli w sosie pomidorowym.

Trwały negocjacje z policją, która się niecierpliwiła, jako że uwalnianie zakładników przebiegało w wolniejszym tempie, niż się spodziewano.

Jednak brak aktów przemocy sprawił, że postanowiła czekać. Atak na szeroką skalę zabiłby dziesiątki więzionych ludzi, a poza tym Metro-Centre stanowiło raj dla snajperów. Nie mówiąc już o tym, że uliczne bitwy rozgrywane na każdym piętrze spowodowałyby wielomilionowe straty.

Kilku zakładników, ostatni spośród chorych i starszych, zostało wypuszczonych. Na przenośnym radiu, które podarował mi Maxted, żeby podnieść mnie na duchu, słuchałem ich relacji. Wszyscy zostali zrewidowani. Policjanci szukali kradzionej biżuterii, zegarków i aparatów fotograficznych, ale od początku oblężenia nic przy nikim nie znaleźli. Nikt nie wsunął nawet pióra czy złotego łańcuszka do kieszeni. Psychologowie nie posiadali się ze zdumienia. Kiedy chodziłem po dużym imperium meblowym niedaleko Holiday Inn, przyszło mi do głowy prawdopodobne wytłumaczenie tego faktu.

Szukając mimochodem bardziej wygodnego materaca niż moja przesiąknięta potem koja w hotelu, stanąłem w wejściu do sklepu. Lampki kontrolne świeciły na świeżo wywoskowaną podłogę. Ekipa sprzątająca przeszła przez pierwszą kondygnację centrum i cierpki zapach pasty zawisł w zastygłym powietrzu, przygotowując mnie nieomal o zawrót głowy. Zamiatając tę świątynię konsumpcjonizmu, myjąc, woskując i polerując, daliśmy do zrozumienia, że jesteśmy gotowi służyć tym niekonsekwentnym ołtarzom. Każdy sklep w Metro-Centre był skarbcem totemów. Zaakceptowaliśmy dyscyplinę, którą wprowadzały urządzenia AGD i armatury. Chcieliśmy być jak te artykuły trwałego użytku, a one z kolei chciały, żebyśmy im dorównywali. Pod wieloma względami chcieliśmy być jak one...

Woda obmywała mi stopy, chłodzący strumień, który wyciągał gorączkę z moich kości. Bliski zaśnięcia w swoim leżaku nad basenem słuchałem, jak zmarszczki na wodzie uderzają o piasek. Skądś dobiegał rytmiczny pomruk głębokiej wody, te same fale, którym dawał się nieść mój ojciec, okrążając glob.

Nogi leżaka zatopiły się w mokrym piasku, przechylając mnie do przodu. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że woda opłukuje mi kostki. Sztuczne jezioro ożyło, toczyło się w stronę brzegu.

Ktoś włączył maszynę do robienia fal. Wstałem, kiedy ciemna woda splukiwała moje pokryte olejem stopy. Przed Holiday Inn stało dwóch mechaników, grzebiąc w skrzynce bezpiecznikowej, która odpowiadała za światła wokół dachu i tarasu. Pręty gołych neonówek rozblyskiwały i

gasły. Generator awaryjny miał kłopoty z dostarczaniem energii. Grzebiąc w bezpiecznikach, mechanicy włączyli maszynę do fal. Obudzona w swojej podwodnej krypcie poruszyła się, sprawiając, że potężna fala przelała się po jeziorze.

Wróciłem na suchy piasek. Woda obmywała puszki po piwie i paczki po papierosach, cofając się, kiedy prąd zasysał ją w głębię. Silniejsza fala przyniosła czasopisma i przemoczone siano, które – jak zgadywałem – pochodziło z poduszki w restauracji, całymi tygodniami więzionej pod maszyną do robienia fał.

Nierówny pakunek, owinięty niedbale sznurkiem i taśmą płynął w moim kierunku i w końcu uderzył w leżak. Kiedy zrobiłem krok do przodu, żeby go kopnąć do wody, prąd przewrócił go na bok. Figura o ludzkich rysach leżała zawinięta w niewielki dywan. Być może była to rzeźba, którą jeden z zakładników próbował schować przed opuszczeniem Metro-Centre.

Fala obmyła rzeźbę, zmywając warstwę smaru i brudu. Wpatrywały się we mnie nieruchome oczy. Rozpoznałem pobielającą twarz pakistańskiego prawnika, który kłócił się z Carradine'em.

Mechanicy wyłączyli prąd. Ostatnia fala przetoczyła się po plaży, piana syczała wśród puszek po piwie. Woda z cichym westchnieniem zabrała ciało i poniosła je w stronę ciemniejszej powierzchni jeziora.

### 35. Normalność

David Cruise umierał wśród pluszowych słoników i kangurów, otoczony wesołą tapetą i plastikowymi zabawkami, mając widok na studio telewizyjne, które go stworzyło.

Oddział pierwszej pomocy Metro-Centre, obecnie oddział intensywnej terapii, zajmował kilka sal poniżej studia na półpiętrze i zazwyczaj odwiedzały go małe dzieci, które podrapały sobie kolana, lub emeryci z krwotokiem z nosa. Teraz zabawki zostały zamknięte w swojej zagrodzie, a recepcję, w której kiedyś przyjmowała sympatyczna pielęgniarka, wypełniono łózkami przyniesionymi z pobliskiego sklepu. Sześciu pacjentów leżało na luksusowych materacach, nieświeże poduszki opierały się o pikowane buduarowe wezglowia. Prawie wszyscy z nich byli starszymi ludźmi, którzy nie mogli dotrzymać kroku coraz bardziej dyktatorskiemu reżimowi Carradine'a.

Tony Maxted siedział na krześle przy siwowłosej kobiecie, próbując wyciągnąć złamaną protezę dentystyczną. Pomachał do mnie i wskazał na gabinet zabiegowy. Nie wydawał się zaskoczony moim widokiem, choć każdego ranka namawiał mnie, bym wykorzystał kontakty z Sangsterem i dołączył do zakładników opuszczających centrum.

Julia jednak była wyraźnie zdziwiona, kiedy wszedłem do gabinetu. Błada, z szyją zaczerwienioną od wysypki, prawie spała na stojąco. Właśnie próbowała otworzyć opakowanie bandażu, zerkając zza niesfornych kosmyków na oczach. Jak zawsze cieszyłem się, że ją widzę, i miałem dziwne przeczucie, że dopóki z nią będę, opróżniając kosze na śmieci i szukając pudełek herbaty ziołowej, nic jej się nie stanie. Ta absurdalna myśl nie wiedzieć czemu przypomniła mi o odbywanych w dzieciństwie przejażdżkach samochodem, kiedy wychylałem się z tylnego siedzenia do przodu, by obserwować drogę, a siedząca za kierownicą matka kłóciła się sama z sobą, kiedy musieliśmy znów stanąć na światłach.

– Richard? Co się stało?

– Zupełnie nic. – Spróbowałem ją rozśmieszyć. – Od wie lu dni nic się nie dzieje. Możemy tu zostać na zawsze.

– Miałeś wyjść. Co tutaj robisz?

– Zrobię herbatę. – Wyjąłem z kieszeni pudełko herbaty assam. – Od dawna jej szukałem. Popatrz, liściasta, a nie ekspresowa...

– Cudownie. Rury zapchają się na dobre. – Chwyliła mnie za ramię, wpatrując się we mnie pożółkłymi oczami. – Nie powinno cię tu być.

Porozmawiam z Carradine'em.

– Nie. Zostałem zatrzymany w hotelu. – Postanowiłem nie martwić jej opowieścią o martwym prawniku. – Było małe zamieszanie. Komuś wydawało się, że widział Duncana Christiego.

– Znowu? Ludzie cały czas go widują. To pewnie jakiś zły znak, jak latający talerz. – Chwyciła mnie za ręce i uniosła moje anemiczne dłonie do światła. – Musisz się stąd wydość. Jeśli jutro będą wypuszczać...

– Dobrze, zrobię to. Chcę już stąd wyjść.

– Naprawdę? Mam nadzieję. Pokaż nogę.

Określiła mi stopę świeżym bandażem, częścią przesyłki dostarczonej, aczkolwiek niechętnie, przez policję. Siedzieliśmy w gabinecie zabiegowym. Nasze krzesła były tak blisko, że mogłem ją objąć. Zawijając bandaż, zamyśliła się i w końcu ją wyręczyłem. W myślach bawiła pewnie na którejś z górnych galerii bliższych słońca, a nie na dusznym oddziale pierwszej pomocy z nieczynną klimatyzacją.

– No dobrze. – Poklepałem niezdarne kokardki na bandażu. – Teraz powinno mi się łatwiej chodzić.

– Przepraszam. – Na chwilę oparła się na moim ramieniu, a potem popatrzyła na mnie z nieznacznym uśmiechem. Czekala na coś, może na to, że wyjmę z kieszeni prezent w postaci antybiotyków ukradzionych z apteki. – To była okropna noc. Wciąż słyszę helikoptery. Jutro idź prosto do holu – będziesz na liście.

– Pójdę. Nie martw się.

– Jak ja mam się nie martwić? Wszystkiego nam już za czyną brakować. Równie dobrze moglibyśmy zamknąć *intensive care*.

– Czemu? Apteki tutaj są zaopatrzone w ilość lekarstw wystarczającą dla całego szpitala.

– Nie słyszałeś? Wszystko musi pozostać na swoim miejscu. Nie możemy niczego dotykać.

– Nawet w nagłych wypadkach? Nie rozumiem.

– Mój drogi... – Julia przykryła moje ręce swoimi spracowanymi dłońmi, wyraźnie ciesząc się z fizycznej bliskości. – Nagłe wypadki już nie istnieją. Dla Carradine'a i jego ludzi wszystko jest normalne. On i Sangster zrobili dziś rano obchód i zdecydowali, że wszyscy pacjenci wracają do zdrowia. Nawet emeryt, który zmarł w nocy.

– A David Cruise?

– Jakoś się trzyma... – Unikała mojego wzroku, nasłuchując słabych westchnień respiratora dobiegających z po mieszczenia gospodarczego przekształconego w salę intensywnej terapii. – Muszę do niego zajrzeć...

Wciąż o nim za pominiem.

Poszedłem za nią do magazynku, w którym Cruise leżał w prowizorycznym namiocie tlenowym. Jak zawsze jego widok pomiędzy labiryntem przewodów i rurek sprawił, że poczułem się skrępowany. Gibka i wysportowana postać nikła w oczach, jak gdyby monitory i mierniki wypompowywały z niej życie i przenosiły krew i limfę do żarłocznych urządzeń.

Tylko jego włosy przetrwały, blond czupryna spoczywająca na mokrej od flegmy poduszce. Stałem obok Julii, kiedy poprawiała respirator, od czasu do czasu gładząc prezentera jak śpiącego kota. Głowa Cruise'a skurczyła się, policzki mu się zapadły, jakby twarz była scenografią, którą właśnie ktoś demontował od środka. Z wiszącego na statywie pojemnika sączyła się, kropla za kroplą, surowica, ale prezenter telewizyjny wydawał się tak pozbawiony życia, że zastanawiałem się, czy Julia nie chce czasami ożywić trupa.

– Richardzie? On cię nie rozpozna. – Zaprowadziła mnie z powrotem do gabinetu zabiegowego. – Teraz znajdziemy ci jakieś zajęcie.

– Julio... – Objąłem ją, próbując uspokoić. – W jakim on jest stanie?

– W złym – wyszeptwała. – Muszę go przewieźć do szpitala, ale Carradine nie chce o tym słyszeć. Sangster twierdzi, że wstanie z łóżka za kilka dni.

– Jak długo jeszcze pociągnie?

– Niedługo. Będziemy musieli wykorzystać akumulatory samochodowe, żeby zasilać respirator.

– To znaczy ile? Dzień? Dwa?

– Coś koło tego. – Jej oczy pociemniały. – Jeśli umrze...

– Myślisz, że to ma znaczenie?

– Oni w niego wierzą. Jeśli coś by mu się stało... – Roze śmiała się histerycznie. – Szkoda, że go teraz nie mogą zoba czyć ci wszyscy, którzy maszerowali równym krokiem.

– Julio, uspokój się

– To ty go zniszczyłeś – stwierdziła. – To była jednak pewnego rodzaju zemsta.

– Za co? Za to, że straciłem pracę?

– Pracę? Za śmierć ojca, na miłość boską. To zapłata za nią. W sumie nawet się cieszę z tego powodu.

– Czemu? – Chwyciłem ją za ramię, próbując utrzymać jej uwagę, zanim jej myśli popłyną gdzieś dalej. – David Cruise nie miał nic wspólnego ze śmiercią mojego ojca.

– Cruise? Nie. Ale...

– Inni mieli. Kto? To dlatego przyszedłeś na pogrzeb?

Jej wzrok, kiedyś tak troskliwy i zaniepokojony, odpłynął na skraj zmęczenia. Jednak dotknęła dłońmi mojej piersi, jakby szukając schronienia. Próba zabójstwa Davida Cruise'a uwolniła ją od poczucia winy, którą wyczuwałem od naszego pierwszego spotkania, od złości na siebie, która zawsze stawała pomiędzy nami.

– Julio? Kto?

– Cicho! – Przygładziła włosy. – Przyszli konsultanci. Za czynają obchód.

Trzech porządkowych w koszulkach z krzyżami św. Jerzego wkroczyło na oddział pierwszej pomocy, rozpoczynając obchód. Ignorując Tony'ego Maxteda, zaczęli czytać karty przyczepione do łóżek. Z powagą pochylali się nad pacjentami i próbowali mierzyć im puls.

Zacząłem protestować, ale Maxted wyciągnął mnie na zewnątrz.

– Zróbmy sobie krótką przerwę – zaproponował. – Wie dają, że jestem psychiatrą – niezbyt popularna profesja w Me tro-Centre. Zupełnie nie wiem, dlaczego...

Usiedliśmy na podium przed misiami pośrodku atrium, otoczeni przez słoiki z miodem i wyblakłe kartki z życzeniami powrotu do zdrowia. Próbując zmniejszyć ból stopy, zdjąłem but i wstałem. Chciałem być z Julią i nie podobało mi się, że mnie z nią rozdzielono. Maxted ze znużeniem przyciągnął mnie do masywnej łapy małego misia.

– Czy, twoim zdaniem, Julia jest bezpieczna? – zapytałem.

– Raczej tak. Nie grozi jej gwałt, przynajmniej na razie. Metro-Centre jest ważniejsze niż seks.

– Co my tu robimy?

– Próbujemy cię strzec. Misie są totemem plemiennym – tu powinieneś być przez chwilę bezpieczny.

– Znajduję się w niebezpieczeństwie? Nie wiedziałem.

– Daj spokój. – Maxted spoglądał ze znużeniem na za skorupiały pot pokrywający moją marynarkę i moje dłonie posiniaczone od otwierania puszek z wołowiną. W sumie wyglądałem jak włóczęga, który kiedyś nie zostałby w ogóle wpuszczony do Metro-Centre. Dla odmiany psychiatra pod wytartym fartuchem laboratoryjnym miał koszulę i krawat, do końca trzymając klasę. – Dopóki Cruise żyje, nic ci nie grozi. Ale kiedy odejdzie, rozpęta się tu piekło.

– Myślałem, że już się rozpętało.

– Jeszcze nie. Weźmy to obłężenie – co jest najdziwniejszą rzeczą, jaką tu zauważyłeś?

– Ze nikt nic nie kradnie?

– Właśnie! Nie ukradziono ani jednego brylantowego kolczyka, ani jednego roleksa. Rozejrzyj się. To nie są dobra konsumpcyjne – to domowe bożki. Znajdujemy się w tej fazie kultu, w której wszyscy szczerze wierzą i są grzeczni.

– A jeśli Cruise umrze?

– Kiedy, a nie jeśli. Znajdziemy się w o wiele bardziej pierwotnej i niebezpiecznej strefie. Konsumpcjonizm opiera się na regresie. W każdej chwili wszystko może runąć. Dlatego go wciąż tu jestem – muszę zobaczyć, co się stanie.

– Nic się nie stanie. – Próbowałem odepchnąć wyciągniętą łapę małego misia. – Obłężenie skończy się lada chwila. Wszyscy są znudzeni. Pewnie już dziś po południu będzie po wszystkim.

– Nie skończy się. Carradine nie chce, żeby się skończyło. Znajduje się w stanie obłężenia, odkąd pojawił się w Metro Centre. Sangster też nie chce, żeby się skończyło. Przez te wszystkie lata był uwięziony w tej strasznej szkole, ucząc dzieci, jak stać się nowym rodzajem dzikusów.

– A Ministerstwo Spraw Wewnętrznych?

– Również nie chce, żeby się skończyło, choć tego nie rozgłasza. To ogromne laboratorium społeczne. Można obserwować z pierwszego rzędu, jak przebiega eksperyment. Konsumpcjonizm natrafił na ścianę i teraz próbuje się zmutować. Próbował faszyzmu, ale nawet on nie jest wystarczająco pierwotny. Pozostało tylko pełne szaleństwo.

Przerwał, kiedy oddział około pięćdziesięciu zakładników, prowadzony przez porządkowego ze strzelbą, wmaszerował do atrium. Nieśli wiadra, mopy, szczotki i środki do czyszczenia mebli; wystarczająco dużo, żeby wypucować cały świat. Co ciekawe, byli w doskonałych humorach, jakby za wszelką cenę chcieli być najlepszą ekipą sprzątającą w centrum.

Ustawili się pod tarasem na półpiętrze, patrząc na Carradine'a i Sangstera, schodzących po schodach, na których mojego ojca spotkał smutny koniec. Towarzyszył im porządkowy, który niósł stos koszulek z krzyżami św. Jerzego, wyprasowanych i nowiutkich.

– Co się dzieje? – zapytałem Maxteda. – Nie mów, że Carradine będzie narzekać, że koszulki są źle wyprasowane. Pewnie obłężenie się skończyło.

– Niezła myśl. Ale nie sądzę...

Carradine przemówił do ekipy sprzątającej. Sangster krążył za nim,

wodząc oczami po górnych tarasach pod dachem. Porządkowy dał znak oddziałowi i dwunastu członków ekipy opuściło szczotki i wiadra i wystąpiło przed szereg. Carradine każdemu z nich uścisnął rękę i wręczył koszulkę.

– To jakaś chora gra... – powiedziałem do Maxteda.

– Nie. To dokładnie to, co widzisz. Zostają zaprzysiężeni. Nie są już zakładnikami. Dołączają do rebelii.

– Dołączają?

Wstałem, opierając się na ramieniu Maxteda. Patrzyłem jak dwunastu byłych zakładników wkłada koszulki, a potem odchodzi, przekomarzając się z Sangsterem. Wszyscy dobrze się czuli w swoim towarzystwie i w tym wielkim budynku z czerwonymi światłami nad wejściami do sklepów i kawiarni wokół atrium. Byli emigrantami w nowym kraju, naturalizowanymi obywatelami centrum handlowego, wolnym elektoratem kas i kart stałego klienta.

– Richard... – wyszeptał Maxted ostrzegawczo, ale ja nie mogłem oderwać wzroku od ceremonii. W ostatniej chwili przed szereg wystąpił trzynasty ochotnik, młoda kobieta w džinsach i skórzanej kurtce motocyklowej. Odrzucając ostatnie wątpliwości, podeszła do Carradine'a i wzięła ko szulkę z krzyżem św. Jerzego.

Trzymając w ręce but, zacząłem kuśtykać do przodu. Potem poczułem, że Maxted chwyta mnie za rękę.

– Richardzie, usiądźmy i pomyślmy.

Zaprowadził mnie z powrotem do misiów. Carradine i Sangster odeszli, a porządkowi powiedli pozostałych zakładników do supermarketu niedaleko atrium.

Maxted wyjął buta z zaschniętą krwią z mojej ręki. Uśmiechając się blado, uderzył nim o dłoń.

– Richardzie, co zamierzałeś zrobić? Czy w ogóle wiesz?

– Nie za bardzo. – Popatrzyłem na jego prawie sympatyczną twarz. – Przestałem myśleć.

– Właśnie o to mi chodzi. Wracaj do hotelu. Zobaczymy się jutro. Poszukamy czegoś do jedzenia.

– Ale Julia...

– Dopilnuję, żeby nic jej się nie stało. – Wręczył mi but. – Mój drogi, zamierzałeś do nich dołączyć. Metro-Centre w końcu cię dopadło...

## 36. Kapliczki i ołtarze

Zaczęły się pojawiać pierwsze kapliczki i przydrożne ołtarze dla przechodzących klientów, miejsca, w których ci, którzy podróżowali bez końca po wszechświecie centrum, mogli się zatrzymać i oddać refleksji.

O świcie, kiedy padł ostatni wystrzał, wyszedłem na balkon mojego pokoju w Holiday Inn. Tej nocy nikt w centrum nie spał. W alejce unosiła się cienka mgiełka bezsenności, która nawiedzała pasażerów handlowe i tarasy dla pieszych, miejscami tak gęsta, że mogła ukryć snajperów.

Przypuszczałem, że oddziały policji wycofały się i że prawdziwe niebezpieczeństwo, jak zwykle, pochodziło ze środka. Stanowili je nieprzeszkoleni porządkowi Carradine'a. Po trzydziestu sekundach, wdychając powietrze zwiastujące kolejny tropikalny dzień, starłem pot z twarzy zasłonką i poszedłem do łazienki.

Dwie butelki perriera stanowiły mój cały zapas wody. Stojąc pod prysznicem, jedną wypilem, a drugą wylałem na siebie. Ożywczy, gazowany strumień przywrócił życie mojej skórze.

Jak zwykle unikałem przeglądania się w lustrze nad umywalką. Spoglądał z niego na mnie włóczęga, który jakimś cudem dzielił ze mną pokój. Kiedy tylko go widziałem, zarośniętego i przerażająco cichego, ruszał w moją stronę jak żebrak o sokolim wzroku, który dojrzał szansę. Potem się odwracał, odepchnięty przez odór mojego ciała i jeszcze bardziej zjełczały smród głębokiej i niebezpiecznej obsesji.

Ponieważ wciąż, formalnie rzecz biorąc, pełniłem rolę doradcy Davida Cruise'a, Carradine i jego porządkowi zostawili mnie w spokoju, kiedy gromadzili trzystu kibiców, którzy mieli pilnować kilkudziesięciu pozostałych zakładników i bronić Metro-Centre przed zbrojnym ramieniem państwa. Tymczasem robiłem, co mogłem, by opiekować się Julią. Przeszukiwałem opuszczone supermarkety i przynosiłem jej jedzenie, by mogła nakarmić siebie i czworo swoich pacjentów.

Zawsze zostawałem dopóty, dopóki nie wmusiła w siebie frankfurterek, skondensowanego mleka i pasztetu z gęsi, nagradzając mnie dzielnym uśmiechem. Pomagające jej dwie wolontariuszki dawno już opuściły centrum i powróciły do swoich dzieci i mężów, ale Julia wciąż była zdecydowana zostać do samego końca. Wyczuwałem, że opiekując się Davidem Cruise'em, trzymając go cały czas na granicy życia i śmierci, odbywała pokutę podobną do tej, która była jej udziałem w łóżku, do którego zostałem przez nią zaciągnięty w mieszkaniu mojego ojca.

Zaczynaliśmy drugi miesiąc oblężenia Metro-Centre i czas dłużył się w niepojęty sposób. Dni spoconej nudy nakładały się jedne na drugie, przełamywane przez niekończące się poszukiwania jedzenia i wody, kiedy kwatermistrzowie Carradine<sup>^</sup> otwierali na kilka godzin kolejny supermarket. Potem wszystko zmieniało się nagle, gdy Carradine uwalniał czterech lub pięciu spośród najbardziej wyczerpanych zakładników. W zamian przez pół godziny w kurkach była woda, wystarczająco dużo czasu, żeby napełnić wanny i rezerwuary toalet i oddalić niebezpieczeństwo epidemii duru brzuszego.

Ale cierpliwość policji i MSW się wyczerpała. Jak nietrudno się domyślić, im mniejsze było zainteresowanie społeczeństwa oblężeniem, tym mniejszą ochotę miała policja na czekanie w nadziei, że buntownicy stracą ducha lub pokłócą się między sobą. Ekipy telewizyjne już od tygodni opuszczały swoje stanowiska przed centrum. Podsekretarz stanu w ministerstwie popełnił dużą gafę, kiedy opisał przejęcie Metro-Centre jako część branżowej kłótni, strajk okupacyjny niezadowolonych pracowników. Gdy oblężenie wypadło z głównych wiadomości telewizyjnych i zostało zesłane do nadawanych późno w nocy programów publicystycznych na BBC2, wiedziałem, że przyszedł czas na rozwiązanie siłowe.

O trzeciej nad ranem, kiedy leżałem na sofie przy oknie, próbując oddychać w wilgotnym, gorącym powietrzu, usłyszałem nad kopułą buczenie helikopterów. Reflektory omiatały wnętrze centrum, a głośniki ryczały. Granaty ogłuszające wybuchły na znajdujących się nad atrium metalowych panelach, których resztki spadły na nieszczęsne misie. Silny wybuch zrobił dziurę w kopule nad portykiem Bramy Południowej. Połączone oddziały wojska i policji wkroczyły do centrum i szybko obezwładniły małą grupę rebeliantów broniącą wejścia. Nie mogąc podnieść drzwi przeciwpożarowych, komandosi przypuścili szturm na swój główny cel, hotel Ramada Inn, w którego sali bankietowej przetrzymywano osiemdziesięciu zakładników.

Jednak dwa dni wcześniej Sangster przeniósł ich do pustego Novotelu. Kiedy komandosi wpadli bez najmniejszych problemów do środka, zaczęli przewracać się w ciemności o wiadra wypełnione fekaliami. To dało Carradine'owi i jego zbrojnym oddziałom czas na otoczenie hotelu.

Nastąpiła ostra wymiana ognia. Było pewne, że policja i wojsko wygrają potyczkę. Niestety, zakładnicy w Novotelu popełnili błąd i obezwładnili pilnujących ich porządkowych. Po opuszczeniu hotelu zaczęli biec przez atrium w kierunku swoich wybawców.

Sangster, w celach propagandowych i żeby zmylić policyjne kamery

szpiegowskie, które, jak wiedział, obserwować będą każdy ich ruch, rozdał zakładnikom świeże ubrania, koszulki z krzyżami św. Jerzego. Komandosi, myśląc, że mają do czynienia z samobójczą szarżą rebeliantów, otworzyli ogień. Pięciu zakładników, w tym dyrektor generalny Metro-Centre i dwóch kierowników działów, zginęło na miejscu. Komandosi wycofali się, helikoptery zakończyły patrole, a policyjne głośniki zamilkły ze wstydu.

Jednak najdziwniejsza faza oblężenia miała się dopiero zacząć.

O ósmej, kiedy nie było najmniejszego śladu policji, opuściłem Holiday Inn i poszedłem na oddział pierwszej pomocy. Chciałem mieć pewność, że Julii nic się nie stało, i pomóc jej zająć się osobami, które zostały ranne w czasie nocnego ataku. Podpierając się na rozkładanym krzeselku myśliwskim, które wykradłem z najlepszego sklepu sportowego w centrum, siedłem alejką, otaczającą atrium.

Sto jardów od Holiday Inn znalazłem się wśród sklepów z urządzeniami elektrycznymi. Nie miały opuszczonych rolet antywłamaniowych, ponieważ żadnemu ze zwolenników Carradine'a nawet do głowy by nie przyszło ich splądrowanie. Wnętrza sklepów mrok przekształcił w jaskinie wypełnione mnóstwem skarbów. Zatrzymałem się, by spojrzeć na te magiczne groty, uświadamiając sobie nagle, że jestem otoczony przez wszystkie zabawki, których pragnąłem jako dziecko, i że mogę wziąć, co tylko zechcę.

Nieco dalej przystanąłem przed sklepem z piramidą produktów stojących przy drzwiach. Trzy mikrofalówki podtrzymywały komputery, na których stały telewizory plazmowe. Cała wystawa udekorowana była jak choinka tuzinem aparatów cyfrowych, których obiektywy błyszczały w półmroku. Konstrukcja została zaprojektowana tak, by przypominała ołtarz. U jej podstawy leżały bukiety sztucznych kwiatów, a okrąg świeczek otaczał fotografię Davida Cruise'a. Nieomal religijna aura spowijała tę kapliczkę, dar wotywny dla zagrożonego ducha Metro-Centre.

Kilka minut później w alejce za Novotelem zobaczyłem kolejną piramidę, martwą naturę z kilkunastu telefonów komórkowych i odtwarzaczy DVD. Te na poły wystawy, na poły kapliczki, stanowiły miejsca modłów pielgrzymów przemierzających Metro-Centre.

Ogłuszony udałem się do północnej części centrum. Niewiele słońca wpadało tutaj przez dach, a galerie na siódmym piętrze sprawiały, że niższe kondygnacje spowijał półmrok, którego nawet najjaśniejszy neon nie zdołałby w pełni rozproszyć. Opłaty za wynajem były tutaj najniższe,

więc lokale zajmowały tanie agencje turystyczne, księgarnie i sklepy z używaną odzieżą, dziedziny handlu, w których nie przeszkadzał brak światła.

W Bramie Północnej zaświecił reflektor, na chwilę mnie oślepiając, kiedy wszedłem w wąską alejkę biur wynajmu samochodów i punktów sprzedaży tanich biletów lotniczych. Z drzwi przechowalni bagażu obserwowałem ekipę remontową przy pracy. Technicy stali na rusztowaniu, zabezpieczając część dachu zniszczoną przez oddział policji i wojska. Iskry z łuku spawalniczego tryskały w mroku, tańcząc pomiędzy szkłem i gruzem na podłodze.

– Panie Pearson... Proszę się odsunąć.

Za sobą usłyszałem metalowy stojak wystawowy przesuwany po kamiennej posadzce. Reflektor przejechał po suficie holu wejściowego, a cienie obracały się i kręciły wokół mnie jak obłąkana trupa tancerzy.

– Richard...

Zaledwie kilka stóp ode mnie stała kobieta w niebieskim kombinezonie z paskiem. Jej strój pozbawiony był jakichkolwiek oznaczeń, ale miałem pewność, że to policyjny mundur tak lubiany przez oddziały prewencji. Niebieska czapka z daszkiem zasłaniała jej oczy, ale odsłaniała splecione w warkocz blond włosy i rozpoznałem silnie zarysowaną brodę i szerokie usta zawsze opuszczone w przeproszającym grymasie.

– Sierżant Falconer? – Poszedłem w jej stronę, kiedy przywołała mnie, machając okularami noktowizyjnymi. – Proszę uważać, porządkowi są uzbrojeni.

– Panie Pearson, proszę iść ze mną... – wyszeptała do mnie w ciemności. – Wydostanę stąd pana.

– Pani sierżant?

– Proszę posłuchać! Pora opuścić Metro-Centre. Za dłu go pan już tutaj jest.

– Pani sierżant... Muszę zostać – potrzebują mnie.

– Nikt pana nie potrzebuje. Proszę chociaż raz pomyśleć.

– David Cruise... Doktor Goodwin...

– Oni też wychodzą, panie Pearson. Wszyscy wychodzą. – Jej twarz na chwilę rozbliżyła w świetle reflektora. Obnażając zęby, wyszeptała: – Niedługo zostanie pan tu całkiem sam. Mały chłopiec zagubiony w sklepie z zabawkami.

– Pani sierżant, proszę poczekać...

Ale już zniknęła w labiryncie drzwi i cieni.

– Mary... Posłuchaj...

Poczułem silne dłonie chwytające mnie za ramiona i wyciągające do światła. Porządkowy w koszulce z krzyżem św. Jerzego patrzył mi prosto w twarz. Przeciągnął dłonią po mojej brodzie, rozpoznając mnie z pewnym wysiłkiem.

– Tęskni pan za swoją dziewczyną, panie Pearson? Wszyscy wyglądacie na wykończonych. Pan Sangster powiedział, że pana tu znajdę...

Zaprowadził mnie do niepokojącego, oślepiającego światła holu wejściowego. Nadjechał samochodzik golfowy, ciągnąc za sobą wózek bagażowy z logo Ramada Inn. Za kierownicą ujrzałem Sangstera, jego ogromna postać w czarnym płaszczu prawie przygniatała Toma Carradine'a. Siedzący obok niego zgarbiony były kierownik działu PR miał zabandażowane ręce. Został ranny w czasie akcji ostatniej nocy, prowadząc do boju oddział porządkowych, ale jego odwaga i wola walki pozostały nienaruszone.

Na wózku leżało pięć ciał, pechowe ofiary ataku komandosów.

### 37. Modlitwa i cykl prania wełny

– Richardzie, wyglądasz strasznie, biedaku... – Sangster nakazał porządkowemu mnie puścić. Uśmiechając się jak po błazniwy rodzic, objął mnie w pasie. – Zbyt dużo dziwnych snów. O wiele za dużo...

– One są naprawdę dziwne. – Próbowałem się otrząsnąć. Widziałem sierżant Falconer. I Duncana Christiego...

– Tuś mi, bratku! – Sangster zachichotał, beztroski mimo pełnej wrażeń nocy. – Zawsze śniłeś na jawie.

– Słuchaj...

– Popatrz na to od drugiej strony. – Uniósł swoje duże dłonie, żeby mnie uciszyć, ukazując obgryzione paznokcie. – Może to ty śnisz się Metro-Centre. Może wszyscy się mu śnimy.

– Sierżant Falconer tu była. Jeśli ona mogła się tu dostać, w centrum muszą być też inni policjanci.

– Inni? Oczywiście, że są. Chcą do nas dołączyć. Nie mogą nas skrzywdzić. W pełni kontrolujemy Metro-Centre. A teraz bierzmy się do roboty.

Wciąż obejmując mnie w pasie, odwrócił się do wózka z pięcioma ciałami. Ubrojeni porządkowi stali wokół samochodziku golfowego, nadsluchując dalekich dźwięków helikopterów wojskowych. Dłonie Sangstera poruszyły się w powietrzu, jakby dyrygował niewidzialnym chórem. Jego wysoka postać dominowała w holu wejściowym, ale wciąż zdawał się na Carradine'a, który siedział cicho na miejscu pasażera, patrząc na swoje zabandażowane ręce. Ekskierownik działu PR był szary na twarzy z powodu zmęczenia i utraty krwi, ale jego pewność siebie była niezachwiana, kiedy zaciskał i rozluźniał szczęki, jakby delektował się smakiem przemocy.

Potem napotkał mój wzrok i wpatrywał się we mnie o chwilę za długo. Zrozumiałem, że wiedział, iż gra już skończona. Jednak dawało mu to pełną swobodę działania. Mógł robić, co tylko dusza zapragnie, nieważne, jak szalone miałyby to być.

– Sangster – ściszyłem głos. – Czy Carradine...?

– Nic mu nie jest. Ostatnia noc była dla niego wstrząsem. Policja nas zdradziła. Wiesz, ta strzelanina. Ostrzegam cały czas Toma, że przemoc to prawdziwa poezja rządów. Dobra, zaczynamy...

Poprowadził mnie do wózek, jakby chciał, żebym przyjrzał się ciałom. Już zaczynały sinieć w porannym świetle. Jedyna twarz, którą

rozpoznałem, należała do dyrektora generalnego Metro-Centre. Jego oczy były szeroko otwarte, zdziwione tą nieplanowaną śmiercią. Kula przebiła mu szyję, ale mało krwawił, jakby postanowił oddać życie bez zawracania innym głowy.

– Sangster. – Odwróciłem się do niego. – Co stanie się teraz?

– Wymiana. Nie możemy ich trzymać w Metro-Centre. Carradine ma listę żądań.

– Czy prasa tu jest?

– Kilku dziennikarzy z agencji prasowych. Dlaczego pytasz?

– Policja i wojsko ich zabili. Dziennikarze muszą się o tym dowiedzieć.

– Dowiedzą się... – Sangster odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Jego wielka głowa zaczęła kiwać się z boku na bok. – Poddałeś mi pewien pomysł. Jesteś genialny...

Carradine czekał na swoim siedzeniu, z bólem unosząc rękę, żeby przeczytać listę żądań. Sangster usiadł obok niego i zaczął głaskać go po barku, jakby pieścił starego psa.

– Tom? Dobrze ci idzie. Nie bój się wyglądać na wściekłego. Nastąpiła zmiana planów. Masz powiedzieć policyjnym niegocjatorom, że to my zastrzeliliśmy zakładników. Wszystkich pięciu.

– Jak to? – Oczy Carradine'a poruszyły się w głębokich oczodołach. – Wszystkich pięciu?

– Dokonaliśmy egzekucji w odwecie. Zapamiętasz?

– Wszystkich pięciu. Ale to byłoby...

– Morderstwo? Nie. To pokaże, że jesteśmy silni. Ostatniej nocy nastąpił niczym niesprowokowany atak. Jako armia okupacyjna mamy prawo do odwetu. Powiedz im, że następnym razem zabijemy dziesięciu zakładników...

Zadowolony z oszustwa Sangster zatarł ręce niczym mały chłopiec i poprowadził mnie pomiędzy uzbrojonymi porządkowymi. Cały czas przyglądali się galeriom na górze, jakby czekali na to, że mesjasz spłynie z nieba. Wózek został odczepiony od samochodziku golfowego i popchnięty do wyjścia bezpieczeństwa w drzwiach przeciwpożarowych.

– Świetnie... – Nozdrza Sangstera rozchyliły się. – Te cię ła zaczynały już trochę za bardzo cuchnąć. Nawet ty nie był byś zainteresowany...

– Skoro już o tym mowa, to odpuściłem sobie sprawę śmierci ojca. Nie wiem, czemu. Miałem wyjść z ostatnimi za kładnikami.

– To, co się tutaj dzieje, jest zbyt interesujące, żeby wy chodzić. – Sangster pokiwał energicznie głową, a jego oczy rozbliły się. – Wiesz co?

To wszystko stanowi kulminację całe go twojego życia zawodowego.

– W pewnym sensie. Ja tylko chciałem pilnować Julii.

– To dobrze. Najwyższy czas, żeby pacjenci pilnowali le karzy. Krótka mowa, dwudziesty pierwszy wiek. – Pokazał rękami na sklepy i schody ruchome. – Ty stworzyłeś Metro Centre. Ale ja stworzyłem tych ludzi. Ich puste, obrzydliwe umysły, ich klęskę bycia w pełni człowiekiem. Musimy zoba czyć, jak to się skończy.

– To już się skończyło.

– Niezupełnie. Ludzie są zdolni to cudownego szaleństwa. Szaleństwa, które daje nadzieję co do rasy ludzkiej.

Szliśmy po zastygłym chodniku ruchomym, który prowadził od Bramy Północnej do atrium. Minęliśmy sklep z artykułami kuchennymi z wystawą w kształcie piramidy przed drzwiami, ołtarzem z drogich naczyń żaroodpornych, sokowirówek i papierowych kwiatków otaczających zdjęcie Davida Cruise'a.

– Sangster. – Pokazałem na kapliczkę. – Jeszcze jedna...

– Widziałem. – Zatrzymał się i pokłonił z szacunkiem. – To miejsca modłów, Richardzie. Ołtarze dla domowych bo gów, którzy rządzą naszym życiem. Lary i penaty płyt cera micznych i sprzętu AGD. Metro-Centre to katedra, miejsce kultu. Konsumpcjonizm może wydawać się pogański, ale tak naprawdę to ostatni azyl instynktów religijnych. W ciągu kilku dni zobaczysz kongregację oddającą cześć swoim pralkom. Chrzcielnica, w której zanurza się gospodyni domowa w po niedziątek rano w błogosławionym cyklu prania wełny...

Odwrócił się i zostawił mnie samego, wracając do holu wejściowego przy Bramie Północnej, ręką stukając w barierkę schodów ruchomych. Patrzyłem, jak do siebie gwizdże, a potem ruszyłem w stronę atrium, gdzie silniejsze światło słoneczne rozpraszało ciepłą mgłę.

Rozłożyłem krzeselko i usiadłem przed delikatesami, które były zamknięte przez całe oblężenie. Pleśń wyłaziła z pojemników z serem i miseczek z pesto, zamieniając wnętrze sklepu w grotę *art nouveau*.

Byłem bliski zaśnięcia, kiedy usłyszałem strzał dobiegający z atrium i odbijający się od górnych galerii. Podążyły za nim inne wystrzały, a potem rozległy się płacze i krzyki, które połączyły się w falę lamentu, pełną bólu pieśń żałobną bazaru na Bliskim Wschodzie. Doszedłem do wniosku, że nastąpił kolejny atak komandosów, ale strzały z karabinków sportowych były chaotyczne, stanowiły wyraz żalu i złości.

Kiedy dotarłem do atrium, zobaczyłem, że tłum buntowników w

koszulkach z krzyżami św. Jerzego otacza oddział pierwszej pomocy. Wyszła z niego grupa porządkowych, torując sobie drogę przez tłum. Pchali łóżko szpitalne z kroplówkami z surowicą i kablami zwisającymi u wezłowania. Biegli z nim jak saneczkarze przygotowujący się do zjazdu.

Tłum kibiców biegł obok, strzelając w powietrze. Ktoś się potknął i przez chwilę widziałem człowieka, który zajmował łóżko, wysuszoną mumię z dziecięcą twarzą w masce tlenowej i z blond włosami.

Podeszła do mnie zrozpaczona kobieta w mokrej od łez koszulce z krzyżem św. Jerzego. Trzymała muskularne ramiona nad głową, jakby dzwoniła w pogrzebowy dzwon. Próbując ją uspokoić, chwyciłem jej rękę.

– Co się stało? Czy z doktor Goodwin...

– David Cruise... – Odepchnęła mnie i wpatrzyła się błagalnie na niewzruszone misie na podeście. – Nie żyje...

### 38. Powiedz mu

– Zwijamy interes, Richardzie. – Tony Maxted przemierzał zagracony gabinet zabiegowy, odganiając ręką smród z kubłów brudnych bandaży. – Radzę ci iść z nami. Jesteś tu już za długo, z powodów, których nawet ja nie rozumiem.

– Wszyscy jesteśmy tu zbyt długo. – Usiadłem na krześle ze złamanym oparciem, efektem nagłego wtargnięcia porząd kowych. – Jak się stąd wydostaniemy?

– Na razie trudno powiedzieć. Ale wszystko się zmienia. Bóg wie, co się wydarzy.

Maxted zabębnił palcami o zlew. Był zdecydowany, choć nie miał pewności, co nastąpi. Poklepał Julię po ramieniu, żeby się uspokoić.

Siedziała po drugiej stronie metalowego stołu, plecami do ogołoconych aptecznych szafek. Z posiniaczonym czołem i podartą bluzką przypominała lekarza, który ledwo obronił się przed atakiem szalonych pacjentów. Chciałem usiąść obok niej i chwycić ją za zmęczone ręce, ale wiedziałem, że ten gest uzna za cikliwy i bez znaczenia.

– Kiedy umarł? – zapytałem. – W nocy?

Maxted spojrzał na Julię, a ta skinęła do niego głową. Poczekał, aż odgłosy wystrzałów w atrium umilkną, i powiedział:

– Cztery dni temu. Wierz mi, robiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

– Dlaczego go zabrali?

– Dlaczego? – Maxted popatrzył na swoje dłonie. – Uwa żają, że mogą biedaka przywrócić do życia.

– Niby jak?

– Sam chciałbym wiedzieć. Zbiłbym fortunę. Zmartwych wstanie jako ostateczny efekt placebo. – Widząc moje zniecierpliwienie, dodał: – Zabierają ciało na wycieczkę po Me tro-Centre. Widok sklepów ma je przywrócić do życia. Warto spróbować.

– Czy to ważne? – zapytała ostrym tonem Julia, wyraźnie zmęczona dwoma diskutującymi z sobą mężczyznami. – Do brze przynajmniej, że nie uważają, że go zabiliśmy.

– Cztery dni? – Pomyślałem o włączonym respiratorze i Julii chodzącej na palcach wokół namiotu tlenowego. – Jak się dowiedzieli, że nie żyje?

– Wyczuli to. – Maxted sięgnął do lodówki i wyciągnął bu telkę wody mineralnej. Umył ręce w strumieniu cieczy, a jej ostatnie krople wypił. – Czas już iść. Teraz, kiedy nie ma naj mniejszych szans na to, że Cruise

usiądzie i zacznie czytać wy niki meczów, tym ludziom odbije. Wątpię, żeby policja to zro zumiała.

– Sierżant Falconer tu jest – powiedziałem. – Widziałem ją godzinę temu niedaleko Bramy Północnej.

– Mary Falconer? – Julia wyprostowała się, zaalarmowa na. – Co ona tu robi?

– Pilnuje Sangstera. To on wkrótce przejmie władzę.

– Tego właśnie się obawiam. – Maxted kopnął kosz na śmieci, usuwając go z drogi. – Mędrzec z centrum handlowe go, mesjasz bez przesłania. Pomogłeś napisać scenariusz, Ri chardzie. Przesłanie brzmi: nie ma przesłania. Nic nie ma znaczenia, więc w końcu jesteśmy wolni.

– Falconer go przypilnuje – powiedziałem. – Przypilnuje, żeby nie posunął się za daleko.

– Wątpię. – Maxted usiadł przy stole i położył dłonie na blacie. – Podejrzewam, że nasza pani sierżant ma inne zada nie do wykonania.

– Szuka Duncana Christiego?

– Coś w tym rodzaju. – Spojrzał na mnie ostro, unikając wzroku Julii. – Niedokończona sprawa. Musimy go znaleźć, dla jego własnego bezpieczeństwa.

– Dlaczego? – naciskałem. – Czy to naprawdę ma znaczenie?

– Znaczenie? – Maxted wpatrywał się w stół, jakby czekał na potasowanie kart. – To ma znaczenie. Bo Christie jest w niebezpieczeństwie.

– No dobrze. – Postanowiłem podjąć grę, choć byłem zbyt zmęczony, by mi naprawdę zależało. – Zastrzeli! mojego ojca. Wiesz o tym, doktorze. Zawsze to wiedziałeś.

– Cóż... – Odwrócił się, jakby szukał wyjścia. – Nie mogę o tym rozmawiać...

– Zastrzelił też Davida Cruise'a. Nie ci bośniaccy bracia, kimkolwiek są. To Cruise był cały czas jego celem.

– Wyciągasz zbyt pochopnie wnioski.

– Nie wydaje mi się. – Czekałem, aż Julia coś powie, ale wzrok utkwiła w Maxtedzie. – Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego go wszyscy chronicie.

– Powiedz mu. – Julia wstała i uderzyła pięścią w stół. Odgarnęła włosy z czoła, krzywiąc się, kiedy dotknęła sinia ka. – Maxted, powiedz mu.

– Julio, to nie takie proste. Kontekst...

– Pieprzyć kontekst. Powiedz mu!

Okrażyła stół, podeszła do Maxteda i wyjęła nóż ze zlewu. Nie była już zła na siebie, ale na głupich mężczyzn, którzy sprowadzili ją do tej prowizorycznej kliniki w obleżonym centrum handlowym. Wyprostowała ramiona, chcąc, żeby Maxted się odsunął. Na jej twarzy ujrzałem wyraz ulgi, którą poczuła, kiedy prawda zaczęła się do nas zbliżać, gotowa, by wylać się strumieniem.

– Julio, usiądź, proszę. – Maxted podsunął jej krzesło i kiwnął do mnie, próbując uzyskać pomoc w uspokojeniu tej wściekłej kobiety. – Kontekst jest ważny, Richard musi zrozumieć, jakie były nasze intencje...

– Nieważne nasze intencje! – Julia odczekała chwilę, próbując się uspokoić. – Powiedz mu, kto zabił jego ojca.

– Christie – powiedziałem tak spokojnym tonem, na jaki tylko mogłem się zdobyć. – Wiem to, Julio. To było jasne od samego początku.

Skinęła głową, potem podniosła nóż, żeby mnie uciszyć.

– Tak, Christie pociągnął za spust. To on wystrzelił. Przy kro mi, Richardzie, naprawdę mi przykro z tego powodu. Ty le osób zabitych lub ciężko rannych... To od samego początku była pomyłka. Ale tak naprawdę to nie Duncan Christie zabił twojego ojca.

– Więc kto to zrobił?

– My. – Julia wskazała na siebie i Maxteda. – Zaplanowa liśmy to i wydaliśmy rozkaz.

– Chwileczkę... – Maxted wyjął nóż z jej ręki. – Julia i ja stanowiliśmy margines. Było w to zaangażowanych wiele innych osób.

– Sangster, Geoffrey Fairfax, sierżant Falconer – wyrecy towałem. – A także inni, którzy was wspierali, ale woleli po zostać w cieniu. Burmistrz i jeden czy dwóch radnych, komisarz Leighton i wysocy rangą oficerowie policji...

– Stara elita Brooklands – przyznała Julia zmęczonym głosem. – Straszni nudziarze. Niebezpieczni nudziarze. Był też jeden duchowny, ale Maxted go odstraszył. Całym tym swoim gadaniem o świadomym szaleństwie.

– Myślał, że chodzi mi o kościół chrześcijański – włączył się psychiatra. – Już mieli jeden zamach i nie chcieli drugiego.

– Zamach? – Wstałem. – Zaplanowaliście zabójstwo mojego ojca. Dlaczego?

– Nie twojego ojca. Nigdy nie był naszym celem. – Maxted ukrył zmęczoną twarz w dłoniach. – Sześć miesięcy temu Brooklands wrzało, tak jak wszystkie miasta wzdłuż autostrady. Zamieszanych w rozruchy było ponad milion osób. Napady na tle rasowym, wyrzucanie rodzin

Azjatów z domów, palenie ośrodków dla emigrantów. W każdy weekend mecze piłki nożnej, które przeradzały się w wiece polityczne, choć nikt sobie z tego nie zdawał sprawy. Sport był tylko pretekstem do aktów ulicznej przemocy. I wszystko to zdawało się pochodzić z Metro-Centre. Nowy rodzaj faszyzmu, kult przemocy powstałej z dziczy centrów handlowych i stacji telewizji kablowych. Ludzie byli znudzeni, spragnieni dramatu w swoim życiu. Chcieli kroczyć z dumnie podniesioną głową, krzyknąć i kopać tyłki wszystkich obcych. Chcieli mieć swojego bohatera.

– Davida Cruise'a? Trudno w to uwierzyć.

– To prawda. Ale to był nowy rodzaj faszyzmu i potrzebowaliśmy nowego rodzaju przywódcy – uśmiechniętego, przypochlebającego się Führera rodem z telewizji popołudniowej. Zamiast okrzyków „Sieg – Heil!”, piłkarskie hymny. Ta sama nienawiść, ten sam głód przemocy, ale przefiltrowany przez studio telewizyjne. Dla większości ludzi to było tylko chuligaństwo kibiców piłkarskich.

– Ale ciała wciąż przybywały do kostnicy. – Julia wyciągnęła rękę i chwyciła mnie za nadgarstek. – Liczyłam je, Richardzie.

– Ciała Azjatów i Kosowian. – Maxted wytarł ślinę z ust. Popatrzył na nią, jakby czuł obrzydzenie do samego siebie. – Julia musiała zajmować się ich krewnymi. Płaczące banglijskie żony i doprowadzeni do obłędu ojcowie dzieci z oparzeniami trzeciego stopnia.

– Więc postanowiliście coś zrobić? – zapytałem, myśląc o Kumarach.

– Musieliśmy podjąć szybkie kroki, kiedy to wszystko można było jeszcze kontrolować. Łagodna wersja faszyzmu rozprzestrzeniła się po całej środkowej Anglii i nikt z będących u władzy się tym nie przejmował. Politycy, przywódcy kościelni, ministrowie odwracali wzrok. Dla nich to była tylko burda w centrum handlowym jakiegoś strasznego miasteczka położonego przy autostradzie.

– Ale wy wiedzieliście, że się mylą.

– Oczywiście. Pomyśl o Niemczech w latach trzydziestych. Kiedy dobrzy ludzie nic nie robią... Potrzebowaliśmy celu, wybraliśmy więc Davida Cruise'a. Nie był idealny, ale zabicie go w Metro-Centre, w środku jednej z jego telewizyjnych peror, mogłoby coś dać. Ludzie zaczęliby się zastanawiać, dokąd chodzą.

– Potrzebowaliście tylko kogoś, kto pociągnie za spust. I pomyśleliście, że może to być Duncan Christie.

– To ja go znalazłem. – Maxted czekał, aż Julia podniesie rękę w udawanym zdziwieniu. – Siedział na oddziale zamkniętym Northfield Hospital. Czubek, który już dwa razy był umieszczany w szpitalu

psychiatrycznym. Na granicy schizofrenii, a do tego pałający ogromną nienawiścią do Metro-Centre. (ego córka została ranna i szukał zemsty. Był pociskiem gotowym do wystrzału. Musieliśmy go tylko nakierować na cel.

– Nie przejmowaliście się...

– Kwestiami etycznymi? Oczywiście, w końcu planowa liśmy morderstwo! Omawialiśmy to setki razy. Trzymałem Julię z dala od tego – wiedziałem, że nigdy jej nie przeko nam.

– Myślałam, że Christie podłoży bombę. Bombę dymną. – Julia przycisnęła dłoń do posiniaczonej głowy, krzywiąc się z bólu. – Więc ich poparłam. Szaleństwo... że też mogłam myśleć, że się uda.

– Udało się – zaprotestował Maxted. – Wszystko zostało dokładnie zaplanowane. Geoffrey Fairfax wiedział, co robić. Niestety, kiedy nadeszła pora, zabrakło celu.

– Stały się nim misie i mój ojciec. – Napisałem na zaku rzonym blacie stołu jego inicjały. – Ile osób było w to zamie szanych?

– Niewiele. Na czele stał Fairfax. Służył w wojsku, znał i kochał stare Brooklands. Uważał Metro-Centre za statek kosmiczny z piekła rodem. Wspierał nas komisarz Leighton, ale musiał uważać. Przychodził na spotkania, ale wcześniej wychodził. Sierżant Falconer stawiała się na każde skinienie Fairfaksa – wybronił jej matkę przed zarzutem kradzieży w sklepie. To ona dostarczyła broń, standardowego hecklera & kocha, który najwyraźniej zapodział się gdzieś w zbrojow ni. Leighton ją osłaniał.

– A Sangster?

– Zrobił rozpoznanie. Tom Carradine był jego dawnym uczniem. Nie posiadał się z radości, że może zabrać swojego byłego dyrektora na wycieczkę po Metro-Centre i pokazać mu systemy przeciwpożarowe i alarmowe. Dał Sangsterowi przepustkę dla jego „siostrzeńca”. Godzinę przed strzelaniną Sangster ukrył broń obok działka pianowego.

– A Julia?

– Ja nic nie zrobiłam! – Julia ściągnęła dziecięcy rysunek ze ściany i zgmiotła go w rękach. – Nie sądziłam, że ktoś zgi nie, czy nawet zostanie ranny...

– Jednak coś zrobiłaś – Maxted poczekał, aż kobieta wy rzuci zgnieciony rysunek do przepelnionej bandażami śmiet niczki. – Julia leczyła córeczkę Christiego po wypadku. Może i sobie być schizofrenikiem, ale nie jest głupi. Nie był pewien, czy mówimy poważnie. Dała mu betablokery, żeby go uspo koić, i przekonała, że robi to, co powinien zrobić. Christie jej uwierzył. To było najważniejsze.

– Zawiozłam go do Metro-Centre. – Julia przymknęła oczy, uśmiechając się do siebie. – Kiedy zaparkowaliśmy, nie chciał wysiąść z wozu. Zapytał mnie, czy powinien to zrobić. A ja powiedziałam...

– A ty powiedziałaś, że tak. – Maxted oparł się na krześle. – Zaufał ci.

– Ale potem, po strzelaninie... Nie baliście się, że Christie zacznie mówić?

– Doszłoby do tego tylko wtedy, gdyby stanął przed sądem. Godziny przesłuchań, miesiące w areszcie z dala od żony i dziecka... Wszystko by przepadło. Wiedzieliśmy, że zabić cię Davida Cruise'a nie będzie trudne. O wiele trudniejsze miało być zatuszowanie całej sprawy. Najważniejsze było, że by Christie został aresztowany.

– Dlaczego?

– Dzięki temu stanąłby przed sądem magistrackim. Jeśli wystarczająco dużo świadków zeznałoby, że widziało go w czasie strzelaniny i nie było go w pobliżu atrium, sprawa przeciwko niemu zostałaby oddalona. Zwłaszcza gdyby ci świadkowie dobrze go znali i byli szanowanymi członkami lokalnej społeczności.

– Jego lekarka, psychiatra i nauczyciel. To dlatego pojechaliście do centrum. Chroniliście Christiego.

– I siebie samych. Gdyby Christie przyznał się do morderstwa, nikt by mu nie uwierzył. Chorzy psychicznie cały czas przyznają się do zbrodni, których nie popełnili. – Maxted westchnął. – To było nieomal morderstwo doskonałe.

– Nieomal?

– Ofiara się nie pojawiła. Powiedzieliśmy Christiemu, że by schował broń i uciekał, ale puściły mu nerwy. Za daleko zaszedł. Musiał kogoś kropnąć.

– Mojego ojca? Nienawidził Davida Cruise'a i klubów kibiców.

– Nie twojego ojca. To była tragiczna pomyłka. Christie strzelał do misiów. Nienawidził ich bardziej niż Cruise'a. Zwłaszcza że jego córka lubiła patrzeć, jak się kiwają w programie dla dzieci. Strzelał na oślep i trafił twojego ojca i kilku innych klientów. Ponośzę za to pełną odpowiedzialność. Zginęli niewinni przechodnie. Łatwo powiedzieć, że to skutki uboczne...

Skinałem głowę, nie pozwalając Maxtedowi na skruchę. Mówił prawdę, jednak wyznanie prawdy to było za mało. Chciałem, żeby zginął w więzieniu, ale wiedziałem, że Julia poszłaby siedzieć razem z nim. Jej kariera i życie byłyby zniszczone. Stała tyłem do mnie, przecierając oczy. Zrozumiałem teraz wrogość i poczucie winy, które wisiały między nami

od mojego przyjazdu.

– Więc wywieźliście Christiego z Brooklands? – zapyta łem. – Dokąd dokładnie?

– Sangster zawiózł go na opuszczoną fermę kurzą nieda leko Guildford, którą Fairfax przejął za długi. Jego żona i córka przyjechały w przyczepie kempingowej. Podawałem mu środki uspokajające i mówiłem, że jeszcze spróbujemy. Był na to gotowy.

– Policja znalazła go bardzo szybko. Ktoś musiał go wydać.

– My to zrobiliśmy. – Maxted zagwizdał przez zęby. – Chcieliśmy, żeby koniecznie został oczyszczony z zarzutów przez sąd magistracki. Śmierć niewinnych ofiar była tragedią, ale mieliśmy nadzieję, że wszyscy się opamiętają. Stało się jednak na odwrót. Strzelanina w Metro-Centre wszystkich wzburzyła. Ludzie poczuli się zagrożeni. Mogli sobie poradzić z młodymi Azjatami broniącymi swoich sklepów, ale nie z szalonym mordercą strzelającym seriami w centrum handlowym. Na stadionach co noc odbywały się wiece. Istniało poważne zagrożenie, że Brooklands zmieni się w faszystowską republikę. Jednak ostateczny przewrót nigdy nie nastąpił.

– Wydajesz się rozczarowany. Dlaczego? To zbyt brytyjskie?

– W pewnym sensie. – Maxted wsłuchał się w strzały roz legające się w atrium. – Karabinki sportowe – to wszystko wyjaśnia. Problem stanowił David Cruise. Był zbyt przyjaciel ski, a zarazem zbyt kiepski. A potem nastąpił mały cud. Poja wi! się ktoś, na kogo w ogóle nie liczyliśmy.

– Ja?

– Zgadza się. Twój ojciec zginął i chciałeś się dowiedzieć, dlaczego. Szybko zorientowałeś się, że coś tu śmierdzi.

– Julia przyszła na pogrzeb. To mi dało do myślenia.

– Richardzie... – Julia stanęła za mną, dłonie położyła mi na ramionach. – Pomogłam zabić twojego ojca. Wiem, że by łem głupia, słuchając tych bredni o świadomym szaleństwie.

– Może to i brednie. Ale miałem rację. – Maxted zignorował ją, zwracając się bezpośrednio do mnie. – Zamach się nie udał, ale wszystko przeskoczyło na wyższy poziom. Potrzebowało ostatecznego pchnięcia. Bomba w Metro-Centre, ogromne zamieszki, które przerosną możliwości policji, Da vid Cruise proklamujący niepodległość.

– Był na to zbyt sprytny.

– Zauważyliśmy. Zamieszki wybuchły, Sangster podłożył drugą bombę niedaleko ratusza i robiliśmy wszystko, żeby podburzyć tłum. Ale bez Cruise'a to nie miało szans powo dzenia. Śmierć Fairfaksa wystraszyła

wielu z naszych głównych zwolenników.

– Jak zginął?

– Przez swoje niezgrabne paluchy. Nigdy go nie lubiłem. Był trochę zbyt porywczy. Ostatnia osoba, która powinna podkładać bombę.

– Dlaczego wybraliście mój samochód?

– To był pomysł Fairfaksa. Wiedział, że coś knujesz. I nie cierpiał cię. To miało być ostrzeżenie, przypomnienie, jak łatwo można cię zrobić. Leighton i sierżant Falconer na to poszli – to dlatego nigdy nie zostałeś oskarżony, a właściwie pojazd zidentyfikowany. Mielismy cię tam, gdzie cię potrzebowaliśmy. Ale wszystko się zawaliło, kiedy Cruise nie chwycił przynęty. Pochodził ze świata telewizji i potrzebował telepromptera. I wtedy pojawił się nowy przyjaciel z odpowiednimi umiejętnościami i ochotą na wystylizowaną przez moc.

– Podmiejski doktor Goebbels?

Maxted przez chwilę wpatrywał się we mnie z niesmakiem. Potem udało mu się uśmiechnąć.

– Widziałeś w faszyzmie jeszcze jedną okazję do sprzedaży towarów. Psychopatologia to podręczne narzędzie marketingowe. David Cruise był twoim manekinem, szamanem parkingów wielopoziomowych, Kafką w podniszczonym prochu, psychopatą szczerym aż do bólu.

– Jednak wszyscy go podziwiali.

– Czemu nie? Jesteśmy całkowitymi degeneratami. Bra kuje nam kręgosłupa moralnego i wiary w siebie. Patrzymy na świat przez pryzmat tabletek i nie mamy marzeń ani ideałów. Trzeba nas przyciągnąć obietnicą perwersyjnego seksu. Nasi guru wmawiają nam, że powinniśmy pożądać żony bliźniego swego, a niewykluczone, że również jego tyłka. Nie czcij ojca swego i matki swojej i uwolnij się od kompleksu Edypa. Nie jesteśmy niczym, ale oddajemy cześć kodom kreskowym. Tworzymy najbardziej rozwinięte społeczeństwo na tej planecie, ale do prawdziwej dekadencji nam jeszcze daleko. Jesteśmy tak zdesperowani, że musimy polegać na ludziach takich jak ty, żeby wymyślili nowy zestaw bajek, małych fantazji o alienacji i poczuciu winy. Jesteśmy niczym, Richardzie – dzięki tobie, wiesz to doskonale.

– David Cruise też to wiedział. Kto go zastrzelił? Czy wy to zorganizowaliście?

– Zdecydowanie nie. To musiał być Christie. Po prostu – skończył robotę. Jest gdzieś tutaj, uciekinier chroniony przez jedyne miejsce, którego nienawidzi.

– A sierżant Falconer? Czy ona go szuka?

- Chyba tak. Myślę, że komisarz Leighton czuje, że wiatr zaczyna wiać w drugą stronę. Nie zdziwiłbym się, gdyby miał też inne cele.
- Ciebie i Sangstera? A także Julię?
- I ciebie, Richardzie. Nie zapominaj o tym.

Julia wyszła z gabinetu zbyt zdenerwowana, żeby spojrzeć mi w twarz. Rozmawiała z ostatnimi z pacjentów, starszą parą, która znalazła się w centrum w wieczór zamieszek. Rozsądnie ukryli się w restauracji ze zdrową żywnością na szóstym piętrze, kiedy jeszcze działały windy. Wytrzymali tam ponad miesiąc, żywiąc się figami, daktylami i granatami, jak podróżnicy na bezludnej wyspie, zbyt ostrożni i rozsądni, żeby zejść schodami do piekła, które rozciągało się pod nimi.

Maxted i ja wyszliśmy z oddziału pierwszej pomocy. Atrium było puste, na podłodze leżały szczątki, które spadły z dachu.

– I co teraz? – zapytałem. Mimo wszystkiego, co mi po wiedział, wciąż go lubiłem. Był niespokojny i niepewny, ale próbował żyć zgodnie ze swoimi desperackimi zasadami. Ni gdy nie stanie przed sądem. Żył w świecie fantazji, niespełna rozumu jak każdy psychiatra, jakiego znałem, jedyny praw dziwy pacjent szpitala, który prowadził.

– Staraj się nie myśleć. – Maxted ścisnął i rozcierał posi niaczone dłonie. – Mam nadzieję, że policja postanowi się tu wdrzeć. Carradine i Sangster wciąż trzymają zakładników w Novotelu, a poza tym dysponują armią złożoną z kilkuset zagorzałych zwolenników. Nie mają nic do stracenia. A oto przedsmak prawdziwego szaleństwa...

Pokazał na misie na podium. Obok stało łóżko z ciałem Davida Cruise'a, bezpieczne w namiocie tlenowym. Jego wycieczka po Metro-Centre dobiegła końca i zostawiono go jak zabitego bohatera na łasce i niełasce misiów. Kilku kibiców w koszulkach z krzyżami św. Jerzego klęczało na podłodze, z twarzami wzniesionymi do zwierząt.

– Co oni robią? – zapytałem Maxteda. – Czekają na mu zykę?

– Modlą się. Właśnie spełnia się twój konsumencki sen. Modlą się do pluszowych misiów.

Zostawiając Maxteda, przeszedłem powoli przez atrium, unikając kawałków szkła i aluminium, które spadły z dachu. Gdzieś nade mną, na jednej z opuszczonych galerii, Duncan Christie czekał na pojawienie się kolejnego celu. Zabił Davida Cruise'a – czy ja, bruchomówca, miałem się stać jego kolejną zdobyczą?

Minąłem modlących się kibiców, unikając smrodu wydobywającego się

z łóżka Cruise'a. Niektórzy z nich mieli przed sobą słoiki z miodem, dary dla bóstw, które kierowały ich życiem. Kobieta w średnim wieku w koszulce z krzyżem św. Jerzego, z jasnymi włosami związanymi z tyłu głowy, bujała się do przodu i do tyłu, nucąc do siebie. Dołączył do niej mąż, zwalisty mężczyzna w stroju hokeisty, i usłyszałem pocieszające słowa piosenki.

*.. Jeśli pójdziesz dziś do lasu  
lepiej tam w przebraniu idź.  
Bo każdy miś...*

### 39. Ostatni bastion

Metro-Centre prześladowały jego cienie. Dwa razy w ciągu nocy byłem budzony przez porządkowych Carradine'a, strzelających na oślep w ciemności. Helikoptery nieustannie krążyły ponad dachem, reflektory rzucały niespokojne odblaski, które wyskakiwały z setek drzwi jak oszalałe niedobitki rozgromionej armii.

O piątej rano porzuciłem nadzieje na sen. Ledwo mogąc oddychać, usiadłem za zasłonami przy balkonie, myśląc o przedstawionej mi przez Maxteda wersji śmierci mojego ojca. Zbrodnia grupy konspiratorów amatorów stanowiła tylko niewielki dodatek do tego, co działo się w tej chwili w Metro-Centre. W ciągu trzech dni od wykradzenia ciała Davida Cruise'a i nieudanej próby jego wskrzeszenia, miejsce zupełnie straciło kontakt z rzeczywistością.

Ogromne centrum handlowe było nienaruszonym skarbcem, który utrzymywał sen tysięcy przedmieść. W nieoświetlonych wnętrzach sklepów meblowych, w imperiach dywanów i studiach kuchennych, serce pogardzanego stylu życia wciąż mocno biło. Pomijając Sangstera i jego motywy, podziwiałem Carradine'a i jego buntowników oraz zdrowy fizyczny świat, na którym opierali swój konsumpcyjny sen. Miasteczka przy autostradzie zostały wybudowane na granicy pomiędzy zmęczoną przeszłością a przyszłością bez iluzji i snobizmu, gdzie jedyną rzeczywistością był pewny świat pralek i płyt ceramicznych, drogocennych jak piecyk żelazny w budzie pioniera.

O szóstej, pozbawiwszy wszystkich możliwości spania, helikoptery wycofały się i świt zaczął powoli rozświetlać dach centrum, niezręczny pokaz efektów specjalnych dla wyczerpanej publiczności. Perłowe, metaliczne światło zalewało milczące place miasta handlu, którego uliczki były zbyt niebezpieczne, by po nich chodzić, i którego skrzyżowania czyhały na nieuważnych.

Supemarkety były czynne przez całą dobę. Mógł się w nich zaopatrzyć każdy, komu niestraszne było spotkanie z chłodniami na mięso, w których wykluwały się wszelkie możliwe choroby. Zamrażarkom rozgrzanym jak piekarniki nagle puszczały zawiasy, i zaczynały wypluwać z siebie miazmaty, które płynęły na lady. Po nieskończonym grzebaniu w stosach niechcianych puszek w końcu znajdowałem pasztet, karczochy w occie czy słoiki z fasolą limeńską bladą jak śmierć.

Szedłem z tymi zdobyczami do Julii. Najpierw wspinałem się na galerię

drugiego piętra, która otaczała atrium, następnie schodami dla personelu schodziłem na półpiętro, a później zbiegałem po schodkach, na których mój ojciec dostał kulkę. Wyczerpująca trasa, ale Julia liczyła na te moje wyprawy sklepowe. Kuśtykając na chorej nodze, której bandażowanie stanowiło coś w rodzaju rytuału, robiłem dwa razy dziennie obchód sklepów, czując się trochę tak, jakbym zwiedzał obłązione miasto. Julia spała w łóżku obok starszej pary, z którą dzieliła się swoją żywnością. Gawędziła ze mną przyjaźnie w gabinecie zabiegowym, ze wzrokiem utkwionym w torbie z supermarketu jak niewierna żona starająca się za wszelką cenę przeżyć. Wiedziała, że jej wybaczyłem, ale nie cierpiała, kiedy patrzyłem, jak je, zupełnie jakby odbierała sobie prawo do życia. Podobnie jak wszyscy z utęsknieniem czekała na koniec obłążenia. Prosiłem, żeby przeprowadziła się do mnie, do Holiday Inn, ale nie chciała zostawić oddziału pierwszej pomocy, jedyne go azylu zdrowia psychicznego w centrum.

W południe, kiedy cienie na krótko nas opuściły, kilka osób przeszło przez atrium i zaczęło modlić się do misiów. Lojalni kibice, zbyt słabi, by pracować, chodzili po centrum, grzechocząc o kraty pustych supermarketów, w nadziei na znalezienie czegoś do jedzenia. Nieliczni narysowali sobie kody kreskowe na grzbietach dłoni, próbując upodobnić się do produktów, które najbardziej podziwiali.

Obserwowałem ich, kiedy szedłem tarasem na drugim piętrze. Było mi ich szkoda, dopóki nie odkryłem, że moje ulubione delikatesy zostały w nocy splądrowane. Ten sklep z polskimi specjałami stanowi! skromną przystań wschodnioeuropejskich delicji, pogardzanych przez wybredne podniebienia mieszkańców Brooklands. Teraz został ogołocony ze wszystkiego, co nadawało się do jedzenia, a drzwi zamknięto na kłódkę.

Nie mogąc pokazać się Julii z pustą torbą, postanowiłem wspiać się na trzecie piętro. Wciąganie się po balustradzie nie należało do najłatwiejszych, ale odpoczywałem po drodze, a na górnych piętrach było bezpiecznie. Szaleństwo leżało poniżej, jak mgła, która zalegała w atrium.

Dotarłem do galerii na trzecim piętrze i usiadłem na najwyższym stopniu schodów, czekając, aż poczuję się lepiej. Obok mnie kałuże parowały w promieniach słońca. Patrzyłem, jak się kurczą i znikają, nie będąc pewny, czy to, co widzę, nie jest złudzeniem. Inne krople stworzyły strumyk wzdłuż pasażu handlowego, chlapnięcia z nieostrożnie przenieszonego wiadra. Zanurzyłem palce w najbliższej kałuży i podniosłem je do ust. Od razu pomyślałem o jensenie i znajomym

smrodzie stacji benzynowych.

Benzyna? Dziesięć stóp dalej, przed sklepem meblowym, zauważyłem ślady trampek, wyraźne na kamiennej posadzce. Wszedłem do środka i zacząłem przeszukiwać zestawy mebli.

Benzyna, byłem pewien. Znalazłem źródło zapachu w salonie jadalnym, domowym wszechświecie stołów w okleinie z drzewa różanego, lakierowanych krzesel i zasłon zasuniętych na oknach bez szyb. Brakowało jedynie gwaru przyjęcia puszczonego z głośnika. Kanister z logo Metro-Centre stał pod stołem, bez nakrętki, napełniając smrodem rozgrzane powietrze.

Odsunąłem się od niego, uświadamiając sobie, że najmniejsza iskra może zapalić opary. Wszedłem ze sklepu i ruszyłem wzdłuż tarasu. Pasaż ze sklepami meblowymi stanowił raj dla podpalacza, wszystkie wypełnione były łatwopalnymi sofami i lakierowanymi szafkami.

Czy to było ostatnie zagrożenie ze strony Carradine<sup>^</sup> i jego zwolenników Metro-Centre? Sześć sklepów dalej znalazłem kolejny kanister w sklepie z łózkami, otoczony luksusowymi poduszkami i kołdrami wypełnionymi gęsim pierzem. Zapach stu stacji benzynowych, groźny, ale zarazem nęcący, przelatywał przez ciche sklepy i zbijał się we mgłę pod dachem.

Kwadrans później dotarłem na najwyższe piętro. Trzeci kanister stał na podeście nad schodami. Wokół była rozlana benzyna. Policyjny helikopter przeleciał nad centrum, rzucając pajęczycie na galerie, migotanie śmigieł wspinało się pomiędzy uschłymi winoroślami i jukami.

Przez jego huk usłyszałem brzęk szkła spadającego na podłogę. Stojak wystawowy przewrócił się przy wejściu do sklepu z naczyniami kuchennymi, ciężkie skorupy spadły na podest. Przywarłem do ściany, jakbym oczekiwał, że opary benzyny eksplodują.

U moich stóp, pomiędzy durszlakiem a garnkiem do gotowania na parze, leżał policyjny heckler & koch, taki, z jakiego zabito mojego ojca. Patrzyłem na niego zaskoczony, próbując zrozumieć, jakim cudem stał się użytecznym pomocnikiem kuchennym gospodyń z Brooklands.

Bez namysłu podniosłem broń, zdziwiony jej ciężarem. Była odbezpieczona. Położyłem palec na spuście.

Zajrzałem do pogrążonego w mroku sklepu. Kobieta w czarnym policyjnym mundurze i ze zmierzwionymi blond włosami walczyła z porozrzucanymi garnkami. Upadła na podłogę, potknąwszy się o lawinę spadających patelni, szalona gospodyni domowa atakująca swój własny dom. Rzuciła się na mężczyznę, który wyskoczył z ciemności i złapała go

w pasie. Odrzucił ją na bok i pojawił się w świetle, ślizgając się na pokrywach garnków, jak wściekły mąż uciekający raz na zawsze od życia na przedmieściach.

Wciągnął powietrze i odwrócił się do mnie, dopiero teraz mnie zauważając. Jego moro śmierdziało benzyną, jakby miał zaraz samoistnie wybuchnąć w promieniach słońca. Uspokoił się i wyciągnął pokrytą bliznami dłoń w stronę broni, z której do niego mierzyłem.

Rozpoznawszy Duncana Christiego, cofnąłem się i obniżyłem lufę do poziomu jego piersi. Christie zrobił krok do przodu, świadom, że jeśli wystrzelę, spudłuję. Wykrzywił usta w dziwacznych grymasach, jakby sam sobie przekazywał szeptem jakieś wiadomości. Jego ręka próbowała chwycić lufę, ale kiedy popatrzył na mnie, starając się mnie przekonać, żebym nie strzelał, rozpoznał mnie mimo mojej brody.

– Pan Pearson? Pamięta mnie pan? Duncan Christie...

Sierżant Falconer oparła się o drzwi, zbyt wyczerpana, by rzucić się na mężczyznę. Powiedziała coś do radiotelefonu przyczepionego do lewego ramienia, a potem dała znak wolną ręką.

– Zastrzel go, Richard! Strzelaj!

Patrzyłem na Christiego, wiedząc, że trzymam w ręku broń, która zabiła mojego ojca. Spoglądając na tego beznadziejnego odmieńca, podtrzymywanego przy życiu przez obsesję, wiedziałem, że jego życie zaraz się skończy, wygasając w celownikach broni policyjnych snajperów czekających w galeriach na górze.

– Panie Pearson... – Christie odsłonił połamane zęby. – Wie pan, co się stało. Zmusiła mnie, żebym zabił pańskiego ojca...

Sierżant Falconer krzyknęła ostrzegawczo, kiedy Christie rzucił się w moją stronę. Uniosłem broń nad głowę i cisnąłem ją za barierkę.

– Uciekaj! – krzyknąłem do niego. – Wiesz, co robić! Biegnij!

Sierżant Falconer stała, chwiejąc się na nogach, między garnkami, z jedną dłonią na zranionym kolanie, drugą próbując zebrać blond włosy.

– Panie Pearson? Mój Boże, pan jest bardziej szalony od niego.

– Wybaczam mu. – Słyszałem, jak Christie biegnie galerią pod nami, przez niekończące się pasaży handlowe jesiennej mody i telewizorów, uciekając ze świata aparatów cyfrowych i alkoholowych barków. – Może odejść – jeśli ma gdzie.

– Wybacza mu pan? – Sierżant Falconer wyłączyła radio telefon. Siniaki na jej czole przedzierały się przez bladą skórę, ale wydawała się bardziej zdeterminowana niż ta niepewna kobieta, którą widziałem, gdy gotowała mleko w kancelarii Fairfaksa. Przypuszczałem, że porzuciła

spiski i odnalazła nowy cel w życiu. – Wybacza mu pan? Śmierć ojca? To nie ma znaczenia.

– Nie? Tylko to się liczy. Czy ma to znaczenie, czy nie, wybaczam też pani. Przypuszczam, że nie wiedziała pani, co robi.

– Możliwe. Ale i tak jest już za późno. Proszę stąd uciekać. Zabrać z sobą doktor Goodwin i kogo tam jeszcze pan chce. Znajduje się pan w niebezpieczeństwie.

– Dlaczego? Pani sierżant...

– Zaczyna się szturm. Już po wszystkim. Musi pan sobie znaleźć inny plac zabaw.

– A Christie?

– Prędzej czy później go złapię.

Przerwała jej ogromna eksplozja w holu wejściowym przed Bramą Południową. Taras zachwiał się pod moimi stopami, a dach Metro-Centre uniósł się odrobinę, a następnie opadł w kaskadzie kurzu przypominającego talk. Chmura smogu, która przykrywała atrium, zakłębiła się i zawirowała, kłęby ganiały się nawzajem wokół misiów.

Obleżenie zmierzało ku końcowi.

## 40. Strategie wyjścia

Trzymając ramę wezgłowia, Julia i ja przepchnęliśmy łóżko przez drzwi oddziału pierwszej pomocy, kierując się w stronę Bramy Południowej. Po dwudziestu jardach obydwójce byliśmy wykończeni. Wymknąwszy się nam spod kontroli, łóżko obróciło się w stronę przewróconego samochodziku golfowego. Ostatni pacjenci Julii leżeli przypięci do materaca. Kiedy przedzieraliśmy się przez szczątki dachu, zamknęli oczy, wystraszeni tą nieobliczalną podróżą i paniką, która zapanowała w centrum. Pochylony nad wezgłowiem widziałem, jak nawzajem się zapewniają, że wszystko będzie dobrze, nie wierząc w to ani przez chwilę.

– Już jesteśmy prawie na miejscu, pani Mitchell – powie działem. – Zaraz wróci pani do domu i nastawi wodę na her batę.

– Do domu? To chyba nie w tę stronę, panie Pearson. Zazwyczaj idziemy do przystanku autobusu numer 48. Pani doktor?

– Znajdziemy go, pani Mitchell. – Julia skrzywiła się, kie dy znaleźliśmy się na odcinku podłogi pokrytym zbitym szkłem, potem chwyciła się mojego ramienia, gdy wyprosto wałem przednie kółka łóżka. – Poproszę kierowcę, żeby na państwa poczekał.

– Maurice... Słyszałeś? – Pani Mitchell swoim sokolim wzrokiem zauważyła obłoki pyłu wydostające się przez dziurę w dachu. – Tyle zachodu nie wiedzieć po co...

Przeszłość, drobnymi, acz nieustępliwymi kroczkami, wracała do Metro-Centre, choć niewielu z tych, którzy tu zostali, miało przenikliwość pani Mitchell. Obrońcy Carradine<sup>^</sup> w Bramie Południowej wycofywali się, wielu z nich było ogłuszonych eksplozją, która rozwalila potężny kawał drzwi przeciwpożarowych. Kilku najbardziej zajadłych porządkowych wznosiło obok chodnika ruchomego barykadę z krzesel i kawiarnianych stolików. Zakładnicy biegali we wszystkich kierunkach, zrozpaczeni i oniemiaли po swoim przymusowym pobycie w Ramada Inn i Novotelu. Kilku zgromadziło się w drzwiach sklepów, wciąż trzymając reklamówki, które nieśli z sobą, kiedy zaczęło się oblężenie. Julia krzyknęła, żeby wychodzili. Pociągnęła mnie za ramię i pokazała bezradnie na dwóch zakładników chowających się pomiędzy manekinami na wystawie sklepu z ubraniami. Wyraźnie próbowali naśladować ich spokój i plastikową obojętność.

Prawie zbyt zmęczona, by iść, wlokła się za mną, potykając o

rumowisko. Zatrzymałem się i posadziłem ją w stopach łóżka.

– Zostań tutaj, sam mogę pchać.

– Tylko na chwilę. Gdzie jest policja?

Nie mogąc przedrzeć się przez barykadę, zawróciłem i skierowałem łóżko w boczną alejkę, która prowadziła obok Holiday Inn. Sztuczne jezioro było czarne jak śmierć, smoła pełna obrzydlistwa, ale we wszystkich innych miejscach zrobiło się nagle jasno. Neonówki zaterkotały i zaczęły stabilnie świecić, reklamy błysnęły w kurzu. Światło zalało sklepy, ujawniając setki wypolerowanych lad. Szalone wzory tańczyły na ekranach, zapis fal mózgowych olbrzymia, który próbuje obudzić się z obłąkanego snu.

– Richard... Te wszystkie światła... – Julia spojrzała oszołomiona na rzędy błyszczących żarówek. – Oni otwierają centrum...

– Jeszcze nie. Chyba chodzi o snajperów. Policja chce ich wykurzyć.

Popchnąłem łóżko obok Holiday Inn, z jego znajomym neonem. Maszyna do robienia fal mieszała ospałą wodę, tworząc potworną miksturę. Kiedy dochodziliśmy do Bramy Południowej, otoczył nas jeszcze dziwniejszy zapach, chłodny aromat, który wyczułem po raz pierwszy jako dziecko.

– Co to? – Julia zeszła z Józka i niecierpliwie napełniła płuca. – Smakuje jak... drzewa i niebo.

– Świeże powietrze! Już jesteśmy na miejscu...

Przed sobą jednak mieliśmy kilkunastu porządkowych Carradine'a w koszulkach z krzyżami św. Jerzego. Strzelby i karabiny zawieszono na ich ramionach skierowane były lufami do ziemi. Byli zdyscyplinowani i maszerowali w równym tempie, głowy jednak mieli spuszczone, jak pokonana drużyna opuszczająca boisko po zażartej, ale przegranej walce, gdy każdy gracz przeprowadza w duchu rachunek sumienia.

Przewodził im Tony Maxted w eleganckim białym fartuchu lekarskim, który wyraźnie zachował specjalnie na tę chwilę. Był zmęczony, ale pewny siebie, robiąc, co w jego mocy, aby pocieszyć grupę, którą przekonał do wyjścia z centrum. Chodził wzdłuż szeregów, uśmiechając się i zagadując każdego, kiedy przesuwali się w kierunku czekającego na nich światła.

Maxted drgnął, kiedy kolejna eksplozja przetoczyła się przez pobliskie wyjście bezpieczeństwa. Odrzucił do tyłu łysą głowę. Zachwiał się i wyciągnął rękę do dwóch porządkowych. Przez chwilę wydawało się, że stracił rozeznanie w wirze kurzu.

Oparłem się o wezglowie, zbyt zmęczony, by dalej pchać łóżko. Hol

wejściowy był pokryty gruzem. Pozostałości drzwi przeciwpożarowych skapane były w słońcu. Zamaskowane postacie w ciemnych mundurach poruszały się w jaskrawym świetle.

Za nami jeszcze jaśniejszy blask wypełnił wnętrze centrum, ogromny reflektor podświetlił kopulę od spodu. Cienie drżały w każdym wejściu jak nerwowi gapie niepewni, czy mogą wierzyć własnym oczom.

Na galerii siódmego piętra pojawiły się płomienie, leniwe ostrza światła, które zdawały się budzić razem i biec wokół wysokiego donżonu twierdzy sprzedaży. Wkrótce trzy górne poziomy zajęły się ogniem, każdy balkon i drzwi zamieniały się w kwiaty ognia. Nasączone benzyną kanapy i dywany, ekspozycje salonów jadalnych i kuchni zmierzały do ognistego końca.

Oddział w koszulkach z krzyżami św. Jerzego zatrzymał się, by spojrzeć za siebie, zmęczone twarze zostały ożywione przez ogień, kolor wracał na policzki po tygodniach półmroku. Porządkowi zdawali się podnieceni widokiem Metro-Centre pochłaniającego siebie, jakby witali z radością jego ostatnią transformację.

– Dobra! Idziemy dalej! – Maxted przeszedł wzdłuż szere gów, klaszcząc w dłonie, próbując wyrwać ich z transu. – Dalej, chłopcy! Już jesteśmy na miejscu...

Pod dachem unosiły się obłoki gorącego kurzu, który zaczął płonąć, kiedy do Metro-Centre wpuszczono powietrze. Czuję, że ogromne centrum zmienia środek ciężkości, jego członki uginają się pod wpływem gorąca. Obok nas dmuchnął zimny wiatr, cug z ogromnego pieca.

– Obudźcie się, koledzy! – Maxted uderzył jednego z porządkowych w ramię, próbując zwrócić na siebie jego uwagę. – Ruszmy się! Inaczej się tutaj spalimy...

Posterunkowy odwrócił się i spojrzał na Maxteda, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Wydawało się, że obudził się z głębokiego snu. Złapał psychiatrę za kołnierzyk fartucha. Jego kompani chwycili Maxteda za ręce, zmuszając go do kucnięcia. Dreszcz przeszył porządkowych, spazm złości, strachu i dumy. Odwrócili się plecami do wyjścia. Ruszyli przed siebie, trzymając psychiatrę przed sobą niczym totem i biegnąc w stronę pożaru. Ochryple krzyki mężczyzny zagłuszył straszliwy huk morza ognia.

## 41. Kult solarny

– Co się stało z Tonym Maxtedem? – zapytała Julia.

Staliśmy przy barierkach policyjnych i patrzyliśmy ponad pustym placem na to, co pozostało z Metro-Centre. Większa część kopuły była nietknięta, zaokrąglona ściana przypominała trybunę stadionu. Ale wierzchołek zawalił się, spadając na palenisko sklepów, hoteli i domów towarowych. Trzy tygodnie po naszej ucieczce dym i para wciąż unosiły się nad ruinami, obserwowane przez kilkanaście załóg strażackich stojących w odległości pięćdziesięciu jardów od konstrukcji. Niewielki tłum zbierał się tutaj każdego dnia, patrząc na zniszczone centrum handlowe, zupełnie jakby nie mógł pojąć, co się stało. Metro-Centre pochłonęło samo siebie, palenisko zostało spalone przez swój własny ogień.

– Richard... biedaku, ciągle tu ze mną jesteś?

– Nie jestem pewien. Czuję się trochę dziwnie. Nie wiem, czy powinniśmy na to patrzeć...

– Nie? Gdzie w takim razie powinniśmy być? Mój drogi, jakaś częśćka ciebie będzie już do końca życia przedzierać się przez rumowisko obok Holiday Inn...

Chwyciła moje ramię, żeby się uspokoić, ale cały czas patrzyła na mnie nieufnie. Po raz pierwszy widziałem ją z włosami zaczesanymi do tyłu, dzięki czemu jej twarz była całkowicie odsłonięta. Trzy noce spędzone pod wpływem środków uspokajających w Brooklands Hospital i długie dni snu w łóżku w jej domu przywróciły ją do życia. Nie była już tą wynędzniałą uciekinierką, którą wypchnąłem spod kopuły. Tego ranka skontaktowała się ze mną po raz pierwszy od tamtego czasu, przysyłając mi SMSa z propozycją, że zawiezie mnie do centrum.

Zatrzymawszy się przed domem mojego ojca, uśmiechnęła się z aprobatą, kiedy przemierzałem zwirowy podjazd, oparty na lasce, kuśtykając na nodze w bucie ortopedycznym. Wiedziałem, że była pogodzona z sobą i gotowa pogodzić się ze mną. Wyniosłem ją z pożaru Metro-Centre i w zagadkowej logice uczuć ten pojedynczy akt zmazał jej winę, to, że przyczyniła się do śmierci mojego ojca. Ofiary muszą podwójnie płacić za przestępstwa wymierzone przeciwko nim.

W przeciwieństwie do niej byłem cały czas wyczerpany; ledwo broniłem się przed zaśnięciem, oglądając wiadomości telewizyjne, kuśtykając po mieszkaniu i gotując jajka, które znalazłem następnego dnia

po powrocie. Ale widok Metro-Centre nie pozwalał mi zasnąć. Cieszyłem się, że byłem z Julią, i objąłem ją w tali.

– Richard?

– Przepraszam, zamyśliłem się. Pytałaś, co się stało z Maxtedem? Wczoraj znaleźli jego ciało. Trudno je było zidentyfikować w całym tym pyłe. Jedno, co można powie dzieć o artykułach trwałego użytku, to że przy paleniu odda ją dużo ciepła.

– Gdzie był?

– W atrium. Podejrzewam, że przywiązali go do jednego z misiów.

– Co za koszmarny sposób rozstania się z tym światem. – Julia zadrżała, mając wielką ochotę zarzucić włosy z po wrotem na twarz. – Był trochę pokręcony, ale go lubiłam. Dlaczego porządkowi zwrócili się przeciwko niemu? Wypro wadzał ich z centrum.

– Porąbało ich, że tak się wyrażę. Świadome szaleństwo, tak to się nazywa. Pamiętasz nazistowskie Niemcy, stalinowską Rosję, Kambodżę Pol Pota? Maxtedowi nigdy nie przyszło do głowy, że może zostać ostatnią ofiarą.

– A Sangster? Chyba tam został.

– Większość ludzi tam została. – Objąłem Julię, starając się ją uspokoić. – Sierżant Falconer, Carradine, wszyscy ci porządkowi i technicy, którzy pomagali rządzić centrum. Ogień...

– Czy to Duncan Christie go podłożył?

– Trudno powiedzieć. Nigdy nic mu nie wychodziło. Jego żona zabrała dziecko i zniknęła. Mam nadzieję, że do nich dołączył.

– Jeśli to nie Christie podłożył ogień, to kto?

– Nikt. Dowódca oddziałów wojskowych wydał rozkaz włączenia światła. Kiedy policja otworzyła drzwi, powietrze dostało się do środka. Mogła wystarczyć jedna iskra. Zamiast wypłoszyć snajperów, dali początek kultowi solarnemu.

Julia zagryzła wargi.

– Więc... Geoffrey Fairfax, Maxted, Sangster, sierżant Falconer, Christie – wszyscy ludzie, którzy zabili twojego ojca, nie żyją. Z jednym wyjątkiem.

– Julio... – Objąłem ją, upuszczając łaskę. Odsunęła ode mnie głowę, wyciągając szyję. Widziałem, jak czerwienieje, w ostatnim przejawie pogardy do samej siebie. – Ty nie za biłaś mojego ojca. Gdybyś wiedziała, co tak naprawdę knu ją Fairfax i Sangster, zrobiłabyś wszystko, żeby ich po wstrzymać.

– Naprawdę? – Zmusiła się do oderwania wzroku od ko puły. – Wcale

nie jestem tego taka pewna.

– Działo się tutaj coś bardzo niebezpiecznego. Musiałaś coś zrobić.

– Ale, jak to zwykle bywa, oberwali nie ci, którzy powinni. – Julia podniosła moją rękę i wcisnęła mi ją w dłoń. – Muszę jechać do szpitala – te badania kontrolne są gorsze od choro by. Podwiozę cię do domu.

– Dzięki, ale chwilę zostanę. Mam jeszcze coś do zrobienia...

Podeszliśmy do jej samochodu, stojącego na krawężniku. Usiadła za kierownicą, patrząc na mnie przez nową przednią szybę, podczas gdy zbierałem myśli.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zapytała.

– Tak. Może spotkamy się w ten weekend – w mieszkaniu mojego ojca?

– W twoim mieszkaniu, Richardzie – poprawiła mnie skrupulatnie. – W twoim mieszkaniu.

– W moim mieszkaniu.

– Wreszcie się odważyłeś. To wymagało trochę wysiłku, prawda? Zgoda. Zaopiekuję się rannym.

– To dobrze. Nauczę się myć wannę.

– Przyjadę, ale pod jednym warunkiem. Musisz mi coś powiedzieć. Myślałam o tym cały tydzień. – Pokazała na ko pulę i wpatrujący się w nią tłum, obojętne twarze zwrócone w stronę pióropuszy dymu i pary wodnej.

– Kiedy ty i David Cruise to wszystko zaczynaliście, wie dzieliście, jak to się skończy?

– Trudno powiedzieć. Może i wiedzieliśmy... W pewnym sensie taki był nasz zamysł.

Kiedy zastanawiała się nad moją odpowiedzią, znów zamieniła się w poważną młodą panią doktor. Ruszyła, dając mi na pożegnanie kpiący faszystowski salut. Pomachałem do niej, wdychając ostatnie ślady jej zapachu, unoszące się w powietrzu. Stukając laską o ziemię, przepychałem się przez tłum, dopóki nie znalazłem skrawka wolnego miejsca przy barierkach. Metro-Centre stanowiło tak wielką turystyczną atrakcję, jak zawsze. Ludzie przyjeżdżali tu z miast przy autostradzie, by zerknąć na jego tłące się szczątki, kiedyś skarbnicę wszystkiego, co najwartościowsze. Zauważyłem, że żaden z nich nie miał na sobie koszulki z krzyżem św. Jerzego. Przejęcie centrum przez Toma Carradine'a wywołało wstrząs sejsmiczny na przedmieściach przy Heathrow i ziemia pod naszymi stopami wciąż jeszcze drżała.

Policjantka, która mnie przesłuchiwała, powiedziała, że większość

impres sportowych i wszystkie marsze zostały odwołane. Akty przemocy po meczach i napady na tle rasowym całkowicie ustały i azjatyckie rodziny powróciły do swoich domów. Kanały telewizji kablowej nadawały tylko programy diecie odchudzającej, porady dla gospodyń domowych i dyskusje o książkach. Kiedy ludzie zaczynają rozmawiać o książkach, nadzieja na wyzwolenie umiera. Realna możliwość powstania faszystowskiej republiki rozplynęła się w powietrzu wraz z trzyczęściowymi garniturami i zniżkami na wykładziny dywanowe.

Ścisnąłem barierkę policyjną obiema rękami, laskę powiesiłem na ramieniu. W pewnym sensie centrum przypominało mi rozbity statek powietrzny, jeden z tych ogromnych zeppelinów z okresu międzywojennego, które należały do minionej epoki świetności toru wyścigowego w Brooklands. Ale pod innymi względami kojarzyło mi się z drzemiącym wulkanem, wciąż dymiącym i gotowym na przebudzenie. Pewnego dnia stanie się na powrót czynny, wypluwając na miasta przy autostradzie drzwi balkonowe i sprzęt AGD, leżaki i wyposażenie pokoi z łazienkami.

Przypomniałem sobie ostatnie chwile, które spędziłem w centrum, patrząc na ogień, rozprzestrzeniający się wzdłuż wysokich galerii od jednego sklepu do drugiego. W moim umyśle ogień wciąż płonął, przemierzając Brooklands i miasta przy autostradzie; płomienie ogarniały ulice skromnych bungalów, pochłaniały luksusowe osiedla i ośrodki kultury, stadiony piłkarskie i salony samochodowe, ostatnie ogniska konsumenckich bożków.

Patrzyłem na gapiów wokół mnie, stojących w ciszy przy barierce. Nie mieli na sobie koszulek z krzyżami św. Jerzego, ale przyglądali się rumowisku trochę zbyt uważnie. Pewnego dnia pojawi się następne Metro-Centre i kolejny rozpaczliwy i obłąkany sen. Ludzie znów będą maszerować w rytm komend prezentera telewizji kablowej. Jeśli ci, którzy pozostali przy zdrowych zmysłach, się nie przebudzą, jeszcze groźniejsza republika otworzy drzwi i obróci kołowrotkiem sklepowym kuszącego raj.